

Sabina Kruszyńska

Plaża martwych panien. Mielno 68-69

Gdańsk, 2023

Przedślowie

Miejsca geograficzne nasączone są swoją indywidualną, osobną i niepowtarzalną historią. Historia kumuluje się w nich wraz z upływem czasu, narasta i pęcznieje. Staje się ogromna, ale pozostaje niewidzialna. Aby można było ją dostrzec, musi zostać wydobyta ze swego pozornego niebytu przez opowieść. Opowiedzieć natomiast wydobywa jedynie wrywki z tej nieskończone bogatej całości. Nie można opowiedzieć całej historii żadnego miejsca, bo składają się na nią życia wszystkich kiedyś obecnych w tych miejscach osób, wszystkich wspólnot, które te miejsca zagospodarowywały i wszystkich przedmiotów, które kiedykolwiek w nich się pojawiły.

Mała, kiedyś prawie nieznana, nadmorska miejscowość nosząca po II wojnie światowej nazwę Mielno, także ma swoją historię, która wciąż się rozrasta. Zmienia się wygląd zewnętrzny miejscowości i jej okolic, nowe zdarzenia odsyłają w niepamięć zdarzenia z przeszłości, nowi ludzie zastępują tych, którzy odeszli, a nowe przedmioty zajmują miejsca przedmiotów wyrzuconych na śmietnik. Dzisiejsze miejsca nazywane Mielnem, Mielenkiem, Unieściem, Strzeżenicami, Sianowem, Dobrym czy Będzinem nie przypominają już miejsc noszących tę samą nazwę siedemdziesiąt, pięćdziesiąt czy czterdzieści lat temu. Zmienia się także Koszalin, miasto, które jak magnes przyciąga ku sobie otaczające je miasteczka, wsie i osady, czyniąc z regionu swoistą i dynamiczną strukturę.

Moje trzy opowieści kryminalne wydobywają z nieogarnionej całości, jaką tworzą historie wymienionych wyżej miejsc, kilka zdarzeń i kilka wpisanych w te zdarzenia ludzkich losów. Wszystko co opisuję, wydarzyło się naprawdę, albo przynajmniej mogło się wydarzyć w tamtych latach, w tamtych okolicznościach, pośród tamtych ludzi. Fikcyjne są natomiast wątki kryminalne. Wątki kryminalne snują się w moich opowieściach jak przyciągająca uwagę ozdoba, która tworzy wymyślony, a zarazem wymyślny, wzór na realnej podstawie wykonanej z mocnych nici rzeczywistych wydarzeń.

Pierwsza książka zatytułowana jest „Znikanie. Mielno 52”. Opowiadam w niej o powikłanych i dramatycznych losach kilku zaginionych osób, które w latach 1947–1952 przybywają do Koszalina, trafiają do Mielna i znikają. Osoby te nie istniały naprawdę, ale realne są miejsca, zdarzenia i okoliczności, w których rozgrywają się ich przypadki, ich osobiste dramaty oraz dramaty ich rodzin i znajomych. Miejsce wydarzeń jest przede wszystkim Mielno z jego ówczesnym specyficznym klimatem tworzonym przez dynamiczną

mieszankę ludzi, którzy napłynęli do tej nadmorskiej miejscowości, będącej zaledwie kilka lat wcześniej niemieckim kurortem, z różnych części przedwojennej Polski. Miejscem nie mniej ważnym jest także miasto Koszalin, centrum polityczne i kulturowe tamtych czasów. Umieszczam Czytelnika w konkretnych i nadal rozpoznawalnych sytuacjach powojennego życia w Mielnie, Koszalinie i okolicach. Przedstawiam całą plejadę barwnych postaci, z których każda ma za sobą trudną wojenną i powojenną przeszłość i usiłuje ją pokonać, zaczynając nowe życie, odbudowując je w nowych warunkach i w nowym nieznanym miejscu. Wysiłki moich bohaterów są zakłócanie nie tylko przez dotykające wszystkich ludzi decyzje polityczne, ale także przez niewytłumaczalne osobowe zło, które uderza w nich mocno i niespodziewanie. Z osobowym złem będą musieli zmierzyć się sami, aby nie zawierać kompromisów z nieakceptowaną przez nich władzą polityczną.

Kryminalna akcja drugiej książki zatytułowanej „Plaża martwych panien. Mielno 68-69”, a którą Czytelniku trzymasz teraz w ręku, toczy się początkowo w roku 1968-mym, kiedy to latem Mielno stało się miejscem pierwszego zlotu polskich hipisów. Fikcyjny wątek kryminalny i tym razem rozgrywa się pośród wydarzeń, które, w różnych konfiguracjach i według innej nieco chronologii, wydarzyły się naprawdę. Mielno końca lat sześćdziesiątych jest miejscem odmiennym od tego, którym było we wczesnych latach pięćdziesiątych. Podczas letniego sezonu prężnie działają nowe ośrodki wypoczynkowe Funduszu Wczasów Pracowniczych, mnożą się pola kampingowe i namiotowe a plaża zapełnia się beztruskimi opalonymi wczasowiczami z całej Polski. Bananowa młodzież szokuje dorosłych swobodnym zachowaniem i niekonwencjonalnym strojem. Jest to nadal czas polskiej socjalistycznej biedy, ale też czas większej beztruski, jako że dojrzało pokolenie nie znające wojennych koszmarów. I właśnie w samym środku słonecznego mieleńskiego lata, w beztruskiej atmosferze plażowania, morskich kąpiei, kolorowych seksownych strojów bikini oraz rozgrzanych opalonych ciał zło znów atakuje i zmusza bohaterów mojej drugiej opowieści do niekonwencjonalnych i ryzykownych działań.

Trzecia książka nosi tytuł „Czas umierać. Mielno 82”. Jej akcja także toczy się w Mielnie, Koszalinie i okolicach. Od 13-tego grudnia 1981-ego roku trwa w Polsce stan wojenny, który nagle, w brutalny sposób, zakończył „karnawał Solidarności”. Dla osób zaangażowanych w odzyskiwanie obywatelskich wolności wprowadzenie stanu wojennego stało się wielką życiową katastrofą. Fikcyjny wątek kryminalny rozgrywa się właśnie w tych ponurych czasach, kiedy ponownie, i zarazem drastycznie, zaostwiają się podziały pomiędzy zwolennikami socjalistycznego spokoju oraz przedstawicielami państwowych struktur

bezpieczeństwa a dynamicznymi kreatorami rodzącej się wolności. W atmosferze wzajemnej nienawiści i w poczuciu doznanych krzywd, rozjątrzają się dawne rany. Bohaterowie opowieści stają przed trudnymi wyborami natury politycznej i osobistej a podejmowane przez nich wybory zdecydują nie tylko o tym, jak dalej potoczy się ich życie, ale także o tym, czy w ogóle będą dalej żyć. Czas politycznych niepokojów i dramatycznych wyborów osobistych staje się czasem, w którym trzeba umierać śmiercią chcianą i niechcianą. W tej opowieści zło nie ma wyraźniej twarzy, lecz podstępnie i niedostrzegalnie wkrada się do ludzkich dusz i umysłów.

Poza opustoszałym jesiennym i zimowym Mielnem oraz Koszalinem, który w latach siedemdziesiątych przeszedł wielką metamorfozę związaną z organizacją centralnych dożynek, pojawiają się w tej opowieści także inne, mniej znane miejsca, takie jak Mścice, Dobre czy Strzeżenice.

Na zakończenie muszę podziękować wszystkim tym, którzy, czytając trzy omówione wyżej opowieści, rozpoznają w przypadkach moich bohaterów własne przeżycia. Wykorzystałam bowiem w opowieściach nie tylko własne wspomnienia, ale także wspomnienia dawnych mieszkańców miejsc, w których rozgrywają się kolejne zdarzenia. Dużo informacji zawdzięczam wspomnieniom mieszkańców Koszalina, Będzina, Sianowa, Mielna czy Mścic opublikowanych w formie elektronicznej lub drukowanej, z których wiele powstało dzięki działalności Stowarzyszenia Przyjaciół Koszalina.

Rozdział pierwszy



1. Złot hipisów



20-tego lipca 1968-mego roku sezon letni w Mielnie był w pełnym rozkwicie. Po nadspodziewanie zimnym i deszczowym przełomie czerwca i lipca zaczęły się wreszcie słoneczne dni. Piasek na plaży wysechł i stał się gorący a woda w morzu temperaturą mogła

zadowolić nawet tych, którzy bali się zimna. Nadmorski las, ciągnący się od ulicy 1 Maja w Mielnie aż do Gąsek, pachniał nagrzanymi sosnami, które dawno już wysypały swój złocisty pył zbierany przez znawców ziół dla celów leczniczych. Z podmokłych łąk, które rozpościerały się równoległe do lasu, zniknęły wczesne żółte i różowe kwiaty i teraz wysokie kwitnące trawy falowały w łagodnym wietrze, upodabniając łąkę do równie łagodnie falującego morza, które czekało na plażowiczów za łąką i za lasem.

Kierujący Posterunkiem Milicji w Mielnie sierżant Czesław Szelc, którego nazywało się komendantem, siedział przy biurku w milicyjnych spodniach i szarej służbowej koszuli i po raz pierwszy naprawdę cieszył się z pomocy, którą podesłano mu z Komendy Powiatowej w Koszalinie. W sezonie letnim, kiedy do Mielna ściągaly tłumy wczasowiczów - nazywanych przez miejscowych stonką - pomoc zawsze była potrzebna, bo spokojna i senna przez trzy pory roku miejscowość z końcem roku szkolnego zamieniała się w nigdy nie zasypiające ludzkie mrowisko. Dokładnie w dniu rozpoczęcia pierwszego turnusu wczasów pracowniczych zapelniały się wszystkie domy Funduszu Wczasów Pracowniczych. Zanim jednak z nadjeżdżających z Koszalina zatłoczonych autobusów wysypały się pierwsze grupy zniecierpliwionych, zmęczonych długą podróżą przyjezdnych, do Mielna z różnych stron kraju ściągali ludzie zatrudniający się w Mielnie na sezon letni. Był to zarówno niewykwalifikowany personel - pomoce kuchenne, kelnerki, sprzątaczk, dozorczy - jak i specjaliści sprowadzani przez zakłady pracy dysponujące własnymi ośrodkami wypoczynkowymi - kierowcy, personel techniczny, kucharki, zaopatrzeniowcy, a więc wszyscy, których zadaniem było zakwaterowanie i nakarmienie zmieniających się co dwa tygodnie turnusów. Najpóźniej od początku czerwca ta forpoczta nadciągającego najazdu „stonki” budziła z zimowego letargu zamknięte na cztery spusty budynki, porządkowała otoczenie, gromadziła zapasy żywności i odnawiała wypracowane w poprzednich sezonach kontakty, które pozwalały dokonywać rzeczy niemożliwych w tak zwanym zaopatrzeniu.

Życie w domach Funduszu Wczasów Pracowniczych było uporządkowane posiłkami, plażowaniem oraz zagospodarowane pomysłami kaowców, tak więc Szelc sądził, że mógłby sam sobie poradzić z utrzymaniem spokoju, współpracując oczywiście z kierownikami domów wczasowych, szefostwem zakładów pracy i z wojskowymi z Unieścia. Gorzej jednak było z niemożliwym do opanowania i rozpoznania towarzystwem, które w dużej ilości zjeżdżało do domków kempingowych oraz pokoiów podnajmowanych przez mieszkańców Mielna – ci bowiem dla sezonowego zarobku oddawali swe pomieszczenia letnikom, a sami tłoczyli się gdziekolwiek. Najgorszą wakacyjną plagą były jednak legalne i nielegalne, małe i

duże, pola namiotowe. Nad wciąż zmieniającym się na nich elementem młodzieżowym jeden funkcjonariusz nie mógł już zapanować, szczególnie dysponując tylko motocyklem z przyczepą zamiast porządnego radiowozu. Jeśli dodać do tego liczne rzesze niedzielnych amatorów plażowania przybywających z Koszalina i otwarte do późnej nocy dwa lokale z danciem, stawało się jasne, że dodatkowy funkcjonariusz to konieczność, nawet jeśli na ogół był to świeżo upieczony absolwent Centrum Wyszkozenia Milicji Obywatelskiej ze Słupska. Świadomość owej konieczności niekoniecznie jednakże była dla komendanta posterunku MO w Mielnie powodem do radości. Młodzi funkcjonariusze rzadko kiedy byli mili i nie zawsze czuli respekt przez mieleńskim komendantem, co przysparzało mu więcej przykrości i kłopotów niż była warta ich pomoc.

Pod koniec lipca 68-go sytuacja przedstawiała się jednak inaczej niż zwykle, i to na tyle inaczej, że obecność jakiegokolwiek pomocnika wydała się komendantowi Szelcowi wybawieniem. Myślał nawet o tym, czy nie poprosić przełożonych o przysłanie jeszcze jednego funkcjonariusza, aby wspomógł obecną dwójkę, ale wiedział, że szansa spełnienia jego prośby jest zerowa. Problem komendanta polegał na tym, że od kilku dni w Mielnie zaczęły pojawiać się kilkusobowe grupy długowłosych i dziwnie ubranych młodzieńców, którym towarzyszyły równie dziwacznie wyglądające dziewczyny. Szelc domyślił się oczywiście, że są to grupy młodzieży, która nazywała się hipisami. Widział polskich hipisów w Koszalinie, bo także młodych ludzi z Koszalina dopadło szaleństwo strojenia się w pstrokaciznę, noszenia obcisłych spodni, długich kolorowych spódnic i dużej ilości koralików ozdabiających szyję niezależnie od płci jej właściciela. Słyszał o ich nietypowych upodobaniach i wybrykach, ale, jak większość dorosłych, miał to wszystko za pomysły bananowej młodzieży, której z powodu braku poważnych problemów i nadopiekuńczości rodziców przewróciło się w głowach. Tymczasem w przeciągu kilku ostatnich dni Mielno zaroilo się od ekstrawagancko wyglądających i wyzywająco zachowujących się młodych ludzi. Szelc ocenił, że jest ich około setki, a następni wciąż przyjeżdżali wszelkimi dostępnymi środkami transportu. Przybywali nawet pieszo. Rozbijali namioty, rozkładali swoje marne wyposażenie i zalegali jak szarańcza głównie w parku przy ulicy 1 Maja. Przyciągali oczywiście uwagę wszystkich: starszych i dzieci, miejscowych i przyjezdnych, spokojnych i rozrabiaków. Co bardziej ciekawscy z nich zgromadzili się tłumnie w okolicy parku i wytrwale obserwowali obozowisko hipisów, które najlepiej było widać z położonego powyżej parku placu, na którym stał poniemiecki ładny budynek kawiarni Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy. Przechodzący obok nielegalnego zgromadzenia spokojni

ludzie nie wiedzieli, czym się bardziej oburzać – ekstrawaganckim zachowaniem hipisów, króciutkimi spódniczkami dziewczyn defilujących w swoich mini czy wyzywającą golizną plażowiczek paradyjących w bikini nie tylko po plaży, ale także w jej pobliżu. Młodym ludziom oraz niektórym starszym panom podobał się natomiast zarówno luz i higieniczne niedbalstwo hipisów, jak i modne seksowne małe spódniczki czy kolorowe krótkie sukieneczki, ukazujące zgrabne opalone nogi dziewcząt. Ich wzrok przyciągały twarzowe opaski zdobiące krótko przystryżone włosy i „końskie ogony” zbierające burzę włosów długich, uśmiechnięte lub tajemniczo zamyślane twarze za ogromnymi przeciwsłonecznymi okularami, ale najbardziej skąpe stroje plażowe odsłaniające wszystko co najpiękniejsze w kobiecej sylwetce.

- Cholera jasna – pomyślał Szelc. – Tylko mi hipisów brakowało. Mamy do czynienia z podwójnym nielegalnym zgromadzeniem i nie wiadomo czym się to może skończyć. Porządek publiczny jest zagrożony. Trzeba zawiadomić Koszalin i poprosić o dokładne informacje i instrukcje. Przełożeni powinni wiedzieć co się tu szykuje. Może już coś wiedzą. Może powiedzą co za typy z tych hipisów i czego się można po nich spodziewać. Przecież mają odpowiednie służby. Muszą nam pomóc. Nie wiem nawet jak reagować, jakie wydać polecenia.

Czesław Szelc podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił numer i połączył się z zastępcą komendanta wojewódzkiego MO ds. bezpieczeństwa Antonim Szczypiorem. Ten jakby tylko czekał na telefon. Nie dał Szelcowi dojść do głosu, lecz bez żadnych wstępów oznajmił, że Koszalin już wie o nietypowym wzmożonym ruchu tak zwanych „hippies” przybyłych i zmierzających do Mielnia i zamierza wydać podległym sobie funkcjonariuszom odpowiednie rozkazy.

- Wysyłamy po was samochód. Przyjeżdżajcie natychmiast – zarządził.

Komendant Szelc polecił oddelegowanemu w tym roku do pomocy w Mielnie i okolicach funkcjonariuszowi, szeregowemu Michałowi Sikorze, aby udał się natychmiast służbowym motocyklem na patrol i obserwował park oraz sąsiadujące z nim ulice. W razie rozruchów miał powiadomić jego i tym samym Koszalin, a doraźnie poprosić o pomoc dowódcę Jednostki Wojskowej w Unieściu. Sam odświeżył się, uporządkował swoje umundurowanie i niecierpliwie czekał na podesłany z Koszalina samochód z kierowcą. Sprawa musiała być bardzo pilna a sytuacja niebezpieczna, skoro zwierzchnik zdecydował się wysłać do Mielnia służbowe auto.

Odprawa odbywała się dużej sali Komendy Wojewódzkiej MO w Koszalinie przy ulicy Krakusa i Wandy. Uczestników było wielu, bo zaalarmowano wszystkie posterunki w regionie. Sierżant Czesław Szelc przybył jako jeden z ostatnich. Wszedł dyskretnie do zadymionej sali i usiadł przy otwartym oknie. Nie palił papierosów i źle znosił ich dym, a prawie wszyscy obecni na odprawę zawzięcie kopcili. Szelc, wzorem kolegów, rozpiął guziki munduru i położył na kolanach czapkę, bo gorąco w sali było większe niż na zewnątrz. Na początku niewiele słyszał. Rozpoczynający odprawę przełożeni mówili coś dobitnie kategorycznym tonem, ale on nie mógł się skupić na przemówieniach. Przyglądał się zgromadzonym funkcjonariuszom i kiwał głową tym, których znał. Pot łał się z niego strumieniami, więc wycierał twarz dużą bawełnianą chustką. Pogoda dopisywała, ale ze słońca cieszyli się wczasowicze, a nie służby mundurowe. Po jakimś czasie ochłonał, uspokoił się i dopiero wówczas zaczął słuchać przemawiających. Głos zabrał nieznany mu wywiadowca, którego zastępca komendanta Komendy Wojewódzkiej MO przedstawił jako porucznika Mirosława Trzeciaka z Warszawy. Zgodnie z zapowiedzią porucznik miał zaprezentować zebrany wniosek z działań operacyjnych w sprawie ruchu młodzieżowego zwanego „hippies” i określić zadania funkcjonariuszy MO wspomagające pracę operacyjną służby bezpieczeństwa.

- Towarzysze! Mamy do czynienia z młodzieżą pozornie bezideową, moralnie zepsutą, która bezkrytycznie uległa wpływom amerykańskich nihilistycznych idei głoszonych przez ruch hipisowski na Zachodzie, a właściwie przez kierujących tym ruchem pseudolewicowych przywódców – zaczął porucznik językiem typowym dla partyjnych mówców, ale szybko przeszedł do konkretów kontynuując:

– Nasi informatorzy ostrzegali nas, że polscy hipisi planują tak zwany zlot, ale ci hipisi zgłosili odpowiednim władzom plan zorganizowania zlotu dopiero w czerwcu i trudno było uwierzyć, że zorganizują się w tak krótkim czasie i w takiej liczbie. Oni na ogół działają chaotycznie i nawet dokładnie nie wiadomo, kto aktualnie jest hipisem, a kto już nim nie jest. Właściwie sami nie wiedzą o co im chodzi. Wykrzykują hasła, żądają we wszystkim wolności, mają idiotyczne pseudonimy, słuchają zachodniej muzyki, noszą długie włosy, dżinsy, kolorowe koszule, sporo piją i niestety zażywają też odurzające substancje, o których powiem więcej za chwilę, bo w tym zakresie musicie towarzysze zachować szczególną czujność. Najważniejsze, że większość z tych nieopierzonych młokosów nie angażuje się w politykę. Jednak niektórzy z nich brali udział w nieodpowiedzialnych wystąpieniach studentów w marcu tego roku. Byli to studenci z Warszawy i Krakowa. Nie ma wątpliwości,

że popierali rozruchy i siali zamieszanie. Jest też potwierdzony udział syjonistów w ruchu hipisowskim. Przyznajcie towarzysze, że takie coś jak hipisi, to tylko Żydzi mogli wymyślić.

Mówiący przerwał, otarł z czoła pot i sięgnął po stojącą przed nim szklankę z wodą. Sala jakby przełknęła wodę razem z nim, bo zebranim na sali funkcjonariuszom nie podano żadnych napojów.

- Wiemy wszyscy po wydarzeniach marcowych w Warszawie – kontynuował porucznik Trzeciak - jak niebezpieczne są działania niedoświadczonej politycznie młodzieży i intelektualistów spod znaku rewizjonizmu. Długowłosi kudłacze pozornie stronią od polityki. Głoszą pacyfizm, ale naprawdę są groźnymi dla porządku publicznego anarchistami. Oczywiście większość, tak jak mówiłem, woli słuchać zespołów bigbitowych, rockowych i czort wie jeszcze jakich. Otumaniają się ich wrzaskami i wpadają w płasy, które bardziej niż taniec przypominają drgawki. Pamiętacie towarzysze, co się działo na koncertach brytyjskiej grupy Animalsów w listopadzie 65-tym, a rok temu w Pałacu Kultury, kiedy przyjechali Rolling Stonsi. Wiecie, jak śpiewa Niemen. Jak wygląda zespół Breakout i ten ich główny grajek Tadeusz Nalepa. Hipisi takich zespołów właśnie słuchają i dlatego zachowują się jakby ciągle byli oszołomieni muzyką i cholera wie czym jeszcze. Ale ich zgromadzenie w Mielnie jest powiedzmy że legalne. W każdej chwili może jednak zostać wykorzystane politycznie, bo ich prowodyrzy są politycznie niepewni, a nawet groźni.

Nastąpiła kolejna przerwa, w czasie której porucznik SB z Warszawy wypił na oczach spragnionych funkcjonariuszy resztę wody ze swojej szklanki i znów przemówił:

- Prowodyrami my się zajmiemy i będziemy pod tym względem zabezpieczać ten ich tak zwany zlot. Wy macie tylko pilnować, aby porządek publiczny nie został zakłócony. Musicie jednak wiedzieć, towarzysze milicjanci, na co możecie sobie pozwolić. Przede wszystkim nie prowokować. Są wśród nich nieletni, którzy prawdopodobnie oddalili się z domu bez wiedzy rodziców. Tych należy zatrzymywać, wylegitymować i zagrozić powiadomieniem rodziców. Ale uwaga! Działać spokojnie, bez przemocy. Jeszcze raz przypominam - nie prowokować! Wszyscy oni wyglądają jak przebierańcy, ale to nas i was nie interesuje. Były jednak stwierdzone przypadki łażenia na golasa. Golasów trzeba wyłapać i zamknąć na czterdzieści osiem godzin. Aresztować też należy pijanych, którzy za bardzo rozrabiają oraz tych, którzy zakłócają ciszę nocną. Wszystkich spisywać. Spisać macie jak najwięcej osób a listy przekazać przełożonym. Najtrudniej będzie wam rozpoznać odurzonych substancjami. Oni

wszyscy zażywają fenmetrazynę albo parkopan. Małolaty wdychają opary tri, tróchloroetyleny, czyli po prostu oszołamiają się rozpuszczalnikami, które są łatwo dostępne. Fenmetrazyną leczy się grubasów, bo hamuje łaknienie. Parkopanem leczy się chorobę Parkinsona. Oba leki można kupić w aptece tylko na receptę, ale młodzi wyłudniają recepty od lekarzy, wykradają rodzicom lekarzom, przerabiają stare recepty, a nawet robią fałszywki. To samo dzieje się z morfiną. Ujawniliśmy też przypadki przywożenia substancji odurzających z zagranicy. Hipisi z Zachodu, tacy niby turyści, przywożą tabletki LSD, marihuanę i opium. Handlują też takimi świństwami marynarze. Przypadki te są jednak rzadkie i nie musicie się nimi interesować. Macie reagować tylko w przypadku ewidentnego zatrucia albo objawów psychozy. Wezwać karetkę, powiadomić rodziców i oczywiście nas. Resztą my się zajmiemy. My także zajmiemy się prowodyrami. Was oni nie obchodzą dopóty, dopóki nie łamią przepisów. Jest taki jeden, uważany za mistrza. Nazywa się Józef Pyrz. Kompletny czubek, a do tego kaleka. Wodzi wśród nich rej. Z pewnością przyjedzie do Mielna, a może już tam jest. Mówią na niego Prorok, bo ma bzika na punkcie religii. Niby artysta i filozof. Nawet studiował filozofię na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, gdzie aż się roi od wariatów, ale już wyleciał. Teraz ma się za nauczyciela młodzieży i ci gówniarze naprawdę słuchają jego bredni, naśladują go i uważają za najprawdziwszego hipisa w Polsce. Głosi przewagę ducha nad marnością materii, namawia do poszukiwania wewnętrznego spokoju. Przeczytałem towarzyszom fragment napisanego przez Pyrza manifestu, żebyście zorientowali się o co mu z grubsza chodzi.

Porucznik wyjął pojedynczą kartkę ze skórzanej aktówki i zaczął głośno czytać :

- Należy zwątpić we wszystkie prawdy natury intelektualnej, roszczące sobie prawa prawdy absolutnych; zwątpić w czas i przestrzeń jako atrybuty naszego życia.

Sala wybuchła śmiechem. Porucznik spokojnie przeczekał napad wesołości i kontynuował:

- Trzeba mieć świadomość, że jest się jak gnój...

Znów musiał przerwać, bo sala szalała ze śmiechu. Podniósł głos i powtórzył:

- Jest się jak gnój, na którym jednak mogą wyrosnąć kwiaty – śmiech wybuchł na nowo, a porucznik zapatrzył się w kartkę nie rozumiejąc, co dalej na niej jest napisane. Kiedy na Sali zapadła wreszcie cisza przerywana jedynie głośnymi sapnięciami, dokończył czytanie:

- Wyjść z narodu, który rości sobie prawa do ciebie z powodu języka, krwi, rasy i granic, wyjść z państwa, które chce z ciebie zrobić mięso armatnie, nabój do kuli.

- To jednak są buntownicy, szerzą anarchię – padł głos z sali. – Są niebezpieczni i zdemoralizowani.

- O tym my decydujemy, wy macie pilnować porządku - odpowiedział porucznik. – Wiecie, co macie robić. I o wszystkim meldować przełożonym.

2. Alert



Sierżant Czesław Szelc wrócił do Mielna nieoznakowanym samochodem służbowym razem z nieznanymi mu funkcjonariuszami ubranymi po cywilnemu. Nie rozmawiali z nim po drodze, więc i on o nic nie pytał. Podrzucili go na posterunek MO przy ulicy Kościelnej, skomentowali ze śmiechem bliskie sąsiedztwo kościoła i odjechali.

- Łatwo im się śmiać – pomyślał komendant, z przyjemnością wdychając mieleńskie powietrze pachnące świeżo skoszoną trawą i morską bryzą. – Ciekawe jak oni sobie radzą z takimi twardzielami jak nasz proboszcz ksiądz Bieliński. No ale oni już z pewnością mają swoje metody. Każdego mogą złamać. Najważniejsze, że my mamy tylko pilnować porządku i nic więcej. Reszta mnie nie odchodzi. Żadnej polityki, a poza tym niech się dzieje co chce.

Ksiądz Stanisław Bieliński rządził mieleńską parafią od kilku lat. Był potężnie zbudowanym i nie znośącym sprzeciwu mężczyzną, którego parafianie – mieszkańcy Mielna, Unieścia, Mielenka, Dobiesławca, Dobrego, Gniazdowa, Kazimierza, Łekna, Podamirowa i Strzeżenic – albo kochali, albo nie cierpieli, ale którego szanowali i słuchali. Czesław Szelc też go szanował, choć miał w nim zagorzałego przeciwnika, bo ksiądz Bieliński widział w komendancie tylko i wyłącznie przedstawiciela władzy - którym Szelc istotnie był - a nie także człowieka uwikłanego przez los w milicyjną służbę. Z perspektywy mieleńskiego milicjanta sprawa wzajemnych relacji wyglądała na bardziej złożoną. Szelc nie raz i nie dwa nie dopełnił obowiązku informowania zwierzchników o postępowaniu księdza, o

jego coniedzielnich wywodach w głoszonych kazaniach, kiedy to wykrzykiwał ostre zdania o bezbożności i hipokryzji mieleńskich partyjniaków, którzy albo uprzykrzają życie wiernym, albo siedzą cicho i po kryjomu chrzczą dzieci w innych parafiach, o nękanii go przez służbę bezpieczeństwa i nasyłaniu na niego księży „patriotów”.

- Ksiądz Bieliński – myślał Szelc, zdejmując górę munduru i oddychając głęboko - nie boi się nikogo. Nawet władz kościelnych. To urodzony wojownik. Ciekawe co myśli o hipisach – uśmiechnął się w duchu.

- Co słyszeć? – zapytał komendant pogodnym głosem szeregowego Michała Sikorę, kiedy ten wrócił z patrolu. Po odprawie w Komendzie Wojewódzkiej MO w Koszalinie był w dobrym nastroju. Kiedy wszedł Sikora siedział za swoim biurkiem i z przyjemnością pił zimny domowy kompot z rabarbaru. Stopy w skarpetkach, uwolnione wcześniej z butów, szybko schował pod biurko.

Michał Sikora, młody przystojny funkcjonariusz MO, zdjął czapkę, rozpiął bluzę letniego munduru, przygładził zmierzwione krótkie blond włosy i klapnął na krzesło naprzeciw komendanta.

- Ach ci młodzi! Nie znają żadnej dyscypliny. Rozwalił się na krzesło, jakby był u mamusi – pomyślał Szelc, ale nadal uśmiechał się do podwładnego, bo nie na rękę mu były jakiegokolwiek komplikacje z podwładnym w sytuacji wymagającej wspólnego działania i lojalności.

- Panie komendancie! – relacjonował tymczasem dziwnie zadowolony Sikora. – Hipisów jest już grubo ponad setka. Rozleźli się po Mielnie i Unieściu, ale większość została w parku. Nie widać dobrze co oni tam wyprawiają, bo wokół stoi dużo gapiów, ale wydaje się, że są dość spokojni. Jedni siedzą na trawie, grają na gitarach, podśpiewują, gadają, palą papierosy i popijają alkohol, śmieją się i coś wykrzykują. Drudzy, jak mówiłem, łążą tu i tam w grupach, trochę hałasują i tyle. Pozostali koczują na plaży, kąpią się i też hałasują. Wyglądają jakoś tak nietypowo i wszystkie dzieci na plaży się na nich gapią. Dorośli zresztą też, bo jest tam sporo ładnych panienek. Młodziutkie, chudziutkie, wesolutkie i kolorowe aż miło popatrzeć.

- Aaa..., to dlatego jesteście tacy zadowoleni – zaśmiał się komendant. - Też sobie popatrzyliście I co? Któraś hipiska na was chociaż spojrzała?

- One wszystkie są miłe i uśmiechają się. Do mnie też się uśmiechały, a niektóre nawet machały do mnie ręką. Ale, panie komendancie, niech pan do mnie mówi Michał, to znaczy na ty.

- W porządku – zgodził się natychmiast Szelc, który nie lubił ceregieli. – Tylko żebyś się nie spoufalał, bo to ja tu wydaję rozkazy.

- Tak jest panie komendancie! – wykrzyknął Sikora, wstał i nalał do blaszanego kubka zimnej wody z kranu.

- Cholera! – kolejny raz zaklął w duchu Szelc. - Tu jest kran, a my musimy nosić wodę ze studni.

Do domu, który zajmował komendant wraz z żoną i dwiema małymi córkami, wodę trzeba było nosić z podwórza, na którym znajdowała się kryta studnia z żelazną pompą. Mielno, położone na wąskim pasie piaszczystej mierzei pomiędzy morzem a jeziorem Jamno, nadal nie miało wodociągu i kanalizacji. Do okazalszych budynków woda była doprowadzona z nielicznych głębinowych studni, bo tylko studnie głębinowe nie podchodziły słoną wodą. Ale miejsce, gdzie można je było wywiercić było w Mielnie i Unieście jak na lekarstwo. Niektórzy mieszkańcy mieli pompy w kuchni - długie wajchy, którymi trzeba było energicznie poruszać, aby niezbyt czysta woda z płytkich studni dotarła do domu. Ale już zaopatrywanie w wodę ośrodków wczasowych stanowiło wielkie wyzwanie. Woda z mulistego i przymorskiego jeziora Jamno nie nadawała się do celów spożywczych. Jedynym rozwiązaniem problemu zaopatrzenia Mielna i Unieścia w wodę pozostawało wybudowanie wodociągu zaczynającego się w odległej wsi Mostowo, przez którą szło kilka wodnych cieków. Na tę inwestycję lokalne władze nie miały niestety pieniędzy.

Szelcowi żal było przede wszystkim swojej żony Haliny. To ona zajmowała się domem i dziećmi, więc to ona, krucha istota, dźwigała ciężkie wiadra, podczas gdy on był na służbie prawie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie skarżyła się, ale wiedział, że nie jest jej łatwo.

- Panie komendancie – Michał Sikora odstawił pustą szklankę, wytarł usta rękawem i zagadnął przełożonego, wyrywając go z zamyślenia. – Czy mogę iść do „Mewy”? Sprawdzę co tam się dzieje, a przy okazji coś zjem. Jestem głodny jak wilk.

- Idź. Ja wezmę motor i zrobię patrol – odpowiedział komendant.

Szelc miał zamiar wpaść do domu i też zjeść obiad, który zawsze tam na niego czekał, a przy okazji nanieść żonie wody do kuchni. Krótkie chwile spędzane w ciągu dnia w domu przywracały mu poczucie normalności. Dziewczynki biegły do niego z radosnymi okrzykami, gdy tylko usłyszały warkot motoru wjeżdżającego na podwórze. Żona całowała go w policzek, uśmiechała się i bez zbędnych pytań podawała jedzenie, gdy tylko zdjął górę munduru i umył się w metalowej misce stojącej na taborecie w kuchni.

- Hipisi zjechali do Mielna – powiedział do żony przełykając pierwszy kęs mielonego kotleta podanego z młodymi ziemniakami grubo posypanymi posiekanym koprem i z mizerią.

– Będą kłopoty – dodał po chwili.

- Zawsze są kłopoty – rozsądnie odpowiedziała Halina.

- Kobieto! - wykrzyknął i prawie udławił się jedzeniem. – Nie wiesz nawet ilu ich jest! Ponad setka. Możesz wziąć dziewczynki na spacer. Niech zobaczą. Oni koczują w parku przy 1-go Maja – powiedział już spokojniej.

Czesław i Halina Szelcowie z córkami mieszkali przy drodze prowadzącej od Mielna do Strzeżenic i dalej do Mścic, gdzie, skręcając w lewo, wyjeżdżało się na drogę krajową prowadzącą prosto do Koszalina. Dom był nieduży, ale wystarczająco obszerny i wygodny jak na potrzeby ich czteroosobowej rodziny. Na tyłach domu mieli duże podwórze i kilka komórek, w których trzymali opał, narzędzia i wiele innych nagromadzonych rzeczy, które zawsze mogły się przecieżyć przydać. W największej komórce Halina hodowała kilka kur, a za komórkami uprawiała warzywa. Od strony ulicy był ogród kwiatowy. Szelc podziwiał żonę za jej pracowitość i zaradność.

Ich dom był ostatnim budynkiem Mielna. Bliżej, po lewej stronie ulicy, stały zabudowania szkoły podstawowej, a po prawej znajdowała się mieleńska stacja kolejowa zbudowana jeszcze za Niemca. Dalej za domem Szelców stał już tylko stary drewniany i dawno już nieczynny wiatrak. Szelcom odpowiadało to trochę odosobnione miejsce. Milicjant ze swą rodziną nie mógł w pełni asymilować się ze społecznością, w której pilnował porządku. W podobnej sytuacji był chyba tylko jeszcze jeden mieszkaniec Mielna, a mianowicie ksiądz Bieliński. Obaj byli na cenzurowanym.

- Może pójde – zastanawiała się głośno Halina.

- Dokąd? – zdziwił się Czesław Szelc, bo zapomniał już co wcześniej powiedział.

- No jak to dokąd? Zobaczyć hipisów. Ale czy to odpowiedni widok dla dziewczynek? Nie słyszałam o hipisach nic dobrego. Podobno to zdemoralizowani młodzi ludzie – nadal wahała się Halina.

Czesław wiedział jednak, że Halina z pewnością pójdzie do mieleńskiego parku, ponieważ bardzo intrygowały ją wszelkie niezwykłe zdarzenia.

- Pięknie wyglądasz – powiedział nie na temat, chcąc zobaczyć jej uśmiech.

- Zawsze tak mówisz - trzepnęła go ścierką do naczyń, bo właśnie wycierała szklanki, ale uśmiechnęła się tak jak chciał, wesoło i szczerze.

- Bo dla mnie zawsze pięknie wyglądasz – odpowiedział klepiąc ją delikatnie po policzku. – A co do hipisów, to niech się dzieci uczą życia. Muszę już jechać. Zabiorę psa.

Ubrał się ponownie w mundur, założył pas z bronią i pałą, a potem wyszedł z domu na podwórze i skręcił za boczną ocienioną ścianą domu, gdzie w obszernej drucianej klatce mieszkał Wilk. Tak wabił się jego najlepszy pomocnik, przeszkolony owczarek niemiecki, którego bali się wszyscy poza domownikami. Wilk na jego widok zaczął szaleć z radości. Ten pies niejednokrotnie uratował Szelcowi skórę, bo usadzał na miejscu najbardziej rozzuchwalonych cwaniaków i pijaków. Był skuteczniejszy i szybszy od motoru i milicyjnej pałki. Po broń palną Szelc starał się w ogóle nie sięgać.

- Wilk, spokój – powiedział do psa. - Przejedziemy się po Mielnie. Unieścia niech pilnuje wojsko – mruknął do siebie.

Pies, zadowolony że wreszcie może opuścić klatkę, szybko wskoczył do motocyklowej przyczepy i ruszyli. Jechali wolno na niskim biegu. Komendant obserwował uważnie okolicę. Z pobliskiej stacji kolejowej właśnie wychodziła grupa kolorowo wystrojonych młodych ludzi. Nie wiadomo co do tej pory robili na stacji - minęła czternasta a pociąg przyjeżdżał o dziesiątej. Szelc zatrzymał motor przed szkołą i czekał na to, co będzie się działo. Wesoła gromadka przeszła na jego stronę ulicy i wkrótce otoczyła motocykl. Szelc krótko trzymał smycz psa.

- Waruj - rzucił do Wilka przez zaciśnięte wargi.

– Nie głaskać psa! – ostro zwrócił się do długowłosej, wysokiej i szczupłej blondynki, która uśmiechając się nie wiadomo do kogo, trochę nieprzytomnie, wyciągnęła dłoń w stronę Wilka. Była ubrana w obcisłe spodnie w różowo-szare paski i kwiecistą bluzkę rozpiętą

prawie do piersi, na których leżało kilka sznurów koralików. Takimi samymi koralikami owinęła sobie rękę. Tę wyciągniętą w stronę psa. Na gołych zakurzonych stopach nosiła sandały. Wśród przybrudzonych młodzieńców z przetłuszczonymi długimi włosami podtrzymywanymi przez opaski i kilku mniej rzucających się w oczy dziewczyn wyglądała prawie elegancko. Dziewczyna cofnęła rękę i poszła dalej, jakby komendanta na motorze i psa w przyczepce w ogóle nie było. Pozostali także ominęli motor jak lunatycy. Komendant patrzył na oddalającą się grupę hipisów uspokojony. Nie wiedzieć dlaczego poczuł do nich sympatię. Nie budzili strachu, a raczej litość, bo wyglądali na całkowicie oderwanych od rzeczywistości. Beztroskich i wyobcowanych jednocześnie.

- Wystarczy jednego odłączyć od reszty a straci pewność siebie i będzie czuł się zagubiony w zderzeniu z twardymi realiami – pomyślał milicjant patrząc na plecy ostatniego młodzieńca, który z trudem nadążał za resztą i którego biedne w gruncie rzeczy ubranie dawno straciło pierwotne barwy.

Postanowił zajrzeć na stację kolejową, porozglądać się i porozmawiać z dyżurnym ruchu Bronisławem Chłopińskim, który ze swą liczną rodziną zajmował piętro stacyjnego budynku.

- Czołem panie komendancie – zawołał na jego widok Chłopiński, który od dłuższego czasu stał przy wjeździe na plac przy dworcu i przyglądał się odchodzącym hipisom, a więc także i mieleńskiemu milicjantowi.

- Cześć Bronek – odpowiedział Szelc, który z Chłopińskim, tak jak i z wieloma innymi mieszkańcami Mielna, był na ty. – Co oni tak długo u ciebie robili? Częstowałaś ich herbatą? – zażartował.

- Oni chyba nie piją herbaty tylko mocniejsze napoje – szybko zreflektował się kolejarz. – Niezła tu była rozróżba. Mogłeś przyjechać wcześniej, to byś zobaczył. Wyskoczyła ta cała czereda z pociągu, a konduktor za nimi. Wrzeszczał, że wezwie milicję, że mają podać swoje nazwiska i adresy, bo zamierza wystawić im mandaty za jazdę na gapę. Cyrk na kółkach. Konduktor czepiał się ich za to, że kupili tylko jeden bilet, a było ich z dziesięcioro. Był wściekły. Użerał się z nimi całą drogę, a oni robili sobie z niego niezłe jaja. Powiedzieli, że w ogóle nie mają pieniędzy, że autostopem nikt ich z Koszalina nie chciał zabrać, to złapali sobie stopa na kolei. Nie chcą doprowadzić do bankructwa PKP, więc zakupili jeden bilet. Jeden z nich wciąż wymachiwał tym biletem a pozostali śmiali się i żartowali. Potem zaczęli ściskać konduktora i proponować mu piwo. Proponowali mu też, żeby się odprężył i dołączył do nich, więc konduktor w końcu machnął na nich ręką i wskoczył do pociągu, który właśnie

odjeżdżał z powrotem do Koszalina. Ja wróciłem do roboty. Oni rozsiedli się na trawie. Coś jedli, coś pili. Niektórzy nawet spali na słońcu. A teraz, jak widziałeś, poszli sobie.

- Upili się? – dopytywał komendant.

- Chyba nie. Popijali z butelek wino i piwo. Wiesz, tak ciągnęli kolejno z gwinta. Jeden trochę był zmarnowany. Może zmęczony.

- Dobra, cześć – zakończył rozmowę Szelc, zawrócił motocykl i wyjechał z placu kolejowego na ulice Lechitów. Spojrzał w przelocie na bar „Mewa” odwiedzany chętnie przez miejscowych pijaczków – było spokojnie i pustawo. Minął skrzyżowanie z ulicą Kościelną i pojechał wolno w stronę parku.

Ulica 1-go Maja była zatłoczona. Na szczęście większość pieszych szła chodnikiem, a ci, którzy poruszali się jezdnią, pośpiesznie ustępowali z drogi. Zaparkował motor przy wejściu do parku. Park był chlubą Mielna. Klomby obsadzano kwiatami. Ścieżki pielono a ławki każdej wiosny malowano na biało. Stały one półkoliście przed małą muszlą koncertową, w której czasami grały muzyczne zespoły. Największą atrakcją parku był jednak metalowy posąg jelenia naturalnej wielkości z pięknym rozłożystym porożem, które niestety nazbyt często padało łupem złodziei. Teraz park przypominał wesołe miasteczko, albo cygański obóz. Młodzi ludzie, przyjmując nieco zbyt swobodne jak na miejsce publiczne pozy, siedzieli lub leżeli, tworząc zwartą grupę. Na widok milicjanta z psem leniwie odsuwali nogi, żeby zrobić przejście. Uśmiechali się przy tym przyjaźnie, próbowali pogłaskać Wilka, albo w ogóle nie zwracali uwagi na przechodzących. Ponieważ młodzi ludzie nie rozłożyli się na ukwieconych klombach, a jedynie na ławkach i na trawnie, komendant uznał, że nie musi na razie interweniować. Nie wyobrażał sobie nawet, jaki przebieg miałaby interwencja skierowana przeciwko tym dziwnym osobnikom, których reakcji nie był w stanie przewidzieć.

Szedł między nimi jak między istotami z innej planety. Wilk opadł nisko, poruszał się na ugiętych łapach tuż przy jego nodze. Szelc jeszcze w domu założył mu kaganiec i teraz pies łypał niepewnie znad niego na lewo i prawo. Tak samo jak jego pan. Doszli do muszli koncertowej, mijając posąg jelenia, na który Szelc uważnie popatrzył, stwierdzając znów z ulgą, że nie jest uszkodzony. Na scenie stało kilku chłopaków i dwie dziewczyny. Brzdąkali na gitarach, wybijali monotonny rytm na bębenkach, podzwaniaли tamburynami, kołysali się miarowo a ludzie pod sceną naśladowali ich ruchy.

- Prosimy do nas! – zawołał niewysoki młodzieniec grający na małym bębenu o dziwnym kształcie. Rozległ się śmiech, który przeszedł w cichy pomruk zdziwienia, gdy Szelc z Wilkiem zniknęli za muszlą i po chwili pojawili się z tyłu sceny. Na scenie zapanowała cisza, ale po sekundzie wahania młodzi ludzie znów zagrali, rozstępując się i przepuszczając do przodu milicjanta. Zapanowała ogólna wesołość i rozległy się brawa. Wilk zaszczekał zdenerwowany. Szelc uspokoił go i uniósł rękę, prosząc o ciszę. Pies usiadł i spuścił łeb.

- My tu pilnujemy porządku - mocnym głosem zaczął komendant i natychmiast rozległy się gwizdy a Wilk rozszczekał się na dobre. – My tu pilnujemy porządku – powtórzył Szelc, starając się przekrzyczeć hałas. – Jeśli będziecie zachowywać się grzecznie, to zostawimy was w spokoju.

Gwizdy pomieszały się z brawami i śmiechem, a Szelc odwrócił się, przeszedł pomiędzy stojącymi na scenie i ruszył pomiędzy zgromadzonym tłumem w drogę powrotną, Nikt ich nie zaczepił.

- Ładni młodzi ludzie – pomyślał, zapuszczając silnik i wsiadając na siodełko motoru. – Szkoda, że trochę niechlujni. A ta blondynka, która wcześniej chciała pogłaskać Wilka też była na scenie. Tańczyła. Ładnie się porusza. Zgrabna figura, długie włosy i buzia aniołka. Taka to wszystkim się podoba. Michał zdąży się w niej zakochać, zanim hipisi wyniosą się z Mielna – zaśmiał się sam do siebie.

Kiedy wrócili z Wilkiem na posterunek MO w Mielnie zastali tam posterunkowego Michała Sikorę, który niestety nie był tam sam. Posterunkowy stał w pozycji na baczność na środku pomieszczenia, twarzą zwrócony do biurka swego przełożonego. Za biurkiem siedział jeden z wywiadowców, z którymi Szelc wracał z Koszalina. Siedzący nie wstał na widok wchodzącego komendanta, a nawet na niego nie spojrzał. Patrzył na Wilka, który złowrogo zawarczał.

-Cicho! Siad! – uspokoił psa komendant i miał zamiar zameldować się, jak przypuszczał, oficerowi, ten jednak nie dopuścił go do głosu.

- Co wy wyrabiacie! – wrzasnął.

Wilk warknął ostrzegawczo, Szelc szarpnął za smycz, a posterunkowy Sikora najpierw drgnął, a potem odwrócił głowę w stronę przełożonego i dyskretnie uśmiechnął się do niego. Wyglądało na to, że już wie o co chodzi.

- Co wy wyrabiacie! - powtórzył domniemany oficer. – Włazicie na scenę i bratacie się z tłumem młokosów! „Ja tu rządę”, „Ja tu rządę” – ironizował, przedrzeźniając niedawną wypowiedź Szelca na scenie muszli koncertowej.

- Towarzyszu oficerze – zareagował Szelc. – Ja coś innego mówiłem. Powiedziałem „my tu pilnujemy porządku”, a miałem na myśli nas, czyli milicjantów z Mielna. Zgodnie z tym co rozkazali na odprawie. Chciałem uspokoić młodzież i ostrzec ją jednocześnie, że nie dopuścimy do żadnej rozróby.

- Macie pilnować porządku, ale macie też trzymać się od nich z daleka, dopóki nic się nie dzieje! – pieklił się funkcjonariusz. - Nie było rozkazu bratania się z gówniarzami. To my mamy wśród nich naszych ludzi. Wam nic do tego!

- Tak jest! – wykrzyknął komendant i już spokojnym głosem zapytał:

– Jakież rozkazy?

- Zróbcie mi kawę. Tylko mocną - odrzekł oficer. – Aaa... I jutro patrzcie czy dużo tych łachmaniarzy przyjdzie na niedzielną mszę. Paradują z krzyżami na piersiach. Tych, którzy przyjdą, wylegitymować i spisać. Klechę Bielińskim my się zajmujemy. Ciekawe co on do nich jutro powie na kazaniu. Mogliby go wygwizdać – roześmiał się hałaśliwie.

Mieleńscy milicjanci odetchnęli po funkcjonariusza SB. Przez okno dyskretnie obserwowali, dokąd się udaje.

- Chyba poszedł na plebanie – stwierdził Michał Sikora.

- Zbieraj się! – ostro rzucił komendant. – Teraz ty jedziesz na patrol. Pies zostaje ze mną – dodał, widząc, że posterunkowy patrzy na Wilka. – Ciebie nie będzie słuchał. Ty! Tylko się nie zakochaj! – rzucił za wychodzącym chłopakiem.

3. Długowłosa



Joanna Woźniak dołączyła do tej grupy znajomych hipisów jadących do Mielna, w której jechał także Prorok. Podziwiała wiedzę Proroka i jego sposób bycia. Uznawano go w Warszawie za wzór do naśladowania. Była więc pewna, że na zlocie to właśnie on będzie w centrum zainteresowania wszystkich uczestników, a ona trzymając się blisko lidera tylko na tym zyska. Znali się z Prorokiem bliżej dopiero od miesiąca, ale była pewna, że mu się podoba. Nie była w nim zakochana i nie zamierzała z nim flirtować, ale chciała pokazywać się z nim jak najczęściej, bo lubiła, gdy na nią patrzono. Była szczupła, piękna i umiała się stylowo ubierać. Kwitła pod pełnymi podziwu spojrzeniami ludzi.

Od niedawna była warszawianką. Ona i rodzice mieszkali teraz w stolicy. Rodzicom, zaangażowanym w pracę partyjną, nie brakowało pieniędzy na to by rozpieszczać jedynaczkę. Powiedziała im, że jedzie z przyjaciółką Jolką na kilka dni nad morze. Nie protestowali. Nie domyślali się, że od pewnego czasu sympatyzuje z hipisami i tak naprawdę wybiera się na pierwszy zlot polskich hipisów. Rodzice w domu byli gośćmi. Całe dni pracowali i nie mieli pojęcia co w wolnym czasie robi ich dorastającej córka. A ona wysiadywała na skwerku przed siedzibą Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki na Nowym Świecie, bo było to najpopularniejsze miejsce spotkań warszawskiej młodzieży. Działo się tam wszystko co najciekawsze. Gadało się o ruchu hipisowskim na Zachodzie, dyskutowało o wywrotowych lekturach, ustalało własne przekonania, słuchało mocnej muzyki, paliło trawkę i eksperymentowało z prochami. Joanna nosiła się teraz tak jak oni, starając się wyglądać swobodnie, ale czysto i uroczo.

Rodzice Joanny przyjechali do Warszawy ze Śląska. Ściągnięci zostali do stolicy po marcu 1968-tego roku w ramach awansu. Po wyjeździe Polaków pochodzenia żydowskiego w biurach warszawskiego aparatu partyjnego brakowało kadr. Woźniakowie jako aktywni i lojalni działacze Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej na prowincji, otrzymali odpowiedzialne i wymagające poświęcenia posady. Joanna musiała pogodzić się ze zmianą

szkoły, utratą przyjaciół i zmianą trybu życia. Dopóki nie przystała do hipisów trudno było jej, prowincjonalnej piękności, odnaleźć się wśród warszawskiej młodzieży. W niewielkim śląskim miasteczku na prowincji nie musiała się starać o uznanie. Wszyscy tam wszystkich znali i wiedzieli kto jest kim, co kto może i komu nie należy się narażać. Tam było oczywiste, że Joanna należy do osób uprzywilejowanych, takich, które w naturalny sposób zawsze są w centrum uwagi. Tu, w Warszawie, musiała walczyć o wyróżniającą ją od innych pozycję, do której była przyzwyczajona.

W stolicy dostali mieszkanie w nowym bloku. W porównaniu do poprzedniego było niewielkie, właściwie ciasne i zbyt małe jak na ich przyzwyczajenia. Joanna nie czuła się w nim komfortowo. Leżąc na kanapie w swojej „klitce” – tak nazywała swój nowy kilkunastometrowy pokój – często wspominała dawne mieszkanie położone na parterze ładnej poniemieckiej willi, od frontu i z tyłu otoczonej ogrodem. Prawie z czułością myślała o niewygodach związanych ze starym domem. W Warszawie tych niewygód nie było. Tu do codziennego prania mieli pralkę, a pościel i obrusy oddawało się do pralni. Tam do większego prania przychodziła kobieta i wtedy w domu rozpętywało się prawdziwe piekło. Wanna w łazience już od dnia poprzedniego była wypełniona zamoczoną bielizną, w kuchni parowały i kipiały kotły, w których ją gotowano. Wyciągano żelazną wannę i ogromną tarę. Po praniu następowało wykrcanie, płukanie i wybielanie akwamaryną.

Na co dzień przychodziła, jak się mówiło, panna służąca. Joanna lubiła patrzeć na skomplikowany proces zmywania naczyń - chociaż wtedy myślała, że tak się po prostu zmywa. Andzia – panna służąca – wyciągała z nakrytego ceratą kuchennego stołu blat na małych kółkach, w którym były dwa duże otwory i jeden mały. Duże były na miednice do mycia i płukania naczyń, a mały na pojemnik z piaskiem do szorowania garnków. Andzia myła najpierw szkło, talerze i sztućce, a na końcu garnki. Teraz rodzice jadaliby obiady w pracy, a ona w szkolnej stołówce. Naczyń do zmywania nie było wiele. Nie było także panny służącej. Nowemu mieszkaniu niczego nie można było zarzucić pod względem praktyczności, ale praktyczność nie rekompensowała panującej w nim pustki.

Woźniakowie zdawali sobie sprawę z tego, że Joanna cierpi z powodu przyjazdu do Warszawy, że brakuje jej ciepłej domowej atmosfery i obecności rodziców. Byli jednak zaabsorbowani zawodowymi możliwościami, które się przed obojgiem otwierały i zgodnie uznali, że warto się poświęcić pracy, aby je w pełni wykorzystać i aby ich pełnoletnia od niedawna córka miała dobry życiowy start oraz jeszcze lepsze perspektywy. Na razie

rekompensowali jej poniesione straty pieniędzmi. Córka na wyjazd do Mielnia dostała od nich sporą sumę trzystu złotych.

Joanna ucieszyła się z otrzymanych od rodziców pieniędzy, które gwarantowały jej nie tylko niezależność finansową od gołych na ogół kolegów hipisów, ale także pozwalały płacić za nich w razie potrzeby. Z zasady potrzeby jej aktualnego towarzystwa były niewielkie. Mało się jadło, spało tam, gdzie się dało, jeździło autostopem albo na gapę - ewentualne mandaty płacili rodzice. Pieniądze potrzebne były przede wszystkim na prochy i skręty. Przed wyjazdem do Mielnia kupiła więc trochę marihuany i haszyszu u cinkciarzy wystających pod Rotundą, a dzięki zdobytym wcześniej receptom, przed wyruszeniem na obcy teren, zaopatrzyła się w fermę i parkan. Jej grupa nie truła się klejami, proszkiem Ixi czy innymi wynalazkami niedorobionych hipisów i młokosów z prowincji. Była grupą ideową, można powiedzieć artystyczną. Brali prochy i palili skręty po to, aby przekroczyć ograniczenia umysłu, wywołać wyższe stany świadomości, oderwać się od nieakceptowalnego świata dorosłych. Tworzyli w ten sposób już teraz, dla samych siebie, nowy lepszy świat bez rywalizacji, kieratu etatowej pracy, kompromisów i pogoni za nędznymi ochłapami życia. Byli młodzi i młodość była dobrem, którego nikt nie mógł im odebrać. Prochy i skręty, i oczywiście muzyka, pozwalały przebić się przez mgłę zwaną rzeczywistością, unosić się nad nią, nie zauważać jej, być od niej niezależnymi.

Joanna Woźniak wiedziała, że stan euforii, w którym żyła przez ostatnie miesiące musi się kiedyś skończyć. Wiedzę tę dopuszczała na razie do siebie tylko w postaci mętnego przeczucia, a nie pod postacią dręczącej jasnej myśli. W te wakacje, razem z przyjaciółmi, nareszcie mogła swobodnie krążyć po kraju. Perspektywa włóczęgi - bycia w drodze, spotkań, koczowisk, ognisk, śpiewów, nocy spędzanych w stogach siana pod gołym niebem – niezmiernie ją cieszyła. Odpowiednio zaopatrzona w różne pożądane specyfiki mogła być pewna zainteresowania kolegów i koleżanek. Ferma i parkan przyciągały ich uwagę bardziej niż uroda i dobrze przemyślany ubiór. Joanna była świadoma swej urody, tego, że ma świetną figurę, wyrazistą twarz i piękne, gęste, długie i świetliście jasne włosy. Umiała też ubrać się stylowo. Dużo czasu spędzała na wyszukiwaniu zagranicznych ciuchów na bazarze Różyckiego. Na zjazd hipisów kupiła tam sobie obcisłe u góry i poszerzane na dole spodnie w różowo-szare paski, kwiecistą rozpinaną koszulę i modne duże okulary przeciwsłoneczne. Wyglądała w nowym stroju bardzo ładnie, a jednocześnie zgodnie z obowiązującą hipisowską modą. Uzupełniła strój licznymi sznurami kolorowych koralów, które zbierała od dawna.

Żałowała, że nie ma dużego krzyża na grubym łańcuszku. Zawiesiłaby go sobie na szyi, upodobniając się tym samym do Proroka i jego naśladowców.

Z Warszawy do Torunia jechali autostopem, dzieląc się na małe grupy, bo trzem lub czterem osobom łatwiej było zatrzymać okazję. Spotkali się w Toruniu, gdzie na starówce koczowali już hipisi z innych miast. Tak jak można było przewidzieć, prawie wszyscy natychmiast skupili się wokół Proroka i jego najbliższego otoczenia, do którego teraz należała także Joanna. Była zdumiona ilością młodych ludzi chcących uczestniczyć w zlocie. Pomysł zlotu – pierwszego spotkania polskich hipisów – wyszedł od Jonasza, a Prorok go podjął i przedstawił innym zupełnie niedawno, w czerwcu, w klubie na Starym Mieście. Joanna pamiętała entuzjazm, z jakim pomysł został przyjęty. Szybko ustalono termin i miejsce zlotu – 20 i 21 lipca, Mielno - a ludzie Proroka natychmiast wyruszyli w Polskę, aby powiadomić jak najwięcej zainteresowanych osób.

Z Jolką rozdzieliły się zaraz po wyruszeniu z Torunia, skąd zmierzali prosto do Koszalina. Przyjaciółka zabrała się z grupą, w której był jej chłopak o ksywce Dzieciak. Joanna natomiast chciała nadal podróżować w grupie Proroka i słuchać opowieści o tułaczym życiu, które prowadzili najwytrwalsi członkowie grupy już od początku wakacji. Opowiadali, jak obozowali w Łęczycy i pracowali w spółdzielni produkcyjnej przy zbiorze czereśni w zamian za chleb i mleko, o żebraniu, która pozwalała im zdobywać najprostsze jedzenie. Podziwiała Proroka i towarzyszące mu osoby za autentyczność i determinację.

- Jego hipisowskie życie - myślała o liderze grupy – nigdy się nie skończy, bo wierzy w to, co mówi i robi.

Jechali skokami, nieśpiesznie i, prawdę mówiąc, było to dla Joanny niesłychanie męczące. Prorok jednak wyglądał na bardzo zadowolonego. Podczas wysiadki w rowach i na poboczach dróg w oczekiwaniu na następną okazję, mógł rozwodzić się nad treścią swego ostatniego manifestu, *Manifestu o jaju*. Jego wywody w miarę upływu czasu zaczęły drażnić Joannę. W maju tego roku zdała maturę i dostała się na filologię polską na Uniwersytet Warszawski. Znała się na literaturze. Czytała nie tylko literaturę piękną, ale też monografie o pisarzach i teksty krytyków literackich. Prenumerowała „Życie literackie” i „Twórczość”. Nie czytała *Manifestu o jaju* – rozprawki poetycko-filozoficznej na temat wolności, pokoju i miłości – ale cytowane przez autora manifestu fragmenty, nie trafiały do niej. Miała inny gust literacki i teraz dopiero uznała, że jest on o wiele lepszy od gustu jej aktualnego idola. Podobało jej się tylko kilka prostych zdań, które powtarzał Prorok: „Nie myśleć o głodzie, to

zjeść coś. Nie myśleć o życiu, to żyć”. A ona teraz właśnie chciała żyć, myślenie zostawiając na czas po wakacjach.

W Koszalinie na dworcu PKP znów spotkali hipisów z różnych miast. Duża grupa przyjechała z drugiego silnego ośrodka ruchu, czyli z Krakowa. Wszyscy razem pojechali do Mielnia pociągiem. Pomimo zmęczenia czuli się świetnie. Zajęli przedziały w drugim (i ostatnim) wagonie z drewnianymi ławkami, skupiając na sobie uwagę reszty pasażerów. Kupili jeden bilet, a osób było dziesięć. Konduktor szalał, ale Prorok wspiał się na szczyty elokwencji, spokojnie tłumacząc mu strategię ich działania i hierarchię ich wartości. Konduktor szybko się poddał i ponownie zaatakował dopiero w Mielnie, licząc na wsparcie kolegów z obsługi. Na niewiele to się zdało. Pociąg ruszył w drogę powrotną, zabierając ze sobą niepocieszonego konduktora, a oni mogli spokojnie odpocząć, rozkładając się na trawie przed budynkiem dworca.

Joanna była zachwycona zainteresowaniem, jakie wywołała wśród Krakusów. Kiedy już podzielili się jedzeniem i napojami, poczęstowała wszystkich chętnych tabletkami fermy. Wystarczyło wziąć trzy, by poczuć działanie. Popili je alkoholem, aby wzmocnić efekt - na ogół unikali takiej mieszanki - i ruszyli na miejsce zbiórki, czyli do nadmorskiego parku. Zgromadzenie było imponujące. Tłum młodych szczęśliwych osób zajmował całą przestrzeń. Atmosfera była wspaniała a przybycie Proroka wywołało entuzjazm. Pod zamykającą park skarpią stała niewielka muszla koncertowa. Na scenie muzykowało kilku młodzieńców. Chcąc przywitać się z zebranymi, grupa Proroka weszła na scenę. Grający uciszyli się i Prorok przemówił. Po burzliwych oklaskach znów zabrzmiała muzyka, którą na chwilę zakłóciła dziwna wizyta milicjanta z psem. Milicjant nawet spodobał się wszystkim, bo najwyraźniej był do nich pokojowo nastawiony. Oczywiście to pies zrobił najlepsze wrażenie.

Atmosfera zgromadzenia była tak niesamowita, że bardzo szybko uczestnicy zlotu zgodnie postanowili, że trzeba spotkać się ponownie już za miesiąc. Miejsce spotkania wyznaczono na drugim końcu Polski w Dusznikach-Zdroju. Entuzjazm wywołany uświadomieniem sobie jak liczny i popularny jest ruch hipisowski w Polsce sprawił, że uwierzono w sprawczą siłę ruchu i zaproponowano, żeby spotkać się także we wrześniu i październiku. Złoty miały zjednoczyć ruch i pobudzić do działania na rzecz hipisowskich idei szeroką rzeszę młodych ludzi.

- Pojadę z pewnością w sierpniu do Dusznik – ustaliła sama z sobą Joanna. – No może jeszcze uda mi się zdążyć przed rozpoczęciem studiów na zlot wrześniowy. W październiku już nie dam rady. Zaczynają się studia.

Późnym popołudniem Joanna Woźniak poczuła ogromne zmęczenie. Ferma popita alkoholem przestała działać i dziewczyna zaczęła żałować swojej wcześniejszej lekkomyślnej hojności. Zostało jej tylko kilka tabletek ożywiającego specyfiku. Miała jeszcze parkopan, ale nie czuła się po nim tak dobrze, jak po fenmetrazynie. Ferma dawała energię fizyczną i psychiczną. Po niej nie trzeba było ani jeść, ani spać. Po parkopanie natomiast czuła się zdezorientowana, a nie lubiła tracić nad sobą kontroli. Postanowiła wyrwać się na jakiś czas z hałaśliwego otoczenia. Opuściła po angielsku swoją grupę, postanawiając, że sama uda się na plażę, wykapie się w morzu, położy na piasku i odpocznie.

Rozebrała się za muszlą koncertową, założyła dwuczęściowy stój plażowy bikini, który w pełni ukazywał jej wysmukłą sylwetkę, wyjęła z brezentowej torby duży ręcznik, a na jego miejsce wcisnęła zdjęte ubranie i ozdoby. Włosy zebrała w „koński ogon” i tak oto stała się piękną, ale zwykłą, dziewczyną. Wyszła z parku w stroju plażowym, co nie wzbudziło zainteresowania i oburzenia przyzwyczajonych do prawie gołych spacerowiczów przechodniów. Kupiła bilet, bo plaża była płatna, zdjęła sandały i poczuła jak jej zmęczone stopy rozpływają się kładąc w gorącym piasku.

Była sobota po południu, pełnia sezonu, więc plaża była zatłoczona. Rozejrzała się za skrawkiem wolnego piasku, ale wszędzie widać było grajdoby, kolorowe parawany, rozłożone koce, zsunięte razem plażowe kosze, ciała błyszczące od olejku do opalania, biegające i krzyczące dzieci - niektóre z gumowymi kółkami do pływania, inne z plastikowymi kolorowymi piłkami. Skierowała się ku brzegowi. Szła ostrożnie pomiędzy opalającymi się, ale chwilami traciła równowagę. Uśmiechała się przepraszająco do kobiet, które szybko podnosiły głowy, przyglądały się jej przez chwilę i poirytowane kręciły głowami, gdy niechcący obsypała je piaskiem. Panowie reagowali inaczej. Tym, którzy spali na słońcu, piasek nie przeszkadzał, inni patrzyli na nią z podziwem i długo odprowadzali wzrokiem. Młodszy cicho gwizdali.

Nad brzegiem morza też było tłoczno, ale tu nikt nie zważał na obsypywanie piaskiem czy pochłanianie wodą. Szła, omijając dzieci czerpiące z morza wodę, pilnujących je dorosłych i wbiegających lub wybiegających z morza amatorów kąpieli. Wiatr od morza schładzał rozgrzane ciało a fale przyjemnie obmywały stopy. Wraz z oddalaniem się od tego wejścia na plażę, które było na wysokości parku tłum plażowiczów rozrzedzał się, aby znów zgęstnieć przy wejściu następnym. Oba wejścia prowadziły na plażę strzeżoną, więc na wysokości każdego z nich, pośrodku między wydrami a brzegiem, stały wieżyczki ratowników, a na nich powiewały białe flagi, co oznaczało, że kąpiel jest bezpieczna. Jeden z ratowników

siedział na plażowym krzeselku na wieżyczce, dwóch odpoczywało pod wieżyczką – jeden na kocu, drugi na leżaku - a kolejny pływał łodzią nieopodal brzegu. Siedzący na wieży i pływający łodzią wyposażeni byli w gwizdki, z których chętnie korzystali. Przenikliwe gwizdy rozlegały się co rusz, bo ratownicy karcili wszystkie osoby zachowujące się, ich zdaniem, nagannie, a w szczególności śmiazków wypływających poza czerwoną bojkę.

Joanna, znów ostrożnie krocząc pomiędzy leżącymi na gorącym piasku, brązowymi lub czerwonymi, ciałami, zbliżyła się do właśnie mijanej drugiej wieżyczki ratowniczej. Poczula nieprzepartą ochotę, aby popływać. Liczyła na to, że kąpiel orzeźwi ją i przywróci siły.

- Ależ przystojniacy – pomyślała, patrząc na opalonych i dobrze zbudowanych młodzieńców pod wieżą. – Wyglądają lepiej od moich wyblakłych, wychudzonych, długowłosych kolegów, ale z pewnością są od nich mniej inteligentni, przynajmniej od niektórych.

Dla zabawy postanowiła nawiązać z ratownikami znajomość i popisać się swoimi pływackimi umiejętnościami. Pływała doskonale. Trenowała od najmłodszych lat na basenie w dawnym miejscu zamieszkania, a teraz ćwiczyła style w Warszawie. Nie brała udziału w zawodach pływackich. Po prostu uwielbiała pływanie, więc trenowała dla przyjemności. Najefektowniejszy styl, który ostatnio perfekcyjnie opanowała, to styl motylkowy. Na wszystkich robił ogromne wrażenie.

- Cześć – odezwała się swobodnym tonem do leżącego na leżaku przystojniaka. – Czy mogę zostawić tu swoją torbę? Jestem sama, a chciałabym się wykąpać.

Przystojniak osłonił dłonią oczy uzbrojone w ciemne okulary i spojrzał na nią. Zdjął okulary i przyjrzał się uważniej. Nie był zachwycony pytaniem.

- My nie pilnujemy rzeczy plażowiczów – burknął. - Pilnujemy ich bezpieczeństwa. Pracujemy. Proszę znaleźć kogoś innego. Może się zgodzi – dodał łagodniejszym tonem.

- Źle trafiłaś - ratownik leżący na kocu podniósł się na łokciu i uśmiechnął się do niej. – To nasz kierownik służbista i starszy ratownik. Bardzo pilnuje pozostałych ratowników a jeszcze bardziej regulaminu. Ale chyba mnie nie zwolni, jeśli ci pomogę. Połóż torbę na kocu. Mam przerwę. Mogę popilnować. Mogę, panie kierowniku?! – zawołał w kierunku starszego kolegi i przełożonego zarazem.

- Rób co chcesz – mruknął kierownik, opadł na leżak i przestał się interesować sytuacją.

Joanna położyła torbę przy głowie miłego ratownika, uklękła obok niego i opadła na pięty.

- Skąd jesteś? – zapytała leniwym głosem, bo wiedziała, że taki głos daje jej przewagę nad rozmówcą.

- Stąd, to znaczy z Koszalina – odpowiedział chłopak i natychmiast usiadł. Patrzył na nią z nieudawanym podziwem. – A ty?

- Z Warszawy. Przyjechałam na zlot hipisów – odpowiedziała wolno, patrząc jak podziw w jego oczach narasta.

- Chyba jest w moim wieku, a może młodszy – pomyślała dziewczyna.

Ratownik, pomimo młodego wieku był wysoki, potężnie zbudowany i mocno opalony. Jego krótko ścięte jasne włosy stały się prawie białe od słońca. Podobał Joannie, ale nie chciała tego po sobie pokazać.

- Na zlot hipisów? Niesamowite! Mogę do was dołączyć po mojej wachcie? Jesteś sama? – chłopak mocno poruszony wiadomościami, zalał ją pytaniami.

- Jak chcesz – wzruszyła ramionami i spojrzała ponad jego głową w dal. - Każdy może przyjść do parku. Idę popływać.

Wstała i kołysząc biodrami poszła w stronę wody. Czuła na sobie nie tylko wzrok chłopaka, z którym rozmawiała, ale także tego drugiego, starszego, który zajmował leżak. Zdała sobie nagle sprawę z tego, że ten drugi podobał jej się jeszcze bardziej.

Marek Wilczyński, młodszy ratownik, który po raz pierwszy tego lata podjął pracę na mieleńskiej plaży, czuł ogromną satysfakcję po krótkiej rozmowie z nieznajomą piękną dziewczyną. Sezon był już w połowie, ale dopiero teraz uświadomił sobie w pełni, jakie możliwości daje ta robota. Piękne dziewczyny z całej Polski zwracały na niego uwagę. Mógł je poznać i, jeśli by tylko chciał, mógłby je także mieć.

Szeregowy Michał Sikora zaparkował milicyjny motor z przyczepą tuż przy wejściu na plażę przy ulicy Kościuszki. Przyczepa, co już teraz wiedział, służyła głównie do przewożenia zatrzymanych, a ponieważ najczęściej byli oni pijani, to umieszczenie zatrzymanych w przyczepie zwykle było dużym wyczynem, którego musiał się szybko nauczyć. Zeskoczył z siodełka i ceglanymi schodami wszedł na taras przed „Meduzą”, stanowiący początek promenady, która prowadziła stąd aż do ulicy 1 Maja. Na początku promenady zainstalowała się obsługa plaży: kierownictwo plaży, bileterzy, sprzątacze i

oczywiście ratownicy. Sikora wszedł do prowizorycznego nagrzanego pomieszczenia zajmowanego przez obsługę, żeby rozpytać pracowników o zachowanie młodych ludzi, którzy najechali Mielno.

- Nic się nie dzieje panie władzo – poinformował go roznegliżowany osobnik siedzący w pomieszczeniu i wyglądający na lekko napitego. – Tylko bileterki się skarżą, że hipisi nie chcą kupować biletów. Ale jak one mają ich do tego zmusić? Nie da rady, panie władzo!

- Dobra, dobra – zakończył wywody osobnika Sikora. – A wy co tu robicie?

- Ja? – zdziwił się mężczyzna. – Ja tu pracuję kochana władzuchno. Jestem od porządku, tak samo jak pan władza, czyli sprzątam po innych - zaśmiał się hałaśliwie. - Ale aktualnie pilnuję całego interesu, bo wszyscy bardzo zajęci. My porządkowi najwięcej roboty mamy wieczorem, gdy stonka schodzi z plaży. Czego to na plaży nie można znaleźć, panie władzo! Plażowicz potrafi zgubić wszystko i jeszcze więcej!

- Dobra, dobra – powtórzył Sikora i postanowił opuścić prowizoryczne biuro, żeby nie słuchać dłużej o rzeczach zaginionych.

Posterunkowy dobrze bowiem wiedział, że sprzątacze nigdy niczego na posterunek nie przynosili. Zabierali wszystko co znaleźli, a szczególnie wszystkie cenniejsze przedmioty oraz pieniądze. A rozkojarzeni plażowicze, którzy coś wartościowego zgubili w piachu, często nachodzili milicyjny posterunek i natrętnie wypytywali milicjantów, czy ktoś nie oddał ich zguby. Całe szczęście, że szybko wyjeżdżali z Mielna. Ale przyjeżdżali nowi i wszystko zaczynało się od początku. Cóż jednak można było z tym problemem zrobić? Przecież nie sposób chodzić za sprzątającymi po plaży i zabierać im to, co znaleźli.

- Nie pić alkoholu, nie zostawiać rzeczy bez opieki, nie zabierać na plażę całego portfela i biżuterii, pilnować wszystkiego, a przede wszystkim własnych dzieci - pouczali milicjanci ofiary własnego roztrzępiania, co oczywiście nie dawało żadnych rezultatów.

Zgubienie dzieci na plaży było prawdziwą plagą. Na szczęście prawie wszystkie spłakane maluchy udawało się odnaleźć i zwrócić rodzicom. Szkoda tylko, że poszukiwaniami musieli zajmować się ratownicy, opuszczając swoje stanowiska.

Posterunkowy Michał Sikora zszedł z promenady, aby w umiejscowionym nieopodal wejścia na plażę okrągłym drewnianym kiosku pomalowanym białą olejną farbą kupić oranżadę. Kiosk otwierano tylko w sezonie letnim.

- Dzień dobry! – zawołała do niego młoda ładna ekspedientka w białym fartuchu i opasce na wysoko uczesanych czarnych włosach. – Co podać?

- Czerwoną oranżadę, najlepiej zimną – powiedział służbowym tonem, nie odpowiadając na wesołe powitanie, bo uznał, że ekspedientka wdzięczy się do niego, a nie chciał dać się wciągnąć w nieodpowiednią dla milicjanta na służbie poufałość.

- Mam specjalnie dla pana władzy – zaszczebiotała dziewczyna, odwróciła się zgrabnie na palcach i wyszła na zaplecze.

Wróciła, trzymając w dłoni lekko omszałą wilgocią butelkę.

- Dziękuję – powiedział oschle, zapłacił i odszedł, aby wypić oranżadę w spokoju.

- Do widzenia! Proszę zwrócić butelkę! Nie wzięłam kaucji! – usłyszał za sobą miły, ale mocny głos kobiety.

Oranżada była dobrze schłodzona, więc poczuł do ekspedientki wielką sympatię. Wypił napój duszkiem a jego obawa przed niestosowną poufałością zniknęła. Oddając butelkę uśmiechnął się do opartej łokciami o ladę dziewczyny i jeszcze raz jej podziękował. Ekspedientka, Gosia Mrozówna, obdarzyła go swoim najładniejszym uśmiechem i odpowiedziała zadowolona:

- Na zdrowie.

- Ładna bestyjka – pomyślał milicjant.

Wrócił na promenadę. Stanął blisko murku oddzielającego promenadę od wydm i przyglądał się plażowiczom.

- Lody, lody dla ochłody – wykrzykiwał krążący pośród plażowiczów młodzieniec dźwigający białą drewnianą skrzynkę. Chłopak właśnie zatrzymał się i z wyraźną ulgą postawił skrzynkę na piachu, bo dogoniła go gromadka dzieci trzymających w zaciśniętych spoconych piąstkach drobniaki.

- Moja żona chorowała zjadła lody wyzdrowiała! – wykrzyknął ku uciesze maluchów lodziarz, wydając ze skrzynki lody na patyku i sprawnie przeliczając wilgotne od potu monety.

- Hej mały! Reszta! – zawołał za chłopczykiem w mokrych niebieskich majteczkach oblepionych piaskiem.

Zdjął białą lnianą czapkę, wytarł nią spoconą twarz, dźwignął swój lodowy ciężar, poprawił sakwę na pieniądze i ruszył dalej.

Kiedy posterunkowy Sikora oderwał oczy od lodziarza, zauważył ją. Byłby jej nie poznał, bo zdjęła kolorowe ciuszki hipiski, a wcześniej rozpuszczone długie jasne włosy związała w „koński ogon”. Teraz widział jej plecy. W białym stroju bikini szła pomiędzy leżącymi ciałami kołysząc wąskimi, ale krągłymi biodrami. Weszła do morza po kolana, zanurzyła w wodzie prawą dłoń i przeżegnała się, co Sikorę bardzo zdziwiło. Nie miał jednak czasu na myślenie o jej ewentualnej pobożności, bo dziewczyna wchodziła powoli coraz głębiej, schłodziła ciało, polewając je morską wodą i zanurkowała. Po chwili wynurzyła się i popłynęła. Nigdy wcześniej nie widział, żeby ktoś tak pięknie płynął motylkiem. Zauważył, że stojący na brzegu ludzie z podziwem kręcą głowami, a ratownicy na łodzi uśmiechają się z niedowierzaniem.

4. Zgłoszenie



W niedzielny wczesny poranek Marian Baczkowski szedł samotnie brzegiem morza w kierunku Mielenka. Ten krępy, niewysoki ale silny mężczyzna był zdenerwowany, bo znów pokłócił się z żoną. W ciągu tygodnia małżonkowie, Marian i Marianna Baczkowscy, nie mieli czasu na kłótnie. Oboje ciężko pracowali. On w Koszalinie jako urzędnik Wydziału Finansowego Powiatowej Rady Narodowej, a ona w jedynej prywatnej mieleńskiej piekarnio-cukierni jako sklepowa. Latem ruch w piekarnio-cukierni, gdzie kupowano świeże drożdżówki z sezonowymi owocami lub słodkim twarogiem, ciastka tortowe z dużą ilością kremu z margaryny, oblane czekoladową masą bajaderki zrobione z przemielonych na rumową masę niesprzedanych poprzedniego dnia ciastek oraz świeże chleby i bułki, był tak duży, że Marianna nie miała siły, aby czynić mężowi wyrzuty, gdy spotykali się wieczorem w

domu stojącym przy ulicy Pionierów. W niedzielne poranki nabierała werwy i wyrzucała mu lenistwo, późne powroty do domu, popijanie z kolegami i brak zainteresowania przyszłością ich dwóch kilkunastoletnich córek. Zarzuty były słuszne. Baczkowski w dni powszednie rano jechał do Koszalina autobusem PKS albo swoją rozklekotaną, ale niezawodną, Syreną 102, a ponieważ on i trzech jego podwładni kontrolowali wszystkie gorzelnie w powiecie oraz wszystkie przedsiębiorstwa używające w produkcji spirytusu, nie siedział w biurze, lecz najczęściej przebywał w terenie. Wracał do Mielnia wieczorem, często trochę podпиты, bo gorzelani chętnie częstowali inspektorów akcyzników spirytusem rozrabianym z różnymi wymyślnymi płynami. Nie lubił pracy fizycznej, za to lubił towarzystwo i biesiady. Żona, młodsza od niego o dziesięć lat, szczupła i czarnowłosa, miała więc na głowie pracę, dzieci, dom i wszystkie pozostałe męczące obowiązki. On był od zarabiania większych pieniędzy i od szalonych pomysłów na wyjazdy i wakacje. Na czynione mu przez żonę zarzuty reagował ostro i nieprzyjemnie, bo gryzło go sumienie.

Tak samo było w niedzielny poranek 21 lipca 1968-mego roku. Najpierw słuchał cierpliwie wyrzutów żony, a gdy jego cierpliwość się skończyła, wściekł się, rzucił kilka przekleństw, wstał z łóżka, założył kąpielówki, spodnie szariki, koszulę „polo” z krótkimi rękawami, sandały, trzasnął drzwiami i postanowił iść na spacer nad morze. Była szósta rano, więc pomyślał, że zdąży wrócić, przebrać się i, jak w każdą niedzielę, pójść z rodziną do kościoła na mszę o godzinie dziewiątej. Do dziewiątej i on i żona zapomną o powodzie porannej kłótni, po mszy w kościele nie będą już się na siebie boczyć, a po powrocie do domu wszystko wróci do normy i w rodzinnej atmosferze cała czwórka – on, żona i dwie córki - zje obfite niedzielne śniadanie.

Baczkowski ruszył pustą o tak wczesnej porze ulicą Pionierów w kierunku Cichej. Przystanął na chwilę przy domu Raczyków, żeby popodziwiać różany ogród.

- Ma dziad rękę do kwiatów – pomyślał o Raczyku, starszym już człowieku, który dopiero od roku przestał rozwozić towary z mieleńskiej Gminnej Spółdzielni wozem zaprzężonym w narowistego konia. Koń, tak samo jak woźnica, przeszedł na emeryturę i nadal znajdował się pod opieką Raczyka, zajmując swe dawne miejsce w jego stajni.

Dom Raczyków od plaży dzieliło kilkaset metrów. Marian Baczkowski wspiał się na wydeptane piaszczyste wzniesienie prowadzące na plażę, spojrzał z żalem na wydmnę z prawej strony, w której przed rokiem pochował Mrówkę, najmądrzejszą suczkę na świecie przejechaną podczas rodzinnego spaceru przez jadący główną ulicą wojskowy samochód.

- Po co na nią gwizdnąłem, gdy była po drugiej stronie ulicy? – zmartwił się kolejny raz. – Wbiegła prosto pod jedyne auto, które wtedy jechało.

Czarna i drobna jak mrówka suczka Baczkowskich sama wykonywała czynności, których zwykłego psa trzeba by długo uczyć. Zimą nosiła w pysku za dziewczynkami rękawiczki, kiedy zostały zdjęte, latem na plaży pilnowała, żeby same nie wchodziły do morza, czyniąc straszliwy jazgot, gdy zbliżały się do brzegu i gryząc w pięty, gdy wchodziły do wody, a na co dzień chciała nosić zakupy, choć była niska i wlokła siatkę po ziemi.

Marian Baczkowski westchnął głęboko, przypominając sobie płacz córek po śmierci ich ulubionego pieska, który zginął, bo był nazbyt posłuszny, i wszedł na wzniesienie wydmy. Z wysokości wzniesienia patrzył przez kilka minut na morze. Było spokojne, pofałdowane równymi niewysokimi falami, które dopiero przy brzegu rozplływały się i pieniły. W świetle porannego słońca powierzchnia morza była jak szeroko rozpostarty drogi połyskujący materiał. Pusta plaża przypominała tę wrześnieową, którą lubił najbardziej. Na początku września, kiedy dni były jeszcze ciepłe a piach i woda nagrzane, wczasowicze nagle opuszczali Mielno. Jakże przyjemne było wówczas opalanie się w ciszy pod jesiennym, lekko przymglonym słońcem i kąpanie się w morzu, którego monotonnego szumu nie zagłuszała wrzawa ludzkich głosów. Zdjął sandały, zszedł z wydmy na plażę, przeszedł po lekko wilgotnym po nocy piasku do brzegu i brodząc w chłodnej wodzie ruszył w stronę Mielenka. Postanowił, że będzie maszerował około trzydziestu minut, następnie popływa pół godzinki i wróci. Nie będzie odzywał się do żony, chyba że za pośrednictwem dzieci. Jak zwykle rodzinna atmosfera polepszy się, gdy będą wszyscy razem wracać z kościoła i zasiąść do niedzielного śniadania.

Na wysokości ulicy 1 Maja, gdzie było ostatnie wejście na plażę z terenu zamieszkanego, zobaczył miejsce po dużym ognisku, wokół którego piach był zdeptany niezliczoną ilością stóp. Na jasnym tle piasku czerniała kupa nie do końca zwęglonego drewna. Lekki wiatr rozwiewał wokół szary popiół i pokrywał nim porozrzucane butelki.

- A no tak. Hipisi – mruknął trochę zły na młodych ludzi za pozostawiony przez nich na plaży bałagan.

Idąc dalej przypominał sobie różne niesamowite opowieści, jakie słyszał dnia poprzedniego w autobusie PKS od stałych mieszkańców Mielna powracających, tak samo jak on, z pracy w Koszalinie. Mówiło się o swobodzie obyczajowej hipisów, dzieleniu się wszystkim co

posiadali, w tym także kobietami, łączeniu się w komuny, łykaniu odurzających tabletek i innych nie mniej szokujących wyczynach.

– Z powrotem pójde lasem – postanowił, bo leśna droga prowadziła prosto do parku z jeleniem, w którym spodziewał się zastać jeszcze młodych ludzi. Bardzo był ich ciekaw. Sam miał cygańską naturę i z pewnością, gdyby nie ponad czterdzieści lat na karku, przystąpiłby do nich z wielką radością.

Szedł nadal brzegiem morza mając po swojej prawej bezmiar wody, a po lewej złoty pas piachu łączący się z zieloną ścianą nadmorskiego lasu. Spojrzał na zegarek.

- Za piętnaście minut będzie siódma – stwierdził. – Żeby zdążyć do kościoła na dziewiątą, powinienem tu się wykapać, a potem wracać.

Rozejrzał się wokół, szukając miejsca, w którym mógłby bezpiecznie zostawić ubranie. Zależało mu przede wszystkim na zegarku, bo nie spodziewał się, żeby kogokolwiek skusiły jego bardzo skromne ciuchy. Słońce stało już na tyle wysoko, że oświetlało widoczną w oddali latarnię morską w Gąskach. Oświetlało także biegnącego od tamtej strony morza mężczyznę. Marian patrzył zaskoczony w stronę biegnącego, bo zaniepokoił go jego dziwny pośpiech i machanie rękami. Dzieliła ich jeszcze spora odległość i nie rozpoznawał kim jest mężczyzna, więc szybkim krokiem ruszył mu naprzeciw.

- To Frankowski! – zdziwił się, kiedy zbliżyli się do siebie i można było zidentyfikować sylwetkę oraz granatowe ubranie nadzorcy ochrony wybrzeża. – Co się stało? Dlaczego on biegnie? – zastanawiał się.

Frankowskiego znali wszyscy mieszkańcy Mielna, Unieścia i Mielenka. Mieszkał w Unieściu, ale był zatrudniony w służbie ochrony wybrzeża Urzędu Morskiego w Słupsku i choć wyglądał staro, wciąż był bardzo aktywny zawodowo. Regularnie kontrolował nadmorski pas, będący pod jego pieczęcią. Bardzo surowo karał niesubordynowanych plażowiczów i spacerowiczów, którym przychodziło do głowy wkraczanie na wydmy i niszczenie wydmowej roślinności. Wstęp na wydmy, poza wyznaczonymi przejściami, był bowiem surowo wzbroniony, o czym informowały odpowiednie tabliczki. Poza tym, że rankiem, przemierzając kilometry, Frankowski sprawdzał stan wydm chroniących ląd przed sztormami, a mówiąc fachowo, prowadził stały dozór powierzonego mu odcinka pasa technicznego w obwodzie, to w czasie letniego sezonu zawzięcie polował na opalających się na wydmach, koczujących na nich, spacerujących po nich, a przede wszystkim na

załatwiających tam swoje fizjologiczne potrzeby i zaspokajających rozbudzony gorącym popęd. Wszystkich łamiących przepisy zaskakiwał, przyprawiając o palpitacje serca i skrępowanie, bo przyłapywał ich na gorącym uczynku, następnie ochrzaniał bez pardonu i wystawiał mandat. Był nieprzekupny i nieustępliwy.

- Panie Baczkowski! Panie Baczkowski! – krzyczał z daleka Frankowski, rozpoznając znajomego mu mieszkańca Mielna. – Panie Baczkowski! – powtórzył, gdy zdyszany i spocony stanął naprzeciw niego.

- Panie Frankowski! Co się stało? Przyłapał pan na wydmach hipisów? – próbował zażartować poranny spacerowicz, widząc ogromne poruszenie nadzorcy. Ten pokręcił przecząco głową. Z trudem łąpał oddech.

- Dobrze, że pana spotykam – wysapał. – Niech pan idzie dalej i pilnuje. O tam, na wysokości Mielenka. Szybko, niech pan tam idzie i czeka. Ja biegnę na milicję.

- Ale co się stało?! – dopytywał Marian, lecz Frankowski tylko machnął ręką i ciężkim krokiem, zapadając się w piasku, skierował się do najbliższego wyjścia, prowadzącego do leśnej drogi, którą dochodziło się do ulicy Kościelnej.

Marian Baczkowski poważnie się zaniepokoił. Prawdę mówiąc, przestraszył się nie na żarty. Spojrzał w kierunku Mielna. W oddali, pomimo wczesnej pory, kilka osób stało na plaży i patrzyło w morze. Dwie czarne głowy widać było w wodzie. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien wrócić w tamtą stronę i prosić kogoś o pomoc. Nie wiedział co zobaczy za kilometr, który pozostał mu do pokonania. Zrezygnował jednak z pomysłu proszenia o pomoc, żeby nie okazać się tchórzem i nie zawieść służbisty Frankowskiego. Ruszył szybkim krokiem przed siebie, uważnie patrząc na mijane odcinki plaży. Po dziesięciu minutach marszu zobaczył na środku plaży duży głęboki grajdołek, jeden z tych, jakie plażowicze, chcący oddzielić się od tłumu i wytyczyć swoje terytorium, usypują każdego dnia od nowa. Stanął a serce waliło mu w piersi jak młot. Powoli zbliżył się do piaskowej budowli. W niej, na gołym piasku, leżała dziewczyna w jasnym bikini. Gdyby nie trupio blada twarz i martwe szeroko otwarte oczy, można by powiedzieć, że jest piękna. Szczupła, zgrabna, wysoka sylwetka. Długie blond włosy otaczały jej oblicze i przykrywały ramiona, sięgając aż do pasa. Patrzyła w kierunku słońca, jakby postanowiła opalać się, nie zamykając oczu przed oślepiającymi promieniami. Stał oniemiały i przerażony. W pierwszym odruchu chciał ją czymś przykryć, zamknąć jej oczy, ale w porę przypomniał sobie, że nie powinno się dotykać ciała przed przybyciem milicji. Odszedł na taką odległość, by jej nie widzieć i skamieniały,

nadal z głośno bijącym sercem, niecierpliwie czekał na powrót Frankowskiego z milicyjnym wsparciem.

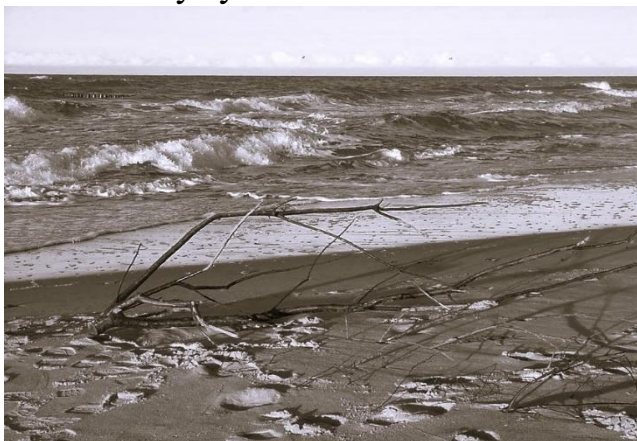
- Dobrze zrobiłem, nie angażując nikogo do pomocy – przyszło mu do głowy.

Czuł, że źle by się stało, gdyby ktoś jeszcze, jakiś przypadkowy człowiek, zobaczył tę martwą dziewczynę. Chciał ją chronić przed ciekawskimi spojrzeniami i niewyszukanymi komentarzami. Chciał, jakby to dziwnie nie zabrzmiało w sytuacji, w której się znalazł, zapewnić jej bezpieczeństwo i intymność. Leżała prawie naga i bezbronna, nie mogąc już obronić się przed nachalnymi spojrzeniami obcych oczu.

Baczkowski z niepokojem spoglądał w lewo i w prawo, aby sprawdzić, czy nie nadchodzi ktoś niepożądany. Na szczęście nikt nie zmierzał w jego kierunku. Czas jakby stanął w miejscu. Sielski widok falującego łagodnie bezkresnego morza, ciepły i miękki dotyk piasku, zieleń lasu, błękit nieba i piekące coraz mocniej słońce emanowały spokojem, który przedziwnie kontrastował z przerażającym spokojem leżącego nieopodal ciała. Z leśnej drogi wychodzącej na plażę wyłoniły się wreszcie dwie znajome sylwetki, Frankowskiego i miejscowego komendanta MO Szelca.

- Dzień dobry, panie Baczkowski – przywitał się Szelc, spokojny choć lekko zdyszany. – Dobrze, że pan tu został. Musimy poczekać na lekarza i milicję z Koszalina. Już ich powiadomiłem. Będą panowie świadkami w sprawie. Przykro mi, nie możecie wracać do domów. Nie podchodźcie do ofiary. Stójcie z daleka – dodał i dopiero wtedy podszedł do grajdołka. Stał nad nim długo. Najpierw nieruchomo, a potem wyjął notes i coś zapisywał.

5. Domysły



Dwaj panowie, Frankowski i Baczkowski, stali na brzegu morza i spoglądali na zmianę raz w stronę grajdółka, raz w stronę, z której powinny nadejść wezwane służby. Słońce wznosiło się coraz wyżej i nagrzewało chłodne poranne powietrze. Obaj mężczyźni trochę już ochłonęli po doznanym szoku, więc zaczęli analizować zdarzenie.

- Jak długo ona tu leży? – zastanawiał się Baczkowski, patrząc na Frankowskiego tak, jakby oczekiwał od niego fachowej wiedzy z zakresu badania ludzkich zwłok.

- Chyba niezbyt długo – podjął temat Frankowski. - Nie dotykałem jej, bom wiedział bez tego, że jest martwa. Wiesz pan, te oczy, to miejsce ech – westchnął przeciągle. – Ale pewnie umarła dziś w nocy, bo nic nie czuć i ładnie wygląda, biała jak porcelanowa figurka.

Zamilkli i zatopili się we własnych myślach.

- Utopiła się? – padło po chwili następne pytanie Baczkowskiego, który bezwiednie zaczął teraz nerwowo kopać piach bosą stopą.

- Co pan! – prawie wykrzyknął Frankowski. – Utopiła się, wykopała sobie dołek i się w nim położyła! Co pan!

- Tak się tylko zastanawiam – odpowiedział niedzielny spacerowicz. – Mogła zasłabnąć w wodzie, wyjść na brzeg, położyć się w gotowym grajdole i umrzeć.

- Tak mogło być – zgodził się tym razem strażnik wybrzeża. – Tak mogło być – powtórzył. – Ja jej nie znam. A pan ją kiedyś widział? – zapytał.

- Nie. Myślę, że przyjechała z hipisami. Ewentualnie jest z Koszalina.

- Gdyby była z Koszalina, ktoś już by jej szukał. Rodzice, znajomi. Przecież nie wróciła na noc do domu – odrzekł Frankowski. – To musi być hipiska. Wieczorem palili na plaży

ognisko, grali, śpiewali i tańczyli. Milicja, to znaczy nasz komendant wczoraj powiedział, żebym ich zostawił w spokoju. Gonilem ich tylko z wydm, żeby nie zdeptali i nie nafajdali. Ale kto by ich upilnował. Panie! Machnąłem ręką i przed północą wróciłem do domu, żeby się trochę przespać. Ale tak się denerwowałem, że nie mogłem zasnąć. Zerwałem się z łóżka o świcie i poszedłem sprawdzić co narozrabiali. Na szczęście niewiele. Aż się zdziwiłem, mówię panu, aż się zdziwiłem. Trochę uspokojony poszedłem wydmami dalej, jak zwykle do Mielenka. Wracałem plażą, a tu masz. Taka niespodzianka. Mówi się, że ci hipisi biorą jakieś tabletki, palą papierosy z jakimś świństwem i dostają od tego kręcka. Mogło jej coś zaszkodzić. Poszła nocą na spacer i już nie wróciła.

- Przyjechali! – zawołał Baczkowski, przerywając wywód Frankowskiego.

Patrzyli z ciekawością pomieszaną z niepokojem na zbliżające się zdecydowanymi ruchami cztery postacie. Szelc, stojący nadal nad grajdołkiem, podniósł rękę, wskazując im miejsce zdarzenia.

- Co my tu mamy? – zapytał idący na przedzie mężczyzna w cywilu, nie przedstawiając się Szelcowi.

- Ktoś z powiatowego wydziału kryminalnego – pomyślał Szelc.

Zameldował się i zdał krótką relację z odnalezienia ciała. Wskazał ręką na stojących na brzegu mężczyzn.

- Ten ją znalazł – wskazał Frankowskiego - a ten pilnował, kiedy tamten pobiegł na posterunek – powiedział, skierowując teraz palec wskazujący na Baczkowskiego

- Dobra – usłyszał w odpowiedzi. - Spisaliście ich? Nie? To spiszcie. Na co czekacie!

Szelc odszedł od grajdołka i zbliżył się do czekających na brzegu świadków. Nie był wprawdzie bardzo mocno zaskoczony nieuprzejmym zachowaniem kolegi z wydziału kryminalnego, ale, potraktowany z góry, poczuł się nieswojo. Przygnębiony stanął obok świadków, których przecież dobrze znał i milczał.

- Co? - skomentował sytuację Frankowski. – Przyjechali fachowcy i się rządzą?

- Przyjechali. I dobrze. Znają się na rzeczy – skwitował komentarz Szelc. - Spiszę wasze dane i okoliczności znalezienia zwłok – dodał i wyjął notes, w którym z pamięci zanotował potrzebne informacje.

Potem wszyscy trzej stali bezczynnie. Od czasu do czasu spoglądali na przybyłą z Koszalina ekipę i na wykonywane przez jej członków czynności.

- A pan coś wypatrzył, panie Szelc?- zagadnął mieleńskiego komendanta Frankowski, który znał Szelca dobrze i od dawna korzystał z jego pomocy przy poskramianiu nieposłusznych niszczycieli wydm.

- Panowie, powiem co zobaczyłem, ale te informacje są tylko dla was. I tak jesteście zamieszani w tę sprawę. Na razie wszystko zatrzymajcie dla siebie. Nawet to, że znaleźliście zwłoki – postawił warunki Szelc.

- Oczywiście. Gęba na kłódkę – obiecał Frankowski a Baczkowski skinął potwierdzająco głową.

- Zapisałem sobie wszystkie uwagi – rozpoczął wypowiedź milicjant, zaglądając do służbowego notesu. – Po pierwsze ciało chyba nie jest jeszcze w pełnym stężeniu pośmiertnym, więc umarła po północy. Po drugie nie wiadomo czy utonęła, czy nie. Nie ma plam opadowych na czole i kolanach, nie ma też pomarszczonej skóry palców dłoni, co by świadczyło o utonięciu, opadnięciu na dno i pozostawaniu tam przez dwie, trzy godziny. Jeśli by więc utonęła, to nie mogła być sama, bo ktoś musiałby ją szybko wynieść z wody i ułożyć w ten dziwny sposób na piasku. Ale nie bardzo wiadomo, dlaczego i po co miałby ją położyć w grajdole? Dlaczego w taki sposób? Nie mam pojęcia po co miałby to zrobić. Można więc by było przyjąć, że przyszła tu sama, kąpała się albo i nie, a potem położyła i umarła.

Frankowski spojrzał na Baczkowskiego, jakby chciał rzucić „A nie mówiłem”, a Szelc kontynuował:

– Ale po trzecie nie mogła być sama – sierżant zawiesił głos – bo piasek w grajdole i poza nim został starannie zamieciony! Tak! Ktoś zatarł ślady w grajdole i wokół niego. Widziałem przy grajdole tylko odcisnięte buty pana, panie Frankowski i ślady pana stóp, panie Baczkowski. No i oczywiście zostały tam moje ślady. Ciekawe czy śledczy to zauważy – zaniepokoił się Szelc. – Mógł nie zauważyć, bo teraz cztery osoby chodzą wokół ciała i pewnie wszystko zdeptały. Po czwarte, panowie, ja tę dziewczynę wczoraj widziałem! Przyjechała do Mielna pociągiem z grupą hipisów.

- A nie mówiłem! – tym razem Baczkowski starał się przypomnieć Frankowskiemu swoje wcześniejsze domysły.

- Ja powiedziałem to samo – odparował tamten.

Komendant zakończył wywód a oficer śledczy przywoływał go w tym samym momencie skinieniem ręki.

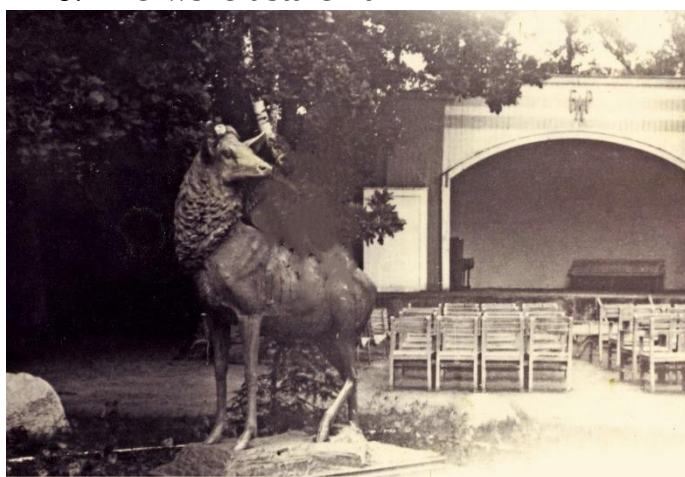
- Idę – powiedział mielnianom milicjant. – Powiem im co zauważyłem. Stójcie tu i czekajcie. Chyba was zabiorą na posterunek i przesłuchają.

- Trudno, czekamy dalej – markotnie odparł Baczkowski, bo już odczuwał zmęczenie wywołane nieprzyjemnymi przeżyciami, a dodatkowo martwił się rodziną, która z pewnością niepokoi się z powodu jego przedłużającej się nieobecności.

– Może zdążę na sumę. Kościół jest naprzeciw posterunku. Stanę pod wieżą, albo na zewnątrz, bo jestem niestosownie ubrany. Żeby nas tylko nie zabrali na przesłuchanie do Koszalina – pomyślał i jeszcze bardziej zmarkotniał.

Wszedł po kolana do wody, żeby trochę oprzytomnieć. O kąpieli oczywiście nie mogło być mowy. Obok jego nóg, tuż pod wodą, pływała wiązka gałęzi.

6. Pierwsze ustalenia



O godzinie dziesiątej miejsce odnalezienia zwłok dziewczyny było już puste, a na oddalonej od centrum Mielna plaży pojawili się nieliczni ciekawscy, którzy wcześniej zauważyli prowadzoną akcję oraz niczego nie domyślający się, także nieliczni, plażowicze. Ciało dziewczyny, jeszcze niezidentyfikowanej, przewieziono do Zakładu Medycyny

Sądowej w Koszalinie. Obecny na miejscu zdarzenia prokurator Zdzisław Kujawa i lekarz sądowy Stanisław Woźniak, po oględzinach i zasięgnięciu informacji u miejscowego posterunkowego sierżanta Czesława Szelca uznali, że prawdopodobną przyczyną zgonu jest nadużycie środków odurzających. Nie wykluczali także podtopienia, ale wszelkie wątpliwości mogła rozstrzygnąć tylko dobrze przeprowadzona sekcja zwłok. Ponieważ nie można było wykluczyć udziału w zdarzeniu osoby lub osób postronnych, ekipa techniczna zebrała ślady, których jednak było niewiele. Zebranie odcisków stóp pozostawionych na piachu nie było ani możliwe ani celowe. Na ciele dziewczyny nie znaleziono śladów przemocy, żadnego materiału biologicznego a pod jej paznokciami nie było naskórka ewentualnego sprawcy. Nic nie wskazywało także na to, że dziewczyna została zgwałcona. Wiązka gałęzi, którą prawdopodobnie zamieciono teren, długo leżała w wodzie i nie znaleziono na niej odcisków palców.

Kierujący ekipą milicji kryminalnej i zespołem technicznym podporucznik Jan Madejski, wieziony przez sierżanta Szelca motorem, udał się do parku przy ulicy 1 Maja. Prokurator i lekarz pojechali do Koszalina, a reszta, w tym dwóch mężczyzn, którzy odnaleźli ciało, przeniosła się na posterunek milicji w Mielnie

Szelc podjechał do parku od strony głównego wejścia, a nie od strony lasu. W parku przerzedziło się. Młodzi ludzie, którzy tam zostali na noc, w większości jeszcze spali otuleni w stare wojskowe śpiwory, pałatki i koce. Inni, już obudzeni, palili papierosy i popijali z butelek piwo. Kilka dziewczyn krzątało się, przygotowując jedzenie. Kilka innych, siedząc jeszcze na prowizorycznych posłaniach, czesało długie włosy.

- Zostańcie przy wejściu i nie wypuszczajcie nikogo – rozkazał Szelcowi Madejski.

- Ale to nic nie da. Z parku wchodzi się wprost do lasu. Tam uciekną – oponował Szelc, bo miał wielką ochotę uczestniczyć w rozmowach z hipisami.

Czuł, że poszłoby mu lepiej niż Madejskiemu. Przecież już ich w jakiś sposób znał i oni też go znali.

- Nie wasze zmartwienie. Wykonać – rzucił oficer i wszedł do parku.

- Najlepiej zacząć od dziewczyn. One powinny ją znać – zawołał Szelc za odchodzącym Madejskim, nie mogąc się powstrzymać.

Ten odwrócił się na jedną sekundę i przeszył go wzrokiem, który mówił więcej niż wymamrotane po cichu przekleństwa.

Komendant czekał na śledczego cierpliwie przy zaparkowanym na ulicy motorze. Kiedy ten wreszcie wrócił, nie odezwał się słowem. Wsiadł na tylnym siodełku i rozkazał:

- Jedziemy.

Kiedy przyjechali na posterunek, Szelc natychmiast zauważył ponurą minę Michała Sikory.

- On też wczoraj zauważył tę nieszczęsną dziewczynę i chyba dobrze ją zapamiętał - pomyślał. – Domyślił się z opisu, że to ona jest ofiarą.

Madejski przesłuchał Frankowskiego i Baczkowskiego. Miejscowych milicjantów nie poprosił o żadne dodatkowe informacje. Poczekał na opuszczenie posterunku przez świadków i krótko zreferował to, czego dowiedział się od hipisów. Jego głos zdradzał znużenie i zniechęcenie.

- Gówniarze zeznali – mówił - że siedzieli do późnej nocy przy ognisku i nie zauważyli wtedy nieobecności żadnej ze znanych im dziewczyn. Podobno dopiero po moim pytaniu zdali sobie sprawę z tego, że brakuje wśród nich ładnej wysokiej blondyny, która przyjechała do Mielna z Prorokiem, więc prawdopodobnie jest z Warszawy. Twierdzą, że Prorok spał gdzie indziej, więc ona pewnie poszła z nim i że w ogóle to może oboje już wyjechali z Mielna, bo dziś i tak wszyscy wyjeżdżają. Nie wiedzą dokąd Prorok się udał i nie wiedzą, czy blondynka miała zamiar z nim jechać.. Nie znali jej nazwiska. Imię także jest zagadką, bo wszyscy mówili do niej Jo. Trzymała się blisko niej jakaś jej koleżanka o imieniu Jolka, ale jej także w parku nie ma i nie wiedzą gdzie jest. Nie było sensu kogokolwiek z nich zatrzymywać – kontynuował Madejski. - Spisałem ich. Znajdziemy w razie potrzeby. Znajdziemy też tego Proroka i tę Jolkę. Sprawdzimy co służby wiedzą o personaliach warszawskich hipisów – zakończył raport oficer. - Jedziemy! – zwrócił się do swoich ludzi.

- Jezu! – jęknął Michał Sikora, gdy tylko ekipa z Koszalina opuściła posterunek. – Ja chyba tę dziewczynę widziałem wczoraj po południu, jak weszła do wody i pływała. Panie komendancie, jak ona świetnie pływała. Zaczęła motylkiem, potem kraulem, a zakończyła krytą żabką. Wszystko w najlepszym stylu. Cała plaża na nią patrzyła z podziwem!

- Nie przesadzaj! – Szelc ostudził emocje podwładnego. – Skąd wiadomo, że to ta sama dziewczyna? Długowłosych blondynek było na pęczki.

- Słyszałem co mówili ci dwaj co ją znaleźli. To na pewno ta dziewczyna – upierał się szeregowy.

- Dobra, zbieraj się. Przypilnujesz, żeby hipisi wynieśli się bez żadnych incydentów. Słyszałeś, że dziś wyjeżdżają. Za dwie godziny dołączę do ciebie. Teraz muszę się zdrzemnąć. Padam na pysk.

Posterunkowy Sikora wskoczył na motor i ruszył ulicą Kościelną. Z kościoła tłumnie wychodzili ludzie, bo właśnie skończyła się suma.

- Kiedy ja ostatni raz byłem w kościele – próbował sobie przypomnieć z przyjemnością patrząc na odświętnie ubrane rodziny. – Chyba w ostatnie wakacje z dziadkami, kiedy jeszcze żyła babcia.

Nie miał jednak czasu na wspominki, bo zauważył nadjeżdżającą z naprzeciwka Warszawę

- Chłopcy ze służb jadą na posterunek. Komendant się nie zdrzemnie – przyszło mu do głowy i, nie wiedząc dlaczego, poczuł ulgę, że zdążył opuścić budynek.

Pojechał prosto do parku i zdziwił się, bo po hipisach zostały już tylko śmieci i poprzesuwane parkowe ławki, które teraz sprzątacze plaży przestawiali na właściwe miejsca. Nie wpuszczali do parku niedzielnych spacerowiczów i z zainteresowaniem przeglądali pozostawione przez młodych ludzi rzeczy.

- A, to pan władza! – zawołał do wchodzącego na teren parku Sikory osobnik, którego młody milicjant poznał dzień wcześniej w opustoszałym biurze Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. – Zapraszamy, zapraszamy! Niech władza zobaczy, jaki burdel zostawili hipisi. No ale od czego my jesteśmy? Jeszcze godzinka roboty i będzie cacy.

- Wszystko co znaleźliście i znajdziecie, złożcie na jednym miejscu – zarządził Sikora, dziwiąc się sam sobie, że wpadł na taki pomysł. – Niczego nie chować.

- Tak jest! Nie ma sprawy – odpowiedział mężczyzna i wrzasnął do pozostałych pracowników:

- Wszystko składać na scenie! Pan władza rozkazał!

Sikora obszedł park dokoła, wszedł na scenę i z góry pilnował, aby znaleziska trafiały we wskazane miejsce. Góra śmieci rosła, więc zaczął je oglądać. Nie było nic ciekawego, ani podejrzanego: puste butelki po mleku i po piwie, zmięte tłuste papiery, pudełka wypalonych

zapalek, puste opakowania po papierosach i wyszczerbione brudne grzebyki. Kilka sznurków kolorowych koralików rozjaśniało ten ponury zbiór.

- Panie władzo – znajomy mężczyzna zbliżył się do sceny. – Ludzie mówią, że rano coś się działo, jakąś martwą kobitkę znaleźliście.

Posterunkowy udał, że nie słyszy ni to stwierdzenia, ni to pytania i powiedział, zeskakując ze sceny:

- Zabierajcie te śmieci.

Wszedł do lasu i zaczął krążyć, szukając sam nie wiedząc czego, po okalających leśną drogę zaroślach. Z niesmakiem omijał świeże jeszcze ekskrementy. Robiąc trzecie okrążenie zobaczył dobrze ukrytą w gęstych zaroślach kolorową damską torbę.

- Jest! – wykrzyknął, jakby od początku wiedział, że jego poszukiwania muszą zakończyć się sukcesem.

Wyszedł z lasu, triumfalnie niosąc znalezisko, szybkim krokiem przeszedł przez park, odpalił motor i ruszył odprowadzany zazdrosnym wzrokiem sprzątaczy.

Na posterunku nie zastał już ubranych po cywilnemu funkcjonariuszy SB, których zobaczył na Kościelnej w samochodzie Warszawa. Komendant był sam i pił kawę ze skwaszoną miną.

- Oni obserwowali taką jedną dziewczynę, która była blisko Proroka. Przyjechała z nim z Warszawy. Wściekali się, że jej nie spisaliśmy, jakby sami nie mogli tego zrobić. Pojechali teraz do Koszalina. Będą sprawdzać, czy ta, którą mieli na oku i topielica, to ta sama osoba. Warszawa pewnie będzie miała jej dane – oznajmił. – Z pewnością mają tam w kartotece swoich aktywnych hipisów.

Sikora wysłuchał komendanta a potem rzucił na biurko znaną torbę. Szelc zaklął głośno.

- Niczego nie ruszałem – zaczął Michał. – Znalazłem w krzakach w lesie niedaleko parku. Nie zaglądałem do środka. Co robimy panie komendancie?

- Sprawdzę co w niej jest i dopiero wtedy powiadomię Madejskiego. Nie będę jechał z tym do Koszalina motorem. Mamy swoją robotę.

Szelc ostrożnie wysypał zawartość torby na biurko: lusterko, pomadka, grzebień, damskie chusteczki do nosa, opakowania po lekarstwach, krem i kilka innych szpargałów. Obmacał torbę i wyczuł twardość na bocznej ścianie.

- Jest tu boczna kieszeń – zauważył i zaczął obmacywać bok miękkiej torby.

Znalazł zamek błyskawiczny, otworzył kieszeń i wyjął z niej dowód osobisty i książeczką Polskiej Kasy Oszczędnościowej. Dokumenty wystawione były na nazwisko Joanna Woźniak. Zdjęcie w dowodzie z całą pewnością przedstawiało znaną dziewczynę. Szelc natychmiast powiadomił telefonicznie Koszalin o znalezisku i personaliach ofiary.

7. Na parafii



Po niedzielnej sumie do zakrystii mieleńskiego kościoła wszedł Marian Baczkowski. Proboszcz, ksiądz Stanisław Bieliński, nie pamiętał nazwiska swego parafianina, bo znał go tyle o ile, czyli tak, jak znał wszystkich tych parafian, którzy ograniczali swą pobożność do uczestniczenia w niedzielnych i świątecznych mszach świętych. W Mielnie, tak jak i we wszystkich polskich parafiach, było bowiem tylko kilka osób, które angażowały się w codzienne sprawy parafii i pomagały proboszczowi uporać się z wciąż pojawiającymi się problemami, a to z parafianami, a to z biskupem, a to z potrzebnymi na utrzymanie kościoła i plebanii pieniędzmi, a to z uczniami odbywającymi w salce katechetycznej lekcje religii. Obowiązków było dużo, pracy i problemów jeszcze więcej. Ale dystans pomiędzy księdzem a parafianami musiał być utrzymany. Bieliński, przedwojenny seminarzysta, pozwalał nawet na

to, by starsi ludzie całowali go w rękę. Chcieli tego, a on wiedział, że pełen szacunku pocałunek nie jest przeznaczony dla niego, lecz dla świętości jego namaszczonych rąk, które trzymały hostię. Przecież kiedy poprzedzany przez ministranta z dzwonkiem szedł z najświętszym sakramentem do chorych albo umierających, ludzie klękali na ulicy nie przed nim, lecz przed Chrystusem.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – przywitał się petent, gdy proboszcz odwrócił się do niego gwałtownie, szarpiąc się z alba, w której zdejmowaniu pomagał mu ministrant.

- Na wieki wieków – odpowiedział po dłuższym milczeniu ksiądz, kiedy wreszcie uwolnił się z krępującej jego ruchy szaty. Teraz czekał na wyjaśnienie powodu wizyty.

- Czy mogę porozmawiać z księdzem na osobności? – zapytał parafianin.

- Proszę czekać pod plebanią – odpowiedział szorstko proboszcz, bo uważał, że wszelkie sprawy parafianie powinni załatwiać w godzinach urzędowania biura parafialnego, a nie w niedziele. Ale cóż. Niektórzy tylko po mszy znajdowali czas, aby odwiedzić proboszcza. Oczywiście zawsze z własnymi problemami.

Ksiądz Bieliński opuścił zakrystię zanim wszyscy wierni opuścili kościół a ministranci ciasną zakrystię. Zamykaniem kościoła zajmował się bowiem pan Zimny, który wprowadzie miał własną pracę, ale nieodpłatnie pełnił, w miarę swoich możliwości czasowych, obowiązki kościelny. On, jego żona i dorastający syn, który był doświadczonym i pełnym poświęcenia ministrantem, należeli do najbliższych zaufanych pomocników i przyjaciół proboszcza. Kilka pobożnych i zacnych mieleńskich matron także należało do parafialnej grupy wsparcia włodarza parafii, ale one służyły przede wszystkim dobrymi radami.

- Cóż to za pilna sprawa panie...- proboszcz stanął przed czekającym na niego mężczyzną i zawahał się, nie mogąc przypomnieć sobie jego nazwiska.

- Baczkowski – podpowiedział parafianin. - Nazywam się Marian Baczkowski.

- Tak, tak, wiem - ksiądz Bieliński przypomniał sobie całą rodzinę Baczkowskich, żonę, dwie dorastające córki, uczęszczające na religię i samego Baczkowskiego. – Do kościoła to pan chodzi, ale nigdy nie spotkałem pana w czasie kolędy – powiedział z wyrzutem.

- Pracuję w Koszalinie. Późno wracam.

- Wszyscy tak się tłumaczą – ostro zareagował proboszcz. – A tak naprawdę to większość mieleńskich mężczyzn unika spotkania z księdzem. Chowają się przed mną, tchórze. Dobrze,

niech pan powie, z czym przychodzi. To musi być jakaś pilna sprawa, skoro niepokoi mnie pan w niedzielę.

- Proszę księdza – powiedział zbity z tropu Baczkowski. – Przepraszam, ale muszę to komuś powiedzieć, a milicja zabroniła mówić nawet rodzinie.

- Milicja panu zabroniła? – zdziwił się proboszcz i stał się nieufny jak zawsze, gdy była mowa o organach ścigania.

Baczniej przyjrzał się parafianinowi i dopiero teraz zauważył, że był on ubrany niedbale, jakby przyszedł do kościoła prosto z pieszej wycieczki lub z plaży.

- No właśnie – Baczkowski zareagował na uważne spojrzenie księdza. – Przyszedłem na mszę prosto znad morza, a właściwie prosto z posterunku, bo przesłuchiwała mnie milicja. Byłem rano na spacerze i znalazłem, to znaczy nie ja, ale Frankowski – plątał się w opowieści – tak właśnie, Frankowski znalazł na plaży martwą dziewczynę. Bardzo młodą. Zobaczyłem go biegnącego od strony Mielenka. Pobiegł na milicję, a ja pilnowałem tej dziewczyny. Wie ksiądz, pilnowałem, żeby jej ktoś inny nie zobaczył.

- Ta dziewczyna jest z Mielenka i dlatego mi to pan mówi?

- Nie, ja jej nie znam. Ona chyba przyjechała na zlot hipisów.

- To dlaczego mi to pan mówi? – nieufnie dopytywał zniecierpliwiony proboszcz, bo milicja i bezpieczeństwa nie raz stosowały wobec niego różne dziwne chwytaki. – Milicja powiadomiona, więc co mi do tego.

- Musiałem o tym komuś powiedzieć. Kazali mi i Frankowskiemu nie nikomu nie mówić. Chyba boją się paniki wśród wczasowiczów. No i boją się też tych hipisów. Pomyślałem, że ksiądz powinien wiedzieć. Sprawa i tak się wyda.

- Z Bogiem. Niech pan wraca do żony i dzieci. – odpowiedział zdecydowanie ksiądz Bieliński.

Nie zwykł ufać posłańcom przynoszącym niespodziewane sensacyjne wieści. Odwrócił się i wszedł na schody prowadzące do drzwi plebanii.

Ksiądz Bieliński nie mógł spoufalać się i bratać ze swoimi parafianami. Zbyt dobrze znał sposoby działania służb bezpieczeństwa. Mało kto w Mielenie wiedział, że przeżył wywózkę do Kazachstanu i cudem udało mu się wrócić do Polski, tej dziwnej Polski, w nowych

powojennych granicach i pod sowieckim dyktatem. Miał w swojej parafii grono zaufanych ludzi, ale i wobec nich był powściągliwy. Nie chciał, aby wiedzieli zbyt dużo. Nie chciał bowiem, aby także oni stali się obiektami działań bezpieki.

- Ludzie mówią, że coś się stało nad morzem – oznajmił Zimny, gdy wstąpił na plebanie po zamknięciu kościoła. – Pewnie znów się ktoś utopił, jak co roku. Ludzie są tacy nieostrożni. A najbardziej młodzi. Nie znają morza. Nie czują przed nim respektu. Nie wystarczy dobrze pływać, aby nie utonąć. Morze pokona każdego, kto nie docenia jego siły.

- Tak, słyszałem – odpowiedział ksiądz Bieliński. – Podobno to była młoda hipiska. Jedna z tych, co to przyjechali do Mielna w ostatnich dniach.

- Taak? – zdziwił się Zimny. – Widziałem dziś w kościele na obu porannych mszach kilku dziwnie ubranych młodych ludzi. Stali na zewnątrz. Ani grosza nie wrzucili na tacę, a jeden to nawet zabrał z tacy monetę, ale roześmiał się i oddał. Czytałem w „Tygodniku Powszechnym”, że hipisi to młodzież zagubiona, pokojowo do wszystkich nastawiona, ale potrzebująca duchowego przywództwa. Ksiądz Boniecki tak o nich pisze. Podobno jest ich coraz więcej. W Warszawie, Krakowie i Poznaniu to nawet księża pozwalają im grać tę ich hałaśliwą muzykę na specjalnie dla nich odprawianych mszach. Nazywają je msze beatowe. Podobno nawet powstają specjalne kompozycje.

- Nie sędzę, żeby próby przypodobania się młodzieży przyniosły coś dobrego – skomentował wypowiedź proboszcz. – Najpierw młodzież trzeba porządnie wychować, dać jej dobry przykład, wymagać od niej, a dopiero potem pozwolić na wprowadzanie zmian. To dotyczy także Kościoła. Na szczęście młyny kościelne miały powoli. A co ludzie mówią o tych, którzy przyjechali do Mielna? Jak się zachowują?

- Różnie mówią. Jedni, że są kolorowi, młodzi i radośni, a inni, że hałaśliwi, pijani albo dziwnie nieprzytomni. Jeszcze inni w ogóle nie chcą ich znać, bo twierdzą, że są to brudasy, nieroby, uprawiają wolną miłość i nie mają moralnych hamulców.

- Słyszałem! – ostro rzucił kapłan, który znał wszystkie ludzkie grzechy oraz słabości i dobrze wiedział, że i wśród nie-hipisów zdarzają się ludzie bez zasad. – Idę dziś na obiad do pani Królowej. Porozmawiam z nią. Ona dużo czyta i wszystkim się interesuje. Zna życie. Dużo rozmawia z ludźmi, bo przychodzą do niej po radę. Warto posłuchać co ma do powiedzenia w sprawie dzisiejszej młodzieży – poinformował Zimnego.

- Stanisławie! – mówiła do proboszcza pani Królowa krążąc z wrodzonym spokojem i godnością pomiędzy pokojem stołowym a kuchnią. – Jeśli Kościół nie zajmie się tą zbuntowaną młodzieżą, to prędzej czy później zajmie się nią partia. Na pewno już ich obserwują służby. Po marcu młodzież jest pod stałą kontrolą, sam o tym najlepiej wiesz. Będzie wśród nich coraz więcej konfidentów, bo łatwo jest zaszantażować młodego człowieka.

Ksiądz Bieliński ze smakiem zjadał pierwsze danie. Zasedli – on, pani Królowa i jej mąż – w pięknie urządzonym pokoju, który pełnił rolę jadalni, salonu oraz biblioteki. Ściany były zabudowane oszklonymi półkami, półki wypełnione książkami, a duży stół z ciemnego drewna o bogato rzeźbionych nogach stał w najjaśniejszym miejscu, czyli pod dwuskrzydłowymi drzwiami prowadzącymi na taras. Drzwi tarasowe były szeroko otwarte. Z otaczającego dom sosnowego lasu dochodził mocny zapach suchego igliwia. Obiad, jak zwykle u pani Królowej, składał się z trzech dań i został podany na eleganckim porcelanowym serwisie. Zaczął się od chłodnika na botwinie zabelonego śmietaną, na drugie danie miało być pieczone kurczę z farszem po polsku, młode ziemniaki z koperkiem i sałata – apetyczny zapach pieczonego drobiu rozchodził się po całym domu - a na deser gospodyni zapowiedziała ciasto drożdżowe z rabarbarem i kruszonką, mocną kawę i równie mocną nalewkę wiśniową własnej roboty.

- Mam nadzieję, że wygoniłam z sałaty wszystkie ślimaki – zaśmiała się gospodyni stawiając salaterkę na stole. – Przyniosę jeszcze kurczaka i będziemy mogli spokojnie porozmawiać – dodała podnosząc głos, bo właśnie zniknęła za drzwiami salonu z zebranymi ze stołu głębokimi talerzami.

Mąż pani Królowej był od dawna chory i rzadko się odzywał, ale erudycja i elokwencja żony nie pozwalała gościom na nudę.

- Tak więc – kontynuowała kobieta po powrocie do stołu – zgadzam się z księdzem Bonieckim, który napisał w „Tygodniku Powszechnym”, że hipisi potrzebują duchowego przewodnictwa. Zobaczysz Stasiu – znów zwróciła się do proboszcza po imieniu - że i w Mielnie wkrótce pojawią się hipisi, nasi, tutejsi, nie z Warszawy. I co? Zostawisz ich samych sobie, wyklniesz ich z ambony?

- Co też ty mówisz Marysiu – odpowiedział ksiądz, przełknąwszy kęs soczystego mięsa pokryty chrupiącą złocistą skórką. – Ja znam mieleńską młodzież od dziecka. Chrzciłem ich, prowadziłem do pierwszej komunii i przygotowywałem do bierzmowania. Myślisz, że nie

będę umiał przemówić im do rozumu, że nie będą chcieli mnie słuchać, bo uwierzą w jakieś światowe brednie?

- Musisz się na to przygotować - odpowiedziała gospodyni, a on wiedział, że kobieta ma rację. – Hipisi noszą na szyjach duże krzyże, ale wcale nie dlatego, że szanują księży i katolickie zasady. Myślą raczej, że Jezus był hipisem, anarchistą i pacyfistą. Głosił powszechną miłość i za nic miał prawa rządzące starym światem. Dla nich Jezus jest rewolucjonistą wywracającym stary porządek. Wolność, swoboda i korzystanie z życia bez niepotrzebnych ograniczeń i męczących obowiązków, to pociąga młodych ludzi. Za tym pójdą, nie za dyscypliną i trudami, z którymi musieli i wciąż muszą się borykać ich rodzice.

- Ale życie nauczy ich porządku i dowiedzą się, kogo warto słuchać, za kim iść – ksiądz Bieliński opierał się jeszcze przekonującym argumentom swej rozmówczynie.

- W końcu ich nauczy, ale dla wielu już będzie za późno – ripostowała starsza pani. – Wiesz, że przysłała moda na zażywanie narkotyków. I nie ogranicza się ona do artystycznego światka, do cyganerii. Te prawie jeszcze dzieci wachają jakieś specyfiki, odurzają się, po prostu się trują. Rodzice są bezsilni. Zresztą zawsze pojawiali się fałszywi prorocy i zwodzili młodych ludzi odrywając ich od tradycji. Teraz będzie tak samo. Młodzi ludzie garną się do wspólnoty, do życia według wyidealizowanych ale łatwych reguł. Wkrótce wszystkie zbłąkane młode dusze będą przyłączać się do hipisów, bo dostaną od nich to, czego pragną, czyli akceptację niezależną od statusu społecznego i pieniędzy, poczucie bezpieczeństwa i bez troski.

- Słyszeliście? – zapytał ksiądz gospodarzy, wstając od stołu i zbierając się do wyjścia po deserze, wypiciu mocnej kawy i kieliszku nalewki. – Znów ktoś się utopił. Podobno hipiska.

Gospodarze, starsi państwo żyjący w zaciszu swego domu stojącego pośród sosnowego lasu, nie wiedzieli o nowym przypadku utonięcia.

- Biedna dziewczyna – pomyślała pani Królowa, zamykając drzwi za proboszczem. – I biedni rodzice. Nie ma gorszej tragedii niż utrata dziecka.

Rozmowa z panią Królową na tyle zmartwiła księdza Bielińskiego, że opuszczając późnym popołudniem goszczący go dom, poszedł do mieleńskiego parku, aby na własne oczy zobaczyć hipisów. Zastał w nim jedynie spacerowiczów i bawiącą się w berka dzieciarnię.

- Zawracanie głowy – pomyślał. – Straszili już nas muzyką jazzową, bikiniarzami i innymi amerykańskimi wynalazkami. Wszystko to morska piana, która wkrótce zniknie. Prawdziwe niebezpieczeństwo to komuna, a ona ma się dobrze i ludzie powoli nią nasiakają.

8. Wyciszenie



Sekcja zwłok Joanny Woźniak wykazała, że ofiara utopiła się. W powiększonych płucach dziewczyny wykryto morską wodę. We jej krwi znaleziono co prawda znaczną ilość środków farmaceutycznych, ale to nie one przyczyniły się do śmierci. Nic nie wskazywało też na to, że Joanna nie utopiła się sama, lecz została utopiona. Nie miała na ciele śladów przemocy. Żadnych siniaków, zadrapań, złamań. Niewyjaśniona pozostawała jednak tajemnica, która kryła się za ułożeniem jej ciała w grajdole i zamieceniem śladów stóp na piasku. Wzięto pod uwagę wersję, że Joannę wyciągnęła z wody osoba jej towarzysząca, albo przypadkowa, która, nie chcąc być zamieszana w sprawę, ułożyła ciało na piasku i zatarła ślady. Nie sposób było ustalić, biorąc pod uwagę ponad setkę rozbawionych młodych ludzi, kto mógł feralnej nocy być z Joanną.

Warszawska milicja przepytала kilka osób ze środowiska dziewczyny, które także uczestniczyły w zlocie. Najważniejszym świadkiem była koleżanka Joanny. Nazywała się Jolanta Kmiecik. Przerażona dziewiętnastolatka przyznała, że razem z Joanną bawiły się z innymi uczestnikami zlotu przy ognisku na plaży, że późnym wieczorem Joanna zostawiła swoją torbę pod jej opieką, bo, jak twierdziła, ma zamiar iść na nocny spacer i nie chce jej dźwigać. Jolanta nie wiedziała, czy koleżanka była z kimś umówiona, czy nie. Od ogniska odeszła sama i poszła w przeciwną stronę niż ta, w której rano dnia następnego znaleziono jej ciało. Długo nie wracała, więc Jolanta zostawiła torbę komuś, kto miał zamiar dłużej zostać przy ognisku. Sporo wypila, paliła skręty, więc nie pamiętała, kto to był. Ona i jej chłopak poszli spać do namiotu, który rozbili, za zgodą mieszkańców i za niewielką opłatą, na podwórzu domu stojącego blisko plaży, chyba przy ulicy Orła Białego. Było to miejsce oddalone od parku, ale spokojne i bezpieczne. Większość drogi do namiotu przebyli plażą.

Nie spotkali Joanny, ale nie zdziwiło ich to, a nawet nie zwrócili na to uwagi, bo dużo młodych ludzi siedziało do rana nad morzem, kąpało się i spacerowało. Nie przyglądali się nikomu, bo byli zajęci sobą. Przed południem w niedzielę zwinęli namiot i ruszyli piechotą przez Mielno. Doszli do wylotówki na Koszalin. Do Koszalina zabrała ich nyska, której numeru rejestracyjnego i koloru Jolanta nie zapamiętała. Do Warszawy pojechali nocnym pociągami. Do domu dotarła w poniedziałek rano.

Przesłuchany później chłopak Jolanty, kilkoro jej znajomych, a także jej rodzice, potwierdzili zeznania dziewczyny. Trzeba było przyjąć, że torbę ofiary pozostawiono na plaży, albo w jakimś innym miejscu, a ktoś, kto ją znalazł zabrał pieniądze, a torbę wyrzucił w krzaki. Dlaczego nie zabrał dowodu i książeczki PKO nie wiadomo. Prawdopodobnie uznał posłużenie się obcymi dokumentami za zbyt niebezpieczne.

Pozostawało jeszcze wyjaśnienie, gdzie podziało się ubranie Joanny. Znalezione ją w stroju kąpielowym a z zeznań świadków wynikało, że kiedy odchodziła od ogniska była w ubraniu. Ubranie mogło jednakże być gdziekolwiek. Schowane na wydmach, albo zakopane w piasku na plaży.

Zrozpaczeni rodzice Joanny, Henryk i Wanda Woźniakowie, nie chcieli drażenia sprawy śmierci ich jedynaczki przez milicję i służby bezpieczeństwa. Zostali o niej powiadomieni w brutalnej formie i wezwani do Koszalina. Droga z Warszawy do Koszalina była koszmarem. W głowach mieli natłok myśli, a w sercach ból. Pomimo załamania nerwowego, którego oboje doznali, obawiali się podważenia ich jeszcze wciąż niepewnej sytuacji w warszawskim środowisku partyjnym. Sami dopiero teraz dowiedzieli się, w jakim ich córka przebywała towarzystwie i co się z tym łączyło. Ich rozpacz co rusz przechodziła w złość i niedowierzanie. Złość czuli do córki za to, że tak szybko oddaliła się od nich, nie zwierzała się i zaczęła działać nieodpowiedzialnie stwarzając zagrożenie dla ich zawodowej pozycji i dla siebie samej. Złoscili się także na siebie nawzajem, zarzucając sobie wzajemnie brak rodzicielskiego zainteresowania. Niedowierzali natomiast temu, że ich pełne sukcesów życie mogło tak nagle zmienić się w stan niepewności. Stracili jedyną córkę a teraz mogli stracić także stanowiska.

Przesłuchania prowadzone przez koszalińskich milicjantów pogłębiły ich rozpacz i dezorientację. Nie potrafili odpowiedzieć na wiele zadawanych pytań, a domyśliwszy się, że przesłuchujący chcą się od nich jak najwięcej dowiedzieć o koleżankach i kolegach Joanny, mniej interesując się jej tragiczną śmiercią, starali się mówić mało i dawać lakonicznie

odpowiedzi. Jakiś czas po sekcji zwłok prokurator wydał im ciało córki i mogli wrócić z nią do domu. Niestety tylko po to, aby ją pochować.

- Dowiedziałem się, że zamknięto sprawę naszej hipiski – poinformował Michała Sikorę komendant Szelc wchodząc rankiem pewnego sierpniowego dnia do ich wspólnej izby na posterunku. – Utopiła się biedaczka i ktoś ją za późno wyciągnął, potem przestraszył się, położył ciało w grajdole i zwiął. Z pewnością był z nią jeden z tych odurzonych tchórzliwych chłystków. Szkoda dziewczyny. Lipcowi wczasowicze dawno wyjechali i zapomnieli o sprawie, ale ludzie z Mielna gadają i wymyślają niestworzone historie. Słyszałem od Nowakowej, tej, która sprząta ulice i pilnuje szaletu, że do Mielna wrócił szaleniec, który topi dziewczynki. Ty nie wiesz, ale dobrych kilka lat temu utonęły u nas trzy dziewczynki z Mielna. Był koniec roku szkolnego, koniec czerwca. Trzy jedenastolatki, dwie siostry i ich koleżanka, poszły na plażę pod opieką jednej z matek. Bawiły się na brzegu i nagle zniknęły. Nikt nic nie słyszał, nikt nic nie widział. A ludzi na plaży było mnóstwo. Wyłowiono je z morza, ale już było po wszystkim. Jedną chyba ktoś próbował ratować metodą „usta usta”, ale bez powodzenia. Co to była za tragedia! Na pogrzeb poszło całe Mielno. Pochowano je razem na starym cmentarzu przy kościele. I wyobraź sobie, że teraz mieleńskie plotkary sobie o nich przypomniały i straszą ludzi, że tamte dzieci utopił szaleniec, który po latach powrócił. Kiedy doszły do mnie te plotki, poszedłem pod sklep mięsny, pod którym zawsze stoi kolejka, bo kobiety czekają, aż Stasio sprzedawca przywiezie towar z Unieścia i zakazałem im gadania głupot. „Nie straszcie wczasowiczów” – powiedziałem – „bo uciekną i figę zarobicie”. Ludzie z Mielna zarabiają w sezonie letnim na resztę roku. Zwłaszcza kobiety, bo nie mają stałej pracy. Latem prowadzą domowe stołówki dla wczasowiczów. Proste jedzenie, ale smaczne. Harują w dzień i w nocy. Przygotowują trzy posiłki dziennie dla kilkudziesięciu osób, wydając śniadania, obiady i kolacje w kilku turach. Wystają w sklepowych kolejkach, tkwią całe dnie w upale przy węglowych kuchniach i dźwigają tysiące wiader wody do gotowania i zmywania. Czasami widują jedną taką sezonową kucharkę jak obiera w nocy kartofle pod uliczną latarnią. Nie uwierzyłbym w coś takiego, gdybym nie widział na własne oczy. Ale, ale, ty zamiast jadać byle co w „Mewie”, mógłbyś się stołować na przykład u Zielińskiej. Ona z całego Mielna najlepiej gotuje – kończąc swą długą przemowę poradził komendant młodszemu koledze.

- Ale czy to jest legalne? – zastanawiał się Michał. – Boję się też zatrucia.

- W „Mewie” to się dopiero możesz zatruć. Oczywiście, że działają legalnie. Jakżeby inaczej. Przecież sanepid kontroluje domowe stołówki.

Michał Sikora nie był przekonany co do jakości jedzenia podawanego przez mieleńskie sezonowe kucharki. Nie wierzył też w solidność kontroli przeprowadzanych przez sanepid. Przecież nie raz słyszał, że kontrolerom wystarczy dać łapówkę, żeby nie czepiali się grubszych i drobniejszych uchybień.

- Każdy chce zarobić – stwierdził młody człowiek ze smutkiem, ale także ze zrozumieniem.

W „Mewie” jedzenie było monotonne – bigos, schabowy, parówki, gulasz i tym podobne – ale przynajmniej można było mieć nadzieję, że kierownik lokalu pilnuje, żeby nie truć gości, bo zbiorowe zatrucie mogłoby na zawsze pozbawić go posady.

Myśląc o jedzeniu poszedł na górę do pokoju, który mu przydzielono na czas służby. Skończył nocny dyżur i zamierzał położyć się do łóżka. Zjadł wczorajszą bułkę i wypił mleko z butelki, które zdążyło już się zsiąść. Umył się w misce, otworzył okno i padł na zmiętą i niezbyt czystą pościel. Myślał o utopionej dziewczynie, o Joannie. Zamknął oczy i widział jej smukłe ciało, wysoko upięte jasne włosy, kołyszący chód i zgrabne, jakby pozbawione wysiłku ruchy wytrawnej pływaczki. Potem ten piękny obraz zaczął go dziwnie niepokoić. Dziewczyna zniknęła pod wodą, a potem wynurzała. On stał na brzegu i patrzył. Kiedy nagle wyłoniła się z wody tuż przed nim, przestraszył się, a ona, z nieprzytomnymi wielkimi błękitnymi oczami, minęła go bez słowa i poszła w stronę Mielenka. Plaża, przedtem zatłoczona, opustoszała i widział tylko ją, idącą w pełnym słońcu wolnym krokiem brzegiem spokojnego jak najspokojniejsze jezioro morza. Wiedział, że gdzieś tam dalej czeka na nią nieokreślone niebezpieczeństwo, więc usiłował ją zawołać, ale głos nie wydobywał mu się z gardła. Zaczął więc biec, a ona nagle zniknęła mu z pola widzenia. Jego stopy, ciężkie jak z ołowiu, grzęzły w piasku, upadał i próbował się czołgać. Potem, nagle, stał na brzegu i patrzył na horyzont. Jego wzrok skupił się na wodzie – coś w niej pływało. Nie wiedział co to jest, ale znów przestraszył się i odwrócił twarzą do plaży. Słońce świeciło mu w oczy, powieki opadały. Ośłonił oczy dłonią i wtedy zobaczył, że plaża znów jest wypełniona opalającymi się ludźmi. Szedł wśród starannie usypanych grajdołków. Kilka z nich tworzyło równy rząd równoległy do brzegu. Leżały w nich nagie młode kobiety. Były piękne, ale jego przeszył dreszcz zgrozy, bo zdał sobie sprawę, że są martwe.

Obudził się zlany potem z dziwnym uczuciem podniecenia i przerażenia. W pokoju było gorąco, a przez otwarte okno wpadały wprost na jego twarz słoneczne promienie. Zerwał się

z łóżka, otrząsnął, przemył twarz zimną wodą i postanowił, że pójdzie do „Mewy”, zje porządne spóźnione śniadanie i wypije zimne piwo.

- Albo nie, pójdę do Kruka. Tam zawsze mają świeże serdelki – zmienił nagle zdanie.

Wybrał letni bar prowadzony przez pana Kruka, bo aby do niego dotrzeć, musiał przejść nie tylko ulicę Kościelną, ale także Lechicką i połowę Chrobrego.

- Spacer dobrze mi robi – stwierdził, ubrał spodnie Odry, niebieską bawełnianą koszulkę z krótkim rękawem, sandały i wyszedł z budynku posterunku nie zaglądając do biura. Przed budynkiem nie było motoru. Komendant wyruszył na patrol.

Michał Sikora w cywilnym ubraniu wyglądał lepiej niż w mundurze. Mundur go postarzał a milicyjna czapka przygniatała i zakrywała jego gęste, krótkie, lekko falujące jasne włosy. Zaczesał je do góry, aby uwydatnić ładnie ukształtowane płaskie czoło. Boki miał oczywiście krótko wystrzyżone, żeby włosy nie sterczały spod czapki. Na modne długie bokobrody, których zazdrościł cywilom, jako funkcjonariusz nie mógł sobie niestety pozwolić. Swobodny strój uwydatniał jego słuszny wzrost i proporcjonalną budowę ciała. Świetnie wyglądałby opalony. Pomimo służby w letnisku jego ciało było białe jak płótno, bo zmienne godziny dyżurów i zmęczenie nie sprzyjały bywaniu na plaży, a ponieważ wstydził się pokazywać swą błądźć pośród czekoladowych ciał plażowiczów, nigdy i nigdzie nie korzystał ze słońca i morskich kąpeli. Lubił sport. Dobrze grał w piłkę nożną i szczypiorniaka. Praca w milicji nie była jego marzeniem zawodowym, ale jemu, chłopcu ze wsi, dawała możliwość wyrwania się do miasta, otrzymania mieszkania i, co ważne, pomagania starzejącym się rodzicom. Starszy brat został z nimi na gospodarstwie. Ożenił się, szybko spłodził troje dzieci i rozpił się tak, że rodzice nie tylko nie mogli na niego liczyć, ale musieli wspierać jego zapracowaną i coraz bardziej znerwicowaną żonę. Michał z niepokojem myślał o zbliżających się żniwach, o tym, że wyśle rodzicom pieniądze zarobione w Mielnie – sam niewiele wydawał – żeby zapłacili komuś za pomoc przy żniwach i o tym, że pewnie, jak zwykle, rodzice będą harować sami a pieniądze oddadzą synowej.

- Pojadę do domu na wykopki – postanowił, rozchmurzył się i wreszcie przytomniej spojrzał na mijane miejsca i przechodzących obok ludzi.

Szedł ulicą Chrobrego. W centrum Mielna, po drugiej stronie ulicy, w głębi placu znajdującego się za kioskiem Ruchu, stał pawilon handlowy, w którym mieścił się sklep spożywczy oraz, osobno, sklep z kosmetykami, artykułami gospodarstwa domowego i

wszystkim tym, czego poza jedzeniem i napojami najbardziej potrzeba do codziennego życia. Wiedział od komendanta, że sklep spożywczy prowadzi małżeństwo Bednarzów na spółkę z drugim małżeństwem, Zenonem i Bogumiłą Piotrowskimi. Komendant kazał mu od czasu do czasu obserwować późnymi wieczorami obiekt, bo twierdził, że Józef Bednarz i jego żona Leokadia zwana Lolą, to zawzięci kombinatorzy i spryciarze.

- Zdaje mi się, że Szelc jakoś ich szczególnie nie lubi – pomyślał młody milicjant. – Przecież w Mielnie wszyscy kombinują jak tylko mogą. Całe Mielno żyje z lata. Ludzie zabezpieczają się na jesień, zimę i wiosnę, bo przez prawie dziesięć miesięcy mieleńskie kobiety muszą utrzymać dom z jednej męzowskiej pensji. Nie wszyscy mają takie szczęście jak małżeństwo Bończów, które przez cały rok prowadzi kiosk Ruchu w centrum, a do tego jeszcze stację benzynową po drugiej stronie ulicy.

Skręcił za stację benzynową, żeby sprawdzić repertuar w kinie „Fala”. Samo kino ukryte było w głębi podwórza, na tyłach ponemieckiego reprezentacyjnego hotelu, którego dawnej nazwy nikt już nie pamiętał. W dawnym hotelowym budynku, tak jak i w pozostałych mieleńskich ponemieckich pensjonatach i największych willach, rozgościł się teraz Fundusz Wczasów Pracowniczych, a niemieckie nazwy zmieniano na polskie i to koniecznie kojarzące się z morzem. Kino „Fala” działało przez cały rok a zawiadujący nim państwo Misiewiczowie dbali podobno o to, aby wyświetlać najbardziej aktualne i ambitne filmy. Latem, nad jeziorem Jamno, działało też kino letnie, bardzo lubiane przez wczasowiczów.

Sikora przeczytał wszystkie informacje wywieszone w szklanej gablocie. Sezonowy repertuar w kinie „Fala” okazał się jednak trochę przestarzały i zbyt romantyczny. Widział już wcześniej western „Siedmiu Wspaniałych”, a na łzawe romansidło „Przeminęło z wiatrem” wychwalane przez znajomych nie miał ochoty. W kinie letnim, późnym wieczorem, puszczano „Działa Navarony”. Nie widział tego wojennego filmu, a bardzo by chciał. Pora seansu była jednak niedogodna. Miał w tym czasie służbę.

- Szkoda, że na komendzie nie ma telewizora. Może powtarzają Kapitana Sowę - pomyślał i ruszył dalej.

Bar „U Kruka” stał nieopodal. Była to zwykła drewniana budka kryta papą, ale posiadała sympatyczny ogródek z żelaznymi stolikami chronionymi przed nadmiernym nagrzaniami kolorowymi parasolami. Właściciel baru, pan Kruk, nie serwował wymyślnych dań, ale podawane u niego serdelki i bułki były zawsze świeże, a kuflowe piwo dobrze schłodzone. Michał Sikora wszedł do budki, zakupił stały zestaw i usiadł przy jednym ze stolików w

ogródka. Klientów nie było wielu. Lokal zapełniał się dopiero wieczorem. Dwóch starszych zaniedbanych amatorów zimnego piwa zajmowało pobliski stolik i dyskutowało zawzięcie. Zamilkli natychmiast, gdy tylko rozpoznali w sąsiedzie milicjanta po cywilnemu. Wkrótce zaczęli szeptać coś między sobą i wyraźnie wypychać jeden drugiego, aby zaczął Sikorę.

- Panowie – zwrócił się do nich wyprzedzająco. – O co chodzi?

Mężczyzna zajmujący miejsce bliżej stolika przy którym siedział milicjant, wstał i ociągając się podszedł i stanął naprzeciw niego.

- Panie władzo, my tak raczej nieoficjalnie chcemy coś panu pokazać, albo raczej przekazać – powiedział bardzo grzecznie, kłaniając się przy tym nisko.

- O co chodzi? – powtórzył Sikora zaskoczony szarmanckim zachowaniem zaniedbanego piwosza.

- Pozwoli władza, że się przysiędę?

- Siadaj pan i mów wreszcie o co chodzi.

Mężczyzna stał jednak nadal przy stoliku i zawzięcie grzebał w kieszeniach spodni. Po dłuższych poszukiwaniach wyjął coś, położył przed milicjantem i dopiero wtedy usiadł.

- Co to jest?! – zdziwił się Sikora. – Co mi tu kładziecie!

- Panie władzo – konfidentycznie wyszeptał piwosz. – My to znaleźli na plaży. Tam, gdzie utonęła ta piękna hipiśka. Ale cicho sza. Niech pan to weźmie, odda komu trzeba, a o nas zapomni. My do niczego się nie przyznamy, Nas tam i tu w ogóle nie było.

Mężczyzna wstał i kiwnął na kolegę. Tamten szybko dopił piwo z kufła, także wstał, uklonił się równie szarmancko jak kolega, a następnie obaj lekko chwiejnym krokiem opuścili ogródek. Zaskoczony milicjant nie zdążył zadać im ani jednego pytania. Przed nim na stole leżały splątane kolorowe koraliki.

9. Nagłe uderzenie



Pod koniec sierpnia w Mielnie, tak jak w całym kraju, zapanowały niepokój i konsternacja. Mieszkańcy, sezonowi pracownicy, a nawet wypoczywający w Mielnie wczasowicze rozmawiali przede wszystkim o wkroczeniu wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji. Oczywiście rozmowy prowadzono dyskretnie i między osobami, którym można było zaufać. Niektórzy, obawiając się rozlania zamieszek na cały blok wschodni, opuścili wczasowisko i wrócili do domów. Zbliżał się nieuchronnie koniec wakacji i czasu urlopowego. Mielno jakby ucichło przytłoczone troską o przyszłość i dramatem rozgrywającym się tuż za polską granicą. Ogólne przygnębienie nasilał słyszany nocami chrzęst gąsienic i ryk silników, gdy czołgi i samochody wojskowe opuszczały jednostkę w Unieściu. Rano, na betonowych poniemieckich płytach, którymi wyłożona była główna ulica Mielna, po czołgach pozostawały białe szerokie zarysowania, a po samochodach czarne plamy oleju. Życie więc tylko na pozór toczyło się normalnie. Plaża była jeszcze wciąż zapelniona. Sierpień kończył się słoneczną i ciepłą pogodą, więc do pozostałych w Mielnie przyjezdnych licznie dołączała koszalińska młodzież, chcąc wykorzystać ostatnie dni wolne od szkolnych obowiązków.

W niedzielę rano 25-tego sierpnia Ewa Wypych umówiła się z dwiema przyjaciółkami przed domem towarowym „Saturn” w Koszalinie. Stamtąd, już razem, poszły na dworzec PKS. Autobus do Mielna odjeżdżał z ostatniego stanowiska i podchodząc zorientowały się, że mogą nie dostać się do autobusu, bo na stanowisku kłębił się tłum podenerwowanych amatorów niedzielного wypoczynku. Na stojącego jeszcze na placu manewrowym Jelcza, nazywanego potocznie „ogórkiem”, czekały grupy rozbawionej młodzieży, rodziny z małymi dziećmi,

opaleny samotni panowie i starsze panie w kapeluszach. Prawie wszyscy dorośli trzymali w rękach wypchane jedzeniem i piciem torby, koce i parawany. Dzieci miały za zadanie pilnować swoich łopatek, wiaderk, foremek i plażowych piłek. Atmosfera wśród czekających była napięta i w powietrzu prawie materializowała się ich główna myśl: „jak zmylić pozostałych i, pomijając prowizoryczną kolejkę, złapać za klamkę autobusowych drzwi”. Można więc było łatwo przewidzieć dalszy ciąg zdarzeń. Autobus, zapowiadany przez megafon na chwilę przed wyznaczoną godziną odjazdu, podjedzie na stanowisko, tłum rzuci się do przednich drzwi, bo tylne jak zwykle będą zamknięte, a rozdrażniony konduktor stanie w przednich drzwiach na najwyższym stopniu i, przedzierając papierowe bilety zakupione w dworcowej kasie, z trudem będzie opierał się napierającym ludziom. Podda się dopiero wtedy, gdy ktoś już wpuszczony do środka otworzy od wewnątrz tylne drzwi Jelcza i sytuacja całkowicie wymknie się spod kontroli. Pod koniec rozgrywającego się dramatu nieuprzejmy z natury kierowca dołączy do konduktora i grożąc odwołaniem kursu, skutecznie zniechęci nieszczęśników, którym nie udało się wpełznąć do środka, zamknie drzwi, spłaszczając i tak już wciągnięte brzuchy stojących przy drzwiach pasażerów, włączy silnik i ruszy. Podczas jazdy stłoczeni ludzie jakby się z lekka ubiją i już na wylotówce z Koszalina okaże się, że kilka osób mogłoby się jeszcze zmieścić. Ale na pośrednich przystankach kierowca i tak się nie zatrzyma, pozostawiając na tak zwanym lodzie rozpaczliwie machających potencjalnych pasażerów.

- Dziewczyny – powiedziała Ewa – idziemy na stopa. Dobrze, że nie kupiliśmy biletów. Będziemy miały więcej na żarcie.

Ewa, Teresa i Dzidka, siedemnastoletnie uczennice I Liceum Ogólnokształcącego w Koszalinie, wyglądały świetnie i były w doskonałych nastrojach. Miały przed sobą cały letni dzień. Nie musiały się śpieszyć. Ulicą Morską, którą jechało się do Mścic, aby w Mścicach skręcić w prawo do Mielna, szły leniwie, śmiejąc się i rozmawiając. Radośnie machały do kierowców przejeżdżających ulicą pojazdów. Wreszcie stanęły na wylocie z miasta i na zmianę, podnosząc w górę kciuki, zatrzymywały nadjeżdżające samochody. W samochodach najczęściej był niestety komplet pasażerów i nadmiar bagażu. Starsi kierowcy patrzyli na nie z uśmiechem albo z dezaprobatą. Młodszy zwalniali i rozkładali ręce dając znać, że chętnie by je zabrali, lecz niestety nie mają miejsca. Mniej uprzejmi udawali, że ich nie widzą, a co niektórzy, zbliżając się, z satysfakcją naciskali klakson i pedał gazu. Dziewczyny nie traciły jednak dobrego humoru. Postanowiły jechać osobno. Dwie kryły się za przydrożnym drzewem, jedna zatrzymywała samochody. W ten sposób po niespełna dwóch godzinach

znów były razem, bo, zgodnie z umową, spotkały się pod kioskiem Ruchu w centrum Mielna. Ruszyły ulicą Kościuszki prosto na plażę, ciesząc się na czekające je prążenie się w słońcu, morskie kąpiele, wesołe pogawędki z poznanymi na plaży chłopcami, obiad w barze, lody i wreszcie na romantyczny wczesny wieczór, kiedy to zamierzały patrzeć na zachód słońca, siedząc w wiklinowych koszach opuszczonych wreszcie o tej porze przez zapobiegliwych wczasowiczów. Zakończeniem letniego dnia miał być seans filmowy pod gołym niebem w otwartym do końca sierpnia letnim kinie.

W nocy z niedzieli na poniedziałek, z 25-tego na 26-tego sierpnia, zgłosił się na mieleński posterunek milicji zaniepokojony ojciec młodej koszalinianki Ewy Wypych. Twierdził, że córka porannym pekaesem pojechała z dwiema koleżankami do Mielna na plażę. Planowały spędzić w Mielnie cały dzień: plaża, obiad w barze pod parasolami przy ulicy Pionierów, lody w kawiarni empiku, znów plaża, kąpiel w morzu, a następnie wieczorny seans w letnim kinie i wreszcie powrót do Koszalina ostatnim autobusem. Dziewczyny były już prawie pełnoletnie. W nowym roku szkolnym rozpoczynały naukę w klasie maturalnej liceum ogólnokształcącego w Koszalinie. Żadna z nich nie sprawiała kłopotów wychowawczych, więc ich rodzice bez przeszkód zgadzali się na jednodniowe wypadki do Mielna. Niestety tym razem sprawy potoczyły się inaczej niż zwykle. Koleżanki Ewy wróciły do Koszalina zgodnie z planem, ale Ewy z nimi nie było. Koleżanki twierdziły, że dzień udał się im znakomicie, a seans w letnim kinie był cudowny. Ciepły wieczór, spadające gwiazdy i dobry amerykański film. Na plaży i w kinie poznały kilku miłych chłopców – taka przygodna znajomość, która skończyła się zaraz po seansie. Kiedy wychodziły z kina, straciły się na chwilę z oczu w tłumie widzów, w czym nie było nic niepokojącego, bo umówiły się, że w razie czego spotkają się na pobliskim przystanku pekaesu - tym pomiędzy Unieściem a Mielnem, bo pekaes, jak wiadomo, jedzie z Koszalina przez Mielno do Unieścia i stamtąd wraca, zabierając pasażerów z kolejnych przystanków. Przystanek pośredni był o tyle bezpieczny, że podjeżdżający nań autobus nie był jeszcze zatłoczony. Niestety Ewa nie przyszła, a one wsiadły do pekaesu, bo to był ostatni kurs do Koszalina. Z dworca PKS poszły prosto do mieszkania Ewy i powiadomiły jej rodziców. Zaniepokojony ojciec Ewy Wypych natychmiast wsiadł do samochodu, który szczęśliwie posiadał, i przyjechał do Mielna. Przez ponad godzinę jeździł wolno, w tę i z powrotem, główną ulicą, sądząc, że Ewa spóźniła się na autobus i czeka na którymś z przystanków. Wiedziała bowiem doskonale – informował mężczyzna - że ojciec z pewnością po nią przyjedzie. Niestety. Nie spotkał jej ani na

przystankach, ani pomiędzy nimi, ani na drodze prowadzącej z Mielna przez Strzeżenice i Mścice do Koszalina, bo tę drogę także dwukrotnie przejechał.

Sierżant Szelc, który miał tej nocy dyżur, nie podzielał niepokoju rodzica.

- Niech pan spokojnie wraca do domu. Córką z pewnością już tam jest. Zabrała się z Mielna z kimś znajomym, albo złapała okazję. Młodzież często tak robi – uspokajał Wypycha, który niechętnie przyznał mu rację, wszedł do swojej Syreny 103 i odjechał.

- Pewnie raz jeszcze objedzie Mielno i Unieście – mruknął Szelc i położył się na kozetce, aby zdrzemnąć się przed świtem.

Już myślał o dobrym śniadaniu, które zje z żoną i dziewczynkami, podczas gdy Michał Sikora zastąpi go na służbie. Sezon dobiegał końca, a koszalińskie zwierzchnictwo miało teraz, w czasie wydarzeń w Czechosłowacji, poważniejsze problemy od tych, które sporadycznie pojawiały się w Mielnie, a były to głównie włamania do sezonowych kiosków Ruchu. Kradziono przede wszystkim lepsze gatunki papierosów, bo tych zawsze brakowało.

- Ciekawe – pomyślał przez zaśnięciem komendant – że kiosku całorocznego, tego, który stał w centrum Mielna i który od zawsze prowadzi spokojna mieleńska rodzina, nie okradają. Pewnie dlatego, że zawsze ktoś może się pojawić w pobliżu. Na przykład ja. Ale trudno, żebym pilnował każdego kąta w Mielnie, gdzie działają sezonowe kioski i zatrzymywał każdego kto nocą idzie ulicą.

Jeszcze nie zaczęło widnieć, gdy Szelc został gwałtownie obudzony. Młody kolega szarpał go za ramię.

- Już jesteś? – wymamrotał komendant wyrwany z głębokiego snu. – Nie za wcześnie?

- Panie komendancie, dwóch ludzi podjechało motorynką i dzwonią do drzwi już od kilku minut. Mnie obudzili, a pan śpi jak zabity. Otworzyć?

- Otwieraj! - wrzasnął nagle obudzony i zły na siebie Szelc. - Na co czekasz?! Albo nie, ja otworzę – zreflektował się, bo dopiero teraz zauważył, że Michał włożył co prawda spodnie od munduru, ale jest bez koszuli a do tego jeszcze ma na nogach kapcie. – Idź się ubrać, bo czuję, że to będzie grubsza sprawa – dodał łagodniejszym tonem.

Komendant dźwignął się z kanapki, wygładził mundur i poszedł otworzyć drzwi. Pod drzwiami stali dwaj mężczyźni, jeden stary a drugi młody. Rozpoznał w nich rybaków z Unieścia. Rybacy morscy mieli w Unieściu na brzegu morza swoją przystań i w pewien

sposób konkurowali z Państwowym Gospodarstwem Rybackim funkcjonującym na jeziorze Jamno. Konkurencja dotyczyła przede wszystkim łowienia i wędzenia węgorzy, ryb poszukiwanych przez smakoszy i przynoszących największy zarobek.

Gdy tylko komendant spojrzał na rybaków zorientował się, że składający mu poranną wizytę obywatele są bardzo zdenerwowani. Byli nieogoleni, zmęczeni i mieli na sobie ubrania, w których zwykle wypływali w morze. Ich opalone, porane zmarszczkami twarze wyrażały podniecenie, a grube palce trzymające przypalone przed chwilą papierosy nieznacznie drżały. Weszli bez słowa do środka, usiedli i najpierw spojrzeli po sobie, jakby zrzucając jeden na drugiego konieczność powiadomienia komendanta z czym przychodzą. Milczeli jeszcze, gdy Michał Sikora, w kompletnym umundurowaniu, wszedł do biura. Komendant czekał. Wiedział, że ponaglenia nie są potrzebne. Ci wysmagani wiatrami i wykołysani falami twardzi mężczyźni sami musieli zdecydować, kiedy się odezwać.

- Panie Szelc – rzekł wreszcie starszy rybak. – My jesteśmy przyzwyczajeni do trupów, bo niejednego topielca wyciągaliśmy z wody i wie pan dobrze, że często byli to także nasi koledzy. Ale to co znaleźliśmy dziś nie jest normalne. Powiedz Władek – zwrócił się do młodszego. – Powiedz, bo ty ją znalazłeś.

Młodszy pokiwał głową i powiedział:

- Znalazłem dziś na plaży dziewczynę. Przypłynęliśmy nad ranem z dorszem i flądą. Wskoczyłem pierwszy z kutra. I co widzę? Między dwoma kutrami wyciągniętymi na brzeg, w takim grajdole, wie pan, co to ludzie sobie kopią, żeby się opalać, leży coś dużego. Zdziwiłem się, bo nikt nie robi sobie grajdołka na przystani i to jeszcze między kutrami. Było jeszcze ciemno. Pomyślałem, że to foka albo morświn. Zaplątują się czasami w sieci. Na brzegu też mogą się wylegiwać. Podchodzę bliżej, patrzę, a to dziewczynka. Niewysoka, chudziutka, prawie jeszcze dziecko. Leży w tym grajdole, rozebrana, to znaczy w kostiumie plażowym, takim skąpym jak to dziś dziewczyny noszą, i jakby się opala, a przecież słońca nie ma i nad ranem jest zimno. Upiła się, myślę. Łapię ją za ramię, czuję, że bardzo zimna, potrząsam nią i mówię głośno: „halo, halo, wstawaj dziewczyno, bo złapiesz wilka! Gdzie masz ubranie! Zmarzniesz!”. A ona nic, bezwładna taka i zimna jak lód. Przestraszyłem się i zawołałem Bolka. On podszedł, popatrzył i mówi „ona nie żyje”.

- Został przy niej mój syn – podjął wątek starszy rybak, nazwany przed chwilą Bolkiem. – Ale my to musimy już wracać. Trzeba wyładować rybę, żeby się nie zepsuła. Zaraz zrobi się ciepło.

- Jedźcie – powiedział Szelc zduszonym głosem. – My tam za chwilę będziemy.

To co usłyszał od rybaków wbiło go w krzesło i przez minutę siedział bez ruchu. W głowie miał mętlik. Przypomniawszy sobie mężczyznę, ojca, który zgłosił się tej nocy zaniepokojony nieobecnością córki. Zdenerwował się jeszcze bardziej i trudno mu było się ruszyć. Wreszcie zdjął z aparatu słuchawkę telefonu, żeby powiadomić Koszalin. Trzymał ją w dłoni, jakby zapomniał pod jaki numer powinien zatelefonować. Spojrzał na siedzącego naprzeciw niego Michała. Ten patrzył przed siebie z osłupieniem. Obaj nie mogli i nie chcieli uwierzyć, że powtórzył się lipcowy koszmar.

- Około północy był u mnie zaniepokojony ojciec – odezwał się Szelc matowym głosem. – Przyjechał samochodem z Koszalina i szukał córki, bo nie wróciła do domu. Odesłałem go z kwitkiem. Nawet nie zapisałem zgłoszenia. Nie wiem jak się nazywa. To największy błąd, jaki dotąd popełniłem.

Michał Sikora zdrętwiał i nie odzywał się przez kilka sekund, które mijały z niespotykaną powolnością

- Odszukamy go panie komendancie – odezwał się wreszcie, chcąc pocieszyć kolegę. – Zresztą on sam się pewnie niedługo zgłosi. Ale przecież to może być zupełnie inna dziewczyna, nie jego córka.

Ton głosu młodego milicjanta zdradzał jednak, że brakuje mu przekonania co do słuszności wypowiedzianych słów.

- Czuję, że to właśnie ona – wydusił z trudem Szelc, wybrał numer i zawiadomił Koszalin.

10. Konsternacja



Podporucznik Jan Madejski był wściekły. Obudzono go zbyt wcześnie w poniedziałkowy rano, a on planował dłuższe spanie po wczorajszej bibce, którą zorganizowali jego koledzy. Wszyscy pili ostro, chcąc odreagować stres spowodowany zamieszaniem panującym w komendzie od kilku dni. Zamieszanie związane było oczywiście z interwencją wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. Madejski i jego koledzy, jako pracownicy wydziału kryminalnego, nie spodziewali się większych zmian w swej codziennej robocie, ale dyscyplina, o której nagle przypomniało sobie naczalstwo i którą zaczęto nachalnie egzekwować, była wystarczająco wkurzająca.

Bawili się dobrze wspominając wpadki, jakie zdarzały się od czasu wcielenia służb bezpieczeństwa do milicji. Podział kompetencji i zwierzchności był niby jasny, ale nie obyło się bez starć między komendantem głównym Komendy Wojewódzkiej MO a jego zastępcą, który, jako szef służby bezpieczeństwa, formalnie był podwładnym komendanta, a praktycznie nim rządził. W sprawach większego kalibru, które wymagały współpracy milicji z SB, dochodziło więc do nieuniknionych starć. Sprawami większego kalibru były na przykład udane ucieczki obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej na Zachód, do krajów, jak mówiono, drapieżnego kapitalizmu.

Ucieczki zdarzały się kilka razy w roku, ale tylko nieliczne były udane. Ludzie mieli szalone pomysły. Wiali przez morze na Bornholm na kajakach, na pontonach, a nawet na samodzielnie skonstruowanych wymyślnych obiektach pływających. Wojsko Ochrony Pogranicza szybko ich wyłapywało, ale niektórzy uciekli, jak na przykład pilot Zygmunt Gościński. Ale on uciekł samolotem. Był pilotem wojskowym. Wystartował myśliwcem z podkoszalińskiego Zegrza i wylądował na duńskiej wyspie Bornholm. Gościński uciekł w pięćdziesiątym szóstym, a dwa lata później uczniowie praktykanci z Technikum Rybołówstwa Morskiego w Darłowie zmusili szyprę kutra rybackiego do przybicia do

wybrzeży Bornholmu. Było straszne zamieszanie i oczywiście robota dla wszystkich. Najbardziej jednak zaimponował funkcjonariuszom Jerzy Szymczak, desperat, który przed sześcioma laty wypłynął kajakiem z Kołobrzegu i, jakimś cudem pokonując fale i umykając radarom, też dotarł do wyspy należącej do wolnego świata.

Wielkie zamieszanie bywało też przy zabezpieczaniu dużych imprez. A w Koszalinie od 1958-go corocznie organizowano Dni Koszalina mobilizując coraz liczniejsze załogi starych zakładów pracy i mnożące się kadry zakładów nowopowstałych. Poza Dniami Koszalina, które miały przekonać obywateli, o organicznym związku Ziem Zachodnich z Macierzą, organizowano także rokrocznie Dni Morza. Ale najwięcej działo się podczas obchodów tysiąclecia państwa polskiego w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych. Długo trwające i stopniowo nasilające się starcia pomiędzy władzą państwową a kościelną wymagały niezłej gimnastyki i ciągłej mobilizacji, więc niektórym puszczały nerwy i wybuchały awantury, które zawsze rozstrzygano z pożytkiem dla służb specjalnych.

Wspominając konfliktogenne wydarzenia z przeszłości, imprezujący funkcjonariusze Wydziału Śledczego Powiatowej Komendy MO w Koszalinie ostatecznie ustalili, że najspokojniejsza i najprzyjemniejsza wspólna robota była podczas XX Wyścigu Pokoju przed rokiem. W 1967-tym Koszalin był miastem etapowym wyścigu. Dziesięć tysięcy ludzi witało kolarzy wjeżdżających na wyremontowany specjalnie na tę okazję stadion Bałtyku, a wśród nich tego najważniejszego, Jana Magierę. Funkcjonariusze mogli wtedy podzielać spontaniczną radość kibiców i poczuć się jak oni, zwykli, beztroscy ludzie, nad którymi na co dzień musieli nieustannie czuwać.

Zmęczonego i skacowanego podporucznika Jana Madejskiego obudził dzwonek telefonu. Odebrał, a kiedy odłożył słuchawkę, zaklął siarczyście, ale po cichu i, nadal przeklinając pod nosem, ostrożnie podniósł się z łóżka. Starał się nie obudzić żony, która z powodu jego wczorajszego nocnego powrotu w wstanie wskazującym na duże spożycie alkoholu, pogniwiała się i resztę nocy przespala leżąc odwrócona do niego plecami. Starania skończyły się niepowodzeniem. Żona, nie zmieniając pozycji, powiedziała zbolalym głosem to co zwykle mówiła, kiedy wcześniej wstawał:

- Przecież ja nie śpię.

Wściekł się jeszcze bardziej i wychodząc z pokoju, w którym spali, trzasnął drzwiami.

- Uspokój się! Obudzisz dzieci! – usłyszał jej krzyk.

- Nawet w domu nie ma spokoju – pomyślał jak zawsze w takich razach.

W ten poniedziałkowy rano irytacja, która ogarnęła Madejskiego była większa niż zazwyczaj. Bolała go głowa i poranna herbata niewiele mogła pomóc. Szukał w szafce kuchennej kawy, ale nie znalazł, co rozżłościło go jeszcze bardziej. Nie mógł wciąż uwierzyć, że sprawa martwej hipiski z Mielna, którą uważał za wyjaśnioną i zamkniętą, znów wypłynęła, że w Mielnie zdarzył się bliźniaczy przypadek.

- Cholera jasna. Niech to szlag trafi – mamrotał.

Uspokoił się trochę, kiedy znalazł w lodówce zimne piwo i wypił je łapczywie. Odstawił pustą butelkę na kuchenny stół i zapalił papierosa. Z przyjemnością zaciągał się dymem, ale czas naglił. Umył się, ubrał i wyszedł z mieszkania. Samochód z kierowcą już stał przed budynkiem. Usiadł przy kierowcy, który był jego podkomendnym w Wydziale i skinął na powitanie głową, nie mówiąc słowa. Zabrali po drodze dwóch ludzi z ekipy oraz lekarza sądowego Stanisława Woźniaka. W lesie przed Mścicami wyprzedzili samochód wiozący prokuratora Zdzisława Kujawę.

- Niewiarygodne – mówił podczas jazdy lekarz, wkurzając Madejskiego jeszcze bardziej, o ile to w ogóle było możliwe. – Przecież hipisów już w Mielnie nie ma. Ktoś jej musiał pomóc. To musi być jakiś kompletny wariat. Topi dziewczyny, nawet ich nie gwałci, a potem układa na plaży. To mi wygląda na seryjnego. Tylko ciekawe co robi zimą. Poczekaj na lato czy znów zaatakuje?

- Stasiu – Madejski nie mógł już słuchać pomysłów lekarza, bo nie szły po jego myśli. – Poprzednia sprawa została wyjaśniona. Dziewczynie nikt nie pomógł. Po prostu była napita, nałykała się prochów i utopiła się podczas kąpieli, a ktoś, pewnie też nieźle wcięty, ułożył ciało na piasku. Teraz znalazł się jakiś nedorobiony naśladowca. Ludzie dużo gadali i jakiś gówniarz wykorzystał pomysł. Znajdziemy typka, bo teraz to musi być jakiś inny, tutejszy.

- Może masz rację – przyznał Woźniak. – Cholera jasna – zaklął nagle i odwrócił się do okna. - Nie lubię kroić dzieci.

- Jakich dzieci! – wrzasnął na niego Madejski.

- No właśnie dzieci. Mówili, że znaleźli bardzo młodą dziewczynę, jeszcze dziecko. Nienawidzę takich przypadków - smętnie wyjaśnił lekarz patrząc na krajobraz przesuwający się za oknem samochodu.

Rozdrażnienie Madejskiego udzieliło się reszcie ekipy. Wzrosło ono jeszcze bardziej, gdy dotarli do Unieścia i jeździli raz w jedną, raz w drugą stronę, nie mogąc znaleźć odpowiedniego wjazdu nad morze. Kiedy trafili na właściwą drogę i zaparkowali samochody możliwie blisko wejścia na plażę, musieli jeszcze pieszo pokonać sporą odległość dzielącą ich od morza. Nad nimi wrzeszczały mewy, jakby chciały ich ostrzec przed niebezpieczeństwem czyhającym za wydrami. Przebrnęli przez wydmy z trudem i zobaczyli zgromadzonych na plaży ludzi, nad którymi także krążyło ogromne stado wrzeszczących ptaków. Madejski zaklął siarczyście.

- Nic nie mogłem na to poradzić – tłumaczył się miejscowy milicjant wręczając Madejskiemu raport z przesłuchania tych, którzy odkryli zwłoki. – Zanim przyjechałem ludzie już się zgromadzili. To rybacy i ich rodziny. Musieli opróżnić łodzie z ryb, żeby się nie zepsuły. Nie mogłem im tego zabronić.

- Odgońcie ich stąd natychmiast - burknął śledczy nie spoglądając na Szelca. - Tożsamość została ustalona? Macie jej dokumenty, ubrania, cokolwiek? – dopytywał chodząc niespokojnie wokół miejsca zdarzenia i wymachując trzymanym w ręku papierosem.

Nie mniej zdenerwowany mieleński milicjant podążał w ślad za nim.

- Na razie nie znamy tożsamości i nie mamy dokumentów ani ubrań – powiedział zdesperowany. – Ale zaraz połączę się z naszym posterunkiem. Powinien tam lada chwila pojawić się człowiek, który tej nocy zgłaszał nam zaginięcie córki. To było jeszcze przed znalezieniem ciała oczywiście.

Madejski zatrzymał się nagle i odwrócił do Szelca.

- Jak się nazywał ten człowiek?

- Towarzyszu podporuczniku – wyjąkał mieleński komendant. – Nie zapisałem jego nazwiska. Takich przypadków mamy dużo. Dzieci nie wracają na czas do domu, bo zabawiają się z nowopoznanym towarzystwem. Tańczą i piją do rana, a rodzice szaleją z niepokoju i nas alarmują. Potem zawsze okazuje się, że w międzyczasie pociecha wróciła i nie ma sprawy. .

Śledczy Madejski spojrzał na Szelca tak, jakby chciał go zabić wzrokiem. Wycedził przez zęby niewybredne przekleństwa.

- Waszym zasranym obowiązkiem – powiedział po chwili – jest zapisywać wszystkie zgłoszenia.

Zapadła cisza. Szum morza i ciche rozmowy ekipy jakby się od nich na chwilę oddaliły. Po minucie Madejski znów poczerwieniał na twarzy i wrzasnął:

- Czyście oszaleli! Nie pamiętacie już co było rok temu w Sarbinowie. Wtedy zawiadomiliście nas bezzwłocznie! I co? Okazało się, że zgłoszenie matki było zasadne. Dziewczyna nie żyła. Zamordował ją ten zboczeniec z Piły. Macie natychmiast ustalić tożsamość człowieka, który był w nocy na posterunku. Nie obchodzi mnie jak to zrobicie. Macie na to piętnaście minut.

- Tak jest !– krzyknął komendant Szalc, z ulgą oddalił się i włączył krótkofalówkę.

- Michał! – zdenerwowany zawołał do słuchawki. – Czy zgłosił się ponownie na posterunek ojciec poszukujący córki?

- Nie, panie komendancie! – odkrzyknął Michał.

- Jasna cholera – zmartwił się nie na żarty Szalc. – Słuchaj, wydzwaniaj do wszystkich posterunków w Koszalinie i pytaj czy do nich ktoś się zgłosił.

- Dobra. Już dzwonię.

Posterunkowy Sikora, zgodnie z poleceniem przełożonego, wykonał kilka telefonów, ale bez rezultatu. Zrobił sobie krótką przerwę i wtedy usłyszał dźwięk wyłączanego silnika. Wyrzwał przez okno i zobaczył kobietę oraz mężczyznę wysiadających z Syreny 103.

- To oni - pomyślał z ulgą, ale zaraz ogarnął go strach, gdyż zdał sobie sprawę z tego, jaką wiadomość będzie musiał im przekazać.

Rodzice Ewy Wypych, Regina i Edward Wypychowie, przyjechali z rodzicami do Koszalina z Gniezna w 1945-tym roku. Regina miała wtedy 15 lat. Edward był od niej dwa lata starszy. Poznali się w 1947-mym na rynku w Koszalinie podczas młodzieżowego czynu społecznego, czyli przy odgruzowywaniu miasta. Pobrali się po trzech latach znajomości. Ich córka Ewa, która urodziła się w 1951-szym należała do pierwszego pokolenia polskich koszalinian. Potem urodzili się im dwaj synowie, piętnastoletni obecnie Adam i dwunastoletni Piotr. Od początku małżeństwa nieźle im się powodziło. Rodzice obojga objęli w Koszalinie urzędowe posady, najpierw w urzędzie repatriacyjnym, a następnie w Wojewódzkiej Radzie Narodowej. Teraz oni, po skończeniu szkół średnich, pracowali w okazałym budynku

Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej. Byli urzędnikami średniego szczebla, ale za to w najważniejszej, poza oczywiście KW PZPR, instytucji w mieście.

Wypychowie – on zły, ona roztrzęsiona – wbiegli po kilku schodach do drzwi wejściowych posterunku, ale nie zdążyli zadzwonić, bo drzwi natychmiast otworzyły się i stanął w nich młody milicjant. Zaprosił ich do środka. Kiedy bez słowa, jakby przeczuwali złe wieści, usiedli i patrzyli na niego ze strachem w oczach, powiedział:

- Proszę Państwa. Rano znaleziono na plaży martwą dziewczynę. Musimy tam pojechać na rozpoznanie ofiary.

Wypychowie zamarli. Siedzieli bez ruchu i z niedowierzaniem w oczach patrzyli na funkcjonariusza MO.

Michał Sikora nie mógł już dłużej wytrzymać wzroku oniemiałych małżonków. Odwrócił się od nich i sięgnął po słuchawkę radiotelefonu.

- Przyjechali rodzice zaginionej w nocy dziewczyny – powiedział do Szelca. - Będziemy za kilka minut.

Szli od zaparkowanego blisko wydmy samochodu pod niewielką wydmą górkę, grzęznąąc w sypkim suchym piachu. Regina Wypych wyprzedziła idącego przodem milicjanta. Ciężko dyszała i miała nieprzytomny wzrok. Mąż z trudem za nią nadążał. Na wydmy stali gapie. Rozstąpili się przed kobietą i podążającymi za nią mężczyznami i zaszemrali: „rodzice, to rodzice”. Z wysokości wydmy widać było tylko stojące na brzegu kutry i kilka kręcących się wokół nich osób.

Szelc zauważył nadchodzącą trójkę i wyszedł naprzeciw. Wypychowie ominęli go bez słowa. Z pewnością mieli do niego ogromny żal za zlekceważenie nocnego zgłoszenia. Poszedł jednak za nimi. Przygniatało go poczucie winy. Chciał towarzyszyć im do leżącego już na noszach i przykrytego szarym kocem ciała, które za chwilę miało zostać przewiezione do Zakładu Medycyny Sądowej w Koszalinie. Nad noszami pochylał się właśnie podporucznik Madejski. Twarz dziewczyny pozostała odkryta. Wypychowa przypadła do ciała i wybuchła rozzwierającym płaczem. Wypych stał nad nią i patrzył oślepiały z bólu. Ciało leżące na siermiężnych noszach i przykryte szarym kocem było ciałem ich jedynej córki, Ewy Wypych.

- Czy rozpoznaje pan ofiarę? – zwrócił się do Wypycha Madejski.

- Tak, to jest nasza córka – powiedział ojciec ofiary zduszonym głosem.

- Jak się nazywa? – padło następne pytanie.

- Ewa Wypych – wykrzyknął teraz zdruzgotany ojciec i z wściekłością popatrzył na Szelca. – Zgłaszałem zaginięcie córki, szukałem jej w nocy, a ten milicjant nie przyjął zgłoszenia! Odesłał mnie do domu! Moja córka by żyła! – krzyczał.

- Niech się pan uspokoi – rozkazał Madejski. – Zbadamy sprawę i wyciągniemy konsekwencje. - Zabierajcie – zwrócił się do dwóch mężczyzn w białych poplamionych kitlach.

Odsunięto rozpaczającą matkę.

- Mogę z nią jechać? – zapytała, tocząc po otaczających ją osobach niewidzącym wzrokiem.

- Macie czym jechać? – zapytał Madejski Wypycha, a ten skinął głową. – Więc zabierzcie żonę do samochodu. Lekarz pójdzie z wami. Da żonie zastrzyk na uspokojenie. Potem możecie jechać za naszym samochodem do Koszalina. Musimy was przesłuchać.

11. Zamieszanie



Niepokój panujący wśród mieszkańców Mielna spowodowany wejściem sił Układu Warszawskiego do Czechosłowacji przeszedł w małą zbiorową histerię, kiedy rozniosła się wiadomość o znalezieniu drugiej ofiary. Wiadomość, przenoszona z ust do ust, olbrzymiała, obrosła niezliczoną ilością domysłów i komentarzy. Sezon letni kończył się. Zamykano letnie prywatne stołówki, porządkowano kempingi i działające jedynie latem domy FWP. Pomieszczenia starej i nowej szkoły – tysiąclatki – sprzątano po letnich koloniach i przygotowywano na rozpoczęcie nowego roku szkolnego. Mieleńskie kobiety i ich pociechy

stały w kolejce po nowe zeszyty oraz podręczniki do następnej klasy, które kupowano na talony. Dużą część podręczników starsze roczniki przekazywały młodszym, ale nie każdy uczeń dbał o książki, a zniszczonych nie przekazywano. Okazji do spotkań i rozmów było zatem wiele i wiele było osób, które twierdziły, że widziały młodą dziewczynę z Koszalina feralnego dnia, w niedzielę 25-tego sierpnia i w nocy z niedzieli na poniedziałek. Plaża opustoszała. Do wody mało kto wchodził.

Sierżant Czesław Szelc, który za nieprzyjęcie zgłoszenia dostał ustną naganę od komendanta Komendy Powiatowej MO w Koszalinie, dostał też zadanie do wykonania, a mianowicie zbieranie informacji od potencjalnych świadków zdarzenia, ich analizowanie pod kątem wiarygodności i przekazywanie raportów podporucznikowi Madejskiemu, żeby ten mógł wzywać na przesłuchania tylko tych, którzy mieli coś sensownego do powiedzenia. Zadanie, wbrew pozorom, nie było łatwe. Ludzie dużo mówili między sobą, ale nie chcieli rozmawiać z milicjantem. Szelc wyciągał co się dało od osób, które lepiej znał, prowadząc z nimi pozornie prywatne rozmowy a z rozmów sporządzał raporty. Nie mógł znów podpaść przełożonym. Dużo dowiadywał się od własnej żony.

Wieści dostarczane przez Halinę Szelc – przynosiła je do domu ze sklepów wraz z zakupami – komendant w większości musiał uznać za wymysły. Były zbyt fantastyczne. Szczególnie ta o wampirze, który niezauważalnie wypijał krew młodym dziewczynom i zostawiał je na plaży bez życia oraz ta o nieznannej chorobie, którą można było zarazić się podczas opalania i umrzeć w ciągu kilku godzin. Zainteresował się jednak doniesieniem, że Lola Bednarzowa, kierowniczka pawilonu spożywczego, która po zrobieniu sklepowego salda chciała odetchnąć świeżym powietrzem i wyszła z pawilonu, zobaczyła na pustej o nocnej porze ulicy Chrobrego młodą kobietę, właściwie jeszcze dziewczynę, idącą w towarzystwie starszego od niej mężczyzny. Mężczyzna nie był stary, nie był nawet w sile wieku. Wyglądał na lat dwadzieścia kilka. Para szła w stronę Unieścia, a było to w niedzielę owej feralnej nocy, gdy zginęła Ewa Wypych.

- Ciekawe co Bednarzowie robili w niedzielną noc w sklepie – pomyślał Szelc. – Z pewnością coś tam kombinowali. Ale mniejsza z tym. Najważniejsze, że Lola twierdzi, że widziała parę tuż przed godziną dwudziestą trzecią, czyli prawie godzinę po zakończeniu seansu w kinie letnim i po odjeździe ostatniego pekaesu do Koszalina. A więc to mogła być Ewa. Ale kim mógłby być towarzyszący jej młody mężczyzna? – zastanawiał się poruszony wiadomością.

Postanowił porozmawiać z Bednarzami.

Pożyteczne okazały się także wypadki Michała Sikory „po cywilnemu” na dansingi urządzane do połowy września w najlepszej mieleńskiej restauracji „Meduzie”, która działała przy nadmorskim deptaku na wysokości ulicy 1 Maja.

Michał Sikora nie był bawidamkiem i miłośnikiem nocnych harców, ale na początku sierpnia dał się namówić na dancing pięknej ekspedientce z białego kiosku przy ulicy Kościuszki, Gosi Mrozównie. On spodobał się jej od kiedy pierwszy raz zobaczyła go na początku lata. Po pewnym czasie zauważyła, że i ona mu się podoba. Przychodził coraz częściej, kupował słodycze i oranżadę. Najbardziej lubił „kamyczki”, jak nazywano orzeszki ziemne w kolorowej cukrowej polewie, więc zostawiała je dla niego a on dziękował, uśmiechał się i coraz częściej głęboko zaglądał w oczy. Zamieniali zwykle kilka banalnych zdań o pogodzie, wczasowiczach czy zaopatrzeniu, ale ich treść nie miała znaczenia. Liczyło się to, że patrzyli na siebie. Pewnego dnia Gosia ośmielona jego ciepłym długim spojrzeniem zapytała, czy nie chciałby potańczyć. Zauważyła, że zawahał się, jakby spłoszył, ale zaraz zgodził się. Odetchnęła z ulgą.

Gdy pierwszy raz spotkali się późnym wieczorem przed „Meduzą”, Michał był zaskoczony szykiem Małgosi. Poznał ją dopiero wtedy, gdy stanęła tuż przed nim. Była ubrana modnie i z klasą. „Mała czarna” sięgająca tuż za kolana uwydatniała jej zgrabną kobiecą figurę. Szyję otaczał krótki sznur sztucznych pereł. Na zgrabnych nogach zauważył eleganckie czarne czółenka na niewysokim obcasie. Wysoko upięte włosy odsłaniały długą szyję i małe, przylegające do głowy uszy. Oczy podkreślone czarną kreską zdawały się bardzo duże i bardzo wyraziste. Zapatrzył się na nią, tak bardzo odmienioną, i dopiero gdy roześmiała się głośno widząc jego zachwyt i zdumienie, powiedział:

- Pięknie wyglądasz. Ale ja nie mam garnituru. Chyba nie będę do ciebie pasował.
- Będziesz, będziesz – uspokoiła go. – Kobieta jest wystarczającą ozdobą dla mężczyzny.

Już po wejściu na salę stwierdził, że miała rację. Kobiety i mężczyźni patrzyli na nią, a on, ubrany w białą koszulę, czarne spodnie i czarne półbuty – niestety niezbyt wygodne – pasował do niej doskonale. Usiedli przy stoliku. Wypili po lampce słodkiego wina i zaczęli tańczyć. Poruszali się harmonijnie, nie czując ciężkości swoich ciał.

- Zakochałeś się, co? Roztańczyłeś się jak jakiś Fred Aster - kpił następnego dnia Szelc, który mu trochę zazdrościł młodości i bliskiej znajomości z piękną Gosią. - Słuchaj chociaż co ludzie mówią. Po wódce są bardziej wylewni.

Michał w „Meduzie” słyszał różne niedorzeczne domysły i nawet ich Szelcowi nie opowiadał. Przekazał mu natomiast uzyskaną w lokalu wiadomość o pierwszej ofierze Joannie Woźniak, o której mówiono, że była widziana – niestety nie ustalono przez kogo – jak rozmawiała z ratownikami WOPR-u. Mówiono, że była „napalona”, wdzięczyła się do nich i popisывała pływaniem. Michał przypomniał sobie, że też ją wtedy widział. Widział, jak weszła do wody i popłynęła w dal.

- Jak ona świetnie pływała! Jak syrena! – zachwycił się nadal. Jego spojrzenie stawało się wtedy jakby niewidzące a twarz przybierała rozmarzony wyraz. Potem jednak szybko pochmurniał, bo w jego głowie pojawiał się obraz martwej Joanny, tej z koszmarne snu.

- W „Meduzie” często bawi się jeden taki facio, który przyjeżdża z Koszalina. Starszy i trochę obleśny. Rozповіда, że syn jego znajomych, który pracuje latem w Mielnie jako ratownik, słyszał, że Joanna umówiła się z jego kolegą ratownikiem na wieczór. Facio gada, że to była puszczańska jak wszystkie te hipiski. Daje do zrozumienia, że i on znalazł jedną chętną, ale ja mu nie wierzę. Ten stary świntuch przechwala się – twierdził Michał. – Podpytam go przy następnej okazji delikatnie, jak się syn znajomych nazywa – dodał.

- Zrób to jak najszybciej – Szelc ucieszył się z nowego tropu. – Co jeszcze ludzie gadają? Nie mówią o tej drugiej? Nikt jej nie znał? Nie widział? – niecierpliwił się.

- Niewiele o niej mówią. Zdaje się, że to była skromna dziewczyna. Zwykła uczennica. Trochę gadają o jej rodzicach, że to partyjniacy, ale tacy niefanatyczni, lecz praktyczni. Chcą żyć lepiej niż inni. Pilnują swoich posadek i boją się o nie. Wie komendant, tacy asekuranci, jeśli tak mogą powiedzieć. Mam nadzieję, że się komendant nie obraził.

- Dlaczego mam się obrażać? – zachnął się Szelc. – Że co? Że niby ja też jestem asekurantem? To mieliście na myśli szeregowy?!

- No nie. Nie to, ale wie pan, komendancie, co chciałem powiedzieć – sumitował się Michał.

- Lepiej wątku partyjnego nie wywlekać – podsumował rozmowę Szelc, zamilkł i dodał cicho po chwili:

- Rodzice tej pierwszej dziewczyny też byli partyjni.

Bednarzów komendant Szelc zaskoczył w sobotę wieczorem, już po zamknięciu sklepu. Zastukał zdecydowanie do zamkniętych drzwi pawilonu, usłyszał za nimi ciche głosy i zawołał:

- Bednarz, otwieraj! Tu Szelc!

Głosy umilkły a drzwi zostały lekko uchylone.

- O! Pan komendant! Co pana sprowadza o tak późnej porze? – zapytała głowa mężczyzny w sile wieku, lekko wyłysiałego i pulchnego.

Bednarz uśmiechał się przymilnie, ale nieszczerze.

– Żonka zapomniała czegoś kupić? Sprzedamy! Sprzedamy! Dla naszego komendanta nie ma godzin otwarcia.

- Bednarz, przestań wygadywać głupoty – ostrym tonem powiedział cicho. – Wpuszczaj. Mam parę pytań.

- Ależ prosimy, prosimy – drzwi otworzyły się szerzej i komendant wszedł do środka, mijając Bednarza, który zmienił ton i zaczął narzekać:

- Tyle roboty mamy, tylu klientów w ciągu dnia, że całą papierkową robotę nocą trzeba odwalić. Ledwo człowiek do domu wróci, prześpi się parę godzin, znów po towar jedzie, za ladą staje i tak w koło Macieju. Oszaleć można w tym młynie.

- Panie Bednarz, przecież lubi pan handel. Pana żona także. Niezłe lody kręcicie. Po co to narzekanie? Ale ja nie w tej sprawie. Jest żona?

- Lola! Chodź! Pan komendant ma do ciebie sprawę! – zawołał Bednarz wprost w otwarte drzwi prowadzące na zaplecze.

Z zaplecza rozległ się szelest szybko zgarnianych i chowanych papierów, głośne westchnienie, a potem lekkie pośpieszne kroki. W drzwiach stanęła Bednarzowa ubrana w ładną kwiecistą sukienkę. Była niska, dość zgrabna, a jej jasne utlenione włosy upięte były w wysoki, starannie ułożony kok.

- Całkiem ładna kobieta – pomyślał milicjant, bo chyba pierwszy raz zobaczył ją bez sklepowego, zawsze pogniecionego i przybrudzonego fartucha i bez obowiązkowej białej opaski na włosach.

Lola Bednarzowa zauważyła jego zaciekawiony wzrok, ale to jej nie uspokoiło.

- Dobry wieczór – powiedziała a jej głos lekko drżał. – O co chodzi?

- Możemy usiąść? – zapytał Szelc. – Chcę dowiedzieć się więcej o parze młodych ludzi, których widziała pani późnym wieczorem w niedzielę 25-tego sierpnia.

- A skąd pan o tym wie? – Bednarzowa nie wytrzymała napięcia, zdradzając, że plotka jest prawdziwa.

- Nieważne. Musi pani przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów. O której pani ich widziała? Jak byli ubrani? Jak wyglądał mężczyzna? Jeśli powie mi pani to wszystko, nie będzie pani musiała jechać na przesłuchanie do Koszalina.

Bednarzowa spojrzała na męża. Na jej twarzy pojawił się wyraz zaniepokojenia i niechęci. Najpewniej żałowała, że poniosło ją i, chcąc zaimponować klientkom, niepotrzebnie wygadała się. Mąż rzucił na nią wściekłe spojrzenie i wzruszył ramionami.

- No to teraz mów co widziałaś, cholerna gaduło – odezwał się nieprzyjemnym głosem a ona skuliła się i spuściła głowę.

- Niewiele pamiętam – zaczęła. – Było tuż przed jedenastą, to znaczy przed dwudziestą trzecią. Wyszedłam przed sklep a mąż jeszcze na chwilę został w środku. Musiałam odetchnąć świeżym powietrzem, bo cały niedzielny wieczór porządkowaliśmy papiery. Skończyliśmy i mogliśmy wreszcie iść do domu. Czekałam na męża przed sklepem. Rozglądałam się po pustych ulicach i wtedy zobaczyłam parę młodych ludzi. Ona to była bardzo młoda, a on od niej wyraźnie starszy, ale nie tam jakiś dojrzały dziadyga – rozkręcała się w miarę mówienia. – Broń Panie Boże. Też był młody. Tyle że od niej starszy, no bo ona, jak mówiłam, była bardzo młoda. Trzymali się za ręce, rozmawiali, śmiali się. W pewnym momencie on się schylił i ją pocałował. Nie broniła się. Przeciwnie. Oddała pocałunek. „Jacy oni są piękni i romantyczni” pomyślałam.

- A skąd szli i dokąd? – dopytał.

- Wyszli z ulicy Kościuszki i skręcili w Chrobrego. On ją pocałował właśnie na rogu, więc ich dobrze widziałam, bo tam stoi latarnia. Ona drobna, bardzo młoda. Ubrana w jasną letnią, bardzo krótką sukienkę na ramiączkach i płaskie buciki, takie baletki czy jakoś tak młodzi to nazywają. Włosy modnie długie, wysoko związane. Światło padało na jej twarz, więc bym ją jeszcze dziś poznała.

- Czy to mogła być ta dziewczyna? – wyjął z raportówki zdjęcie Ewy Wypych i poprosił Bednarskiego, żeby zapalił światło, bo siedzieli w półmroku.

- Tak. Tak – kiwała głową Bednarzowa. – To była ta dziewczyna. Jestem pewna, że to ona.

- A jak wyglądał chłopak?

- Był od niej dużo wyższy. Dobrze zbudowany. Taki trochę atleta. Ale nie widziałam jego twarzy.

- Na ile lat wyglądał? Ile miał wzrostu? Jak był ubrany? - dopytywał niecierpliwie.

- Nie wiem – Bednarzowa wiała się pod naporem pytań. – Chyba był od niej sporo starszy, ale nie był stary. Tak między dwudziestką a trzydziestką. Był też od niej dużo wyższy. Schylił się, żeby ją pocałować. Nie wiem, może miał metr osiemdziesiąt.

- A ubranie? Co miał na sobie?

- Noc była ciepła. Miał na pewno koszulę z krótkimi rękawami. Jasną. Prawie białą. A spodnie chyba długie. Nie pamiętam. Nie widziałam go dokładnie. Patrzyłam na dziewczynę. Była tak modnie ubrana. On z ubrania niczym się nie wyróżniał. Pocałowali się i poszli w stronę Unieścia. Panie komendancie! – zawołała zniecierpliwiona Bednarzowa. – Niech pan mnie nie podaje na koszalińską milicję. Ja już wszystko powiedziałam.

- Ty głupia kobieto! – wybuchnął Bednarz. – Komendant musi powiedzieć przełożonym. Jak nic ściągniesz nam na głowę kłopoty.

Lola Bednarzowa wybuchła płaczem. Szelc uspokoił ją obietnicą, że wyśle do Koszalina protokół z przesłuchania.

- Może nie będą pani wzywać – powiedział wychodząc, ale sam nie wierzył w to, co mówi.

– No to macie pecha – pomyślał z satysfakcją, gdy znalazł się na zewnątrz pawilonu. – Zwali się wam na głowę nie tylko milicja, ale też Państwowa Izba Handlowa. Dobiorą się wam wreszcie do skóry.

Szelc postanowił, że po najbliższej niedzieli, w poniedziałek wieczorem, zastuka do drzwi plebanii. Chciał porozmawiać z proboszczem prywatnie i miał nadzieję, że w tej wyjątkowej sytuacji może liczyć na jego pomoc, że zostanie wpuszczony i dowie się, co o sprawie mówią parafianie.

Poniedziałkowa wieczorna wizyta u księdza Bielińskiego kosztowała go jednak dużo nerwów i na niewiele się zdała. Kiedy zadzwonił do drzwi plebanii, proboszcz uchylił je, zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, uśmiechnął się kpiąco, widząc jego cywilne ubranie i zapytał bardzo cicho wychodząc jednocześnie na zewnątrz i zamykając za sobą drzwi:

- A czegoż to mieleńska milicja chce ode mnie? Czyżby jakaś pilna prywatna potrzeba? Spowiedź na przykład?

- Nie, nie o to chodzi – odpowiedział milicjant z trudem przełykając kpinę.

- Szkoda, przydałoby się ulżyć sumieniu. No to o co chodzi? Z pory wizyty i braku umundurowania domyślałam się, że nie o sprawy służbowe – niecierpliwił się duchowny, który najwyraźniej nie zamierzał wpuścić funkcjonariusza do środka. On także był „po cywilnemu”.

- Chciałbym porozmawiać na wpół prywatnie o tych dwóch zdarzeniach, o utopionych dziewczynach. Może ksiądz coś wie, coś wierni opowiadają. Wszystko może się przydać – tłumaczył.

- To nie wiecie co opowiadają? Nie założyliście mi podsłuchu? – wykrzyknął proboszcz. – Czy może chce pan, żebym złamał tajemnicę spowiedzi?! A jeśli władzę interesują plotki, to oświadczam, że ja plotkami się nie zajmuję. Nie mam też w zwyczaju wystawiać milicji moich parafian.

- Proszę się nie denerwować – Szelc próbował wyciszyć emocje swoje i księdza. – Śledztwo jest prawie zamknięte. Nikogo nie oskarżono, ale ja mam jakieś złe przeczucia. Coś tu jest nie tak. Więcej nie mogę księdzu powiedzieć.

- Ja też tak myślę – uspokoił się ksiądz Bieliński. – To nie są zwykłe zdarzenia. Ale ja wierzę swoim parafianom i sądzę, że nie mają z tym nic wspólnego. W przeciwieństwie do was, znam sprawy prawdziwych ludzi, a nie tych zastraszonych, którzy udają, że was lubią. Pan nie wie, co to jest zaufanie, bo tak zwanej władzy nikt nie ufa. Nawet wy sobie nawzajem nie ufacie. Szukajcie poza moimi wiernymi, tyle mogę panu powiedzieć. Z Bogiem – zakończył rozmowę mieleński proboszcz, odwrócił się i zniknął za drzwiami plebanii.

Prosto z plebanii Szelc poszedł na posterunek, gdzie zastał Michała na służbie. Powtórzył mu słowa księdza i nagle obaj zdobyli niezłomne przekonanie, że proboszcz ma rację. Dziewczyny zginęły i ktoś im w tym pomógł. Ten ktoś pojawił się w Mielnie nie wiadomo skąd. Opuści Mielno razem z latem i razem z latem powróci. Nie wiedzieli dlaczego tak

sądzą, ale wiedzieli, że z pewnością nie powiedzą o swoich domysłach, a raczej przeczuciach, śledczym z Koszalina.

12. Podejrzenia



Ekipa podporucznika Jana Madejskiego zrobiła wszystko co możliwe, aby ustalić fakty związane ze śmiercią Ewy Wypych. Sekcja zwłok, podobnie jak w pierwszym przypadku, wskazała bezapelacyjnie na śmierć z powodu utonięcia, a na ciele denatki nie znaleziono śladów przemocy. Denatka nie miała we krwi alkoholu, trucizny ani środków odurzających. Ciało, już po zgonie, zostało wyciągnięte z wody i ułożone na plaży. Nic nie wskazywało zatem na zabójstwo, lecz przeciwnie, sekcja podsuwała hipotezę, że dziewczyna utopiła się, prawdopodobnie pływając w nocy w czyimś towarzystwie i ten ktoś towarzyszący jej w kąpieli nie zdążył lub nie umiał jej uratować. Potem, przestraszony wypadkiem, wydobyl ciało z wody, a gdy zobaczył, że dziewczyna naprawdę nie żyje, zostawił ją na plaży i uciekł, nikogo nie powiadamiając. Śledczych niepokoiło oczywiście ułożenie ciała w grajdole, bo taki *modus operandi* nie pasował do spanikowanego świadka nieszczęścia. Dziwne także było zniknięcie ubrania dziewczyny. Nie znaleziono go ani na plaży, ani na pobliskich wydmach. Poszukując ubrania przekopano nawet kawałek plaży, ale bez rezultatu.

Przesłuchano w sprawie utonięcia Ewy Wypych kilkadziesiąt osób: rodziców, bliższe oraz dalsze koleżeństwo, sąsiadów, wychowawczynię dziewczyny z liceum i oczywiście tych wszystkich, którzy zetknęli się z nią w Mielnie. Zeznania nie wniosły do sprawy żadnych istotnych informacji. Potwierdzały to co już wcześniej wiadano. Nie znaleziono niestety kierowców, którzy feralnej niedzieli wieźli trzy dziewczyny z Koszalina do Mielna. Koleżanki Ewy nie tylko nie pamiętały numerów rejestracyjnych pojazdu, którym pojechała Ewa oraz tego, który zatrzymał się dla nich, ale nie były nawet w stanie określić ich marek.

Pokazywano im zdjęcia różnych samochodów. Bez rezultatu. Dopiero przeszukanie pokoju Ewy Wypych przyniosło nowe informacje. W zamkniętej na kluczyk szufladzie stolika, który służył jej za biurko, znaleziono dzienniczek. Zapisywała w nim, jak często robią dorastające panienki, ważne dla niej wydarzenia, przepisywała wyszukane w książkach fragmenty poezji i notowała własne przemyślenia. Z ostatnich zapisków wynikało jednoznacznie, że Ewa od początku wakacji była w kimś zakochana. Listów zakochanej pary nie znaleziono, ale bez wątplenia spotykali się często osobiście i to prawdopodobnie w Mielnie, bo dziewczyna wyraźnie upajała się morskimi klimatami.

W poniedziałek 8-go lipca, a więc na początku wakacji, Ewa napisała „Poznałam N.”, a pod tym krótkim zdaniem przepisała wiersz:

Wybrzeże coraz to bledsze
w liliowej półżałobie
i żaglowiec oparty na wietrze,
jak ja o myśli o tobie.

W szufladzie, obok dziennika, leżał tomik poezji Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej.

- Ewa kochała poezję – Regina Wypych przytuliła do piersi książkę, którą podał jej funkcjonariusz MO z pytaniem czy egzemplarz należał do córki.

Skinęła głową i rozszlochała się.

– Nie wiedziałam, że pisze pamiętnik. Nie wiedziałam, że się zakochała. Niczego nie zauważyłam – szlochała coraz rozpaczliwiej kobieta.

- Czy 7- go lub 8- go lipca córka pojechała do Mielna? – padło następne pytanie.

- Nie wiem. Nie wiem – powtarzała matka.

Oczy miała nieprzytomne, twarz opuchniętą od płaczu, włosy w nieładzie, choć można było nadal poznać, że jest to elegancka i zazwyczaj dbająca o swój wygląd osoba.

Milicjant, widząc co się dzieje z matką dziewczyny, zwrócił się do jej ojca. Ten także pokręcił przecząco głową. Tak więc rodzice nie wiedzieli kiedy ich córka jeździła do Mielna.

- W wakacje Ewa wychodziła z domu i nie opowiadała się nam – tłumaczył się z niewiedzy Wypych. - Wiedzieliśmy oczywiście, że spotyka się z Teresą i z Dzidką, że razem spacerują, opalają się, chodzą do kina. Zostawiała nam zawsze kartkę z informacją, że wróci o tej i o tej godzinie. I zawsze wracała punktualnie. Była bardzo samodzielna i odpowiedzialna. Nie

musieliśmy jej kontrolować. Pilnowała braci, szczególnie młodszego. Dawaliśmy jej pieniądze na zakupy i na kieszonkowe, żeby wydzielała braciom. Wiedziała, gdzie są i z kim. Ufamy jej... - Wypych zawiesił głos i poprawił się - ufaliśmy jej.

Edward Wypych skulił się w sobie, zwiesił nisko głowę, a ramiona tego wysokiego i postawnego mężczyzny opadały wzdłuż ciała ciężko i bezradnie.

Notatki Ewy były bardzo lakoniczne, ale zamieszczane przez nią pod notatkami wypisy z poezji Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej mogły świadczyć o tym, że uczucia młodej dziewczyny do tajemniczego N szybko przeradzały się w wielką miłość. Pod koniec lipca napisała:

- Szaleję za nim i on się tego chyba domyśla. Chciałabym mu powiedzieć:

Jeśli jest prawdą, przyjdź do mnie bez słów
i weź w twe ręce wszystko co dać mogę,
lecz jeśliś snem jest pośród innych snów,
och! to samotną puść mnie w dalszą drogę”.

„Widziałam się z N.” – zapisała na początku sierpnia. – „Było cudownie. N nie jest niedojrzałym chłopaczkiem. Jest prawdziwym mężczyzną. Jest mądry i poważny. Radzi mi skończyć szkołę i studia. Obiecuje, że będzie mi zawsze towarzyszył. Twierdzi, że przyjaźń między kobietą a mężczyzną jest możliwa i piękna, ale że naszą przyjaźń musimy ukrywać przed ludźmi, bo nikt jej nie zrozumie. Ma oczywiście rację. Jest moim najlepszym przyjacielem”.

Tydzień później pisała:

„Powiedział wreszcie, że mnie kocha. Ja go kocham od dawna, ale mu dotąd tego nie mówiłam. Jestem taka szczęśliwa. Planujemy wspólną przyszłość. N mówi, że niczego ode mnie nie chce, do niczego mnie nie będzie zmuszał. Poczeka”.

W dzienniczku znaleziono kilka zasuszonych płatków dzikich róż. Nie można było ustalić, skąd pochodzą. Rosną bowiem wszędzie, choć najbujniej na nadmorskich wydmach.

Rodzicom Ewy Wypych inicjał „N” z nikim się nie kojarzył. Madejski, który raz jeszcze porozmawiał z nimi w czasie przeszukiwania, postanowił ponownie wezwać na przesłuchanie najbliższe koleżanki Ewy, Teresę Miłoch i Wandę Kasprzyk, zwaną Dziką. Najpierw jednak kazał swoim ludziom sprawdzić, kim są ich rodzice. Dostał informację, że to przeciętni obywatele bez żadnych powiązań z elitami koszalińskich władz, więc postanowił dziewczyny

mocno docisnąć. Najpierw siedziały długo, każda w innym pomieszczeniu, czekając na wezwanie do pokoju przesłuchań. Potem przesłuchiwał je osobno, krzycząc i grożąc karą więzienia za składanie fałszywych zeznań.

- Koniec twojej kariery – krzyczał. – Wylecisz ze szkoły i pójdziesz siedzieć. Pożegnaj się z maturą i studiami!

Dziewczyny, jedna po drugiej, złamały się bardzo szybko. Trzęsły się ze strachu, płakały, tłumaczyły się i przepraszały.

Wymuszone nowe zeznania obu dziewczyn pokrywały się w pełni. Twierdziły zgodnie, że nie wiedzą kim jest tajemniczy N. Wiedziały jednakże - od Ewy - że dziewczyna była zakochana i że się z kimś spotykała. Ewa obiecała im, że wkrótce, zaraz po wakacjach, opowie wszystko, ale na razie musi dochować danego N słowa, a N prosił ją, żeby na razie nikomu nie mówiła o ich związku. Obie też utrzymywały, że „N” znaczy po prostu „Nieznajomy”. Ewa nie chciała im podać nawet inicjału imienia ukochanego. Mówiła o nim N. Utrzymywały także, że Ewa powiedziała im o ukochanym tylko dlatego, że potrzebowała ich pomocy. Prosiła, aby przyjaciółki dawały jej alibi na czas spotkań. Nie wiedziały dokładnie gdzie i kiedy para się spotykała. Prawdopodobnie i w Koszalinie i w Mielnie. Złożyły przysięgę, że nie będą ich śledzić i słowa dotrzymały. Dlatego nie powiedziały o związku Ewy z tajemniczym N rodzicom, gdy przyszły poinformować ich o zniknięciu przyjaciółki. Tamtej nocy miały nadzieję, że Ewa znajdzie się cała i zdrowa. Potem, gdy Ewę znaleziono martwą, przestraszyły się i nie wiedziały co robić, więc trzymały się pierwszej, niepełnej wersji wydarzeń.

- Feralnej niedzieli – mówił Madejski do grupy operacyjnej na odprawie, następnego dnia po przesłuchaniu koleżanek ofiary – Ewa Wypych pojechała do Mielna sama autostopem, a jej koleżanki zabrały się prawie pół godziny później, też okazją. Czekwały na Ewę w umówionym miejscu w centrum Mielna dość długo, prawie godzinę. Przyszła roześmiana, radosna. Pomyślały wtedy, że widziała się z N i że coś z nim ustaliła. Domyśliły się, że chodziło o następną randkę. Dalej dzień wyglądał tak jak wcześniej zeznały: plaża, obiad, lody i tak dalej. Ale uwaga! Ewa Wypych nie poszła z koleżankami do kina! Prawdopodobnie poszła na umówione wcześniej spotkanie z N, albo z kimś innym, na przykład ze znajomym N, bo chłopcy, z którymi dziewczyny zapoznały się na plaży, z pewnością byli w kinie na wieczornym seansie. Grali wtedy „Działa Navarony”. Widzieliście? Dobry film.

W zadymionym pokoju narad na chwilę zapanowała cisza, a potem rozległy się pomruki typu „nie ma czasu na kino” i komentarze: „mamy jakiś trop, chyba, że znów kłamią jak z nut”, „rozwydrzone gówniary”, „trzeba dać im nauczkę”.

- Te gówniary teraz mówią prawdę – kontynuował Madejski. – Dostały wycisk i skruszały jak przepióreczki na mrozie. Wiesiu świadkiem – zwrócił się do jednego ze swoich ludzi, a ten, potwierdzając jego słowa, skinął głową. - Przyznały się do kłamstwa, to po co miałyby wymyślać następne i upierać się, niezgodnie z prawdą, że nie znają N. Twierdzą, że litera N w pamiętniku znaczy Nieznajomy i że tak też do nich o nim mówiła ofiara. Ja w to wierzę. Jakie zresztą są męskie imiona na N? No jakie?

- Nikodem, Norbert – padło z sali.

- Kto dziś daje dziecku na imię Nikodem albo Norbert – parsknął zniecierpliwiony Madejski. – Dobra, zostawmy to. Zakładamy, że Wypychówna poszła na spotkanie z N, że spędziła z nim wieczór, że namówił ją, aby została dłużej, że kąpali się razem i tak dalej. Teraz naszym głównym zadaniem jest sprawdzenie kim jest N. Rodzice ofiary go nie znają. Koleżanki też. Nawet go ponoć nigdy nie widziały. Wygląda na to, że widziała go tylko Bednarska, ta sklepowa z Mielna, o której nas powiadomił mieleński komendant. Kobieta mówi o wysokim, młodym mężczyźnie, dobrze zbudowanym, ubranym w białą koszulę z krótkimi rękawami i w długie spodnie, ale nie potrafi opisać twarzy, więc portret pamięciowy odpada. Są jakieś pomysły, panowie, jak go znaleźć?

- Tak wygląda połowa młodych mężczyzn w tym kraju. Nawet jakbyśmy go znaleźli, nie moglibyśmy postawić mu innego zarzutu, jak tylko nieudzielenie pomocy i zatajenie śmierci przed organami ścigania – oznajmił Wiesław Bąk, najbliższy współpracownik Madejskiego.

- Ale sprawa by się wyjaśniła! Ta i może też poprzednia! – wrzasnął na niego przełożony. – Myślcie, a nie kombinujcie, jak uniknąć roboty i zakończyć śledztwo!

- Szansa na znalezienie N są żadne – znów odezwał się Bąk niezrażony wściekłością podporucznika.

Znał Madejskiego dobrze, bo długo już z nim pracował. Wiedział, że podporucznik jest bardzo ambitny i wścieka się zawsze, gdy jemu samemu i jego podwładnym brakuje pomysłów na pomyślne zakończenie śledztwa.

– Możemy tracić czas i wypytywać o młodego osiłka w białej koszuli – kontynuował. - Ale trzeba by pytać w Mielnie, Koszalinie i w każdym innym miejscu, z którego przyjeżdżają ludzie na wczasy.

- Wiesiu, co ty pieprzysz! – znów wrzasnął Madejski. – Przecież ona tego faceta poznała na początku lipca i spotykała się z nim przez dwa miesiące. Nikt nie przyjeżdża na dwumiesięczne wczasy.

- Mógł przyjechać do pracy z każdego miejsca w Polsce. A może jest stąd, z Koszalina, Mielna, Sarbinowa, Chłopów, Gąsek, Sianowa, Białogardu lub z Kołobrzegu – odpowiedział spokojnie Bąk. – I co to zmienia? Skąd weźmiemy ludzi do poszukiwań igły w stogu siana.

- Dobra – uciął trochę już wyciszony podporucznik zarządził:

– Mietek i Gienek zajmą się wytypowaniem podejrzanych. Macie tydzień. Dzwonicie do komendantów zamiejscowych posterunków. Niech wam przekażą nazwiska facetów pasujących do tego, co wiemy i mających skłonności do młodych kobiet albo do dziewczynek. Wiecie, co mam na myśli. Oczywiście trzeba sprawdzić też tych, co mają imiona lub nazwiska na „n”. Sprawdzcie wszystkich i wyselekcjonujcie takich bez dobrego alibi. Na koniec zrobimy okazanie. Sprowadzimy Bednarzową. Może któregoś rozpozna. Jeśli nikogo nie rozpozna, to chyba będziemy musieli zamknąć śledztwo.

Sierżant Mieczysław Wąsik i kapral Eugeniusz Skowroński spojrzeli po sobie i razem niechętnie odpowiedzieli:

- Tak jest, panie poruczniku.

Czekał ich tydzień jałowej, jak przypuszczali, pracy od rana do nocy, spanie na komendzie, a co najgorsze, pretensje zniecierpliwionych i rozżalonych żon.

Dane o osobnikach odpowiadających skromnemu rysopisowi i zakładanej charakterystyce spłynęły z poszczególnych komend już piątego dnia pracy. Podano oczywiście tylko tych, którzy nie mieli niepodważalnego alibi na noc z 25-tego na 26-ty sierpnia. W sobotę 31-szego sierpnia lista sześciu mężczyzn, których należało sprowadzić na Komendę Powiatową MO w Koszalinie w celu okazania była gotowa.

- Okazanie zorganizujemy we wtorek – zdecydował Madejski. – W poniedziałek jest początek roku szkolnego. Nie będziemy robić sobie i innym kłopotu. Zajmijmy się naszymi pociechami.

Leokadia Bednarz dotarła do Koszalina we wtorek 3-ego września dwie godziny przed czasem wyznaczonym na wezwaniu. Przyjechała pierwszym porannym autobusem, bo już nie mogła wytrzymać w domu. Nie poszła od razu na komendę, lecz usiadła na parkowej ławce niedaleko gmachu Poczty Głównej i próbowała wymyślić jakiś sposób na wyprowadzenie milicji w pole. Była bardzo zdenerwowana. Mąż już od soboty - kiedy to komendant Szelc przekazał wiadomość o ponownym wezwaniu na przesłuchanie w Koszalinie - awanturował się i odgrażał, że przez swą niezgłębianą głupotę załatwiła ich na cacy, że będą mieli kontrolę za kontrolą i wszystkie ich kombinacje wyjdą na jaw.

Ona trzymała się kurczowo myśli, że wezwano ją ponownie w sprawie tej nieszczęsnej pary, ale pewności niestety nie miała. Jej i męża nazwisko pojawiło się gdzieś tam na milicyjnych biurkach i ktoś niepożądany też mógł się nimi zainteresować. Mało to Bogu ducha winnych handlowców wpadło przypadkowo tylko dlatego, że dawali zarobić sobie i innym? Cóż oni takiego zrobili? Trochę się poprawiło w fakturach. Trochę się podrasowało wagę, sprzedano się obcy towar i wszyscy byli zadowoleni, oni, sprzedawcy, zaopatrzenie i prywatni producenci. Sezon już się kończy, wróć chude dni. Byłoby niesprawiedliwe, gdyby teraz zaczęto się ich czepiać.

Godzina przesłuchania zbliżała się nieuchronnie. Bednarska, ubrana bardzo skromnie, żeby nie prowokować milicji, poprawiła na głowie nylonową chustkę, założyła zielony ortalionowy płaszcz i ruszyła ku swemu przeznaczeniu.

Na posterunku MO w Mielnie sierżant Czesław Szelc siedział przy biurku, patrzył przez okno na lekko rudawe liście lipy rosnącej pod oknem i nie mógł wygonić z głowy uporczywych myśli.

- Michał Sikora odpowiada cechom poszukiwanej osoby – przychodziło mu natrętnie do głowy . - Tej nocy, kiedy utonęła Joanna Woźniak, miał patrol. Kiedy utonęła Ewa Wypych, był podobno w swoim pokoju. Pierwszą ofiarą był dziwnie zafascynowany. W drugim przypadku zjawił się na dole po alarmie rybaków. Co robił wcześniej? Gdzie był? Czy na pewno spał spokojnie w pokoju na piętrze? A może pierwszy usłyszał rybaków z Unieścia, bo nie spał. A dlaczego nie spał? Czyżby tej nocy wychodził?

- Czy popełniłem błąd, nie podając jego nazwiska śledczym z Koszalina? – pytał sam siebie, obracając w palcach splątaną wiązkę kolorowych koralików. – Czy jednak potrafiłbym oskarżyć kolegę nie mając pewności, że jest winny?

Podejrzenia dręczyły go od chwili, gdy szukając zszywacza do papieru, znalazł w szufladzie Michała Sikory pęk koralików. Były to takie same koraliki jakie nosiła pierwsza ofiara, Joanna Woźniak.

Rozdział drugi



1. Cienie dawnych czasów



Szeregowy Michał Sikora wyprowadził się ze służbowego pokoju na posterunku MO Mielnie w sobotę 14-tego września. Wcześniej poprosił komendanta Komendy Powiatowej w Koszalinie o należy mu dwutygodniowy urlop wypoczynkowy. Urlop zamierzał spędzić u rodziców. Po męczącej i stresującej służbie podczas lata cieszył się na czekającą go pracę w polu, na przynoszące oczyszczenie umysłu fizyczne zmęczenie. Niepokoilo go jednak

spotkanie z rodziną, a to ze względu na starszego brata Mietka. To przez jego pijaństwo nigdy nie wiedział, co po przyjeździe zastanie w rodzinnym domu.

Siedział na twardej drewnianej ławce w jednym z dwóch wagonów koszalińskiej wąskotorówki. Skład stał na dworcu. Za oknem, na ceglanym budynku stacji, widniał napis „Koszalin Wąskotorowy”. Sikora czekał na godzinę odjazdu wąskotorówki i starał się odganiać wszystkie nieprzyjemne myśli. Był jednak lekko zdenerwowany. Co rusz sięgał do papierowej torebki, którą postawił na swojej tekturowej walizce i wyjmował z niej ciastka kupione w cukierni Poznańskiej. Kupił je po drodze na dworzec, aby zawieźć rodzinie i teraz martwił się, że kupił za mało. Ciastka poprawiały mu jednak samopoczucie i pozwalały oderwać się od pojawiających się w głowie obrazów pijanego brata, spłakanej bratowej, gromadki źle ubranych maluchów no i oczywiście zmartwionych, przepracowanych i postarzałych rodziców. Sięgał więc po nie często i zjadał kompulsywnie, ciesząc się, że słodczyce kupione dla dzieci brata w sklepie firmowym Fabryki Cukierków „Bogusławka” schował głęboko do walizki. Gapił się bezmyślnie przez okno wagonu i przyglądał kolejnym pasażerom, którzy, jeden po drugim, wychodzili zza budynku stacji i wsiadali do pociągu. Niektórzy, obciążeni zakupami, z trudnością wspinali się na stopnie wagonu.

- Wracają po pracy do domów – pomyślał, przeżuwając kolejne ciastko. – A jutro wczesnym rankiem wrócą i jak co dzień niewyspani i lekko zziębnięci rozpierzchną się po Koszalinie, aby spotkać się znów późnym popołudniem w tym samym wagonie, z tymi samymi pasażerami. Co za monotonne życie!

Wyobrażanie sobie trudnego i nieciekawego życia pasażerów kolejki wąskotorowej, którzy dzień po dniu, w tych samych godzinach, zmuszeni byli robić to samo, pocieszyło go trochę. Na peronie rozległ się przenikliwy gwizd i wąskotorówka relacji Koszalin – Bobolice, w której wszystkie miejsca siedzące były teraz zajęte, szarpnęła i powolutku ruszyła. Zamknął sam przed sobą torebkę z ciastkami i rozejrzał się po pasażerach. W większości byli to mężczyźni oraz młodzież szkolna. Jedni mężczyźni milczeli, inni drzemali, a jeszcze inni, skupieni po kilku, kładli na kolanach skórzane lub ceratowe teczki, czyniąc z nich stoliki do gry w karty. Młodzież śmiała się i głośno rozmawiała.

- Jakoś jednak żyją i nawet się cieszą – pomyślał rozczarowany i odtąd patrzył za okno pociągu, za którym po kilkunastu minutach pojawił się las.

- Grzybów w tym roku nie będzie – przyszło mu do głowy. – Lato było upalne, a deszczu mało.

Przypomniął sobie, jak z rodzinnego Świeline, wsi leżącej jakieś dwadzieścia kilometrów przed Bobolicami na trasie kolejki wąskotorowej, jesienią podjeżdżali z bratem wąskotorówką jeden przystanek na gapę, wysiadali na leśnym przystanku w Krępie i zbierali grzyby, z których najbardziej cieszył się ojciec. Matka cieszyła się trochę mniej, bo czekała ją dodatkowa robota: obieranie grzybów, krojenie, smażenie, marynowanie i suszenie. Ale wszyscy lubili te jesienne wieczory, już po wykopkach, kiedy cały dom pachniał grzybami.

- Może nie będzie tak źle – pocieszał się Sikora. – Pogadam poważnie z Mietkiem. zagrozę mu konsekwencjami. Jestem teraz milicjantem i musi wreszcie poczuć przede mną respekt.

Nagle uświadomił sobie, że nigdy nie będzie mógł zaprosić do rodzinnego domu Małgosi, tej wspaniałej, eleganckiej dziewczyny, z którą pożegnał się, będąc jeszcze w Mielnie, ale której obiecał, że wkrótce się spotkają.

- Co ona by o mnie pomyślała?! Co pomyślałaby o mojej rodzinie, widząc naszą biedę i pijaństwo Mietka?! – zakrzyczało w nim bezgłośnie.

Ogarnęła go złość i niechęć do całego świata. Odchylił do tyłu głowę i zamknął oczy, poddając się teraz bez sprzeciwu przepelniającej go goryczy.

Komendant posterunku milicji w Mielnie Czesław Szelc nie odczuł ulgi po wyjeździe posterunkowego Michała Sikory. Ilekroć otwierał szufladę biurka i widział koraliki Joanny Woźniak, powracało niepokojące przekonanie, że powinien coś zrobić z gnębiącymi go podejrzeniami. Od dwóch tygodni wiedział, że Leokadia Bednarzowa nie rozpoznała żadnego z wytypowanych osobników. Twierdziła stanowczo, że są zbyt niscy, nie tak przystojni i w ogóle bez klasy, którą jakoby posiadał poszukiwany. Milicja zakończyła śledztwo, a prokuratura umorzyła postępowanie. Zdecydowano się przyjąć, że śmierć Ewy Wypych to nieszczęśliwy wypadek i choć ktoś był jej świadkiem, to nie ma dowodów na to, że się do niej przyczynił. Przyjęto wersję analogiczną do wersji poprzedniej: kąpiel z nieznanym, nieoczekiwane utonięcie, wyniesienie ciała z morza, sfingowanie sprawy z grajdółkiem i ucieczka.

Szelc, chcąc zrekompensować rodzicom Ewy swe wcześniejsze zaniedbanie, zorganizował rozległe poszukiwania ubrań i torby dziewczyny. Niestety, pomimo udziału ochotników z Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, niczego nie znaleziono.

Rozpoczął się rok szkolny. Mieszkańcy Mielna powrócili do swych zwykłych zajęć, a sama miejscowość na powrót stała się cichą nadmorską osadą, w której rytm życia odmierzany był przyjazdami i odjazdami autobusów PKS. Sezonowe sklepy, budki, stragany, lokale gastronomiczne i ośrodki wypoczynkowe zamknięto, zasłaniając okna okiennicami lub, wcale nierzadko, zabijając dyktą lub zwykłymi deskami. Codzienność powoli zacierała wspomnienie nieprzyjemnych i niewyjaśnionych wydarzeń minionego lata. Wydarzenia te należały wszak do innego, już byłego świata, który odrodzi się w Mielnie znów, ale dopiero za dziewięć miesięcy.

W pamięci mieleńskiego komendanta wydarzenia z lata wciąż pozostawały świeże i natarczywie domagały się wyjaśnienia. Zgłoszenie śledczym podejrzeń co do Sikory nie wchodziło już w grę – było na to za późno. Komendant nie mógł niestety osobiście zajmować się męczącą go niewyjaśnioną sprawą utonięć dwóch młodych kobiet, bo służba w przydzielonym mu rejonie wymagała jego obecności i nieustannego działania. Nie był w stanie spełniać służbowych obowiązków i jednocześnie poświęcać czas zgłębianiu męczącej go tajemnicy. Nie mógł także zająć się badaniami, które potwierdziłyby lub obaliły żywione przez niego podejrzenia. Zdawał sobie sprawę z tego, że rozwiązaniem problemu mogłoby być znalezienie kogoś, kto fachowo i dyskretnie przeanalizuje papiery Sikory – w nich prawdopodobnie niewiele się znajdzie, ale przynajmniej pozna się dokładniej jego powiązania rodzinne, nazwiska szkolnych kolegów i tym podobne – i, co ważniejsze, przyjrzy się jemu samemu, czyli po prostu będzie go przez dłuższy czas obserwował. Nie wiedział jednak, kto mógłby i chciałby się podjąć tego w gruncie rzeczy nielegalnego przedsięwzięcia. O zaangażowaniu czynnych znajomych funkcjonariuszy milicji nie mogło być mowy, bo groziło to szybkim ujawnieniem pokątnego śledztwa i tym samym narażeniem kolegów na służbowe konsekwencje.

Rozwiązanie męczącego Szelca problemu pojawiło się nagle i niespodziewanie w sytuacji, której nie mógł przewidzieć. W wietrzną i deszczową niedzielę 22-go września zawiózł żonę Halinę i córeczki na mszę do koszalińskiej katedry. Żona z dziećmi bywała tam już wcześniej od czasu do czasu, a od uroczystości z okazji 1000-lecia Państwa Polskiego, przez Kościół nazywanych uroczystościami 1000-lecia Chrztu Polski, kiedy to Polska katolicka zderzyła się mocno i boleśnie z Polską komunistyczną, coraz częściej. Jeździła zwykle pierwszym porannym autobusem, bo było w nim niewielu pasażerów. W koszalińskiej katedrze, zawsze na niedzielnych mszach pełnej ludzi, czuła się anonimowa, a ryzyko spotkania znajomych z Mielna było niewielkie. Obserwujący nabożeństwa funkcjonariusze SB też nie byli raczej

zainteresowani kobietą z dwójką małych dzieci. Szelc sam chętnie jeździłby ze swoimi dziewczynami – jak często nazywał żonę i córki - ale nie mógł narażać siebie i rodziny na kłopoty. Tym razem zdarzyła się jednak specjalna okazja, bo w związku z jakąś planowaną przez Koszalin akcją dostał na przechowanie służbowy nieoznakowany samochód, nowego Fiata 125p. Samochody te zaczęto produkować równo rok wcześniej, więc frajda z jazdy była wielka, a miał ciche przyzwolenie na chwilowe użytkowanie pojazdu. Halina postanowiła, że tym razem wybiorą się na sumę, żeby, korzystając z niecodziennej okazji, nie musieć bardzo wcześnie wstawać i wreszcie spokojnie zjeść we czwórkę niedzielne śniadanie.

Pogoda była marna. Wiał zimny wiatr i zaciął niewielki, ale uciążliwy deszcz. Wysadził „swoje dziewczyny” na początku odchodzącej od ulicy Zwycięstwa ulicy Połtawskiej, skąd miały blisko do katedry. Patrzył przez chwilę jak Halina poprawia córkom płaszczyki i jak kryją się wszystkie trzy pod dużym czarnym parasolem szarpanym przez porywy wiatru.

- We dwoje byłoby łatwiej - pomyślał z żalem. – Ja wziąłbym na ręce Elżunię, a Halinka szłaby z Alusią.

Kiedy oddaliły się, przytulone do siebie i kulące się pod swą niepewną osłoną, ruszył i wjechał z Połtawskiej w Drzymały. Zaparkował przed wejściem na „zieleniak”. Nie wszedł jednak na plac targowy, w niedzielę zwykle opustoszały, lecz szedł wzdłuż zielonych budek owocowo-warzywnych ulokowanych przy samej ulicy. Zmierzał do jej końca, gdzie na skrzyżowaniu z ulicą Dzieci Wrzesińskich znajdowała się – nomen omen - restauracja „Meduza”, nie mająca nic wspólnego z „Meduzą” mieleńską. W koszalińskiej „Meduzie” miał zamiar wypić gorącą herbatę z wkładką, czyli z pięćdziesiątą wódki i dużą porcją cukru. Miał też zamiar porozmawiać z Dziadkiem i zamówić u niego dwie kaczki, które Halina zamierzała upiec na zbliżającą się rocznicę ich ślubu – już dziesiątą.

Dziadek, wysoki, brzuchaty i jowialny mężczyzna, którego przekrwiona twarz świadczyła o permanentnym kontakcie z ostrymi warunkami atmosferycznymi oraz mocnymi rozgrzewającymi napojami, prowadził jedną z zielonych budek przy targowisku, najlepiej zaopatrzoną. Sprzedawał nie tylko owoce i warzywa – częściowo z własnej uprawy – ale także wiejski drób, który skupował od okolicznych gospodarzy, zaciągał na swym ogromnym wózku do szopy na podwórku i, z pomocą żony, oparował. W niedzielę można go było spotkać w koszalińskiej mordowni, jak nazywano „Meduzę”. Przychodził zaraz po porannej mszy w katedrze i, tego popijając w towarzystwie tutejszych bywalców, siedział, ku niezadowoleniu swej małżonki, aż do wieczora. Nigdy jednak, nawet najbardziej wypity, ten

wileński bradiaga nie zaniedbywał klientów i nie zapominał o złożonych przez nich zamówieniach.

Czesław Szalc wszedł do zadymionego i śmierdzącego alkoholem lokalu i od razu usłyszał tubalny głos Dziadka. Trudno go było rozpoznać ubranego nie jak na rynku w kufajkę, lecz w podniszczony granatowy garnitur, rozpiętą pod szyją białą koszulę bez krawata i z przylizanymi siwymi włosami zwykle ukrytymi pod kraciastą czapkę z daszkiem. Komendant zbliżył się do stolika, przy którym Dziadek opowiadał właśnie trzem towarzyszącym mu, lekko podpitym i wielce rozluźnionym panom w rozchełstanych pod szyją koszulach i rozpiętych niedzielnych marynarkach, jakąś hecę z przedwojennego wileńskiego życia.

- Przepraszam, że panom przeszkadzam i to w niedzielę – odezwał się, gdy skończyła się opowieść i następujący po niej wybuch śmiechu – ale mam interes do pana.

- Do mnie kochanieńki? – zapytał Dziadek, odwracając się niechętnie do natręta. – A to pan milicjant! Musi coś pilnego!

- Nic ważnego – mruknął, pochylił się do ucha mężczyzny i wyszeptał:

– Dwie kaczki chciałem zamówić na czwartek. Żona odbierze.

- A dobrze kochanieńki, będą dwie. Może chierbatki?

Uśmiechnął się, słysząc wileński zaśpiew. Nie zdążył jednak odpowiedzieć na grzeczną propozycję pana Dziadka, bo poczuł na ramieniu czyjąś ciężką dłoń i odwrócił się gwałtownie. Ujrzał za sobą lekko chwiejącego się na szeroko rozstawionych nogach, dobrze ubranego i przystojnego starszego mężczyznę.

- Słucham pana! – wykrzyknął zaskoczony i trochę zły, ale natychmiast przyszło mu do głowy, że zna tę postać.

- Czesław Szalc? – zapytał mężczyzna spokojnie i wyraźnie, lekko tylko zacinając się z powodu nadmiaru wypitego alkoholu.

- A my się znamy? – odpowiedział pytaniem na pytanie, cały czas próbując przypomnieć sobie, gdzie widział tego człowieka.

- Kazimierz Cichocki – przedstawił się mężczyzna, ułatwiając tym samym swe rozpoznanie.
– Znałem twojego ojca. Jesteś do niego bardzo podobny – dodał niepotrzebnie, bo Szalc wiedział już wszystko. -

- Panie Kazimierzu! Przepraszam! Tak tu ciemno! Nie poznałem pana – tłumaczył się zakłopotany. – Co pan robi w Koszalinie? Ależ niespodzianka!

Dziadek i jego towarzysze przyglądali im się z ciekawością, więc Szelc odwrócił się do zajmowanego przez nich stolika i powiedział bardzo uprzejmie:

- Dziękuję i raz jeszcze przepraszam. Spotkałem znajomego. To co, panie Chaciński? – tak nazywał się Dziadek. - Żona zgłosi się w czwartek. Do widzenia.

- Czykaj pan – Chaciński złapał Szelca za rękaw. – Za dzinkuja nic nie ma. Cuśik czeba dać.

- A tak – zreflektował się i wyjął z kieszeni spodni portfel. – Proszę zaliczkę. Resztę żona uiści.

- Usiądziemy? – zwrócił się do czekającego cierpliwie Cichockiego.

Kazimierz Cichocki był kolegą z pracy i dobrym znajomym ojca Czesława Szelca, Edmunda Szelca. Obaj, rocznik 1906-ty, służyli przed wojną w Policji Państwowej. Obaj, będąc w stopniu starszego przodownika, poznali się w Białymstoku w 1935-tym roku i obaj szczęśliwym trafem uniknęli w 39-tym aresztowania przez władze sowieckie. Białystok stał się wtedy miastem wcielonym do Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej i przeżycie w nim byłych policjantów graniczyło z cudem. Obaj mieli młode żony i małe dzieci, więc uciekli przez zieloną granicę do Generalnej Guberni i ich drogi rozeszły się. Spotkali się przypadkiem po wojnie, poszukując w Białymstoku członków swoich rodzin. Szelc senior zaprosił wtedy Cichockiego do Kielc, gdzie zamieszkiwał tymczasowo z żoną i dziećmi. Cichocki odwiedził ich niebawem. Czesław był już wtedy szesnastolatkiem i z zapartym tchem wysłuchiwał ciągnących się do białego rana wspomnień dawnych kolegów. Zapamiętał, że niechętnie mówili przy nim o swych wojennych losach, ale za to chętnie i z wielkim sentymentem przywoływali czasy sprzed wojny. Młodego Szelca fascynowały opowieści o służbie w przedwojennej policji, o sprawach kryminalnych i ich rozwiązaniach, a dreszcze przechodziły mu po plecach, kiedy wyliczali dokonania swego przedwojennego białostockiego naczelnika Bolesława Kontryma. Kontrym stał się dla Czesia nigdy nie widzianym, ale na zawsze zapamiętanym bohaterem, człowiekiem legendą, jak hrabia Monte Christo czy Janosik.

- Jasny gwint – pomyślał teraz Czesław Szelc. – Przecież Cichocki to idealny kandydat na mojego detektywa. Pracowali z ojcem, świeć Panie nad jego duszą, pod Kontrymem w

Urzędzie Śledczym. Nie wiem, co on teraz robi, ale roboty śledczej podobno się nie zapomina.

Cichocki poprowadził go w stronę małego stolika wciśniętego w róg sali. Nikt przy nim nie siedział. Na blacie przykrytym poplamioną, kiedyś białą serwetą stała do połowy pusta półlitrowka wódki z czerwoną kartką, literatka i pełny kufel piwa.

- Nic z tego nie będzie - przyszło mu do głowy na ten widok. – Dużo pije i chyba straceńczo. Woda z piwem. Bez zakąski.

Zanim usiedli, przeprosił Cichockiego i podszedł do bufetu. Zamówił dla siebie herbatę z cukrem. Popijanie wódki piwem nie uśmiechało mu się. Wrócił do stolika, niosąc szklankę z gorącym napojem na spodeczku, postawił ostrożnie na stoliku, usiadł i wlał do herbaty sporo wódki, pytając uprzednio Cichockiego wzrokiem o pozwolenie. Cichocki przyglądał się jego czynnościom w skupieniu, nawet nie skinął głową i przez jakiś czas milczał. Potem stuknął w jego szklankę literatką wypełnioną po brzegi wódką, wypił i skinął na niego, dając znak, że także powinien się napić. Upił więc trochę swego gorącego napoju i natychmiast poczerwieniał na twarzy, bo zanim wszedł do „Meduzy” nieźle go przewiało.

- Słuchaj – odezwał się wreszcie Cichocki trochę bełkotliwie. - Dziś jestem pijany i mam zamiar napić się jeszcze. Jeśli nie chcesz, albo nie możesz mi towarzyszyć w pijaństwie, spotkajmy się gdzie indziej i kiedy indziej.

- Dobrze – zgodził się natychmiast, nie czując ani zdziwienia, ani skrępowania nietypową sytuacją i tym, że Cichocki mówi mu na „ty”. – Ale gdzie i kiedy? – zapytał. - Chciałbym, żeby to było jak najszybciej.

Cichocki nie wyglądał na zainteresowanego przyczyną jego pośpiechu. Najwidoczniej niewiele go w ogóle dziwiło.

- Mieszkam chwilowo w hotelu „Jantar”. Pokój 112 - odpowiedział. - Możesz przyjechać we wtorek przed wieczorem?

2. Nowe spotkania



Czesław Szelc, w cywilnym ubraniu, musiał czekać na Kazimierza Cichockiego w hotelowym holu, bo recepcjonista, nieuprzejmy, krótko ostrzyżony i zarumieniony blondyn, któremu pomimo młodego wieku wystawało nad paskiem spodni solidne brzuszysko, nie wpuścił go na górę. Chcąc pozostać nierozpoznanym, nie wyjął służbowej legitymacji, więc musiał cierpliwie znosić niegrzeczne zachowanie młodzieńca. Odszedł od kontuaru, gdy recepcjonista telefonował do numeru, ponieważ drażnił go intensywny zapach wody kolońskiej, którą młody człowiek skropił się obficie. Stanął przed witryną sklepu dewizowego Powszechnej Kasy Oszczędności i patrzył na niedostępne gdzie indziej towary zagraniczne oraz eksportowe. Z przyjemnością wdychał zapach dobrych perfum, kawy i czegoś jeszcze, czego nie potrafił zidentyfikować.

- Dostępny za dewizy zapach luksusu – pomyślał bez wielkiego żalu, bo przecież jako funkcjonariusz MO miał niezłą sytuację.

Mógł zaopatrywać siebie i rodzinę w Konsumach, czyli w sieci sklepów i stołówek, do których dostęp mieli pracownicy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W nich jednak zapach był mniej przyjemny, a i towary wyglądały nie tak kolorowo. Zresztą on sam najczęściej korzystał z marnie zaopatrzonego Konsumu w Unieściu przeznaczonego dla wyższych stopniem wojskowych. Sklepy dewizowe natomiast dedykowane były głównie cudzoziemcom i tym, których tak zwane ciotki z Ameryki zaopatrują w dolary. Rząd PRL-u ściągał w ten sposób z rynku legalne i nielegalne dewizy, a poza tym kontrolował czarny rynek walutowy.

- Jesteś – usłyszał za sobą cichy głos i odwrócił się.

- Jestem – odpowiedział Cichockiemu.

- Idziemy na górę – rzucił Cichocki w stronę wyzywająco patrzącego na nich recepcjonisty i położył przed nim zwinięty w rulon banknot, który natychmiast zniknął pod blatem recepcji.

- Proszę nam nie przeszkadzać – rozkazał Cichocki.

- Jak sobie szanowny pan życzy – wycedził recepcjonista.

- Z pewnością już melduje o nas służbom sugerując, że sprowadziłem sobie kochankę – roześmiał się Cichocki, gdy tylko znaleźli się na piętrze przy drzwiach pokoju. – Wchodź i siadaj. Wylegitymowałeś się na dole?

- Nie. Wolałem zostać anonimowy.

Usiadł na wyściełanym krześle z cienkimi metalowymi nóżkami, stojącym przy małym stoliku na takich samych nóżkach. Rozejrzał się. Pokój był niewielki, ale ładnie urządzone. Nowoczesny, jasny i czysty. Hotel „Jałta” oddano do użytku niecałe osiem lat wcześniej i typowe dla pokoi hotelowych wyeksploatowanie nie było jeszcze widoczne. Łóżko posłano bardzo równo. Prawdopodobnie zrobiła to pokojówka. Z radia w błyszczącej drewnianej obudowie, stojącego na wiszącej półce tuż obok jedyne źródła światła, jakim była lampka z kremowym abażurem, sączyła się muzyka jazzowa. Na stoliku stała butelka gruzińskiego koniaku i szklanka. Butelka nie była pełna, bo część jej zawartości znajdowała się w szklance.

Cichocki wszedł do łazienki. Przez chwilę słyszał było szum wody płynącej z kranu. Kiedy wyszedł, trzymał w dłoni drugą szklankę. Ociekała wodą. Nie zważając na to, postawił ją na stoliku i napełnił do połowy koniakiem. Skinął zachęcająco w stronę gościa, chwycił swoje naczynie, napił się i usiadł na łóżku.

- Tak więc jesteś milicjantem – powiedział z zadumą. – Jesteś milicjantem – powtórzył.

Szelc nie zapytał, skąd gospodarz ma tę informację o nim. Było dlań jakby oczywiste, że Cichocki w ogóle dużo wie. Schylił się, aby wziąć teczkę, którą postawił obok krzesła na podłodze i wyjmował z niej kolejno i stawiał na stoliku: butelkę czystej, słoik grzybków w occie, pętko kielbasy jałowcowej.

- Przyniosłem czystą. Grzybki robiła moja żona, Halinka, ale do koniaku nie będą pasowały. Kielbasa też nie za bardzo.

- Nie przejmuj się. Przejdziemy zaraz na czystą. Masz mocną głowę? Chciałbym z tobą pogadać.

- Ja też chcę z panem pogadać – odrzekł, pomijając pytanie o umiejętność spożywania mocnego alkoholu.

Cichocki patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem i kiwał głową do myśli, których jeszcze nie wypowiedział.

- Wierzysz w Boga? – zapytał nagle mocnym głosem a jego spojrzenie skierowane na gościa stało się intensywne i niespokojne.

- Moja żona wierzy – bąknął zaskoczony. – W niedzielę, kiedy spotkaliśmy się, czekałem w „Meduzie”, aż żona z córkami wyjdzie z mszy w katedrze.

- Synu, ja pytam czy wierzysz, że Bóg istnieje.

- Matko Boska – przeleciało mu przez myśl – albo zwariował, albo został księdzem.

- Ale dlaczego pan o to pyta? – próbował wykpić się od odpowiedzi.

- Bo to jest teraz najważniejszy problem. Nie uważasz?

- Nie rozumiem. Dlaczego najważniejszy?

- Chcę wiedzieć – gospodarz pociągnął łyk koniaku, przełknął i powtórzył:

– Chcę wiedzieć, czy los cię wlecze, czy prowadzi.

Całkowicie zdezorientowany, też się napił i trochę głupio uśmiechnięty patrzył w milczeniu na Cichockiego.

- Jest tak – zaczął dłuższą wypowiedź Cichocki – że Bóg i historia wykluczają się wzajemnie i nie jest to żadna dialektyka. Z tych sprzeczności nie wyłoni się jedność. Wiem coś o tym, bo ja w tę jedność przez krótki czas wierzyłem, a nawet na nią czekałem. Dlatego po 56-tym roku wróciłem do Polski. Myślałem, że tylko tutaj może się to zdarzyć, że tylko tu może wyłonić się nowa idea, nowa religia, że prawa historycznego rozwoju scalą konieczność historyczną z prawami Opatrzności i powstanie nowe społeczeństwo. Nie takie jak w sowieckiej Rosji, ale inne, sprawiedliwe i solidarne. Społeczeństwo nowoczesnej świadomości religijnej. Czytałeś Hegla? – zapytał zniecierpliwionego gościa.

- Obawiam się, że niczego z tego, co pan mówi nie rozumiem. Słyszałem coś o prawach dialektycznego rozwoju społeczeństwa od wspólnoty pierwotnej do komunizmu. Uczyli nas o tym w szkole milicyjnej. Partia to głosi. Ale ja jestem prostym funkcjonariuszem. Pilnuję

porządku w Mielnie i tyle – powiedział mocno rozczarowany nieoczekiwanym przebiegiem spotkania.

- Dobrze. Zgoda. Jesteś prostym funkcjonariuszem – męczył go dalej Cichocki. – Ale chcę wiedzieć, co z ciebie za człowiek. W co wierzysz. W Boga, czy w historię. Jeśli wierzysz w Boga, los współczesnych czasów cię wlecze, a ty, tak czy inaczej, mu się opierasz. Jeśli wierzysz w historię, los współczesnych czasów, czyli partia, cię prowadzi. Możliwe jest jeszcze trzecie wyjście. Wielu je wybrało. Ostatnim z nich był Ryszard Siwiec. Podpałił się jakieś dwa tygodnie temu na Stadionie Dziesięciolecia, kiedy oficjele partyjni wspólnie z ludowymi masami świętowali dożynki. Ratował honor Polski. Protestował przeciw inwazji na Czechosłowację. Ale kto o tym wie? Trzecie wyjście to ofiara złożona z samego siebie. Ofiara albo niezauważona, albo wysmiana. A ty? W co wierzysz? A może w nic nie wierzysz? To jest czwarta opcja. Ale wtedy nie wiadomo kim jesteś, a ja nie współpracuję z nie wiadomo kim – spuentował.

- Ale skąd pan wie, że przyszedłem prosić pana o współpracę? – zapytał zaskoczony przenikliwością gospodarza.

- To prowokacja – pomyślał, czekając na odpowiedź.

- Nie bój się – uspokoił go dawny znajomy, jakby czytał w jego myślach. – Nie jestem prowokatorem. Już nim nie jestem. Pracowałem w służbach, ale to przeszłość. Jestem na emeryturze.

- To dlaczego mówi mi pan takie rzeczy? I skąd pan tyle o mnie wie? – niepokoił się nadal.

- Chciałem, żebyś mnie od razu poznał i ocenił. Chciałem, żebyś miał do mnie zaufanie, tak jak miał je twój ojciec. Ja dziś wierzę już tylko w Boga i bezgranicznie wierzę tylko Bogu. W tym moim gadaniu chodziło mi głównie o ciebie,. O to, żebyś ty mnie poznał, żebyś się mnie nie obawiał. Domyślasz się przecież kim byłem. Teraz wiesz także kim jestem. Skąd tyle o tobie wiem? Znikąd. Nie zbierałem informacji o tobie. Nie musiałem. Wystarczy policyjny nos, doświadczenie i intuicja.

W hotelowym pokoju zapadła cisza. Sączyli koniak, nie patrząc na siebie. Spojrzeli na siebie dopiero wtedy, gdy usłyszeli ciche pukanie do drzwi.

- Proszę – zawołał Cichocki.

Drzwi uchyliły się nieznacznie i w szparze pojawiła się głowa recepcjonisty.

- Pan dzwonił? – zapytał młodzieniec, rozglądając się bacznie po pokoju.

- Nie, nie dzwoniłem. Coś się panu pomyliło.

- A to przepraszam bardzo. Może czegoś panom potrzeba? – głos blondyna stał się słodki i przymiłny.

- Potrzeba nam tylko trochę spokoju! – wykrzyknął Cichocki za wycofującym się i wyraźnie rozczarowanym recepcjonistą.

- Głupi kapuś – skomentował nagłą wizytę Cichocki. – Liczył na to, że nas zaskoczy *in flagranti* i wpadnie mu dodatkowa kasa. Ale czort z nim. Przejdźmy do rzeczy. Zakładam, że ty też bardziej wierzysz w Boga niż w historię, więc mogę ci zaufać. Mów z czym przychodzisz, ale najpierw otwórz tę swoją czystą i grzybki. Ja pokroję kielbasę. Ładnie pachnie. Zgłodniałem.

- Nie mam już za wiele czasu – zmartwił się gość, spoglądając na zegarek. – Ostatni wieczorny pekaes do Mielnia odjeżdża pięć po dziesiątej.

- Spokojnie. Zafunduję ci taksówkę. Nie mam na kogo wydawać pieniędzy. Zostałem sam. Rozwiodłem się. Żona nie chciała wracać do Polski i miała rację. Dzieci zostały z nią. Postawiłem na złego konia, tak samo jak Kontrym. Tyle, że on zapłacił za złe obstawienie życiem, a ja tylko rozgoryczeniem i samotnością.

Starszy mężczyzna przerwał, popatrzył przez chwilę na Szelca i dodał:

- Rozczulałam się nad sobą z twojej winy. Kiedy zobaczyłem cię w „Meduzie” wróciła do mnie przeszłość. Ta jej lepsza część. Czułem się tak, jakbym zobaczył dawno niewidzianego syna. Mów mi *per „ty”*, proszę.

Odchrząknął maskując wzruszenie i wrócił do krojenia kielbasy.

Szelc dziwił się sam sobie. Czuł się teraz całkowicie pogodzony z niespodziewanym przebiegiem spotkania, a skomplikowanych i niejasnych wywodów gospodarza nie uznawał już za niepotrzebne i podstępne. Przeciwnie, zrozumiał o co Cichockiemu chodziło, a mianowicie o wyjawienie w ten sposób najgłębiej ukrytych przekonań i niezgody na komunizm, który z historii i jej praw uczynił swego okrutnego bożka.

- Odkrył się przede mną – pomyślał – a jednocześnie sprawdził, kim ja teraz jestem. Kapusiem, służbistą, sprzedawczykiem czy tylko nieudaną kopią ojca policjanta. Znalazłem

przyjaciela – rozczulił się , bo wypity koniak zmiękczył jego serce – I znalazłem ojca. Mogę na niego liczyć, a on na mnie.

Jednym wprawnym ruchem wybił korek z butelki z czerwoną kartką, a drugim odkręcił wieczko słoika z marynowanymi podgrzybkami. Z czułością pomyślał o Halince, która je zrobiła i przypomniał sobie ich wspólne grzybobrania w lasach niedaleko Mostowa. W głowie układał szybko krótką relację z niewyjaśnionych letnich wydarzeń w Mielnie, żeby zgrabnie przedstawić ją gospodarzowi, gdy znów usiądą przy stoliku i rozpoczną rozmowę. Był pewien, że Cichocki zgodzi się zająć sprawą Michała Sikory i nie tylko nią.

Wizyta Michała Sikory u rodziny dobiegła końca. Ponure myśli, które dręczyły go w pociągu okazały się uzasadnione, ale rzeczywistość, z którą musiał się zmierzyć, zmusiła go do działania, a nie do bicia się z myślami. Rodzice bardzo ucieszyli się z jego przyjazdu. Choć spodziewali się zobaczyć go w mundurze, nie pokazali po sobie rozczarowania. Matka patrzyła na niego z podziwem, odwracając się raz po raz od kuchni, na której odsmażała pierogi z kapustą i grzybami. Przygotowała je specjalnie dla niego.

„Aleś wyprzystojniał”, mówiła za każdym razem, gdy na niego spojrzała. „Jakiś jesteś odmieniony, taki dorosły i poważny” dodawała, poprawiając machinalnie chustkę na głowie i wkładając pod nią wysuwające się siwe kosmyki włosów. On uśmiechał się i odwracał wzrok. Matka postarzała się, pochyliła i straciła życiową energię. Jej słowa sprawiały mu przykrość, bo uwydatniały dzielącą ich coraz szerszą i głębszą przepaść. Żyli w dwóch różnych światach i oboje wiedzieli, że światy te nigdy już się nie spotkają. Jego świat rodził się dopiero, a ich umierał.

- Matka! – próbował żartować ojciec. - Co ty się nim tak zachwycasz? Rozpuścisz chłopaka. Nie będzie nas chciał znać, takich kmiotków.

- Co też tata mówi – oponował. – Przyjechałem pomóc w gospodarstwie. Ze mnie też przecież kmiotek.

Ojciec także się postarzał, ale jak dawniej starał się być twardy i nie okazywać uczuć. Znać było jednak, że przyjazd młodszego syna sprawił mu wielką przyjemność. Stwardniała i poczerniała od pracy ręką klepał go mocno a to ramię, a to w plecy i był to najczulszy dotyk, na jaki mógł się w ogóle zdobyć.

Miłym zaskoczeniem był dla niego widok bratowej. Józefa wydawała się trochę onieśmielona, ale wyglądała lepiej niż podczas jego ostatnich odwiedzin. Przywitała go z wyraźną radością, ucałowała serdecznie i uściśnęła. Stwierdził, że wyładniała i jest porządniej ubrana.

- Jak sobie radzisz? - zapytał, sadzając sobie na kolanach najmłodszego chłopca, Tadeuszka. Starsza trójka, dwaj chłopcy i dziewczynka, otoczyła go i dzieliła między siebie podarowane słodycze. Brata nie było.

- Jakoś sobie radzę – odpowiedziała. – Muszę. Świekra, to znaczy mama, bardzo mi pomaga. Na Mietka przy dzieciach to nie mogę liczyć. Dobrze, że teraz wziął się wreszcie do roboty. Mniej pije.

- Mam mu coś powiedzieć? Postraszyć go? – zapytał, przybierając trochę zbyt oficjalny ton.

- Nie. Ja mu sama wbijam do głowy, że jak zostałeś milicjantem, to musi się pilnować, bo go możesz załatwić. Chyba się przestraszył, bo przestał upijać się w trupa.

Józefa posmutniała i zamilkła. Po chwili powiedziała spokojnie:

- Pojechał naprawiać koparkę. Wykopki zaczynamy. Dzieci! – zawołała. – Podziękujcie stryjkowi za cukierki!

Praca w polu i codzienne zajęcia w gospodarstwie wypłoszyły z jego głowy wspomnienia mieleńskiego lata. Jedynie o Gosi myślał w wolnych chwilach. Tych było jednak niewiele. Dni stały się już krótkie, więc wstawali przed świtem, harowali do późnego popołudnia, żeby jeszcze przed nocą zwieźć ziemniaki z pola i zakopcować. Matka zostawała w domu z dziećmi – były jeszcze za małe do zbierania ziemniaków - i gotowała gęste zupy, które zjadali dopiero po robocie. Wieczorem, po kolacji, mył się z grubsza i padał na łóżko jak kłoda. Zasypiał prawie natychmiast, choć dwaj bratankowie, z którymi dzielił pokój, hałasowali i szarpali go za rękę wołając:

- Stryju, stryju! Niech stryj nie śpi. Niech się stryj z nami pobawi w milicjantów i złodziei!

- Później, później – mamrotał i zapadał w głęboki sen.

Mietek niewiele z nim rozmawiał. Nie pił, ale krążył po domu zagniewany i zniecierpliwiony. Rozchmurzał się w czasie pracy, ale wtedy mówili tylko o tym, co trzeba zrobić. Od czasu do czasu czuł na sobie uważniejsze niż zwykle spojrzenie starszego brata. Miał wtedy uczucie, że brat boi się go i zaczyna nienawidzić.

Wyjechał od rodziców wcześniej niż planował. Wykopki się zakończyły i mógł bez wyrzutów sumienia opuścić gospodarstwo. Zrobił co mógł. Pomagał w polu. Zostawił rodzicom zaoszczędzone latem pieniądze. Teraz chciał już uciec z powrotem do swojego własnego życia. Zostało mu jeszcze kilka dni do końca urlopu. Postanowił wykorzystać je na urządzenie się w Sianowie, gdzie zaczynał pierwszą stałą służbę. Coś nieodparcie ciągnęło go też do Mielna. Musiał zobaczyć się z Gosią. Nie odezwał się do niej przez cały czas pobytu u rodziców, lecz miał nadzieję, że nie obraziła się na niego i o nim nie zapomniała. Sama myśl o tym, że znalazła sobie kogoś innego, że nie będzie się chciała z nim spotkać, sprawiała mu cierpienie, jakiego dotąd nie znał. Ale nie tylko Gosia przyciągała go do Mielna. W jego pamięci utkwily także inne, trudne do wyeliminowania obrazy.

Zainstalowanie się w Sianowie zajęło jeden dzień. Komendant Komendy Miejskiej MO w Sianowie, chorąży Zenon Lepszuk, u którego zameldował się w piątek 27-go września zaraz po powrocie ze Świelina, przydzielił mu kwaterę i rozkazał zgłosić się pierwszego dnia służby, a ten przypadał na wtorek 1-szego października. Pozostawały więc jeszcze trzy dni wolnego. Sobotę i niedzielę zamierzał spędzić w Mielnie. Noclegiem się nie martwił. Mógł wrócić na noc do Sianowa. Trochę liczył jednak w tym względzie na pomoc komendanta Szelca i swój dawny pokój służbowy, ale najmilsza była myśl, że być może Małgosi zmięknie serce. Mieszkała z rodzicami, ale przy odrobinie szczęścia mogło się zdarzyć, że rodzice będą poza domem, na przykład w sanatorium albo gdzieś u rodziny, i będzie mógł zostać z nią na noc.

Zjawił się na ulicy Sosnowej w Mielnie w sobotę wczesnym popołudniem. Wiedział, gdzie Gosia mieszka, bo kilkakrotnie odprowadzał ją do domu po dancinгах. Wtedy jednak zawsze było już ciemno i choć zapamiętał miejsce, to nie wiedział, jak dokładnie wygląda budynek. Czule żegnali się przy furtce, a dom stał w głębi posesji. Teraz stał przy tej samej furtce i patrzył na jej dom, mając nadzieję, że Gosia akurat z niego wyjdzie i nie będzie musiał dobijać się do drzwi i poznawać jej rodziców. Nie był na to gotowy. Zbyt krótko się z Gosią znali. Dom dziewczyny okazał się mały, parterowy, pokryty czerwoną dachówką i bardzo zadbane. Murowane ściany pomalowane na biało dawały wrażenie sterylnej czystości, a ciemnobrązowe ramy okienne i także drzwi wejściowe ładnie ze ścianami kontrastowały. W oknach czerwieniły się pelargonie. Wokół rosły wysokie sosny. Od furtki do drzwi, przez porośnięte nadmorską roślinnością piaszczyste podwórze, prowadziła betonowa ścieżka. W okolicy panowałyby absolutna cisza, gdyby nie słyszalny wyraźnie szum morza.

- Ciekawe – pomyślał. – Wcześniej nie słyszałem szumu morza. Zagłuszał go chyba wakacyjny zgiełk. A może przyzwyczałem się, tak jak stali mieszkańcy. Oni podobno już go w ogóle nie słyszą.

Z domu nikt nie wychodził, ale w jednym z dwóch widocznych od ulicy okien poruszyła się firanka. Sikora otworzył furtkę i ruszył do drzwi. Te otworzyły się natychmiast i stanęła w nich drobna, starannie ubrana i uczesana starsza kobieta.

- Domyślam się, że nazywa się pan Michał Sikora – odezwała się miłym głosem i wyciągnęła dłoń do przywitania. – Małgosia wspominała o panu a ja, proszę wybaczyć ciekawość, przyjrzałam się panu, kiedy pełnił pan służbę w Mielnie. Chciałam wiedzieć, z kim zadaje się nasza córka.

- To oczywiste – odpowiedział naśladując jej grzeczność. – Dzień dobry. Czy zastałem Małgosię?

Zreflektowawszy się, że jest za mało szarmancki, delikatnie ujął podaną mu dłoń, schylił się i pocałował.

- Miło mi poznać mamę Małgosi – dodał szybko i niepewnie.

Był zażenowany, bo jego dłoń była spocona, a starszej pani chłodna i sucha.

- Małgorzata pojechała do Koszalina i wróci późno. Wie pan, że ona uczy się w szkole wieczorowej? W liceum. Wiosną ma maturę. Chce iść na studia. Nie może całe życie pracować w sklepie. Zresztą ona w kiosku tylko latem dorabia. Ale proszę, niech pan wejdzie. Zrobię herbaty.

Spłoszył się na dobre. Nie zdawał sobie dotąd sprawy z tego, w jakim środowisku wychowuje się i żyje Gosia. Wiedział, że jest elegancka, ale miał ją za prostą, choć bardzo inteligentną dziewczynę.

- Nie dziękuję – odpowiedział przerażony wizją dalszej ugrzecznionej rozmowy. – Muszę już iść. Do widzenia.

- Do zobaczenia – starsza pani ponownie podała dłoń do ucałowania. - Powiem, że pan dziś przyszedł i o nią pytał. Małgorzata jutro na pewno będzie w domu. Może pan nas odwiedzić. Zapraszam na obiad. W niedzielę jemy zawsze o czternastej.

- Dziękuję, ale pewnie przyjadę do Mielna po obiedzie – wybąkał.

- A, nie szkodzi – zgodziła się kobieta. – W takim razie może pan zabrać Małgorzatę na poobiedni spacer. Do widzenia.

- Niesamowite - myślał, idąc zbyt pośpiesznie do furtki. – Jak one się od siebie różnią, córka i matka. Gosia jest taka swobodna i wesoła. Przecież mnie polubiła, prostego chłopaka. Dobrze się ze mną dogadywała. Jest dobrze wychowana, ale nie ma takich wielkopańskich manier. A może tylko udawała, bawiła się mną w wakacje. Ale przecież to ona pierwsza wyszła z inicjatywą. I co? Mama, taka ostrożna wielka pani, pozwalała jej na nocne dancingi z nieznajomym? Co robić? Spotkać się z nią jutro, czy uciekać?

Nie lubił siebie w stanie totalnej niepewności. Poczuł jednocześnie upokorzenie i złość. Aby uspokoić nerwy postanowił popatrzeć na morze. Ruszył spod domu Małgorzaty ulicą Sosnową w kierunku plaży. Niestety Sosnowa skończyła się nagle na ogrodzeniu jakiegoś domu. Zaklął i zawrócił. Minał ulicę Piękną, która też mogła nagle skończyć się płotem i skręcił ku morzu, idąc ulicą Pionierów. Znał ją bowiem dobrze z letnich patroli. Mijała łukiem ulicę Cichą i dopiero za zakrętem w lewo prowadziła prosto nad morze.

Szedł znajomą trasą, patrząc w ziemię. Rozmyślał. Nie patrzył na mijane domy i otaczające je ogródki. Minał skrzyżowanie z Cichą, przeszedł koło zamkniętego po sezonie baru „Pod Parasolami”, skręcił w lewo i zatrzymał się, ciągle zamyślony, przy drucianym ogrodzeniu. Podniósł głowę. W głębi zaniedbanego ziemnego podwórza stał duży dwupiętrowy budynek o drewnianej konstrukcji nazywanej „pruskim murem”, z licznymi wejściami, balkonikami i wykuszami. Wyglądał na przedwojenny obszerny pensjonat teraz zamieszany przez kilka nie najlepiej sytuowanych rodzin. Na wydeptanym podwórzu stały liczne, większe i mniejsze, komórki sklecone z desek, dykty i blachy, a przy komórkach mieszkańcy gromadzili graty, których nie potrzebowali w swych ciasnych zapewne komunalnych lokalach. Między rosnącymi na podwórzu drzewami rozciągnięto sznury do wieszania prania. Skromne sprane ubrania przyczepione do sznurów drewnianymi klamerkami lekko kołysały się na wietrze. Na jednym kołysały się damskie spodnie w różowo-szare paski. Obok powiewała kwiecista bluzka.

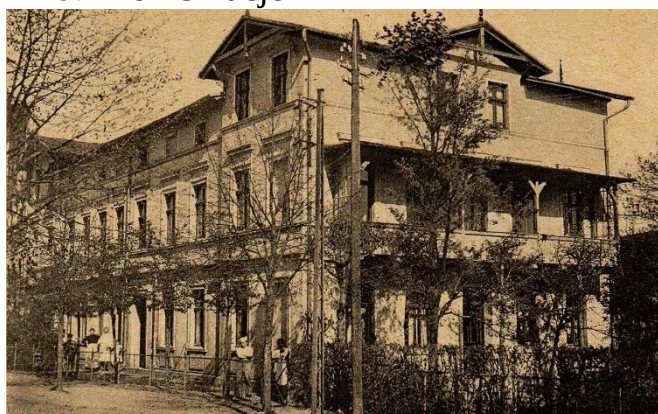
- Ładne rzeczy – pomyślał zdziwiony. – Ja już je kiedyś widziałem. Są podobne do ciuchów noszonych przez hipisów. Czyżby to były rzeczy tej hipiski, Joanny?

Nie znał się na damskich ciuchach, ale te rzucały się w oczy nawet takiego dyletanta jak on.

Jeszcze bardziej przygnębiony przykrym wspomnieniem utopionej dziewczyny wszedł na wydymowe wzniesienie. Opustoszała plaża rozciągała się bez końca ku wschodowi i zachodowi. Daleko na horyzoncie wzburzonego morza zbierały się szare chmury, a głośny szum rozbijających się o brzeg fal rozdzierały przeraźliwe krzyki mew bujających się na wietrze nad spienioną wodą. Nie zszedł na dół. Musiał pilnie pogadać z Szelcem. Chciał powiedzieć mu o swym podejrzeniu, co do ubrań, które przed kilkoma minutami zobaczył, a przy okazji podpytać go o rodzinę Mrozów. Szelc wiedział przecież, że spotyka się z Goską i nie ostrzegł, że to nie jest dziewczyna dla niego. Może nie powiedział nic z czystej złośliwości i teraz będzie śmiał się w duchu z jego naiwnej nadziei i nietrafionego uczucia.

- Trudno. I tak dzień jest stracony – przyszło mu na myśl. – Pójdę lasem do Kościelnej. Pogadam z komendantem, a potem wracam do Sianowa i dobrze się wyśpię. Dobry sen przynosi dobre rady, jak mówi matka.

3. Kombinacje



Leokadia i Józef Bednarzowie prawie zupełnie zapomnieli o zamieszaniu wokół wypadków z nieszczęsnymi utopionymi pannami, a przede wszystkim o zwróceniu na ich interes uwagi władzy na skutek niepotrzebnej wypowiedzi Loli. Sezon zakończył się dla nich niezwykle pomyślnie. Wczasowicze wykupili wszystko - to, co było im potrzebne i to, czego prawdopodobnie w ogóle nie potrzebowali. Magazyn pawilonu spożywczego opróżnił się i można było zapełniać go towarami przydającymi się stałym mieszkańcom Mielna jesienią, zimą i wiosną. Towarów takich nie było dużo: kasze, mąka, groch, fasola, makaron, ryż, no i oczywiście wódka. Wina sprzedawały się latem. Po sezonie stanowiły raczej ozdobę pustawych sklepowych półek.

Aby letni zarobek wywindować na właściwy poziom, trzeba było się dobrze postarać. Należało znać się na rzeczy i znać odpowiednich ludzi. Interes prowadzony na właściwą skalę wymagał wiedzy, doświadczenia, siatki uczciwych wspólników i koordynacji działań. Kto chciał naprawdę zarobić, nie mógł uciekać się do tak prymitywnych sposobów jak przeskalowanie wagi czy niedoważanie towarów. Tak postępowali drobni ciułacze. Bednarscy oczywiście także stosowali te niewyrafinowane metody, bo każdy grosz się dla nich liczył, ale stawiali na bardziej dochodową działalność, której tajniki, zarówno Józef Bednarz jak i Lola Bednarzowa, mieli w małym palcu. Każde z osobna rzecz jasna. Chyba właśnie zdolności do robienia interesów scalały ich małżeństwo. Nie było bowiem między nimi ani miłości, ani nawet czułości.

Młodziutka Leosia wyszła za starszego od siebie o dziesięć lat Bednarza czternaście lat temu, bo chciała uciec od ojca, macochy i przyrodniego rodzeństwa. Zaszła więc z nim w ciążę i niedługo po ślubie urodziła córkę. Bardzo ją pokochała, ale nie chciała rodzić więcej dzieci. Może z innym mężczyzną mogłaby je mieć, ale nie z Bednarzem. W nim podobało się jej jedynie to, że potrafił kombinować. Dużo się od niego w tym względzie nauczyła i okazała się równie zdolna jak on. W porównaniu z mężem brakowało jej tylko jednego, fizycznej siły. Gdyby ją miała, mogłaby skutecznie odpierać jego ataki, kiedy wściekły rwał się do niej z łapami i uderzał. Nie pozostawała mu dłużna. Brała co było pod ręką i oddawała uderzenia. Wiedziała, że tylko zdecydowany sprzeciw budzi w nim respekt., większy niż groźenie wezwaniem milicji. Wystrzegała się więc takich grózb i wołała bronić się sama. Nie mogła jednak stawać do poważnej walki z silniejszym od siebie przeciwnikiem. Zresztą, może i lepiej, że nie mogła. Byliby się prawdopodobnie w nerwach pozabijali, a tak napady wściekłości często kończyły się pójściem do łóżka, a Lola lubiła, podobnie jak Józef, w ten sposób rozładowywać napięcie. Niestety to ona zachodziła potem w ciążę, choć robiła co mogła, aby tego uniknąć. Ostatnim ratunkiem pozostawała skrobanka. Po niej jednak musiała rzucać się w wir pracy i impulsywne poszukiwanie nowych dochodowych kombinacji, bo praca i myślenie o nowych sposobach zarabiania pieniędzy, sprawiały, że nie dręczyła się wspomnianym wykonanym zabiegiem i nie wzmagała w sobie nienawiści, którą czuła do męża po każdym z nich.

Do stałego repertuaru działań pozwalających zagarniać część utargu należało odpowiednie opracowanie papierów. W papierach wszystko musiało się zgadzać. Osiągnęła niespotykaną biegłość w takim prowadzeniu dokumentacji, które maskowało wystawianie fikcyjnych kwitów dostaw, fałszywych faktur, odpowiednio spreparowanych raportów i dowodów wpłat.

Zarabiano się głównie na sprzedaży nadwyżek towarów dostarczanych przez zaufanych zaopatrzeniowców i przez prywatnych dostawców. Zyskiem trzeba się było oczywiście podzielić. Stawki były z góry ustalone. Najwięcej zarabiali ci, którzy przy danym interesie ryzykowali najwięcej. Jeśli wszyscy sztywno trzymali się zasad, wszyscy uczestnicy interesu byli zadowoleni. Dodatkowo zadowoleni byli także klienci, bo sklep był lepiej zaopatrzony. Bednarzowie nie mieli zatem żadnych wyrzutów sumienia. Do kogoś państwowy towar i pieniądze i tak musiały trafiać. Dlaczego nie miałyby trafiać do nich i do ich klientów?

Jeśli księgowość była dobrze prowadzona i dobrze działała współpraca między zainteresowanymi stronami, ryzyko wpadki było niewielkie. Na czas inwentaryzacji przywożono brakujący towar z innych sklepów, a ewentualne nadwyżki towaru chowano. System działał sprawnie od kilku sezonów, więc Bednarzowie nie żałowali włożonej w pracę, nocy spędzanych w sklepie i straconych letnich dni. Zastanawiali się natomiast, czy w przyszłym sezonie zaryzykować dodatkowo. Można było bowiem zorganizować włamanie. Oczywiście z pomocą fachowców. Zyskiwało się wtedy nie żywą gotówkę, lecz towar do pokątnego upłynnienia. Kłopot polegał na tym, że po zgłoszeniu włamania, milicja, słusznie podejrzewając możliwy współudział rzekomo poszkodowanych sklepikarzy, przeszukiwała prywatne mieszkania kierownika sklepu i wszystkich sprzedawców. Schowanie w dyskretnym miejscu mniejszej ilości towaru nie stanowiło problemu, ale Bednarzowie nie lubili detalu. Interesował ich duży zarobek, a więc i duża ilość towaru.

Bednarzowa, bardziej skłonna ryzykować dla pieniędzy niż mąż, chciała spróbować nowego sposobu. Zależało jej przede wszystkim na tym, aby wymiksować z nowego interesu Piotrowskich. Bednarz, przewidując kłopoty ze współnikami-włamywaczami, przewozem i ukryciem skradzionych rzeczy, wolał pozostać przy starych, wypróbowanych sztuczkach. Dzielenie się zyskami z Zenkiem i Bogusią Piotrowskimi, którzy pracowali w pawilonie latem, nie przeszkadzało mu tak bardzo jak żonie.

- Jesteś zbyt łapczywa i wpakujesz nas w kłopoty – twierdził uporczywie. – Mało ci, że nas w tym roku przetrzepali podczas inwentaryzacji jak nigdy dotąd. Ledwośmy się wybroniли. Na pewno milicja kazała nas przycisnąć po tym, jak się tobą zainteresowali. Zawsze mielesz jęzorem z tymi twoimi kumoszkami. Mielesz, mielesz i w końcu wymielesz! – krzyczał.

- Nic się przecież nie stało! Przecież to ja czyszczę dokumentację. Ty tylko zrządzisz i popijasz z koleżkami. To ja już nie mam prawa z nikim porozmawiać? – odszczekiwała.

- Do gadania też trzeba mieć łeb, a nie pleść trzy po trzy. Domem się lepiej zajmij. Dziecko poszło do szkoły i matki potrzebuje.

Bednarzowa machnęła ręką. Ich rozmowy, a raczej ich pyskówki, zawsze kończyły się tak samo: „domem się zajmij”, „dzieckiem się zajmij”. Ona tymczasem zamierzała wreszcie zająć się sobą, bo o dom i dziecko dbała nieustannie. Od miesiąca nie czuła się najlepiej i postanowiła porozmawiać o tym z Jolą Prus, lekarką z mieleńskiego Ośrodka Zdrowia. Kobiety znały się dość dobrze. Mówiły sobie po imieniu, choć trudno powiedzieć, żeby były koleżankami. To Lola mogła szczycić się tą znajomością. Zostawiała lekarce towary deficytowe i sprzedawała je jej, jak mówiono, „spod lady”. W zamian mogła liczyć na miłą atmosferę w czasie wizyt i, jeśli była taka potrzeba, na dyskrecję w intymnych sprawach, a także na trudno dostępne lekarstwa dla siebie i córki.

Mąż Jolanty Prus, Hieronim Prus, także był lekarzem. Pracował w Szpitalu Wojewódzkim w Koszalinie. On to dopiero był stary. Dużo starszy od żony. Ten starszy, ale wysoki i potężnie zbudowany mężczyzna, zawsze uprzejmy i poważny, budził respekt. Różnica wieku zdawała się nie przeszkadzać małżonkom. Rzadko widywano ich razem, ale kiedy już kroczyli – bo Prus nie chodził, lecz kroczył - główną ulicą Mielna, trzymali się za ręce jak młode małżeństwo. Prus cieszył się wielkim poważaniem i w Mielnie i w Koszalinie. Znał się dosłownie na wszystkich chorobach, choć specjalizował się w pediatrii, co było o tyle dziwne, że Prusowie swoich dzieci nie mieli. Podobno posiadał przedwojenną pieczętkę z napisem „wszechnauk lekarskich doktor”, której oczywiście już nie używał. Używał za to pięknego wiecznego pióra firmy Watermen w perłowo-zielonej oprawie i tylko nim wypisywał recepty. Prusowie mieli jeszcze inną starą rzecz, a mianowicie samochód DKW, czyli tak zwaną Dekawkę. Prus jeździł nim do pracy, ale Jola Prusowa także miała prawo jazdy i w razie potrzeby korzystała z potwornie trzęsącego się pojazdu, dojeżdżając do leżących pacjentów. Mieszkali przy ulicy Chrobrego w budynku Ośrodka Zdrowia na drugim piętrze, bo na parterze był gabinet stomatologiczny i ginekologiczny, a na pierwszym rejestracja, gabinet pielęgniarki, przez który wchodziło się do gabinetu internisty, czyli Jolanty Prus, oraz punkt apteczny. Z mieszkańców Mielna nikt u nich nie bywał. Goście przyjeżdżali z Koszalina i nie wiadomo jeszcze skąd. O wyposażeniu ich mieszkania krążyły różne plotki; że piękne stare poniemieckie meble, że porcelanowe zastawy i tym podobne. Ale Bednarzowa, znając skromność lekarki i jej męża, w te plotki nie wierzyła. Nikt nigdy nie słyszał, żeby Jola lub jej mąż wzięli od kogoś łapówkę. W tych czasach to naprawdę było coś wyjątkowego.

Lola oczywiście nigdy nie przychodziła na wizytę z „pustą ręką”, więc i tym razem przyniosła kawę i czekoladę. Były to jednak drobiazgi. Skromny wyraz szczerego uznania dla wiedzy medycznej, ludzkiego traktowania i chęci pomocy.

- Zmęczona po trudnym sezonie? – Jolanta Prus przywitała Leokadię Bednarzową retorycznym pytaniem.

- Do zmęczenia jestem przyzwyczajona – odpowiedziała pacjentka. – Coś innego musi mi być. Jestem osłabiona, ciągle boli mnie głowa, a rano budzę się bardzo wcześnie, przed świtem, i czegoś się boję. Sama nie wiem czego. Leżę tak i strach mną szarpie jak wściekły pies. Dotąd nigdy tak nie było. Nie wiem, co się dzieje.

- A masz apetyt? Wydaje mi się, że schudłaś – zauważyła lekarka. - Rozbierz się. Oslucham cię i potem pogadamy.

- Wszystko w porządku – stwierdziła po badaniu. – Serce bije trochę za szybko, tętno przyspieszone, ale to może być skutkiem przemęczenia i zdenerwowania. Od kiedy źle sypiasz?

- Nie pamiętam. Byłam tak zapracowana, że nie miałam kiedy się sobą przejmować. Ale od dwóch tygodni jest coraz gorzej. Nad ranem męczę się okropnie. Potem zasypiam na krótko i kiedy trzeba wstać z ledwością zwlekam się z łóżka. Gdyby nie Elżunia, którą muszę wyprawić do szkoły, to chyba bym w ogóle nie wstawała. Bednarz rano idzie do sklepu. Piotrowscy jeszcze mu trochę pomagają, więc ja im tam nie jestem potrzebna i gdyby nie dziecko, mogłabym leżeć cały dzień. Na nic nie mam ochoty.

- A kiedy miałaś ostatni okres? Może znów jesteś w ciąży? – dopytywała Prusowa, zapisując coś szybko w karcie pacjenta.

- Może jestem – smętnie odezwała się Lola. – Okres mi się spóźnia.

- Kobieto! – wykrzyknęła lekarka. – Jeśli jesteś w ciąży, to będziesz musiała urodzić to dziecko. To zresztą cud, że w ogóle zaszłaś w ciążę po trzech skrobaniach. Twoja macica jest cienka jak pergamin. Następny zabieg groziłby krwotokiem.

Bednarzowa spuściła głowę i rozplakała się. Po chwili wyjęła z torebki chusteczkę, wytarła oczy, wydmuchała nos i powiedziała już mocnym głosem:

- Nie, to chyba nie to. Jakoś się inaczej czuję.

- Idź do ginekologa. Nasza ginekolog będzie w środę. A ja wystawiam ci skierowanie na badania krwi i receptę na leki uspokajające. Przyjdź do mnie z wynikami, ale po badaniu ginekologicznym. Przyjdź koniecznie! – wykrzyknęła za wychodzącą pacjentką.

- Co się dzieje pani Lolu? – Maria Zalatowska, doświadczona mądra pielęgniarka zawiadująca całą przychodnią, zatrzymała Bednarzową i ruchem ręki wskazała krzesło.

- Następny! – wykrzyknęła przez uchylone drzwi na korytarz, który pełnił także funkcję poczekalni dla pacjentów.

- Co się dzieje? – zapytała ponownie, gdy kolejna pacjentka, matka z małym dzieckiem, weszła już do gabinetu Prusowej i zamknęła za sobą drzwi.

Bednarzowa szeptem, żeby ich rozmowy nie słyszała siedząca za drzwiami lekarka, powtórzyła słowo w słowo to, co powiedziała Prusowej. Zalatowska zadała jej kilka dodatkowych pytań i wydała swoją diagnozę.

- Nie sądzę, żebyś była w ciąży – oświadczyła, przechodząc na „ty”, co zdarzało jej się często, gdy miała do czynienia z młodszymi od siebie pacjentami. – Musisz oczywiście iść do ginekologa, ale to mi wygląda na kryzys nerwowy. Pogadam z Jolą. Ona lubi słuchać moich rad, bo wie, że mam doświadczenie. Poradzimy coś, kiedy przyjdiesz następnym razem.

- Ale ja się teraz jeszcze bardziej denerwuję! – przeraziła się Bednarzowa. – Nie chcę trafić do psychiatryka! Zrobią ze mnie mumię egipską! Dostałam jakieś tabletki na uspokojenie. Brać je, czy nie?

- Cicho! – pielęgniarka wzrokiem wskazała drzwi do gabinetu. – Po co od razu psychiatryk. Mówię, że zaradzimy, to zaradzimy. Nie bój się. Pokaż receptę.

Zalatowska zerknęła na przepisane przez lekarkę tabletki i skinęła głową:

- Dopóki nie wykluczysz ciąży nie bierz. Potem bierz tak jak przepisane. Nie więcej.

Rozmowa Michała Sikory z Czesławem Szelcem przebiegała opornie. Sikora odnosił wrażenie, że komendant nie chce z nim gadać i nie wiedział, skąd bierze się ta niespodziewana niechęć. Informację o rzeczach Joanny Woźniak suszących się na posesji przy ulicy Pionierów nie zainteresowała komendanta tak, jak się spodziewał.

- Ta sprawa jest zamknięta – burknął Szelc. – Pewnie ktoś znalazł ubrania i je sobie przywłaszczył. Widać my nie szukaliśmy ich zbyt dokładnie.

- Kiedy znalazłem jej torbę w krzakach, przeszukałem teren wokół – bronił się, bo uznał, że pretensje starszego kolegi w niego uderzają.

- Teraz to nie ma żadnego znaczenia. Sprawa zakończona. Sprawdzę, kto i gdzie znalazł ubrania ofiary, o ile oczywiście są to jej ubrania.

- Nie widziałem takich w naszych sklepach – rzucił.

- A co? – nerwowo odparował natychmiast Szelc. – Interesują cię damskie fatałaszki?

Zapadła krępująca cisza a Michał Sikora podniósł się gwałtownie z krzesła, na którym był usiadł po przyjsciu na posterunek.

- Przeholowałem – zreflektował się w duchu komendant.

- Przepraszam – zwrócił się do młodego milicjanta. – Jestem dziś poirytowany. Wiesz, małe kłopoty w domu i w pracy. Nie ma o czym mówić – wyjaśniał ogólnikami, żeby złagodzić poprzednie słowa. – A gdzie będziesz teraz pracował?

- W Sianowie. W Komendzie Miejskiej.

Sikora nie usiadł, bo chciał teraz jak najszybciej opuścić mieleński posterunek.

- Aaa.. w Sianowie. Pozdrów ode mnie Zenka Lepszuka. To dobry milicjant, ale służbista. Jak nie będziesz z nim dyskutował, tylko wykonywał polecenia, będziesz miał spokój.

Skinął głową i wyszedł. Nie miał ochoty dopytywać Szelca o Mrozów. Następnego dnia, w niedzielę, czekał na Małgorzatę przed restauracją „Mewa”. Widziało się z tego miejsca wszystkich przechodzących ulicą Kościelną. Wiedział, że Małgorzata chodzi do kościoła na sumę odprawianą o godzinie jedenastej i spodziewał się, że będzie wracała sama, bez rodziców. Nie zawiódł się. Wypatrzył ją wśród ludzi skręcających z Kościelnej w Lechitów i energicznie pomachał ręką. Zauważył z ulgą, że uśmiechnęła się na jego widok, radośnie odmachnęła, pożegnała się z towarzyszącą jej młodą kobietą i, przyspieszając kroku, ruszyła w jego stronę. Wyglądała prześlicznie w jasnym prochowcu mocno ściśniętym paskiem, kolorowej chusteczce po szyję, cienkich pończochach i brązowych sznurowanych półbutach na płaskim obcasie. Słoneczne światło pobłyskiwało na jej czarnych włosach.

- Dzień dobry – podała mu dłoń i znów się uśmiechnęła. – Mama mówiła, że byłeś wczoraj i że obiecałeś zajrzeć dziś po obiedzie. Co? Wystraszyłeś się?! – roześmiała się głośno, zauważywszy, że młody mężczyzna nie wie, co odpowiedzieć. – Niepotrzebnie! Ona nie jest taka straszna. Jest staroświecka, i tyle.

Michała nagle opuściły wątpliwości dręczące go od wczorajszego dnia. Gosia była taka jak przedtem, a nawet jeszcze miłsza. Wiedział już, że podoba mu się tak bardzo, że nie wyobraża sobie zerwania znajomości z nią. Trochę go onieśmiałła swobodą i urodą, ale właśnie takie dziewczyny zawsze go przyciągały.

- Czy mogę odprowadzić cię do domu? – zapytał dość oficjalnie, bo Małgosia, którą zobaczył po dwóch tygodniach przerwy, nie przypominała wesołej ekspedientki z białego drewnianego kiosku przy plaży, u której kupował oranżadę i słodycze.

Widział w niej teraz tylko tę elegancką panienkę, z którą tańczył i którą odprowadzał nocą pod jej dom.

- Ależ oczywiście – odpowiedziała, udając powagę i wzięła go pod ramię. – Chodź, pójdziemy łakami w stronę jeziora i pospacerujemy po wale przeciwpowodziowym. Byłeś tam?

- Nie.

- Chodzi tam niewiele osób, ale na wale jest ścieżka wydeptana przez wędkarzy. Tu niedaleko skręcimy w drogę prowadzącą przez łąki. Nią, kierując się w lewo, dojdziemy do ścieżki na wale.

Szli przez dłuższy czas w milczeniu. Ścieżka na wale była zbyt wąska, aby iść obok siebie, więc Małgorzata szła przodem, a on podążał za nią. Patrzył na jej zgrabne nogi. Podziwiał lekki krok. Z lewej strony wału rozciągała się spokojna tafla jeziora Jamno, za którą widoczne były zabudowania wzdłuż ulicy Chrobrego, pomost, przystań żeglarska - kręciło się tam kilka osób - a dalej przystań Państwowego Gospodarstwa Rybnego opustoszałego jak zawsze w niedzielę. Od jeziora wał oddzielony był szerokim pasem trzciny. Po prawej stronie rozciągały się łąki.

- Podmokłe kwaśne łąki – pomyślał. – Bydła się na nich nie wypasie. Można kosić na ściółkę dla zwierząt, ale tylko kosą. Sprzęt ugrzęźnie. O czym ja myślę? – skarcił się natychmiast. – Trzeba ją jakoś zagadnąć.

W tej samej chwili Małgosia odwróciła się do niego i powiedziała:

- Myślę, że chcesz mnie o coś zapytać. Pytaj śmiało. Szczerze odpowiem na każde pytanie.

Zaskoczony jej bezpośredniością stał przed nią i patrzył w ziemię.

- Powiedz - odezwał się, podnosząc głowę i patrząc jej w oczy – dlaczego jesteś taka inna? Inna od swojej matki. Nawet z wyglądu nie jesteś do niej podobna.

- Jestem adoptowana – odpowiedziała krótko. – Ale nie chcę teraz o tym rozmawiać. Może kiedyś opowiem ci więcej. Coś jeszcze?

- Czy chcesz się ze mną spotykać? – wypalił dziwnie ośmielony po jej wyznaniu. – Od pierwszego zaczynam pracę w Sianowie. Mielibyśmy do siebie blisko.

Po rozmowie z Czesławem Szelcem Kazimierz Cichocki pozostał w hotelu „Jałta” jeszcze przez kilka dni. Gdyby nie ta rozmowa wyjechałby dużo wcześniej. Koszalin był dla niego miejscem przypadkowym. Przyjechał tu z Warszawy, gdzie miał niewielkie mieszkanie, w jakimś nagłym porywie niepokoju i zamieszkał w hotelu. Niepokoje, które coraz częściej przeżywał, a które były, jak sądził, spowodowane samotnością i wspomnieniami z przeszłości, coraz częściej wyganiały go ze stolicy. Lądował wtedy w różnych obcych miastach i miasteczkach, gdzie nie znał nikogo i gdzie nikt nie znał jego. Siedział w nieprzytulnych hotelowych pokojach, włóczył się bez celu, zaglądał do miejscowych spelunek, gdzie przyglądał się ludziom i dużo pił. Głowę miał jeszcze mocną, ale stan alkoholowego upojenia przynosił coraz mniej ulgi, a poranny kac wprawiał w stan podwyższonej irytacji. Gdy zobaczył w koszalińskiej „Meduzie” Czesława Szelca był już mocno wstawiony i wywołana alkoholem towarzyskość skłoniła go do przypomnienia się synowi swego przyjaciela sprzed wojny. Następnego dnia trochę żałował pijackiego porywu serca, ale poczuł też ulgę, że będzie mógł czymś się zająć. Uświadomił sobie, że chce Cześkowi – tak w myśli nazywał Szelca – pomóc, a ich późniejsza rozmowa pokazała, że jest w stanie to zrobić niewielkim dla siebie kosztem. Jako były pracownik służb miał jeszcze określone znajomości, które mogły otworzyć przed nim drzwi milicyjnych archiwów. Poza tym obudziło się w nim niespodziewanie jakiś ojcowskie uczucie. Karciał siebie za nie, bo wiedział, że przywiązywanie się do kogokolwiek kończy się zawsze tak samo, rozczarowaniem i uczuciem zranienia. Każda bliższa znajomość traciła intensywność, gdy tylko przestawał być potrzebny.

Umówili się z Czesławem, że nie będą się przez jakiś czas spotykać i komunikować. Cichocki musiał mieć co najmniej tydzień na przejrzenie papierów Michała Sikory i tych, które pozostały po prowadzonych latem śledztwach. Chciał także przyjrzeć się środowisku, w którym Sikora się obracał i poobserwować go trochę, kiedy wróci z urlopu. Obiecał wywołać Czesława telefonicznie, jeśli odkryje coś ważnego. Dzień po telefonie mieli spotkać się o godzinie 17-tej na Górze Chełmskiej przy cokole, który pozostał po niedawnym tajemniczym zniknięciu zeń kilkumetrowego krzyża upamiętniającego od 1829-tego roku pruskich żołnierzy – mieszkańców Keszyna – poległych w walce z wojskami napoleońskimi. Cichocki spacerował ścieżkami na Górze Chełmskiej dwa dni po swoim przyjeździe do Koszalina i teraz uznał to miejsce za ciekawe, a dodatkowo dyskretne. Pod koniec lat pięćdziesiątych zadbaną, aby Góra Chełmska stała się, jak dawniej, czyli „za Niemca”, miejscem rekreacyjnym, sportowym i rozrywkowym. Odrestaurowano wieżę widokową, uporządkowano leśny stadion, zbudowano nową restaurację w miejsce tej zniszczonej w czasie wyzwolenia Koszalina przez Armię Czerwoną oraz amfiteatr. Miejsce straciło jednak na atrakcyjności, kiedy już na początku lat sześćdziesiątych wieżę widokową zamknięto dla publiczności z powodu zamontowania na niej telewizyjnej stacji przekaźnikowej. Teraz znów można było z niej podziwiać widok miasta, otaczających je z trzech stron lasów i morza zamykającego horyzont od północy, bo stację starą zastąpiła nowa, wybudowana na Gołogórze. Niestety czas świetności Góry Chełmskiej nie wrócił i miejsce powoli pustoszało. W dzień powszedni, jesienią wczesnym wieczorem, nie spotykało się tu nawet najbardziej zagorzałych spacerowiczów, a ze wzniesienia, na którym znajdował się cokolwiek można było zauważyć każdego, kto się doń zbliżał.

- Słuchaj – powiedział Cichocki do Czesława, kiedy spotkali się 3-ciego października w umówionym miejscu. – Nie znalazłem nic, co potwierdziłoby jakiegokolwiek podejrzenia, że Michał Sikora może mieć patologiczne skłonności. Normalny chłopak ze wsi z dość biednej rodziny. Poszedł do szkoły milicyjnej w Słupsku, żeby wyrwać się z domu. Nie jest nadmiernie zdolny, ale za to bardzo wytrzymały na trudy i sprawny fizycznie. Ideologicznie się nie wykazywał, ale nie miało też do niego poważnych zastrzeżeń. Koledzy wystawili mu dobre opinie, że spokojny, sumienny, koleżeński i takie tam dyrdymały. Na komendzie w Koszalinie nie miał szans dać się poznać, a w Sianowie zaczął kilka dni temu. Wygląda na to, że ty, poza rodziną oczywiście, znasz go najlepiej.

Szelc machnął gwałtownie ręką, żeby przerwać wywody Cichockiego.

- Przypominam ci, że Sikorski nie budził moich podejrzeń, aż do czasu, kiedy zdałem sobie sprawę, że odpowiada rysopisowi podanemu przez Bednarzową, kierowniczkę sklepu w Mielnie. Wspominałem ci o niej. Potem znalazłem korale pierwszej ofiary w jego szufladzie na posterunku. Dlaczego mi ich nie pokazał? Zaraz po śmierci drugiej dziewczyny zainteresował się bardzo Małgosią Mrozówną. Znał ją wcześniej, ale trzymał się od niej z daleka. Aż nagle zachciało mu się flirtu. Zaczął zabierać ją na dancingi, odprowadzać do domu. A tydzień temu, po powrocie z urlopu, natychmiast przyjechał do Mielna. Sądzę, że szukał z nią kontaktu. Nie daruję sobie, jeśli coś jej się stanie.

- Tak, pamiętam, co mówiłeś. Czytałem też akta i wiem, że świadek Leokadia Bednarz nie rozpoznała nikogo podczas okazania jej podejrzanych.

- Ale wśród nich nie było Sikory! Ja go przecież nie umieściłem na liście tych, którzy odpowiadają podanym warunkom – zdenerwował się Szelc.

- Ale pani Bednarz widywała Sikorę wcześniej i z pewnością także później, po okazaniu. I co? Czy choć raz wspominała, że przypomina jej tego, którego zobaczyła z drugą ofiarą? Nie wspomniała.

- Może dlatego, że widziała go zawsze w milicyjnym mundurze. Kto by oskarżył milicjanta! – odparował Szelc.

- Słuchaj! Ja w jego papierach nic nie znalazłem, co oczywiście nie przesądza sprawy. Obserwowałem go też trochę i na moje oko zachowuje się bardzo normalnie, co też oczywiście o niczym nie świadczy. Najgorsi zboczeńcy i mordercy są najczęściej ludźmi miłymi, lubianymi przez znajomych i tak dalej. Ale ja mam nosa. A ten mi podpowiada, że to jest zwykły, prosty chłopak. Zgadzam się jednak z tobą – kontynuował Cichocki - że zbyt szybko umorzono śledztwa w sprawie dziewczyn. Nie wiem, czy doszło do zabójstw czy też nie, ale coś mi się nie zgadza. Dziwna jest teatralność obu zdarzeń: plaża, bikini, grajdółki, piękne młode dziewczyny upozowane na plażowiczki. Przypadkowy świadek utonięcia nie porywałby się na wymyślanie i realizowanie takiego przedstawienia, więc wersja śledczych nie jest wiarygodna. Ale prosty chłopak ze wsi, taki jak Sikora, też by raczej podobnego przedstawienia nie wymyślił, więc i twoje podejrzania wydają mi się mało prawdopodobne.

- Dobrze, że to mówisz, bo mnie wciąż dręczy myśl o niefortunnym zamknięciu obu spraw. Jeśli sprawca buja na wolności, to może znów zacząć realizować swe chore fantazje – przerwał Cichockiemu zniecierpliwiony Szelc. – Ale jak można doprowadzić do wznowienia

śledztw? No jak? Tylko przez wskazanie podejrzanego – oczywiście z mocnymi argumentami na rzecz popełnienia przez niego tych zbrodni. Byłaby to nowa okoliczności. A mnie jako podejrzanego przychodzi na myśl jedynie Michał Sikora. Mówiłem ci, że on praktycznie nie ma alibi ani na tę noc, w którą zginęła Joanna, ani na tę, kiedy utopiła się Ewa. W noc lipcową pilnował hipisów, ale nie wiadomo dokładnie, gdzie był i nie wiadomo, kiedy skończył służbę. Jego raport jest bardzo ogólnikowy. A pamiętam, jaki był wtedy zafascynowany właśnie tą hipiską. Jakby stracił dla niej głowę. Tej drugiej nocy niby spał w pokoju służbowym, ale ja tego nie mogę poświadczyć. Zobaczyłem go dopiero wtedy, gdy mnie obudził. Czy nie wydaje ci się dziwne, że to on usłyszał łomoczących do drzwi rybaków, choć ja drzemałem na dole, a on podobno mocno spał na górze? A i jeszcze coś. Ostatnio odwiedził mnie na posterunku i opowiadał, że widział ubrania Joanny suszące się przy jednym z domów w Mielnie. Myślę, że chciał mnie zmylić. Pokazać, jaki jest czujny i zainteresowany rozwiązaniem sprawy.

- Czesławie! – odezwał się Cichocki. – Wydaje mi się, że reagujesz zbyt emocjonalnie. Rozumiem, że jesteś wzburzony, bo podejrzewasz kolegę. Kogoś, komu zaufałeś i z kim współpracowałeś przez wiele tygodni. Ale musimy myśleć trzeźwo i odnosić się tylko do sprawdzonych informacji. Wyrok wydamy później. Usiądźmy gdzieś tu z boku i przeanalizujmy fakty. Na szczęście nie pada, a na rozgrzewkę mam wódeczkę. No już, siadaj!

Usiedli na betonowym postumencie dawnego pomnika. Kazimierz Cichocki wybił sprawnym uderzeniem korek z butelki i podał ją Szelcowi. Szelc pociągnął spory łyk i oddał wódkę fundatorowi.

- Dziękuję. Też powinienem przynieść butelkę. Stawiam następnym razem – powiedział trochę uspokojony ciepłem rozchodzącym się po całym ciele i rozluźniającym jego napięte mięśnie.

- Dobra. Trzymam cię za słowo – usłyszał od starszego, bardziej doświadczonego i przewidującego kolegi, który wypiwszy znów podał mu butelkę.

– Moja analiza faktów wykazuje – mówił ściszym głosem Cichocki - że po pierwsze nie sprawdziłeś, czy Sikora ma alibi, czy nie, a przecież można to sprawdzić. Ja się tym zajmę w najbliższych dniach i nie pytaj mnie, jak to zrobię. Po prostu mam swoje sposoby. Po drugie przegląd zebranych na niego papierów nie budzi żadnych podejrzeń, co do jego osoby. Ty także niczego właściwie nie zauważyłeś. Zaniepokoiło cię dopiero podobieństwo Michała do domniemanego sprawcy i znalezienie w jego szufladzie koralików. Znaleziono jednak wielu

innych mężczyzn, którzy mogli być w Mielnie w tamtych dniach i odpowiadają rysopisowi. Rysopis jest po prostu bardzo nieprecyzyjny. A co do koralików, to także nie sprawdziłeś, skąd wzięły się w szufladzie. Po trzecie Sikora rzeczywiście poznał latem dziewczynę, tę mielniankę. Może się po prostu zakochał i dlatego przyjechał do Mielna zaraz po urlopie. Co? Nie pamiętasz, jak byłeś młody i zakochany? Chciał się z nią spotkać. Trochę go poobserwowałem. Jego rodzice, prości ludzie, prowadzą gospodarstwo w Świelinie razem ze starszym bratem Michała. Chłop jeszcze młody, ale za dużo pije, a ma żonę i kilkoro dzieci. Podjechałem tam na jeden dzień wąskotorówką.. Nie żałowałem, bo piękna jest ta trasa przez lasy. Michał pracował z innymi przy wykopkach. Potem milicjant z Sianowa zadzwonił do mnie, gdy tylko Sikora po powrocie zameldował się u sianowskiego komendanta. Domyśliłem się, że może wybrać się do dziewczyny w sobotę i czekałem na dworcu PKS w Koszalinie. Nie pomyliłem się, więc też wsiadłem do autobusu, zresztą bardzo ochoczo, bo wcześniej jakoś nie udało mi się wybrać nad morze. Poszedł do jej domu, ale jej nie zastał. Rozmawiał z jej matką. Stali w drzwiach domu. Nie wszedł do środka, bo go nie zaprosiła. Sprawdziłem, że Małgorzata Mróz, bo tak nazywa się dziewczyna, uczy się w Liceum dla Pracujących w Koszalinie. I tego dnia miała zajęcia. To w tę sobotę odwiedził cię na komendzie. Pochodziłem za nim. Rzeczywiście stał przed którymś z domów przy ulicy prowadzącej nad morze i dość długo patrzył. Coś go tam zainteresowało. Teraz wiem, że mógł zobaczyć ubrania, o których ci potem powiedział. Można przyjąć, że nie było w tym chęci wprowadzenia ciebie w błąd. W niedzielę znów pojechał zobaczyć się z Małgorzatą.

- Tak? – zapytał beznamiętnym głosem Szalc i skomentował:

– Wytrwały chłopak.

- Śledziłem ich. Spodobało mi się Mielno i powtórzyłem manewr z soboty. Czekałem na dworcu autobusowym. Zmieniłem trochę wygląd, żeby mnie nie skojarzył – wypalił Kazimierz Cichocki. – Spotkali się o dwunastej trzydzieści przed restauracją. Jest taka restauracja, chyba dość marna, na wylocie z Mielna.

- „Mewa” – dopowiedział Szalc. – Speluna. Mam tam stałą robotę. Muszę szarpać się z pijakami.

- On musiał wiedzieć, że ona chodzi do kościoła na niedzielną sumę – kontynuował jego towarzysz, skinąwszy ze zrozumieniem głową. - Suma zaczyna się o jedenastej i trwa półtorej godziny. Dziewczyna wyraźnie ucieszyła się na jego widok. Porozmawiali chwilę i poszli na długi spacer nad jezioro. Szukali chyba ustronnego miejsca, bo poszli wałem. Doszli do

rzeczki, wrócili tą samą drogą, wyszli na ulicę Chrobrego i Michał odprowadził dziewczynę do domu. Całą i zdrową. Może tylko lekko zarumienioną, bo się kilka razy namiętnie całowali. Pożegnali się koło pół do trzeciej i chłopak poszedł prosto na przystanek pecaesu. Sprawdził, o której odchodzi autobus. Miał jeszcze do odjazdu prawie dwie godziny, więc poszedł do tej knajpy, do tej „Mewy”, żeby coś zjeść. Ja, choć już umierałem z głodu, nie skorzystałem z usług mieleńskiego lokalu. Wycofałem się i o szesnastej czterdzieści pięć wsiadłem do autobusu w centrum Mielna. On wsiadł na przystanku koło stacji kolejowej. Chyba naprzeciwko znajduje się szkoła, jeśli dobrze zauważyłem. Jest to przystanek na żądanie, o ile się nie mylę.

Cichocki zamilkł, a Szelc także nie miał nic do powiedzenia. Siedzieli w milczeniu. Pociągali kolejno z butelki, aż skończyła się jej zawartość. Niebo szybko pociemniało, nad ich głowami przelatwały kraczące głośno stada wron sadowiących się na nocleg na pobliskich drzewach. Obaj lekko zadrżeli. Alkohol już ich nie rozgrzewał, a wilgoć i chłód przenikały przez ubrania.

- Podejrzenia może budzić jedynie to – odezwał się Cichocki wstając - że nie spotkał się z nią w obecności jej rodziców. Słyszałem, jak jej matka bardzo grzecznie zapraszała go na niedzielny obiad, ale on odmówił. Skłamał, że przyjedzie po obiedzie, a przyjechał wcześniej i czekał, aż dziewczyna będzie wracała z kościoła. Bardzo prawdopodobne, że gdyby szła z rodzicami, ukryłby się w „Mewie”.

- To co robimy dalej? – zapytał Szelc, trochę uspokojony, ale także zniechęcony długimi wywodami starszego kolegi. – Trzeba się zbierać, będzie padać - wstał także i popatrzył w ciemne niebo.

- Ty robisz swoje. A ja swoje. Czekaj na telefon. A na urlop to ty się nie wybierasz? – Cichocki zakończył odpowiedź nieoczekiwanym pytaniem.

- A właśnie. Miałem ci powiedzieć. W poniedziałek zaczynam urlop. Jedziemy z dziećmi na tydzień do Zakopanego.

- Ładny jest ośrodek milicyjny w Zakopanem. Praca w milicji obywatelskiej ma jednak swoje plusy. Korzystaj dopóki możesz – ironizował Cichocki, podając koledze rękę na pożegnanie.
– Dobrego wypoczynku. Zadzwońię.

4. Prywatne śledztwo



Kazimierz Cichocki nie miał zamiaru pozostawać w Koszalinie dłużej niż to było konieczne. Czytając akta spraw, zrobił notatki z mniej istotnych fragmentów, a ważniejsze sfotografował. Teraz przyszedł czas, aby raz jeszcze przeanalizować całość zgromadzonych informacji i znaleźć jakieś luki, nieścisłości, po prostu jakieś tropy, które mogłyby wyprowadzić go poza ustalone wcześniej wnioski. Jednym słowem potrzebował impulsu, który sprawi, że w jego głowie zaświta nowa odkrywcza myśl, pomysł, który rzuci inne światło na sprawę utonięć młodych kobiet i umożliwi podjęcie działań, wykraczających poza instytucjonalną rutynę. Przed nim była najpierw mozolna praca nad zgromadzonym materiałem, a potem nieokreślone w swym trwaniu oczekiwanie na olśnienie.

Najlepiej myślało mu się w domu, gdzie pomimo odczuwania dotkliwej samotności, potrafił odizolować się od świata zewnętrznego i skupić się na interesującym go w danym czasie problemie. Przed wyjazdem z Koszalina koniecznie chciał jednak spotkać się osobiście i porozmawiać w cztery oczy z Michałem Sikorą. Bezpośrednią konfrontację, która ujawni zarówno podejrzenia mieleńskiego komendanta wobec byłego podwładnego, jak i jego, Cichockiego, zaangażowanie w sprawę, uważał bowiem za najszybszy i najlepszy sposób potwierdzenia lub wyeliminowania tropu wskazanego przez Szelca. Jeśli Sikora jest winny, uświadomienie mu, że jest na prywatnym celowniku kolegów po fachu, wyprowadzi go z równowagi. Przestraszy się i zacznie popełniać błędy. Jeśli jest niewinny, co Cichocki uważał za bardzo prawdopodobne, on i Szelc zyskają być może młodego współpracownika, którego wsparcie z pewnością bardzo by się im przydało, w przypadku, gdy ich prywatne śledztwo będzie musiało toczyć się nadal i to zapewne przez dłuższy czas. Zawsze starał się ufać swojej intuicji i policyjno-wywiadowczemu nosowi. A te podpowiadały, że młody policjant nie ma najprawdopodobniej z utonięciami, które wraz z Czesławem uznali za zabójstwa, nic wspólnego. Zawodowa ostrożność kazała mu jednak zachowywać bezpieczny dystans do

wszelkich przeczuć, także własnych, i poddawać je obróbce intelektualnej. Po przemyśleniu korzyści i strat wynikających z ujawnienia podejrzeń i własnej dekonspiracji przed Michałem Sikorą udał się do Sianowa. Był 5-ty października, sobota. Świeciło przymglone słońce, drzewa przybierały jaskrawe jesienne barwy a w powietrze gorzko pachniało więdnącą zielenią.

- Babie lato – pomyślał, wysiadając z autobusu. – Piękne i melancholijne.

Stanął na przystanku i patrzył na rozzłocone październikowym słońcem drzewa owiane lekką przeźroczystą mgłą, która unosiła się nad ziemią i równomiernie rozmywała widok. Nie zważał na mijających go pośpiesznie przechodniów. Podniósł wzrok ku niebu i zapatrzył się. Zgaszony błękit i płynące wolno po błękitie strzępki białych chmur, przywoływały wspomnienia sprzed wojny, wspomnienia jednego dnia w Białymstoku. Dnia spokojnego, słonecznego i beztroskiego, kiedy on i żona, oboje młodzi, spacerowali z dwojgiem swoich dzieci po jesiennych białostockich Plantach. Szli od Lasu Zwierzynieckiego przez park Konstytucji 3 Maja, aż do parku Poniatowskiego. Dzieci biegły przodem, a oni, dumni rodzice, podziwiali żywotność i wesołość dzieci oraz nieprzekwitłe jeszcze kwiatowe dywany. Wdychali taki sam jak dziś gorzki zapach jesieni, wystawiali twarze na to samo słoneczne ciepło i ogarniała ich tak samo przyjemna melancholia, którą on teraz odczuwał. Nagle wspomnienie zablokowało i zgasło w nim zachwyt dniem dzisiejszym. Znow boleśnie odczuł tęsknotę za tamtym unicestwionym całkowicie światem. Aktualnie istniejący świat w ogóle mu nie odpowiadał, ale nie miał wyboru. Musiał w nim dożyć do śmierci. Otrząsnął z siebie przykre myśli i ruszył w drogę.

Odnalezienie Michała Sikory okazało się, jak przewidywał, dziecinnie łatwe. Na Komendzie Miejskiej MO w Sianowie, machnął dyżurnemu przed nosem legitymacją funkcjonariusza emeryta i natychmiast został zaprowadzony do komendanta. Przedstawił się chorążemu Lepszukowi jako dawny znajomy rodziców Sikory i zapytał, gdzie może znaleźć młodego milicjanta, nie wyjaśniając na razie o co chodzi.

- Usiądźcie obywatelu kapitanie – Lepszuk wskazał mu fotel przy niskim stoliku. – Miło nam, że oficer Wojskowej Służby Wewnętrznej odwiedza nasze niskie progi. Czego się obywatel kapitan napije?

- Obywatelu chorąży – odpowiedział zdecydowanie, ale uprzejmie. – Nie mam czasu na grzeczności, a za poczęstunek dziękuję. Proszę jedynie o pomoc w natychmiastowym

skontaktowaniu się z szeregowym Michałem Sikorą. Dodam, że mam do niego bardzo pilną sprawę.

- Tak jest – wyprężył się sianowski komendant. – Proszę jednak usiąść i chwilę poczekać. Szeregowy Sikora zaraz się zamelduje.

- Dziękuję wam za sprawne działanie komendancie – odrzekł, zajmując wskazane miejsce.

Michał Sikora wszedł do gabinetu Lepszuka po dziesięciu minutach oczekiwania, w czasie których Cichocki milczał, a Lepszuk najpierw usiadł przy swoim biurku, a potem wstał i niespokojnie krążył po pomieszczeniu. Nie zadawał pytań i najwyraźniej nie wiedział, jak ma się zachować względem nietypowego gościa.

- A jesteście Sikora. Spocznij. Obywatel kapitan chce z wami porozmawiać – odezwał się mocnym głosem Lepszuk, gdy młody milicjant już się słuźbiście zameldował.

Sikora dopiero teraz zauważył, siedzącego w głębi gabinetu starszego mężczyznę. Nagłe ściągnięcie go z patrolu i wezwanie do komendanta bardzo go zaniepokoiło. Teraz niepokój nasilił się. Był całkowicie zdezorientowany. Ale gdy popatrzył na siedzącego w fotelu mężczyznę ogarnął go strach, bo uświadomił sobie, że już go gdzieś widział.

- Ale gdzie? Kto to może być? O co mu chodzi? – przez głowę przelatywały mu pytania, na które nie znał odpowiedzi.

- Czy obywatel komendant zwolni na pół godziny szeregowego Sikorę ze służby? – zapytał starszy mężczyzna. – Sprawa jest poufna. Świeże powietrze dobrze nam robi.

Komendant Lepszuk, zaskoczony, a jeszcze bardziej zdziwiony zaproponowaną przez gościa formą rozmowy z jego podwładnym, zgodził się.

- Przejdziemy się i pogadamy – zwrócił się Cichocki do Sikory, kiedy opuścili gabinet Lepszuka.

Wyszli z ciemnego gmachu komendy na ulicę zalaną pomarańczowym słonecznym światłem i obaj zmrużyli oczy. Cichocki przystanął, podał rękę młodemu milicjantowi i powiedział:

- Panie Sikora, nie jestem tu służbowo. Nazywam się Kazimierz Cichocki i jestem, a właściwie byłem, przyjacielem Edmunda Szelca, ojca Czesława Szelca. Czeńska pan dobrze zna. Prawda?

Sikora zdjął czapkę, wyciągnął z kieszeni chustkę, otarł spocone ze zdenerwowania i zaskoczenia czoło i skinał twierdząco głową.

- Z Edmundem Szelcem pracowaliśmy przed wojną w policji kryminalnej - kontynuował Cichocki. – Teraz Czesiek poprosił mnie, żebym przyjrzał się sprawie utonięć dwóch dziewczyn w Mielnie latem tego roku. Czy możemy spotkać się dyskretnie w najbliższych dniach w Koszalinie? Chciałbym z panem dłużej porozmawiać. A dziś, po powrocie na komendę niech pan powie, że miałem do pana całkowicie prywatną sprawę, że, jako dawnemu znajomemu pańskich rodziców, chodziło mi na przykład o pijacką rozróbę pana brata Mieczysława.

- A skąd pan wie o Mietku? – zareagował zaskoczony Sikora.

Nie usłyszał odpowiedzi.

Umówili się na spotkanie na dzień następny przed południem. Michał Sikora w cywilnym ubraniu stawiał się przed czasem w ustalonym miejscu, czyli pod pomnikiem „Powrotu do Macierzy”, zwanym też pomnikiem „Wyzwolenia”, stojącym od trzech lat na Placu Bojowników PPR przed nowym gmachem koszalińskiego ratusza. „Byliśmy, jesteśmy, będziemy” głosił napis na betonowych tablicach, otaczających trzy dziesięciometrowe, również betonowe słupy, stanowiące dominantę pomnika. Sikorze pomnik przypominał wielką manifestację zorganizowaną przez władze miasta z okazji 700-lecia nadania praw miejskich Koszalinowi. Odbyła się ona przed dwoma laty przed nowym, bo oddanym do użytku zaledwie kilka lat wcześniej ratuszem, a jej hasłem przewodnim było dokładnie takie samo hasło, jakie widniało na pomniku – „Byliśmy, jesteśmy, będziemy”. Manifestacja i inne wydarzenia wieńczyły obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego. On i kilku kolegów ze szkoły – wszyscy prawie już absolwenci – zostali wówczas oddelegowani do pomocy koszalińskiej milicji. Pilnowali, aby uroczystości nie zakłócili rozbrykani młodzieńcy, albo zwykli chuligani. O niezadowolonych obywatelach nie było oczywiście mowy.

Rozejrzał się wokół. Po placu biegały dzieci, pokrzykując do siebie nawzajem. Rodzice przyglądali się im i, także pokrzykując, upominali swe pociechy. Odświętnie ubrane rodziny przechodziły dostojnym krokiem i zmierzały do koszalińskiej fary. Starsze osoby - panie w chustkach na głowach lub kapeluszach, panowie w jesionkach - siedziały na ławkach, rozmawiały i wystawiały twarze na promienie jesiennego słońca.

- Niedziela – pomyślał. – Mam wolne, a pogoda taka ładna. Szkoda, że zgodziłem spotkać się z tym szemranym facetem. Pojechałbym do Mielnia i zrobił Gosi niespodziankę. Znów poszlibyśmy na spacer po nadjamneńskich wałach. Całowalibyśmy się i trzymali za ręce. Mam już dość mieleńskich historii.

Bardzo chciał zapomnieć o letnich wypadkach, bo sądził, że nic już nie da się zrobić, aby je wyjaśnić. Zgodził się na spotkanie, gdyż tamten wziął go z zaskoczenia. Zaciekawiał go także trochę ten przystojny przedwojenny policjant wnoszący aurę dobrych manier i starych kryminalów. Nie można było zaprzeczyć, że wzbudzał zaufanie. Komendant Lepszuk czuł przed nim respekt. Nadal miał wrażenie, że widział już kiedyś Cichockiego. Ciekawiło go także to, kim on teraz naprawdę jest i dlaczego zainteresował się utonięciami. Czyżby pojawiły się nowe wątki w śledztwie? Czyżby śledztwo zostało wznowione?

- Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – przypomniał sobie słowa powtarzane przez matkę.

- Dzień dobry – usłyszał za sobą cichy, ale już znajomy głos. – Idźmy ulicą Młyńską w stronę parku. Tam porozmawiamy.

- Podoba się panu koszaliński ratusz? – zapytał Cichocki po drodze. – Wie pan, że podobno zaprojektowano go dla Szczecina, ale tam go nie chcieli i został wybudowany w Koszalinie?

- Nie znam się na budownictwie – ponuro odpowiedział Sikora, bo nie lubił, gdy ktoś popisywał się wiedzą, której on nie miał.

- Ten sprzed wojny – starszy mężczyzna nie dawał za wygraną – był inny. Ceglany i ciężki. A przed nim stał pomnik cesarza Fryderyka Wilhelma I. Sowietów spalili pomnik, ratusz i całe centrum miasta.

- Była wojna. Wyzwolili Koszalin – burknął zniecierpliwiony Michał.

- Tak, tak – powiedział na to Cichocki i pokręcił głową z wyraźną dezaprobatą dla niewiedzy młodego kolegi.

Doszli na skraj parku i zagłębili w jego jesienną wilgotną przestrzeń mieniącą się jaskrawą żółcią, przywiedłą zielenią i różnymi odcieniami czerwieni. Spacerowiczów było niewielu. W oddali widzieli matkę pchającą dziecięcy wózek. Z naprzeciwka zbliżała się do nich para starszych ludzi, kobieta i mężczyzna. Cichocki poczekał, aż para przejdzie i oddali się, a wtedy stanął i spojrzał w twarz swego młodego towarzysza.

- Czy pan wie – zapytał spokojnie i cicho – że komendant Czesław Szelc myśli, że może pan mieć coś wspólnego z tymi dwoma wypadkami w Mielnie?

Michał Sikora stał i patrzył na Kazimierza Cichockiego tak, jakby nie zrozumiał pytania. Cichocki milczał, nie spuszczał wzroku z jego twarzy i czekał na reakcję.

- Ja? Z wypadkami? Z tymi utonięciami? – Sikora bezładnie rzucał kolejne pytania.

- Tak. Odpowiada pan rysopisowi podanemu przez świadka. W szufladzie pana biurka Szelc znalazł koraliki pierwszej ofiary, a w nocy, kiedy zginęła druga ofiara, miał pan wolne.

Sikora zbladł, potem poczerwieniał i wykrzyknął z oburzeniem:

- To absurd! Koraliki dali mi pijaczkowie w barze „U Kruka”! Włożyłem je do szuflady i po prostu zapomniałem o nich! A kiedy zginęła druga dziewczyna spałem. Przecież komendant Szelc mnie widział! Obudziłem go!

Umilkł, odwrócił się tyłem do swego rozmówcy i stał z pochyloną głową. Cichockiemu zrobiło się przykro. Wierzył temu młodemu człowiekowi. Jego oburzenie było szczere. Zbliżył się i położył rękę na jego ramieniu, a on odwrócił się i powiedział cicho:

- Przecież komendant miał do mnie zaufanie. Pracowaliśmy razem. Rozmawialiśmy o sprawie. Obaj byliśmy niezadowoleni, gdy zamknęli najpierw pierwsze śledztwo a potem drugie. Nie chcę być złośliwy, ale chyba Szelc chce się moim kosztem pozbyć poczucia winy.

- Z jakiego powodu?

- Bo nie przyjął zgłoszenia o zaginięciu tej drugiej dziewczyny, Ewy Wypych.

- Nie przyjął zgłoszenia? – dopytywał Cichocki.

- Tak. Ojciec Ewy Wypych przyjechał do Mielna tamtej nocy. Szukał jej wszędzie, nie znalazł i przyjechał na posterunek zgłosić zaginięcie córki. Szelc nie przyjął zgłoszenia, nie spisał nawet notatki służbowej z zajścia, a Wypycha odesłał do domu, twierdząc, że młodym ludziom często zdarza się zabalować całą noc w Mielnie. Tak się rzeczywiście zdarza. Ale tym razem było inaczej.

W milczeniu ruszyli parkową alejką wzdłuż Dzierżęcinki w stronę ulicy Zwycięstwa. Pokonali schody prowadzące z parku na ulicę, przeszli na jej drugą stronę i podążali dalej alejką przez park imienia Hanki Sawickiej.

- Wierzę panu – powiedział wreszcie Cichocki, bo milczenie ciążyło im obu coraz bardziej.

- Dziękuję – odpowiedział młody człowiek, przystanął, wyciągnął rękę i powiedział:

- Proszę do mnie mówić po imieniu. Jestem Michał.

Starszy mężczyzna uściśnął wyciągniętą dłoń i zapytał:

- Michale, czy chce pan z nami współpracować? – i nie czekając na odpowiedź dodał:

- Ja i Szelc postanowiliśmy wyjaśnić, z czyjej winy zginęły dwie młode kobiety. Możesz nam w tym bardzo pomóc. I nie miej żalu do Czesława. Miał powody do niepokoju, a przynajmniej tak mu się zdawało. Dręczy się tymi podejrzeniami, bo on cię naprawdę polubił. Ulży mu, gdy przekonam go, że nie miał racji. Wiesz co? Nie odpowiadaj mi teraz. Będę w Koszalinie jeszcze dwa dni. Mieszkam w hotelu „Jałta”. Wyjadę we wtorek nocnym pociągami. Jeśli zdecydujesz, że chcesz nam pomóc, zadzwoń do hotelu i zaproponuj spotkanie. Będę czekał.

- Dobrze – zgodził się Michał. – Ale ktoś przedtem musi porozmawiać z komendantem Szelcem. Albo to będzie pan, albo ja. Jestem zdecydowany pojechać do niego nawet dziś.

- Bardzo dobry pomysł – zgodził się niespodziewanie Cichocki, który przypomniał sobie o rozpoczynającym się w poniedziałek urlopie Czesława. – Jedźmy do niego zaraz. Oczywiście każdy osobno. Czesiek dziś jest w domu. Wyciągnę go stamtąd. Gdzie możemy się spotkać? Znasz Mielno lepiej ode mnie.

- Będę na was czekał na bocznej polnej drodze, odchodzącej w lewo od szosy na Strzeżenicę. Droga prowadzi na wysypisko śmieci. Szelc będzie wiedział, gdzie to jest. Mieszka niedaleko.

Kazimierz Cichocki mógł wyruszyć w drogę powrotną do Warszawy już w poniedziałek 7-go października, bo spotkanie w Mielnie rozwiało wszelkie dotychczasowe wątpliwości. Szelc przeprosił Michała, a Michał zdecydował, że będzie z nimi współpracował. Cichocki został dowódcą i głównym aktorem prywatnej ekipy śledczej, a dwaj pozostali jej członkowie obiecali nie podejmować samodzielnych działań, lecz czekać na jego polecenia i wykonywać zlecone im zadania. Postanowiono, że Szelc i Sikora będą się ze sobą kontaktować tylko w ważnych sprawach, takich, których nie można będzie odłożyć na później. Michał może zatem odwiedzić dawnego przełożonego na posterunku lub zatelefonować i, używając w rozmowie dwukrotnie zdania „jestem gotowy na nowe życiowe wyzwania”, wywołać spotkanie

następnego dnia wieczorem w Koszalinie na Górze Chełmskiej. Szelc natomiast miał telefonować na komisariat w Sianowie i zostawiać dla Sikory jakąkolwiek wiadomość, na przykład pozdrowienia. Każda będzie sygnałem do spotkania dnia następnego w tym samym miejscu. Spodziewano się, że powodów do spotkań nie będzie wiele - a być może nie będzie ich wcale - a zatem sporadyczne wzajemne telefony milicjantów nie wzbudzą niczych podejrzeń.

Cichocki, który z oczywistych względów mniej ryzykował niż koledzy, bo w razie niepowodzenia akcji i dekonspiracji jej uczestników nie groziła mu utrata pracy oraz inne nieprzyjemne konsekwencje, także miał do minimum ograniczyć kontakty. Ustalono, że będzie przysyłał listy bez adresu zwrotnego na *poste restante* na Poczcie Główną w Koszalinie. Zaadresuje je do Małgorzaty Mróz, która, ze względu na szkołę, regularnie jeździ do Koszalina. Michał był pewien, że dziewczyna nie odmówi pomocy. Listy będą różnić się kopertami. Białe miały być przeznaczone dla Szelca – Małgorzata będzie je dyskretnie podrzucać na posterunek - niebieskie dla Sikory. Obaj mężczyźni mogli natomiast bez narażania się na dekonspirację wysyłać listy wprost na warszawski adres Cichockiego. Czytanie jego korespondencji przez służby było mało prawdopodobne. W razie naglącej potrzeby Cichocki zamierzał przyjechać do Koszalina i telefonicznie wywołać kolegów na spotkanie. Jednak do czasu przeanalizowania i przemyślenia przez przedwojennego policjanta zebranych informacji opracowany system komunikacji, jak się spodziewano, nie będzie musiał być używany.

5. Sprawa Bednarzowej



Leokadia Bednarz zniknęła późnym południem w niedzielę 27-go października. Przed południem widziano ją na mszy odprawianej o godzinie jedenastej, na którą, jak w każdą

posezonową niedzielę – „w sezonie niestety nie mam czasu”, tłumaczyła Bednarzowa księdzu Bielińskiemu – przyszła z dwunastoletnią córką Elżbietą. Bednarz do kościoła nie chodził. Widziano też jak po mszy wracały razem – matka i córka trzymająca matkę pod rękę – do domu.

Bednarzowie zajmowali piętro dwukondygnacyjnego murowanego i krytego dachówką budynku położonego przy ulicy Kościuszki. Postawione jeszcze „za Niemca”, jak mówiono, domy przy prestiżowej dla Mielna ulicy Kościuszki, uważano za wygodne, solidne i wyjątkowo korzystnie zlokalizowane. Blisko stąd było do jednego z dwóch najlepiej zagospodarowanych wejść na plażę oraz, idąc w przeciwnym do morza kierunku, do centrum Mielna, czyli do pawilonu handlowego, kiosku Ruchu, przystanku pekaesu oraz kina. Naprzeciw domu, w którym zamieszkiwali Bednarzowie stał okazały, jak na tak małą miejscowość, gmach poczty.

Mieleńską pocztę prowadziło małżeństwo Zalewskich, z którymi Bednarzowie dobrze się znali i, przez pewien czas, towarzysko spotykali. Błażej Zalewski objął funkcję kierownika poczty, a jego żona Grażyna urzędniczką. Z dwoma małymi jeszcze synkami mieszkali w tym samym budynku, w którym pracowali. Było to bardzo wygodne rozwiązanie, którego zazdrościli im, podobnie jak małżeństwu mieleńskich lekarzy, wszyscy przemierzający codziennie Mielno w drodze do pracy i z pracy, a jeszcze bardziej ci, którzy codziennie dojeżdżali do Koszalina.

Stosunki sąsiadów – Bednarzów i Zalewskich - rozluźniły się, gdy Mielno obiegła sensacyjna wiadomość, że Lola Bednarzowa podrywa Błażeja Zalewskiego, bo podobno śmiertelnie się w nim zakochała. Kto lepiej znał Lolę i Błażeja – mężczyznę niezwykle nieśmiałego w sprawach prywatnych - w tę plotkę nie wierzył, ale faktem było to, że pewnego jesiennej wieczoru przed dwoma laty, po szkolnej wywiadówce, Lola w towarzystwie dwóch pań, matek uczennic z tej samej klasy, do której chodziła Elżbietka, wypila kilka kieliszków wódki i udała się pod okna Zalewskich. Tam, nadal w towarzystwie zaśmiewających się teraz do rozpuku kobiet, wykrzykiwała: „Błażeju!, Błażeju! Kocham cię! Wyjdź do nas!”. Zalewski oczywiście nie wyszedł. Rozbawione matki wróciły spokojnie każda do siebie i sprawa mogłaby się na tym skończyć, gdyby nie mieleńskie plotkarki. Ktoś komuś opowiedział tę śmieszłą historyjkę i wkrótce opowieść o „wybryku” Bednarzowej rozrosła się do niebotycznych rozmiarów i przerodziła w opowieść o ukrywanym romansie Loli i Błażeja. Opowieść o tyle była dla niektórych osób wiarygodna, że od dawna wiadano, iż małżeństwo Zalewskich jest nieudane. Mówiło się po cichu, że Zalewski bardzo kocha - a

raczej, że bardzo kochał – swoją żonę, ale ona nigdy go nie kochała. Kochała bowiem z wzajemnością pewną kobietę, której personaliów nie chciano wymieniać z obawy przed jej nieobliczalnym małżonkiem. Tak czy inaczej stosunki między Bednarskimi i Zalewskimi ochłodziły się i ze stopy towarzyskiej przeszły na stopę oficjalną.

Kiedy jednak Józef Bednarz zaniepokoił się przedłużającą się nieobecnością żony – Lola opuściła bez słowa mieszkanie zaraz po tym, jak podała trzydaniowy niedzielny obiad, zjadła go z razem z rodziną i pozmywała po obiedzie naczynia – udał się najpierw właśnie do Zalewskich. Zastukał do nich, gdy było już całkiem ciemno, bo zanim się zebrał do wyjścia, musiał obejrzeć nowy odcinek „Stawki większej niż życie”. Puszczano go w telewizji w niedzielę po wieczornym „Dzienniku”. Drzwi otworzyła Grażyna.

- Dobry wieczór. Czy jest u was Lola? – zapytał.

- Nie, Lola do nas nie przychodzi. Przecież wiesz – powiedziała spokojnie Grażyna. – Czy coś się stało?

- Nie wiem – odpowiedział niedbale, ale ze złością. – Wyszła gdzieś, nie powiedziała dokąd idzie, nie wróciła na serial, który zawsze ogląda. Pewnie znów łązi po chałupkach, paple, a o dziecku i o mnie nie pomyśli.

- Może ją zdenerwowałeś. Potrafisz to zrobić – oschle odezwała się Zalewska.

- Do widzenia! Żegnam! – krzyknął zdenerwowany, odwrócił się i zbiegł po schodach do wyjścia z budynku.

Rozzłoszczony wrócił do domu, ale żony nadal nie było. Elżbietka, która po obiedzie zabrała się za odrabianie lekcji – była bardzo dobrą uczennicą i rodzice nie musieli pomagać jej w nauce – szykowała się już do spania. Zauważył, że jest smutna. Bednarski nie potrafił rozmawiać z dziewczynkami, nawet jeśli tą dziewczynką była jego córka.

- Mama zaraz wróci – rzucił tylko uspokajająco, przechodząc korytarzem. – Wyjdę po nią, bo od dawna jest ciemno. Nie boisz się zostać sama w domu?

- Nie – odpowiedziała Ela cichym głosem. – Położę się do łóżka i będę czytać książkę.

- Zamknij drzwi od wewnątrz – rozkazał Bednarski, wychodząc z mieszkania.

- Chyba nie siedzi na plaży. Jest zimno. Ale kto wie, do czego jest zdolna, żeby mnie wkurzyć – złe myśli przelatywały mu przez głowę jedna po drugiej.

Przypominał sobie wszystkie wady charakteru Loli i jej drażniące zachowania. Wypowiadał pod nosem najwulgarniejsze wyzwiska pod jej adresem. Niechętnie wyszedł na plażę zza osłony, którą stanowił okalający wejście ceglany murek. Wiatr szarpnął ubraniem i ogarnęła go szumiąca ciemność. Począł, aż oczy przyzwyczajają się do niej. Spojrzał w prawo i w lewo. Nikogo nie zobaczył. Ogarnęła go wściekłość.

- Przywalę jej, jak tylko wróci – warknął sam do siebie.

Wyskoczył z plaży na ulicę. Tu wiatru prawie się nie czuło. Poszedł w stronę oświetlonej ulicy Chrobrego. Stał na skrzyżowaniu. Zrobił kilka kroków w kierunku Unieścia, wrócił i poszedł w stronę przeciwną. Ulica była pusta i, poza dobrze oświetlonym centrum, ciemna. Wiatr rozrzucał niezgrabione liście. Bednarski poczuł ich wilgoć.

- Muszę kupić nowe ciepłe buty – pomyślał, a wściekłość na Lolę jeszcze bardziej w nim urosła.

Znow znalazł się na skrzyżowaniu. Schronił się przed wiatrem za kiosk Ruchu.

- Może siedzi w pawilonie – przyszło mu do głowy, choć spod kiosku nie dostrzegł światła palącego się wewnątrz sklepu.

Poszedł jednak pod pawilon, obszedł go dokoła, zastukał cicho w drzwi do sklepu, żeby nie zwrócić na siebie uwagi - nie wiedział czyjej, bo okolica wyglądała na całkowicie opustoszałą – i pożałował, że nie wziął kluczy. Wewnątrz budynku panowała cisza. Rozjuszony, prawie biegnąc, wrócił do mieszkania i, nie zważając na hałas, który mógł obudzić Elżbietkę, szukał kluczy do sklepu, których używała Lola. Znalazł je w szufladzie szafki stojącej w przedpokoju. Jego klucze też były na swoim miejscu. Zrzucił płaszcz i przeszedł do pokoju. Z barku wyjął butelkę wódki. Siedział na wersalce przy ławie i opróżniał kolejne kieliszki, nie zakąszając i niczym nie popijając.

Rano obudził się przed dziewiątą lekko oszołomiony. Łóżko obok niego było puste. Zajrzał do pokoju Eli. Też pusto.

- Poszła do szkoły - pomyślał. – A ta cholera może jest w sklepie. Piotrowscy już dawno otworzyli.

Loli jednak w sklepie nie było.

- Musisz iść na milicję i zgłosić zaginięcie – przekonywali go Piotrowscy. - Lola nie mogłaby zostawić Eli bez opieki. Sklepu też by nie zostawiła. Coś się musiało stać.

Ciało Leokadii Bednarz odnalazł patrol żołnierzy z jednostki Wojsk Ochrony Pogranicza w czwartek 31-go października o szóstej trzydzieści rano. Morze wyrzuciło je na wysokości Łazów, co nie było niczym wyjątkowym, bo prąd morski znosił na tę właśnie wysokość różne rzeczy, a niektóre z nich, przy wysokiej fali, lądowały na plaży. Wśród tych rzeczy były niestety także zwłoki topielców.

Zaskoczenie mieszkańców Mielna i Unieścia było ogromne, a przecież byli oni, jeśli tak można powiedzieć, oswojeni z przypadkami utonięć. Tym razem jednak nie był to przypadek typowy. Nie chodziło bowiem ani o nieuważnego czy pechowego amatora morskich kąpiei, ani o morskiego rybaka. Przypadki pierwszego rodzaju wstrząsały mielnianami mocniej tylko wtedy, gdy ofiarą było dziecko, a już szczególnie mocno, gdy było to dziecko jednego ze stałych mieszkańców Mielna lub okolic. Dorośli przyjezdni nie wzbudzali większych emocji, bo tonęli, jak uważano, przez własną głupotę. Do tej pory powtarzano z lekką satysfakcją historię nieszczęsnych kochanków - zamężnej kobiety i żonatego mężczyzny - którzy umówili się w słoneczny zimowy dzień rano na randkę w Mielnie, prawdopodobnie licząc na to, że w miejscu, w którym nikt ich nie zna, będą mogli swobodnie romansować. Plaża tamtej zimy wyglądała bajkowo. Śnieg, mróz i sztorm utworzyły lodowe góry, jaskinie, wąwozy, ale także głębokie lodowe studnie. Na dnie tych studni - co stali spacerowicze dobrze wiedzieli - była gęsta lodowa kasza, a pod nią niezamarznięta woda. Przy sztormowej pogodzie lodowa kasza lekko falowała, ale kiedy morze, jak tamtej niedzieli, było spokojne, dno studni można było wziąć za stabilne. Uradowani spotkaniem i niesamowitym pejzażem kochankowie chcieli zatrzymać szczęśliwe chwile na fotografiach. Zdjęcie w lodowym dole miało być prawdopodobnie najbardziej atrakcyjnym ujęciem. Dobry aparat fotograficzny marki Canon znaleziono na skraju otworu. Nie wiadomo, kto wskoczył pierwszy, a kto drugi, aby ratować tego, kto zanurzał się w lodowej topieli. Po ciała kochanków przyjechali nic nie wiedzący o romansie małżonkowie.

W przypadku drugim, kiedy tonęli morscy rybacy – łódź niekiedy przewracała się podczas sztormu, gdy wykonywano manewr dobijania do brzegu – poruszenie było ogromne. Ginał jedyny żywiciel rodziny, mąż i ojciec. Niewyłowienie ciała rybaka zaraz po wypadku sprawiało, że jego sąsiedzi, znajomi, a nawet ci, którzy znali rybaka jedynie z widzenia, kilometrami przemierzali plażę w jego poszukiwaniu. Uspokojenie przychodziło dopiero wtedy, gdy ciało odnaleziono - wyrwano morzu i oddano rodzinie. Mielno wraz z Unieściem długo żyło nieszczęściami swych mieszkańców, o nieszczęściach osób przyjezdnych

musiało, dla własnej psychicznej higieny, zapominać, tak jak w przypadku dwóch panien, które zginęły tego lata.

Śmierć w morzu Leokadii Bednarz zaskoczyła jednak wszystkich mieszkańców Mielnia. Znano ją jako osobę niezwykle energiczną, zaradną, potrafiącą robić niezłe interesy, ale także silną, wesołą i rozrywkową. Jakżeż ktoś taki jak ona mógłby popełnić samobójstwo? A taką właśnie wersję przyjęła prokuratura po dokonaniu sekcji zwłok. Leokadia Bednarz - uznano - przez nikogo nie zauważona, weszła w niedzielę wieczorem do morza w ubraniu i utopiła się. Powodem, jak w wielu innych przypadkach samobójstw, było najprawdopodobniej rodzinne nieporozumienie. Józef Bednarz został przesłuchany, ale nie postawiono mu zarzutu o nakłanianie żony do samobójstwa, ani też o szczególne i długotrwałe jej dręczenie. Rodzinne kłótnie zdarzają się wszystkim, a reakcje rozżalonych małżonków nie do przewidzenia.

Do prokuratury zgłosiła się Jolanta Prus, mieleńska lekarka, która zeznała, że na miesiąc przed samobójstwem, Leokadia Bednarz skarżyła się podczas wizyty na złe samopoczucie. Prusowa podejrzewała załamanie psychiczne spowodowane kolejną niechcianą ciążą. Zleciła badania ginekologiczne i ogólne. Niestety pacjentka prawdopodobnie odwlekała wykonanie badań, bo nie przyszła na kolejną wizytę. Sekcja zwłok wykluczyła ciążę, ale nie mogła wykluczyć wcześniejszego wykonania zabiegu jej usunięcia. Józef Bednarz twierdził uparcie, że nic nie wiedział o ewentualnej ciąży. Utrzymywał także, że nie zauważył zmian w zachowaniu żony. Zeznania lekarki były jednak dla prokuratury decydujące.

Sprawa pogrzebu domniemanej samobójczyni wywołała kolejne poruszenie. Ksiądz Bieliński stanowczo odmawiał udziału w pogrzebie samobójców i chowania ich w poświęconej ziemi. Cmentarz przykościelny był od kilku lat zamknięty, a nowy znajdował się pod Mielenkiem. Niby władała nim władze Gromadzkiej Rady Narodowej, ale i tak respektowano kościelną zasadę grzebania samobójców w najbardziej odległym miejscu, na oddalonym od innych grobów skraju cmentarza. Pani Okrzewska, jedna z niewielu mieleńskich matron i, podobnie jak pani Królowa, doradczyni proboszcza, a poza tym osoba powszechnie szanowana za bezinteresowne pomaganie ludziom w potrzebie, postanowiła interweniować. Znała Leokadię Bednarz i dużo o niej wiedziała. Nie dlatego, że zbierała plotki, ale dlatego, że mieleńskie kobiety, a niekiedy także mieleńscy mężczyźni, przychodzili do niej po radę i pomoc w najbardziej osobistych sprawach. Pani Okrzewska - starsza, bezdzietna i dostojna mężatka - była jednoosobową instytucją: psychologiem, terapeutą, duchowym doradcą i pomocą społeczną. Znała najbardziej intymne szczegóły mieleńskiego

życia, ale tą wiedzą posługiwała się z rozwagą, dyskretnie i tylko wtedy, gdy mogło to komuś pomóc.

Pani Okrzewska, po przedyskutowaniu przypadku Loli Bednarzowej z mężem, człowiekiem mądrym i zdystansowanym, wybrała się z wizytą do proboszcza dzień po znalezieniu ciała Loli, a więc w piątek późnym popołudniem. Była to bowiem pora, kiedy kończyły się prowadzone przez księdza Bielińskiego na plebanii lekcje religii i można było z nim spokojnie porozmawiać. Okrzewska śpieszyła się z tą wizytą, bo chciała uprzedzić werdykt prokuratury. Krążące po Mielnie opowieści i plotki pozwalały bowiem przewidzieć jego treść. Postanowiła wykorzystać jako główny argument pewną dozę niepewności, którą wywoływały okoliczności śmierci kobiety oraz towarzyszące tej śmierci niedowierzanie mieszkańców Mielna; argumentować za tym, że mógł to być nieszczęśliwy wypadek i odmawianie chrześcijańskiego pochówku długoletniej parafiance byłoby wówczas rażąco niesprawiedliwością i wielką ujmą dla jej rodziny.

Ksiądz Bieliński domyślał się, z jaką misją stawiała się na plebanii pani Okrzewska. Wpuścił ją bardzo ochoczo, a to dlatego, że wizyta starszej pani była mu w tym momencie bardzo na rękę. Od godziny musiał słuchać znajomego księdza z Koszalina, który odwiedzał go od czasu do czasu zawsze w tym samym celu. Opowiadał najpierw rozwleknie o nowym otwarciu, jakim, jego zdaniem, w relacjach Państwo-Kościół było przekształcenie Komisji Księży w Koła Księży „Caritas”. A następnie uporczywie namawiał energicznego mieleńskiego proboszcza do włączenia się w działalność Koła koszalińskiego, do pracy charytatywnej w Caritasie oraz uczestniczenia w spotkaniach organizowanych pod sztandarem PAX-u, uległego władzom stowarzyszenia świeckich katolików.

- Żyjesz na marginesie prawdziwego życia młodego i nowoczesnego kościoła, kościoła przyszłości – przekonywał. – Nie wiesz, co dzieje się w Kościele, w Watykanie, we Francji czy w Niemczech. Polski kościół jest zacofany, bo zacofana jest rządząca nim hierarchia. Potrzebni są nowi wykształceni księża, działacze, nie bojący się stawić czoła wezwaniom współczesności. Zyskasz dostęp do wiedzy, poznasz opinie najwyższej cenionych intelektualistów, a dodatkowo skorzystasz finansowo, ty i twoja parafia. Będziesz mógł uczestniczyć w gremiach dzielących państwowe pieniądze.

Ksiądz Bieliński słuchał kolegi z rosnącą irytacją. Wielokrotnie mówił mu co myśli o ruchu księży patriotów i o mądralach z PAX-u. Ten jednak był wytrwały i uparty. Może wierzył w

to, co mówi, a może płacono mu za nakłanianie księży do współpracy z komunistyczną władzą i osłabiania autorytetu polskich biskupów, a przede wszystkim prymasa Stefana Wyszyńskiego. Bieliński nie chciał znać powodów, dla których kolega stał się ostatnimi czasy nadmiernie aktywny, ale nie chciał także wchodzić z nim w otwarty konflikt, bo nie wiedział, na ile może mu to zaszkodzić.

- Witam panią serdecznie! - zawołał na widok Okrzewskiej. – Zapraszam, zapraszam. Na wieki wieków amen – odpowiedział na jej chrześcijańskie powitanie. – Pani, domyślam się, w ważnej dla nas obojga i dyskretnej sprawie – dodał, patrząc znacząco na kolegę.-

- Nie ma nic gorszego niż wróg pod płaszczykiem przyjaciela – skomentował wizytę duchownego, po jego wyjściu. - Dobrze, że pani przyszła. Nie mam cierpliwości wysłuchiwać tych postępowych bzdur, głoszonych przez kapusiów i głupców. Tak, tak, głupców! – wykrzyknął, widząc, że Okrzevska kręci z dezaprobatą głową. – Głupców nigdzie nie brakuje. W kościele też. Są gorsi od kapusiów, bo kapuś współpracuje z komunistami dla pieniędzy, albo żeby jego brudy nie wypłynęły na powierzchnię, a głupiec wierzy w to, co gada i nie zdaje sobie sprawy, jakie wyrządza szkody.

- A może najgorszy jest głupiec i kapuś w jednym – powiedziała Okrzevska, żeby rozluźnić atmosferę. Proboszcz nie zauważył jej żartobliwego tonu i zaprotestował:

- Służby bezpieczeństwa nie werbują do współpracy głupców. Głupcy sami kręcą się wokół służb i pracują dla nich bezinteresownie. To są ludzie, którzy niczego się nie nauczyli w latach pięćdziesiątych – kontynuował wzburzony mieleński proboszcz. - Po czerwcu 56-go roku „księża patrioci” nie byli już komunistom potrzebni i Wyszyński mógł zrobić porządek z tymi, którzy dorwali się do władzy w polskim Kościele podczas jego uwięzienia. Potem partia i bezpieka znów ich potrzebowały, żeby buntować lojalnych księży, rozbijać Kościoły od wewnątrz i dezorganizować obchody Tysiąclecia Chrztu Polski. I znów głupcy dali się zmanipulować. Uwierzyli komunie i znów przegrali, bo komuna ich wykorzystwała i porzuciła. Ale i tym razem niczego ich to nie nauczyło. Teraz znów podnieśli głowy. Wstępują do kół organizowanych przez bezpiekę, do jakiejś kasy pomocowej, która ma im zapewnić dochody, a niektórzy, ci, mający się za wielkich intelektualistów, łąszą się do PAX-u Bolesława Piaseckiego, jakby nie znali przeszłości tego podejrzanego osobnika. Na głupotę nie ma lekarstwa. A z czym pani przychodzi? – zapytał wreszcie. – Domyślam się, że w sprawie pogrzebu Leokadii Bednarz.

- Tak. O tym chciałam z księdzem porozmawiać – podchwyciła wątek pani Okrzewska. – A tak na marginesie. Nie boi się ksiądz mówić tak otwarcie o wiadomych sprawach? – zapytała, rozglądając się wymownie po pomieszczeniu.

- Nie boję się. Nie jestem aż tak ważny dla władzy, żeby montowała mi podsłuch w pomieszczeniach plebanii. Telefon, jak sądzę, jest na podsłuchu, ale przez telefon mówię tylko o sprawach, nazwijmy je, służbowych. Z kazań z pewnością ktoś im zdaje relacje. Nawet wiem kto. Ale to tajemnica spowiedzi. A co do spowiedzi, to konfesjonał sprawdzam systematycznie i bardzo dokładnie. Nigdy niczego jeszcze nie znalazłem.

- Zgroza – skomentowała Okrzewska możliwość podsłuchiwania spowiedzi. – Żadnej świętości nie uszanują. Zresztą nie ma dla nich żadnej świętości.

- Niestety, Niestety – potwierdził smutną konstatację kobiety ksiądz Bieliński.

- Proszę księdza, istotnie przychodzę w sprawie pogrzebu świętej pamięci Leokadii. Nie ma pewności, że popełniła samobójstwo. Nikt, kto ją dobrze znał w jej samobójstwo nie wierzy, bo wszyscy dobrze wiedzą, jak bardzo kochała swoją córkę, jak się o nią troszczyła. Nie potrafiłaby zostawić dziecka na pastwę losu, bo wiadomo, jaki jest Bednarz. Musiałaby chyba postradać zmysły, żeby osierocić własne dziecko. Ksiądz też ją dobrze znał. Może nie była nazbyt gorliwa, ale starała się, jak mogła.

- Pani Okrzewska – zasępił się proboszcz. – Znałem ją lepiej od innych. Szkoda gadać. Święta nie była, ale silna na pewno. Nie wiem, co mogłoby ją złamać. W niedzielę powiem wiernym, że w Kościele też obowiązuje zasada *in dubio pro reo*. Pójdzie pani do tego nicponia Bednarza? – zapytał. - Ja nie chcę z nim gadać, bo mogę mu wygarnąć, co o nim myślę. A to nie jest właściwy moment na robienie mu wyrzutów. Milicja już się nim z pewnością zajmie. Ode mnie proszę mu tylko powiedzieć, że jego żona zasługuje na chrześcijański pochówek, więc niech przyjdzie załatwić sprawy pogrzebowe, gdy wydadzą mu ciało.

- Bóg zapłać! – podziękowała Okrzewska i dodała:

– Jest ksiądz rozsądnym i dobrym człowiekiem, ale powinien oddalić tę młodą Chłopińską. Dopóki tylko przynosiła obiady, ludzie rozumieli, że ksiądz nie ma czasu na gotowanie i im to nie przeszkadzało. Ale od kiedy stale przebywa na plebanii, zaczęli gadać.

Okrzewska powiedziała księdzu to, czego nie ośmielali się powiedzieć inni parafianie. Jej wiek i pozycja nie tylko dopuszczały wygłaszanie rad i ocen, ale wymagały upominania

błądzących lub nieświadomie siejących zgorszenie. Zawsze upominała w cztery oczy tych, którzy zachowywali się niewłaściwie, niezależnie od pełnionej przez nich funkcji. Na reputacji osoby duchownej zależało jej szczególnie.

- Droga pani – obruszył się proboszcz. – Ludzie zawsze gadają i będą gadać. A obmawianie księży lubią najbardziej. Nie mam zamiaru tłumaczyć się z tego, że wreszcie mam gospodynię.

- Ale krew nie woda – upomniała Okrzewska. – Z Bogiem.

Komendanta Czesława Szelca śmierć Bednarzowej wprawiła w wielką konsternację. Kiedy mąż zgłosił jej zaginięcie, natychmiast przypomniał sobie, że zgodnie z obowiązującymi go zasadami służbowymi, zawiadomił podporucznika Madejskiego o złożonym przez Bednarzową zeznaniu w sprawie drugiej ofiary minionego lata. Wiedział, że kobieta została potem wezwana na przesłuchanie, że zrobiono z jej udziałem okazanie i że nikogo nie rozpoznała. Łączenie jej zniknięcia z tamtą odległą w czasie sprawą wydawało się więc absurdalne. Wszystko mogło się przecież zdarzyć. Dobrze wiedział, że Bednarzowie prowadzili lewe interesy, żyli ze sobą jak pies z kotem i potrafili robić sobie nawzajem niezłe numery. Swojej wiedzy nigdy jednak nie użył przeciw nim, a przecież gdyby tylko chciał, mógłby im bardzo zaszkodzić. Nie miał więc sobie nic do zarzucenia, a jednak zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia.

Po kilku dniach od zaginięcia Leokadii Bednarz dowódca jednostki Wojsk Ochrony Pogranicza powiadomił go o znalezieniu przez patrol wojskowy topielicy. Natychmiast pojechał na miejsce znalezienia zwłok i oczywiście rozpoznał Bednarzową. Natychmiast pojawiły się także u niego wyrzuty sumienia. Bronił się przed nimi. Udowadniał sam sobie, że śmierć Ewy Wypych i śmierć Leokadii Bednarz nie mogą mieć ze sobą nic wspólnego, że przekazana zwierzchnikom informacja o tym, że kobieta widziała prawdopodobnego sprawcę śmierci Ewy, albo przynajmniej prawdopodobnego świadka jej śmierci, w żaden sposób nie łączy się z jej własną śmiercią. Każdego roku w morzu ginie kilka osób i wśród ofiar zdarzają się także samobójcy. Jednak uporczywa myśl, że tym razem, to on jest winny, nie dawała mu spokoju. Jedynym sposobem pozbycia się dręczących go wątpliwości była, jak sądził, rozmowa z Józefem Bednarzem.

Józef Bednarz został oczywiście przesłuchany przez koszalińską prokuraturę, ale Szelc postanowił zaatakować go osobiście. Tylko dręcząc pytaniami męża ofiary mógł uciszyć własne wyrzuty sumienia. Naszedł Bednarza w jego mieszkaniu ubrany w mundur i zdecydowany trzymać się wersji, że wykonuje polecenie służbowe. Bednarz, pomimo wczesnej pory, był nieźle wstawiony.

- Gdzie jest dziecko? – zapytał zaniepokojony milicjant, rozglądając się po zabałaganionym mieszkaniu.

- Elżbietka jest u cioci, u mojej siostry. Po co przyszedłeś? Nie dość wam, że moja żona nie żyje! Wszystko już powiedziałem w prokuraturze!

- Nie jesteśmy na „ty” – upomniął mężczyznę komendant. – Chcę porozmawiać - dodał uspokajająco. – Może coś pan sobie jeszcze przypomniał.

- Napijesz się? – pijany Bednarz nie zamierzał rezygnować z niestosownej poufałości.

- Dziękuję. Jestem na służbie. Panu też nie radzę więcej pić.

- Przestań mi „panować”. Co? Może się nie znamy?- Bednarz rzucił retoryczne pytanie i zniknął w sąsiednim pomieszczeniu, z którego po chwili przyniósł nieotwartą jeszcze butelkę wódki i dwie szklanki.

– Siadaj Czesiek i zdejmij ten mundurek – powiedział.

Szelc postanowił się poddać. Jego wizyta była przecież nieformalna.

- Jeśli zaraz nie zaleje się w trupa, to więcej się od niego dowiem przy kieliszku niż podczas przesłuchania – przyszło mu do głowy.

Zdjął kurtkę i usiadł na wersalce obok Bednarza, który już rozlewał wódkę do szklanek.

Wypili dwa razy pod rząd. Bednarz opadł ciężko na oparcie wersalki i wlepił wzrok w sufit.

- Wiesz – odezwał się cicho. - Ja ją nawet kochałem. Nie wiem, czemu to zrobiła.

- Jesteś pewny, że się sama utopiła? Może ktoś jej pomógł? – złapał wątek milicjant.

- Co? Może ja jej pomogłem! - wykrzyknął Bednarz wyraźnie mocno poruszony. – Myślicie, że jej pomogłem!? Tak! Chcecie mnie zrobić! – zdenerwował się i znów sięgnął po butelkę.

- Spokojnie. Nikt cię nie chce zrobić. Gdybym chciał cię zrobić, to dawno byś już siedział za te twoje machlojki.

- A co? - nie ustępował rozjuszony gospodarz. – Nie donosiłeś na nas! Nie nasłałeś na nas kontroli? I co? Niczego nie wykryli.

- To nie była moja robota. Ja ludziom w Mielnie daję żyć, choć dużo o nich wiem. Wszyscy to wiedzą. Ty także. Więc się uspokój i powiedz, co ty myślisz o śmierci Loli.

Bednarz ucichł, wypił następną kolejkę i powiedział:

- Powiedziałem ci prawdę w poniedziałek przy zgłoszeniu zaginięcia. Ta niedziela była jak każda inna. Lola z Elą poszły do kościoła. Ja tam nie lubię klechów i tego ich gadania. Potem zrobiła obiad, posprzątała ze stołu i poszła do kuchni. Piłem sobie piwko i oglądałem telewizję. Stary! – Bednarz klepnął komendanta w kolano. – Widziałem, że się ubrała do wyjścia, bo zajrzała do pokoju. Była w płaszczu, a na głowie miała kolorową chustkę. Morze ją z płaszcza i chustki rozebrało. Znaleźli ją w samej sukience – zaszlochał krótko i sięgnął po szklankę. Wypił i zawył:

. - Nie odezwała się do mnie wychodząc! Zawsze robiła, co chciała. Myślałem, że idzie pogadać z koleżankami.

- Ale tego dnia nikogo nie odwiedziła. Sprawdziliśmy – przerwał mu komendant. – Mówisz to, co ja i tak wiem. Józek! – podniósł głos, odwrócił się do Bednarza i spojrzał mu prosto w oczy. – Powiedz, ale szczerze. Nigdy tego nie wykorzystam. Przysięgam. Czy pokłóciliście się i ją uderzyłeś? Powiedz. Sponiewierałeś ją? A może zmusiłeś ją do odbycia stosunku? Może ją zgwałciłeś?

- Co ty tam wiesz – nadspodziewanie spokojnie zareagował indagowany. – Do niczego nie musiałem jej zmuszać. Ona to lubiła. Akurat w tym względzie pasowaliśmy do siebie. No i w interesach. W tych dwóch sprawach była bardzo dobra.

Przerwał, opuścił nisko głowę i milczał, jakby wspominał dobre i przyjemne chwile z żoną. Potem podniósł głowę, spojrzał na Szelca zmęczonym od alkoholu wzrokiem i dodał:

- Wiesz, ona się tego dnia do mnie nie odzywała. A zawsze miała gadane. Gadała i gadała. Czepiała się mnie o wszystko.

- Może miała już dość tych waszych szemranych interesików - wypalił Szelc.

- Co ty tam wiesz - powtórzył Bednarz. – Lubiała interesy tak samo jak łóżko. Oj, jak ona lubiła kombinować! Miała do tego spryt. Cholera jasna, gdybym jej nie hamował, to oboje byśmy już siedzieli.

- To może pamiętasz, o czym rozmawialiście przy obiedzie? O kimś wspomniała? Może kogoś spotkały, wracając z kościoła?

- Mówiłem ci, że Lola nie gadała ze mną – wybełkotał Bednarz i znów pochylił głowę nad stołem.

- Upił się. Wychodzę. Niczego nowego się nie dowiedziałem – pomyślał Szelc, wychylił do końca wódkę, która została w jego szklance, wstał i zaczął zakładać kurtkę od munduru.

Bednarz zauważył jego ruchy i także podniósł się z kanapy. Chwiejnym krokiem prowadził Szelca do drzwi wyjściowych.

- Ale co będzie z Elżbietką? – ponownie krótko zaszlochał. – Co będzie z sierotą?

- Jakoś to będzie - próbował go pocieszyć komendant bez większego przekonania.

- Nie umiem zajmować się dziewczynkami – stwierdził nagle poważnym tonem Bednarz. – Lola rozumiała Elżbietkę. Wiesz – spojrzał na Szelca i uśmiechnął się. – Elżbietka dorasta. Pytała wtedy Lolę o jakiegoś chłopaka. Chyba tego, co to był ratownikiem na plaży. Lola się śmiała, ale ja się wkurzyłem. Za wcześnie na chłopaków. Oni zawsze chcą jednego. A dziewczynki są naiwne. Lola też wtedy głądziła o miłości, zakochaniu, więc jej wygarnąłem. Boże, jakie te baby są głupie.

- Chyba nie wszystkie – odpowiedział komendant i wyszedł.

Rozmowa z Józefem Bednarzem nie rozwiała jego wątpliwości co do przyczynienia się do śmierci kobiety.

6. Bezsilność



Kazimierz Cichocki chętnie powrócił do swojego niewielkiego mieszkania na warszawskiej Ochocie. Lubił je, ale zwykle po kilku tygodniach, kiedy nie wystarczały mu już włóczęgi po Parku Szczęśliwickim i okolicach, musiał z niego uciec, aby po dłuższej nieobecności znów móc zaznawać spokoju w domowych pieleszach. Tak teraz jak i wcześniej nie chciał spotykać znajomych, był więc zadowolony, że studiując przywiezione z Koszalina dokumenty ma dobry powód, aby wychodzić z domu tylko po konieczne zakupy. Po tygodniu znał na pamięć wszystkie dane zawarte w papierach zebranych w czasie śledztw prowadzonych w sprawie utonięć Joanny Woźniak i Ewy Wypych. Przerzucał je w głowie i poszukiwał luk, które czekały na wypełnienie. Spędzał teraz długie godziny leżąc na kanapie w pokoju stołowym. Nie pił wódki, bo chciał mieć jasny umysł. Abstynencji domagała się od dawna także jego wątroba. Głód alkoholowy Cichocki uciszał dużą ilością mocnej herbaty. Jadł niewiele i byle co. Patrzył od czasu do czasu na wykonane przez siebie zdjęcia dokumentów - położył je przy tapczanie w określonym porządku – i myślał.

- Cholera! Coś mi tu nie gra! – zaklął nagle i wybrał kilka zdjęć z oględzin zwłok i miejsc ich znalezienia.

Przyglądał się im kolejno, odkładał i znów do nich wracał. Po chwili zastanowienia powiedział sam do siebie głośno i wyraźnie:

– Jasna cholera! Jasna cholera! One są uczesane!

Wstrząśnięty tym odkryciem ponownie przyglądał się wybranym zdjęciom. Długie i, jak wiedział, bardzo jasne włosy dziewczyn, rozdzielone równym przedziałkiem na czubkach ich głów, leżały z przodu na ramionach ofiar. Nie tak układały się włosy topielic. Nikt

przypadkowy, żaden niewinny świadek utonięcia, nie wpadłby na to, żeby uczesać wyciągnięte z wody kobiety. A nawet jakby oszołomiony środkami odurzającymi hipis, w napadzie narkotykowej ekstrawagancji, uczesał włosy Joanny Woźniak, to skąd mógłby o tym wiedzieć domniemany świadek utonięcia Ewy Wypych? A przecież uznano, że ze strachu, dla zmylenia milicji, albo chcąc wywołać niezdrową sensację, tylko powtórzył on dziwaczne działania poprzednika.

Dokonane odkrycie oczywiście niewiele dawało, jeśli idzie o ostateczne rozwiązanie sprawy, ale dawało mocny dowód istnienia sprawcy. Tego samego sprawcy w obu przypadkach. Mówiło też wiele o nim samym. Cichocki, który dotąd zakładał, że hipoteza śledczych jest, w małym co prawda stopniu, ale jednak prawdopodobna, teraz nabrał niepokojącej pewności, że ma do czynienia z jednym i tym samym osobnikiem. Osobnikiem groźnym i, co gorsza, wyrafinowanym i inteligentnym. Ma do czynienia z seryjnym mordercą. Kimś, kto działając pod wpływem nieprzewidywalnego wewnętrznego impulsu, zabija w wymyślny sposób i czerpie przyjemność nie tylko z uśmiercania, ale także z pośmiertnej wyrafinowanej aranżacji oraz z gry prowadzonej z organami ścigania.

- Jest w działaniach sprawcy jakiś chory zamyśl, jest jakaś nachalna precyzja i skrupulatne planowanie – rozmyślał, bardzo zaniepokojony tym, co odkrywa. – On prawdopodobnie na długo przed atakiem rozkoszuje się przewidywanym przebiegiem morderstwa oraz własną inteligencją, która pozwala mu przechytrzyć milicję, a właściwie przechytrzyć wszystkich dokoła. Rozkoszuje się tym, że jest zdolny do totalnego wyreżyserowania swoich chorych scenariuszy, do sprawiania, że wszyscy odgrywają role, które on im wyznacza, że robią to, na co on im pozwala. Czuje się siłą sprawczą wydarzeń i panem sytuacji.

Przypomniawszy sobie całą swoją wiedzę o seryjnych mordercach i zdenerwował się jeszcze bardziej. Seryjny morderca, dopóki nie zostanie ujęty, nie przestaje działać. Zabija kolejne ofiary i umacnia się w przekonaniu, że robi to coraz lepiej i że pozostanie bezkarny. Z niewieloma osobnikami tego pokroju ma się na szczęście do czynienia. Ale z tego powodu, niewielkie jest także doświadczenie organów śledczych w ich rozpracowywaniu. Racjonalne, jeśli tak można powiedzieć, motywy – pieniądze, dobra materialne, gniew, zdrada i tym podobne – które prędzej czy później naprowadzają śledztwo na właściwe tory, nie mogą być brane pod uwagę w ich przypadku. Pewnym można było być tylko jednego, tego, że dopóki morderca nie zostanie zatrzymany, nie zrezygnuje ze zbrodniczej działalności.

Martwił go także *modus operandi* sprawcy tych konkretnych morderstw. W przypadkach celowego utopienia zwykle bardzo trudno jest zdobyć materiał dowodowy, bo sprawca praktycznie nie zostawia śladów. Trudno jest znaleźć jakiegokolwiek odciski palców. W mieleńskich zdarzeniach także okazało się, że zebranie linii papilarnych ze zwłok lub z tkaniny strojów plażowych jest technicznie niemożliwe. Wszystkie inne ślady też wypłukała morska woda i przykrył piach. Czasami, ale to zwykle wtedy, gdy ofiara ginie w rzece, jeziorze czy stawie, można zebrać resztki wodnych roślin czy owadów, które naprowadzają na winnego i stanowią jeden z dowodów. Ale słona woda morska zubaża faunę i florę. Zresztą i tak w mieleńskich sprawach nie było żadnego materiału porównawczego.

- On znów zabije – pomyślał zniechęcony dotychczasowymi rozważaniami. – Nikt i nic mu w tym nie przeszkodzi. Prokurator nie wznowi śledztwa, bo nie ma żadnych nowych okoliczności. Uczesanie ofiarom włosów go nie przekona. Coś się ruszy dopiero wtedy, gdy zginie następna dziewczyna? Czy naprawdę ktoś jeszcze musi zginąć? Co ja powinienem teraz zrobić? – gorączkowo stawiał sobie kolejne pytania.

Ogarnęło go obezwładniające poczucie bezsilności. Przez cały dzień prawie nie wstawał z tapczanu.

- Cóż to jest życie? – rozmyślał leżąc i patrząc w sufit. – Dlaczego bronimy swojego życia i wytrwale ścigamy tych, którzy robią zamach na życie innych. Wojna pokazała, ile życie jest warte. Tyle co nic. Schopenhauer miał rację. Jesteśmy jak pleśń na planecie krążącej w nieskończonych przestworzach. Działa w nas i przez nas nieposkromiona ślepa wola. Nie możemy stać się kimś innym niż jesteśmy, przeciwstawiać się woli. Złoczyńca ponosi karę za to kim jest i kim być musi, a nie za swe czyny, bo dla niego są one konieczne. Śmierć jest zatem wybawieniem, najskuteczniejszym kwiatem woli w nas. Skąd więc wziął się pomysł ścigania sprawców zła? Wymierzania sprawiedliwości? Nie pamiętam, czy Schopenhauer te sprawy wyjaśnia.

Nadal patrzył bezmyślnie w sufit. Czuł się zupełnie przytłoczony mądrym pesymizmem niemieckiego filozofa.

- Muszę wyrwać Michała Sikorę z szeregów milicji – przyszła mu nagle do głowy myśl pozornie jedynie oderwana od myśli wcześniejszych. – Wola we mnie tego się domaga – roześmiał się. – „Jeśli możesz pomóc, pomóż” napisał gdzieś Schopenhauer. Zatem pomogę, choć jeszcze nie wiem jak. Chłopak postawił na przegraną kartę i wkrótce się o tym przekona.

System się chwieje. Marzec był początkiem końca „dyktatury ciemniaków”. Stefan Kisielewski ma rację.

Postanowienie zrobienia czegoś dobrego dla młodego człowieka, uratowania go przed nieuchronnym rozczarowaniem pracą w milicji oraz nieokreślonym niebezpieczeństwem, którego nadejście przewidywał, przywróciło mu chęć do działania. Nadal leżąc, wypalił kolejnego papierosa, ale jednocześnie obiecał sobie, że wkrótce rzuci palenie. Zdusił niedopalonego papierosa w popielniczce, wstał i szeroko otworzył drzwi balkonowe, wypuszczając na zewnątrz gęsty dym. Potem opróżnił przepełnioną popielniczkę i przygotował sobie kolację. Poczuł wreszcie głód, co oznaczało, że wraca do formy. Po kolacji zasiadł do pisania listów z postanowieniem, że nie powiadomi w nich kolegów o dokonanych odkryciach i nieuchronności następnej zbrodni. Wolał osobiście przekazać im złe wieści. Przewidywał, że wkrótce znów będzie musiał udać się do Koszalina i to nie tylko po to, aby spotkać się z Cześkiem i Michałem. Chciał jednak najpierw dobrze się do wszystkiego przygotować. Na razie potrzebował od kolegów nowych informacji, a żeby rozeznac o zdobycie jakich poprosić ich w listach, musiał od nowa, pod kątem niedawnego odkrycia, przemyśleć systematycznie ewentualne luki w zdobytej wcześniej dokumentacji.

Nie zbadano dokładnie środowiska, w którym obracali się rodzice Joanny oraz Ewy. Nie spodziewał się żadnych rewelacji w tym względzie, ale profesjonalne zasady kazały mu uzupełnić wszelkie pominięte dane. Woźniakami postanowił zająć się sam – mieszkali w Warszawie – a o rozeznaniu sytuacji Wypychów poprosił w liście Michała. Jego także obciążył zadaniem sprawdzenia towarzystwa Ewy. Sam postanowił zająć się przebadaniem osób, z którym przez ostatnie miesiące życia zadawała się Joanna. Nie wątpił, że młodzi ludzie wiedzą dużo więcej o swoich koleżankach i kolegach niż ich rodzice, a także więcej niż zechcieli powiedzieć milicji i prokuratorowi. Wyciągnięcie z nich czegoś ponad to, co już zeznali będzie jednak nie lada sztuką, więc podpowiadał niedoświadczonemu młodemu milicjantowi, jakimi ma posłużyć się sposobami.

Musisz się do nich zbliżyć, pisał w liście do Michała, a to oznacza, że nie możesz ujawniać kim naprawdę jesteś, lecz wyrobić sobie nową tożsamość. Oczywiście tylko na jakiś czas i tylko na Koszalin. Musisz wymyślić łatwą do zapamiętania i wiarygodną legendę, zacząć bywać tam, gdzie chodzą koleżanki Ewy i, nie będąc nachalnym, zawrzeć z nimi i ich kumplami bliższą znajomość. Pamiętaj, żeby nie podpaść swojej dziewczynie, o ile nadal traktujesz ją poważnie. Masz dwa wyjścia. Albo, jeśli ufasz, że zrozumie i da ci na jakiś czas wolną rękę, powiesz jej szczerze, o co chodzi, albo pod jakimś pretekstem zawieś z nią

kontakty. Sam zdecyduj, co dla ciebie lepsze. Musisz wydobyć z koleżanek Ewy jak najwięcej: gdzie i z kim chodzą, jakie mają zainteresowania, po prostu zapisuj wszystko. Interesuje nas najbardziej tajemniczy N z dzienniczka Ewy, ale o nim nie wspominaj wprost, bo jej koleżanki staną się podejrzliwe. Staraj się sprytnie skłaniać je do wspominania Ewy. Okazuj im wiele współczucia i wyrażaj żal, że nie mogłeś poznać takiej wspaniałej dziewczyny. Powinny złapać się na to i puścić farbę. Poza tym przypomnij sobie i zapisz wszystko, co pamiętasz z tamtych dni – o czym wtedy myślałeś, co słyszałeś od ludzi, z kim i o czym rozmawiałeś zaraz po wypadkach, co mówiła wtedy Małgorzata Mróz albo pijaczkowie z baru, którzy dali ci koraliki Joanny. Wszystko zapisuj, a notatki, nawet nieopracowane, prześlij do mnie.

Czesława Szelca nie musiał pouczać. Poprosił go w liście o skrupulatne zebranie i zanotowanie informacji dotyczących nietypowych czy intrygujących zachowań wśród mieleńskiej męskiej społeczności – był przekonany, że sprawcą nie jest kobieta; kobiety niezwykle rzadko zabijają dla przyjemności – oraz, jeśli to możliwe, wśród pracowników sezonowych, szczególnie tych, którzy wielokrotnie pojawiali się w Mielnie latem.

Zajmij się także – napisał – o ile jeszcze tego nie zrobiłeś, ubraniami, które widział Michał. Skąd się wzięły? Kto i kiedy je znalazł? A może to sprawca dał je aktualnej właścicielce? Zresztą sam wiesz, co robić. Ja odkryłem pewną interesującą rzecz, ale powiem o niej osobiście, kiedy się spotkamy.

List od mieleńskiego komendanta nadszedł nadszpodziewanie szybko, zaraz po Wszystkich Świętych. Czesiek donosił o samobójczej śmierci Leokadii Bednarz spowodowanej podobno rozstrojem nerwowym i kłótniami z mężem.

Bednarzowa, jedyna osoba, która, jak dotąd ustalono, mogła widzieć tajemniczego N, czyli też ewentualnego sprawcę – czytał zaskoczony w liście od Szelca – przez nikogo niezauważona weszła w niedzielę 27-go października wczesnym wieczorem w ubraniu do morza i utopiła się. Jej ciało znaleziono cztery dni później, ale normalnie, wyrzucone na brzeg, a nie upozowane.

Wiadomość o śmierci Bednarzowej mocno go poruszyła. Z jednej strony nie było nic dziwnego w tym, że zdesperowana kobieta targa się na swoje życie, ale z drugiej niepokojące było to, że chodzi właśnie o tę a nie inną kobietę. Czesiek nie wspominał w liście słowem o swoich ewentualnych wątpliwościach, dotyczących utonięcia Bednarzowej, ale miał nadzieję, że jednak przyjrzy się bliżej temu dziwnemu zbiegowi okoliczności. Dalsze doniesienia

zawarte w liście mieleńskiego komendanta świadczyły bowiem o jego zawodowej skrupulatności.

Wytypowałem trzech osobników, którzy mogą mieć coś wspólnego z naszą sprawą – pisał Szelc w liście po zdaniu relacji ze śmierci Leokadii Bednarz. - Wziąłem bowiem pod uwagę to, że Bednarzowa wcale nie musiała widzieć sprawcy. Młody chłopak, z którym szła Ewa Wypych, niekoniecznie jest przecież tym, który dokonał ewentualnego zabójstwa. Wziąłem na celownik gości, którzy przejawiają nadmierne zainteresowanie płcią przeciwną, a szczególnie dużo młodszymi od siebie kobietami. Uwzględniłem oczywiście tylko tych, którzy są oswojeni z wodą, bo podobnych czynów nie mógłby dopuścić się ktoś nieobyty z morzem, czy nieumiejący pływać. Słyszałem, choć podporucznik Madejski nie dzielił się ze mną wiedzą operacyjną, że obie dziewczyny doskonale pływały. Dodałem jeszcze jeden warunek, zgodny z Twoją sugestią, a mianowicie to, żeby typy były trochę dziwne. I tak otrzymałem trzech podejrzanych:

1. Marek Szubka, rybak mieszkający w Mielnie, ale łowiący na morzu z rybakami z Unieścia. Znany jest ze swego niepohamowanego temperamentu. Uwodzi i zaczepia kobiety, a już najchętniej bardzo młode. Wygaduje różne świństwka, prawdopodobnie po to, żeby je zachęcić do szybkiego i niezobowiązującego seksu. Żonaty, jedno dziecko. Żona siedzi w domu. Rzadko wychodzi, niechętnie rozmawia. Nie ma koleżanek.
2. Henryk Dudzik, dość jeszcze młody i sprawny facet pracujący w mieleńskim geesie. Jeździ ciężarówką. Wozi towary. Ma żonę i czworo dzieci. Najstarsza córka, czternastoletnia, jest w ciąży. Rodzice trzymają ją w domu. Ludzie gadają, że ciąża, to sprawka Dudzika, czyli ojca dziewczynki. Cała rodzina żyje w izolacji od innych ludzi. Nigdzie nie chodzą. Nawet do kościoła. Dziewczyna nie skończyła szkoły podstawowej, a młodsze dzieci też mają problemy ze szkołą. Dudzik lubi kąpać się w morzu. Najchętniej po sezonie, gdy plaża jest pusta. Zawsze sam.
3. Roman Kitowski, przyjezdny z Warszawy i facet raczej nie do ruszenia. Latem jest zastępcą kierownika Domu Wczasowego Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Pod koniec września wraca do Warszawy. Dom wczasowy stoi nad samym morzem przy ulicy Kościuszki. Wstęp tylko dla upoważnionych. Kitowski codziennie rano i wieczorem pływa na długich dystansach. Ratownicy WOPR-u oczywiście nie mają nic do gadania, nawet gdy pogoda jest sztormowa. Jest przystojny, zawsze

dobrze ubrany, bardzo pewny siebie i przy forsie. Podrywa młode dziewczyny i żadna mu ponoć jeszcze nie odmówiła, wiesz czego. Żonaty, dwoje dzieci. Żona z dziećmi do Mielna nie przyjeżdża.

Myślę, że przyjedziesz wkrótce do Koszalina i pogadamy. Postaram się przygotować jeszcze inne typy. Co do ubrań Joanny Woźniak, to sprawa wydaje się prosta. Jeden z mieszkańców domu przy ulicy Pionierów, tego, przy którym wisiały ciuchy, niejaki Waldemar Janoch, stary złodziejaszek biorący wszystko, co mu wpadnie w ręce i utrzymujący liczną rodzinę, znalazł ubrania w nadmorskim lesie dwa dni po śmierci dziewczyny i dał je najstarszej córce. Twierdzi, że nie pamięta dokładnie, gdzie je znalazł, ale jeszcze go przycisnę.

- Dobrze kombinuje – mruknął do siebie Cichocki po przeczytaniu listu Szelca. – Odezwała się w nim krew przedwojennego śledczego – dodał z satysfakcją.

Dwa pierwsze typy mieleńskiego komendanta nie odpowiadały charakterystyce sprawcy, którą wypracował na własny użytek. Do rybaka podrywacza i kierowcy posądzanego o kazirodztwo nie pasowały, według niego, wymyślne aranżacje, a tym bardziej czesanie włosów swych ofiar. Prości przestępcy mają proste wymagania i potrzeby. Są prymitywni. Zainteresował go typ trzeci. Postanowił sprawdzić, kim jest Roman Kitowski.

Czekając na wieści od Michała, zaczął robić swoje. Pierwszym krokiem było znalezienie wtyczki w środowisku warszawskich hipisów. Sam z oczywistych względów nie mógł do niego przeniknąć. Wypatrzył pewnego młodzieńca, studenta Akademii Teologii Katolickiej, która była swoistą wylęgarnią hipisów. Chłopak trzymał się blisko Proroka. Miętkość jego charakteru i pozerstwo już po krótkiej obserwacji rzuciło się Cichockiemu w oczy. Miał nosa do ludzi, więc był pewny, że dobrze wybrał. Zaczepił młodzieńca, kiedy ten wyszedł z fanklubu na warszawskiej Starówce - spotykała się w nim hipisowska młodzież – pożegnał z kolegami przed Pałacem Staszica i sam poszedł Nowym Światem. Cichockiemu łatwo udało się go postraszyć - kłopoty na uczelni, zwolnienie z pracy rodziców, narkotyki i inne proste, ale skuteczne pogrożki. Chłopak, nie wiedząc dokładnie z kim ma do czynienia, szybko zmiękł, a wtedy Cichocki podsunął mu w miejsce kija marchewkę i zaproponował zapłatę za dostarczenie odpowiednich informacji. Oczy młodzieńca rozbliły. Umówili się na spotkanie za trzy dni w kawiarni Wilanowska przy Placu Trzech Krzyży.

Informacje przyniesione przez Zbyszka – tak miał na imię młodzieniec – dotyczyły, zgodnie z umową, Joanny Woźniak i jej otoczenia. Zbyszek był na zlocie w Mielnie. Joannę znał już wcześniej, bo bywali na spotkaniach tych samych grup i oboje trzymali się blisko Proroka.

- Niewiele się o niej teraz mówi – powiedział Cichockiemu zaraz na początku rozmowy. – Mamy ważniejsze sprawy.

- Nie bądź bezczelny - usadził go Cichocki. – Gadaj, czegoś się dowiedział.

- Koleżanki Joanny powiedziały mi, że Joanna koniecznie chciała każdemu imponować. Chyba miała kompleks prowincji. Józek, to znaczy Prorok, nie za bardzo się nią na zlocie interesował i to ją wkurzało, bo lubiła być gwiazdą. Rozczarowana poszła poszukać szczęścia gdzie indziej. Znajomi widzieli ją na plaży, jak podrywała ratowników. Zostawiła im swoje ciuchy do pilnowania, jakby nie mogła ich zostawić komuś z nas. Ja tam na plażę nie chodziłem, więc tego nie widziałem, ale mnie też denerwowała tym ściąganiem na siebie uwagi. W sumie to była ładna dziewczyna. Namawiałem ją na seks, ale się nie zgodziła. Jej strata.

- No to może chciałeś się na niej zemścić? – postawił prowokacyjne pytanie, żeby wyprowadzić młodzieńca z równowagi. – Poszedłeś za nią w nocy, wykorzystałeś, że była naćpana i pijana i utopiłeś ją.

- Co pan mówi?! To nieprawda. Siedziałem całą noc przy ognisku. Nawet nie widziałem, kiedy odeszła. Zresztą inne dziewczyny były chętne, więc nie musiałem się przejmować tą gówniarą.

- Spokój! Nie nazywaj jej tak. Ona nie żyje! – przystopował teraz studenta. – Czego się jeszcze dowiedziałeś?

- Jedna para widziała ją w nocy. Oni siedzieli pod wydmami i migdalili się, wiadomo. Zobaczyli Joannę, jak sama idzie plażą w stronę przeciwną, do tej, gdzie ją potem znaleźli.

- Szła w stronę Unieścia? – podpowiedział.

- No tak. W stronę Unieścia – przytaknął młody człowiek.

- A o której ją widzieli?

- Mówili, że było grubo po północy.

- Była w ubraniu?

- Nie pytałem. Ale przy ognisku była ubrana, to się chyba na spacer nie roznegliżowała.
- Czy Joanna dużo brała środków odurzających? – szybko postawił następne pytanie.
- Nie więcej niż inni. Ale lubiła je mieć i rozdawać, żeby się popisać.
- Brałeś od niej? Co brałeś?
- Fermę, parkan. Miała źródło na recepty i miała pieniądze. Ale musi pan wiedzieć – ożywił się Zbyszek – że nikt z naszych nic jej nie zrobił. My jesteśmy przeciwko przemocy. Każdej przemocy. Jesteśmy pacyfistami.
- Trzymaj się tematu – ukrócił ideologiczne wstawki. – Czy potem ktoś ją jeszcze widział? Przecież musiała przejść obok was. Znaleziono ją pod Mielenkiem.
- Ja jej nie widziałem i inni też nie. Chyba by do nas podeszła, idąc w drugą stronę.
- Interesujące – myślał, siedząc jeszcze chwilę przy kawiarnianym stoliku po odejściu młodzieńca. – Szła w stronę Unieścia. Przypadek, czy z kimś się tam miała spotkać? Potem musiała raz jeszcze przejść koło ogniska. Nikt jej nie zauważył i ona także nie podeszła, więc może to było nad ranem, gdy wszyscy już się rozeszli. Albo – wpadł mu nagle do głowy nowy pomysł – przepłynęła. Tak! Mogła przecież przepłynąć!

Gadanina Zbyszka umocniła jego wcześniejsze przekonanie, że poszukiwania sprawcy wśród hipisowskiej braci nie ma sensu. Informacje, które zdobył na temat rodziców Joanny też nie wniosły do sprawy niczego istotnego. Ot, karierowicze, którzy próbowali wypłynąć w Warszawie na szerokie partyjne wody, korzystając z szansy, którą dostali po wyjeździe z Polski działacze żydowskiego pochodzenia. Po śmierci córki znów rzucili się w wir partyjnej roboty.

Trzeci wytypowany przez Szelca osobnik, którego sprawdził, czyli Roman Kitowski, okazał się natomiast niezłym cwaniakiem. Potrafił się nieźle urządzić. W Warszawie zawodowo pracował w Dyrekcji Naczelnej Funduszu Wczasów Pracowniczych. Poza działalnością zawodową zaangażował się bardzo aktywnie w funkcjonowanie Komisji Centralnej Związków Zawodowych oraz w Komisji Centralnej Funduszu Wczasów Pracowniczych. Należał także do partii, oczywiście do partii niepodzielnie rządzącej, czyli PZPR. Wszystko, czym się zajmował, dawało mu wiele okazji do korzystania z licznych przywilejów. Jednym z nich były niewątpliwie „płatne wakacje” w Mielnie. Odpoczywał, opalał się i korzystał z morskich kąpeli na koszt państwa i jeszcze brał za to dodatkową kasę. Korzystał z wolności,

udając kawalera. Roztaczał swe męskie uroki na dancingach w „Meduzie” i uwodził młode atrakcyjne kobiety. W Warszawie zachowywał się natomiast jak wzorowy pracownik, mąż i ojciec.

- Wzorcowy przypadek seryjnego mordercy – stwierdził. – Lubiany, ceniony, sprytny i prowadzący podwójne życie. Niestety niczego kompromitującego o nim się nie dowiem, dopóki siedzi w Warszawie, a do lata jeszcze daleko. Nie pasuje mi też, że nie był w Mielnie, gdy zginęła Leokadia Bednarz. Oczywiście, o ile to nie było samobójstwo.

List od Michała Sikory przyszedł w trzecim tygodniu listopada. Cichocki uporządkował wtedy w głowie wszystko, czego się dotąd dowiedział i uznał, że jest gotowy skonfrontować uzyskaną wiedzę z kolegami z ekipy, Czesławem Szelcem i Michałem Sikorą. Do wyjazdu przygotował się bardzo skrupulatnie i to nie tylko pod względem merytorycznym, lecz także organizacyjnym. Ponieważ nie zamierzał znów pokazywać się w koszalińskich hotelach, na miejsce dłuższego pobytu na środkowym wybrzeżu wybrał Kołobrzeg. W Warszawie poszedł do swojej przychodni lekarskiej i po prostu załatwił sobie skierowanie do sanatorium w Kołobrzegu. Miejsce znalazło się w ośrodku sanatoryjno-wypoczynkowym „Bałtyk” należącym do Centralnej Rady Związków Zawodowych, który był zlokalizowany bezpośrednio przy plaży w sąsiedztwie moło.

- Będzie pan zadowolony – zapewniał lekarz wystawiający skierowanie i rekomendujący go w ośrodku. – Obiekt jest czysty, nowiutki. Zbudowano go na miejscu zburzonego niemieckiego domu zdrojowego Strandschlos, czyli Zamku Plażowego. Wie pan, że Kołobrzeg zaczął w ogóle być intensywnie odbudowywany dopiero od dziesięciu lat?

Cichocki znał doskonale przebieg walk o Kołobrzeg w 1945-tym roku i wiedział, że kurort Kolberg został całkowicie zniszczony w czasie walk o Wał Pomorski. Po wojnie miasto leżało w gruzach. Poniemieckie zakłady przyrodolecznicze poszły w ruinę, infrastruktura portowa, kolejowa i miejska zostały zgrabione przez sowietów, mniejsze rzeczy przez szabrowników, cegły ze zrujnowanych domów wywieziono do Warszawy, a pod miastem na stałe pozostała Armia Czerwona.

Cichocki nie miał ochoty kolejny raz oglądać wojennych zniszczeń i przypominać sobie na każdym kroku o uczynionych przez wojnę spustoszeniach, bo myślenie o nich przygnębiało go z czasem coraz bardziej. Kołobrzeg był jednak dogodnym miejscem ich nieoficjalnego spotkania – dobrze skomunikowany z Koszalinem, położony niedaleko Mielna i jednocześnie ludny także zimą. Stałych mieszkańców było co prawda niewielu, ale kuracjusze i

wczasowicze przez cały rok przyjeżdżali tu na kilka lub kilkanaście dni i wyjeżdżali, powodując w mieście prawdziwy ludzki młyn. Ponowne pojawienie się, po tak krótkim czasie, w hotelu „Jantar” w Koszalinie, z pewnością zostałoby zauważone przez hotelową obsługę, która w większości, chcąc nie chcąc, musiała współpracować ze służbami bezpieczeństwa. W Kołobrzegu mógł pozostać anonimowy, szczególnie jako kuracusz. Anonimowi mogli pozostać także koledzy. A ich właśnie nie chciał narażać na zainteresowanie bezpieki. Wolał pomęczyć się trochę wojennymi wspomnieniami, niż ryzykować niepotrzebne komplikacje. W kwestii bezpieczeństwa należało zawsze dmuchać na zimne.

Z Warszawy dojechał pociągiem do Koszalina i zrobił krótką przerwę w podróży. Na Poczcie Głównej zostawił dla kolegów wiadomość o miejscu, w którym będzie przebywał przez najbliższe dwa tygodnie i gdzie będzie spokojnie czekał na ich przyjazd. Prosił, aby nie śpieszyli się, lecz zorganizowali codzienne obowiązki tak, aby przyjechać do Kołobrzegu na cały dzień. Zjadł późny obiad w barze przy ulicy Zwycięstwa i pierwszym przedwieczornym pociągiem pojechał do Kołobrzegu.

7. Konfrontacja



Kazimierz Cichocki wyszedł na pierwszy spacer po Kołobrzegu następnego dnia rano po przyjeździe. Był poniedziałek 25-go listopada. Pogoda marna. Wiał porywisty wiatr, który gnał po niebie ciemne chmury, a z chmur od czasu do czasu padał ulewny deszcz. Ponieważ na przyjazd kolegów obiecał poczekać, żeby dać im czas na przygotowanie całodniowego wypadu do Kołobrzegu, postanowił spacerować, odpoczywać i wietrzyć głowę morskim powietrzem. Za cel pierwszego spaceru, niechętnie, ale z ciekawości, wybrał centrum Kołobrzegu i tam rzeczywiście zobaczył smutny widok, którego tak się obawiał. Rynek,

dawna chluba miasta, był w ruinie. Dominantą kołobrzeskiego rynku był częściowo odremontowany kościół kolegiacki. Funkcje sakralne spełniało jednak tylko prezbiterium, a w zabezpieczonej przed zawaleniem, mocno zniszczonej części głównej gotyckiej budowli, której historia zaczęła się w XIV wieku, urządzono Muzeum Oręża Polskiego. Kościół i tak miał wiele szczęścia, bo zanim przyszedł rok 56-go, przeznaczono go do rozbiórki. Na szczęście nie zdążono dokończyć zniszczenia i gotyckie mury nadal czekały na lepsze czasy. Oko przechodnia cieszył jeszcze tylko usadowiony na środku rynku dwunastowieczny ratusz, a także trzy ocalałe przedwojenne budynki na jego północno-wschodniej pierzei. Wszędzie indziej dostrzegało się ślady wojny, tyle że usunięto niewybuchy, tony gruzu i wywieziono zniszczony sprzęt wojskowy.

Zawrócił i pośpiesznie poszedł w stronę portu. Dzielnica portowa u ujścia Parsęty do Bałtyku kipiała nowym życiem. Po kilkuletniej przerwie, w czasie której port ponownie, jak wcześniej podczas wojny, stał się twierdzą i zamarły jego cywilne funkcje, znów pachniał smołowanym drewnem i rybami. Stanął na nabrzeżu i z lubością wciągał zapach charakterystyczny dla wszystkich znanych mu portów, a potem skierował się w stronę latarni. Ceglana latarnia morska, zbudowana tuż po wojnie, nie miała w sobie, na szczęście, nic z modnego teraz modernizmu. Była staromodna, ciężka, solidna, posadowiona na fundamentach poniemieckich zabudowań fortecznych, ale jednocześnie w swoistym sensie ozdobna i, jak wszystkie morskie latarnie, miała w sobie tajemniczy urok wypraw na nieznane lądy. Ominął puste o tej porze roku molo i przechadzał się alejkami w nadmorskim parku, w którym stały nowoczesne klockowate budynki nowo zbudowanych uzdrowisk i domów wczasowych. Posmutniał, przypominając sobie elegancję przedwojennych kurortów, ale i tak był rad, że jego obawa przed nieprzyjemnymi wrażeniami wywołanymi wojenną dewastacją okazała się mocno przesadzona. Miasto wyraźnie odzyskiwało powoli utraconą świetność. Uspokoił się trochę. Uznał, że pobyt w Kołobrzegu da mu niewątpliwie sporo przyjemności. Przez dwa kolejne dni korzystał z długich samotnych przechadzek po plaży i po zdrojowym parku, ciągnącym się daleko za miasto wzdłuż plaży. Starał się nie myśleć ani o swojej niewygodnej sytuacji życiowej, ani o kryminalnej sprawie, która trapiła go od kilku tygodni. Od czwartku przesiadywał w ośrodku „Bałtyk” przewidując, że nadszedł czas umówionego spotkania.

Obaj panowie stawili się w piątek 29-go listopada. Czesław Szelc przyjechał pierwszy wcześniej rano i pojawił się w czasie serwowania w ośrodku „Bałtyk” śniadania. Cichocki zobaczył go siedzącego w fotelu w holu, gdy wyszedł ze stołówki. Przywitali się bardzo

oficjalnie. Szelc został na dole, a Cichocki poszedł do pokoju, aby się przebrać. Kiedy wrócił do holu, Michał Sikora też już przybył i teraz siedział w sporej odległości od Szelca. Rozśmieszyła go przesadna ostrożność młodego milicjanta – być może podbudowana niezapomnianymi jeszcze pretensjami o niesprawiedliwe posądzenie - ale podporządkował się jej. Wyszedł z budynku i poszedł nad morze. Po chwili koledzy dołączyli do niego, każdy z osobna.

- Czołem obywateli milicjanci – zażartował. – Przyjechaliście do Kołobrzegu świętować Andrzejkę? Macie wosk i inne akcesoria? Wasze damy zechciały zostać same w tak miłym dniu? - zagadywał kolegów, aby zniwelować rzucające się w oczy napięcie między starszym a młodszym. Rozchmurzyli się trochę i uśmiechnęli.

Podszedł do Michała i go uściskał. Potem raz jeszcze, ale teraz bardzo serdecznie, przywitał się z Czesławem.

- Mówmy sobie na „ty” – zaproponował kolegom.

Lody zostały przełamane. Ruszyli w milczeniu brzegiem morza, idąc z wiatrem, który dał z północnego zachodu. Mewy unosiły się w powietrzu, usiłując pokonać siłę wiatru, a ich ostre krzyki ginęły w huku fal zanim dotarły do uszu spacerowiczów.

- W tych warunkach nie pogadamy! - krzyknął Szelc, przytrzymując ręką kapelusz. – Musimy wejść do knajpy. Masz coś upatrzonego? – zwrócił się do Cichockiego.

- O tej porze roku prawie wszystko jest zamknięte. Proponuję kupić butelczynę albo dwie i wrócić do ośrodka. Mieszkam sam. Nikt się nami nie będzie interesował. Świętujemy Andrzejkę! – przekrzykiwał wiatr.

Pomysł okazał się dobry. Po drodze kupił w porcie od rybaków wędzone śledzie. Były apetycznie złociste, tłuste i pachnące. Szelc i Sikora wnieśli swój udział w postaci dwóch butelek czystej wódki. Chleb dostał z kuchni ośrodka od roześmianych na jego widok kucharek, które rozumiały nagłą sytuację i męskie potrzeby.

- Przyniosę panu kotlety z dzisiejszego obiadu, bo pewnie pan nie zjeździe! Koledzy przyjechali? Który numer?! – zawołała za nim całkiem ładna i zgrabna kelnerka, gdy wychodził ze stołówki.

W pokoju z przyjemnością zdjęli płaszcze, kapelusze i rozsiedli się. Wystarczyły im dwa krzesła i łóżko, do którego przysunęli stolik. Atmosfera stała się w istocie zabawowa i z niechęcią myśleli o czekającej ich rozmowie.

- Panowie, mówmy głośno o sprawach pobocznych, a o naszej po cichu. W nowym budownictwie słychać wszystko w sąsiednich pokojach – ostrzegł kolegów, rozlewając wódkę do szklaneczek. – Nasze zdrowie. Za spotkanie – wzniósł pierwszy toast.

- Masz tu radio? – zapytał przytomnie Michał. – Trochę nas zagłuszy, a przy okazji posłuchamy rockowych zespołów. Ja najchętniej teraz słucham Akwareli i Czeška Niemena. Tylko nie nastawiaj Jedyńki, bo tam puszczały same śpiewy ludowe. Poszukaj Trójki.

- Lubisz słuchać wydzierania się Wydrzyckiego, *alias* Niemena? - złośliwie zapytał Michała Czesław Szelc.

- Panowie! Do rzeczy. Nie spotkaliśmy się, żeby dyskutować o muzycznych gustach – ukrócił możliwą sprzeczkę, kręcąc gałką radia. Złapał odpowiednią częstotliwość, usiadł i powiedział:

- Zróbmy tak. Ponieważ ja znam wszystkie zebrane informacje, krótko je wam przedstawię. Możecie oczywiście w trakcie zadawać pytania. Potem każdy dopowie, co jeszcze uzna za ważne i przegadamy sprawę.

Zaczął od najważniejszej informacji.

- Jestem przekonany, że oba przypadki utonięć nie były przypadkowe, ale spowodowane działaniem tego samego osobnika. Dużo wskazuje na to, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą, który nie poprzestanie na tym, co dotychczas zrobił, lecz będzie polował na kolejne ofiary. Pomyślałem o seryjnym dopiero wtedy, gdy zauważyłem coś bardzo szokującego, czego nikt wcześniej nie dostrzegł. Panowie! On obu ofiarom perfekcyjnie uczesał włosy! Musiał to zrobić celowo! Zrobił im przedziałek na środku głowy, a długie włosy rozłożył symetrycznie i równiutko po obu stronach.

- Cholera jasna. Ja tego nie zauważyłem. Masz te zdjęcia przy sobie. Pokaż! – zażądał niecierpliwie Szelc.

Długo patrzył na podane mu zdjęcia ofiar i z niedowierzaniem kręcił głową. Michał Sikora nie mógł usiedzieć na swoim miejscu, więc wstał i patrzył na zdjęcia stanawszy tuż przy Szelcu i pochyliwszy się nad nim. Przelotnie spojrzeli jeden na drugiego.

Tego się bałem najbardziej – skomentował ze sztucznym spokojem Szelc. – Mów dalej.

Sikora wrócił na swoje miejsce, a on kontynuował:

- Wybrałem z trzech twoich typów Kitowskiego. Ale czy Michał zna twoje typy?

Szelc pokręcił przecząco głową i streścił wiadomość przesłaną w liście. Cichocki podjął wątek:

- Do Kitowskiego jeszcze wrócimy. Teraz powiem, co odkrył Michał. Informacje, które przesłał też są bardzo ważne. Gratuluję ci szczęścia – zwrócił się do młodego milicjanta. – To naprawdę niezwykły zbieg okoliczności, że twoja dziewczyna, Małgosia Mróz, chodzi do jednej klasy z koleżankami Ewy Wypych. Tak – zwrócił się do Czesława – wyobraź sobie, że Teresa Miłoch i Wanda Kasprzyk, przyjaciółki Ewy Wypych, nie chciały po jej śmierci wracać do dawnej klasy. Bały się wspomnień, a jeszcze bardziej wypytywania przez kolegów i koleżanki. Obie od nowego roku szkolnego przeniosły się do wieczorówki i trafiły do klasy Mrozówny.

Michał przejął inicjatywę.

- Zrobiłem Teresie i Wandzie zdjęcia z ukrycia. Śledziłem je i dlatego dowiedziałem się, że chodzą do liceum wieczorowego. Tego samego, w którym uczy się Małgosia. Zaryzykowałem i wtajemniczyłem Małgosię w naszą sprawę. Trochę zaryzykowałem, ale wyszło dobrze. Naprawdę można jej ufać. Okazało się, że Gosia je zna, że chodzą do jednej klasy. Gosia jest sprytna i bardzo dzielna. Sama zaproponowała, że to ona postara się wydobyć z koleżanek Ewy nowe informacje. Zdjęła ze mnie ciężar podszywania się pod kogoś, w celu zbliżenia się do dziewczyn. I udało się! Przeczytaj! – Michał spojrzał na Cichockiego, a ten podał Szelcowi list.

Szelc pochylił się nad nim i uważnie czytał.

- Małgosia jest bardzo mądrą dziewczyną – kontynuował po chwili Michał. – Z wyczuciem zdobyła zaufanie obu dziewczyn i naprawdę się z nimi zaprzyjaźniła. Potrzebowały tego. Czuły się zagubione, a Małgosia, jako trochę od nich starsza, zaopiekowała się nimi. Jest z Mielna, więc łatwo jej było nawiązać z nimi rozmowę o Ewie. Zresztą ona niczego nie musiała udawać. Naprawdę się polubiły. Były nawet razem na grobie Ewy.

Szelc skończył czytanie i myślał.

- Po tym, co tu przeczytałem, sądzę, że Kitowski odpada – powiedział. – N musi na stałe mieszkać w Koszalinie. Piszesz przecież, że przyjaciółki Ewy Wypych jednak nie wytrzymały, złamały obietnice i śledziły Ewę. Widziały jedno spotkanie zakochanych. Tylko szkoda, że w nocy, bo niewiele zobaczyły. Szkoda też, że w środku sezonu., bo o ile mi wiadomo Kitowski nie ruszał się z Mielną przez całe lato, a już na pewno nie fatygowałby się na nocne spotkanie do Koszalina. To nie jest napalony młodziak. Miał w Mielnie dość panienek pod ręką. Zresztą koleżanki Ewy twierdzą, jak piszesz – zwrócił się do Michała – że mężczyzna, z którym spotkała się potajemnie Ewa, był skromnie ubrany, a Kitowski zawsze ubiera się modnie i elegancko. Każda kobieta to zauważy.

- Mógł się maskować – odciał się Sikora. – Ale zostawmy na razie Kitowskiego. Najważniejsze jest to, że dziewczyny są w stanie w przybliżeniu opisać tego N. Widziały jego sylwetkę i chód. To niewiele, ale zawsze coś.

- Masz rację – poparł młodszego kolegę Cichocki. – Drugą istotną i nową, przynajmniej dla nas, informacją o Ewie jest to, że chodziła na basen, a jej koleżanki nie chodziły - zauważył. – Według mnie jest bardzo prawdopodobne, że tam mogła poznać N, bo wszędzie indziej chodziły razem.

- Niekoniecznie – Czesław tym razem podważył zdanie Kazimierza. - Mogła go poznać wszędzie, w sklepie, na ulicy, w autobusie. Przecież nie były nierozłączne.

Cichocki nie przejął się sceptycyzmem Szelca i, aby ukrócić bezowocne dyskusje, zaproponował:

- Zbierzmy na początek wszystko, co łączyło ofiary. W czym były podobne. Może w ten sposób wpadniemy na jakiś trop. Po pierwsze obie były bardzo młode, bardzo zgrabne i bardzo ładne. Obie bardzo dobrze pływały. Pomimo młodego wieku były samodzielne. Ich starzy nie za bardzo się nimi zajmowali. Robili kariery partyjne. Może dlatego obie poszukiwały czegoś w rodzaju akceptacji i obie poszukiwały tego u mężczyzn, a nie u swoich rówieśników. Były trochę wyzywające i lubiły poszaleć, szczególnie Joanna. Można podejrzewać, że atak przyszedł właśnie od kogoś takiego; dojrzałego, ale młodego jeszcze faceta, miłego i rozumiejącego, ale nie nachalnego. Kogoś, kto potrafi subtelnie manipulować uczuciami młodych dziewczyn. Taką hipotezę potwierdza dzienniczek pisany przez Ewę. To może być ktoś, kto wyczuwa potrzeby swoich ofiar i wie, jak zdobyć ich zaufanie. Typ domorosłego psychologa, a przy tym inteligentny, raczej wykształcony, a przynajmniej odcytany, przystojny i zadbany, ale nie chcący rzucać się w oczy wyglądem.

Zapadła cisza, a po chwili Cichocki dodał:

- Możemy podarować sobie zajmowanie się rodzinami, kolegami i w ogóle środowiskiem, w którym na co dzień żyły dziewczyny. Tego gościa tam nie znajdziemy. Trzeba szukać gdzie indziej. Tylko gdzie?

- Na razie twojej charakterystyce odpowiada tylko Kitowski – zauważył Czesław. – Mogę jeszcze popytać o innych przyjeżdżających do Mielna w sezonie, ale wątpię, żeby udało mi się kogoś znaleźć. Ludzie przyjeżdżają i wyjeżdżają. Zwykle to są życiowi rozbitkowie, albo leserzy, chcący zaczepić się byle gdzie na chwilę. Wśród stałych mieszkańców też nie widzę kandydatów.

- Sporo młodych facetów przyjeżdża z wesołym miasteczkiem – podrzucił myśl Michał. – Rozbijają się na łące przed jeziorem i koczują tam całe lato.

- Kolego – przystopował go Szelc. – Tam nie ma poważnych facetów. Poza szefem, to zbieranina obiboków. Znam ich dobrze. Przecież muszę wiedzieć, z kim mam do czynienia i czego się po kim spodziewać. Jestem komendantem milicji w Mielnie.

Michał Sikora trochę się obruszył, zamyślił się i, niezrażony, znów zabrał głos:

- No to zwróćmy uwagę na to, co jeszcze mówiły koleżanki Ewy Wypych. Wspomniały, że irytowało je, że Ewa tego lata bardzo nalegała, aby opalać się na płatnej plaży strzeżonej. One chciały czasami poopalać się z dala od tłumu. Robiły tak, pomimo zakazu rodziców, poprzedniego lata. Co się zmieniło? Ewa z całej trójki najlepiej pływała, więc nie bała się kąpiei na dzikiej plaży.

- Słuchajcie! – wykrzyknął Szelc. – Joanna Wójcik podrywała ratowników, Ewa Wypych chodziła na basen i opalała się blisko ratowników. Ty też coś słyszałeś o ratownikach w „Meduzie”. Pamiętasz? - Czesław, podniecony, zwrócił się do Michała.

- Tak. Coś sobie przypominam. Jakiś gość obgadywał hipiski, że się puszczały z ratownikami, a wiedział to ponoć od syna znajomych, ratownika właśnie – potwierdził Sikora.

- A ja dowiedziałem się – dołączył się do głosów kolegów Cichocki – że Joanna Woźniak musiała feralnej nocy przejść koło ogniska, idąc w stronę Mielenka z kierunku Unieścia, bo wcześniej widziano ją idącą brzegiem właśnie do Unieścia. A przecież została znaleziona martwa pod Mielenkiem. Jak się tam dostała przez nikogo nie zauważona? Jak mogła niezauważona minąć zgromadzonych przy ognisku hipisów? Przyszło mi do głowy, że ona po

prostu nie mogła iść brzegiem. Musiała płynąć. Wpław? Mało prawdopodobne. Raczej płynęła łodzią. A kto mógł ją przewieźć łodzią? Ratownik! Panowie, to zaczyna trzymać się kupy. Może właśnie złapaliśmy właściwy trop!

Rozległo się głośne pukanie do drzwi i, nie czekając na „proszę”, do pokoju energicznie wkroczyła poznana w kuchni kelnerka. Zatrzasnęła drzwi nogą. Trzymała w ręku tacę, na której stał talerz z kotletami schabowymi oraz trzy butelki wody mineralnej.

- Ależ tu duszno! – wykrzyknęła.

Postawiła tacę na parapecie i szeroko otworzyła okno, nie pytając gospodarza o zgodę.

- Panowie nieźle nadymili! Trzeba też trochę posprzątać stolik. Zabiorę resztki ryb, bo nieźle śmierdzą – powiedziała, sprawnie uporządkowała stolik i postawiła na nim talerz z kotletami i butelki.

- Potrzeba czegoś jeszcze? – zapytała.

- Jak pani na imię? – zapytał Cichocki.

- Iwona.

- Pani Iwonko, bardzo pani dziękujemy. Jest pani wspaniałą kobietą. Naprawdę – kokietował dalej kobietę Kazimierz.

- A może panowie chcą potańczyć? – zapytała zadowolona z komplementów pani Iwona. – Po kolacji w świetlicy będzie grał zespół. Grają najnowsze przeboje. Warto się trochę zabawić w Andrzejski. No nie?

- Niestety, koledzy muszą dziś wracać do Koszalina.

- A to żaden problem. Mój znajomy przywiózł fatyganta do szefowej. Taki tam ważniak z Koszalina. Zawsze kiedy do niej przyjeżdża – a ma żonę – upija się jak świnia. Dziś też na pewno się nieźle zaprawi. Znajomy będzie zadowolony, jeśli mu pomożecie wsadzić pijanego dziada do samochodu. Zabierze was.

- No to panowie! – wykrzyknął Cichocki. – Nie możemy nie skorzystać z tak miłego zaproszenia. Mamy przecież powód do świętowania. Prawda Andrzej? – zwrócił się ze śmiechem do Michała Sikory.

Zanim rozweseleni alkoholem, odkryciem tropu oraz zaproszeniem przystojnej kelnerki mężczyźni zeszli na dół, aby posłuchać muzyki i potańczyć, role z grubsza zostały

podzielone. Szele miał dokładnie zbadać wszystkich ratowników zatrudnianych w Mielnie na letni sezon. Sikora obiecał poobserwować ratowników pracujących na basenie w Koszalinie. Cichocki natomiast wziął na siebie zadanie najtrudniejsze. Będzie myślał nad sposobem sprowokowania mordercy, bo tylko udana prowokacja mogłaby zapobiec następnemu nieszczęściu.

8. Oczekiwanie



Czesław Szele wrócił do swoich zwykłych obowiązków, które w porze zimowej polegały głównie na dyżurowaniu na posterunku, w domu pod telefonem, patrolowaniu Mielna i okolic, dyscyplinowaniu mieleńskich pijaków i stawianiu się w Koszalinie na obowiązkowe odprawy. Groźniejsi przestępcy – głównie złodzieje, rabusie i oszuści - odjechali razem z tłumem wczasowiczów. Tych miejscowych znał tak dobrze, że każdy ich wyskok mógł przypisać określonej osobie. Jeśli zatem działali, to robili to na innym terenie. Tym razem jednak zimowy spokój wydawał się komendantowi zdradliwy, jak cisza przed groźną burzą. Chcąc ustabilizować dręczący go niepokój i ogarniającą go nadmierną podejrzliwość, skupił się na przydzielonym zadaniu. Wszelkie służby w gromadzie podlegały Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej, a także urzędującemu w niej pierwszemu sekretarzowi Gromadzkiej Podstawowej Organizacji Partyjnej PZPR. W urzędzie zatem mógł zdobyć dokładne dane osobowe mężczyzn zatrudnianych na okres letni przez Gromadzki Ośrodek Sportu i Rekreacji w charakterze ratowników z Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratowniczego. Aby oswoić z sobą urzędników, wstępował często do biura GRN, mówiąc że

musi się trochę ogrzać. Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej mieściło się w ładnym poniemieckim budynku położonym przy ulicy Chrobrego, tuż za prowadzącą nad morze ulicą Pionierów. Budynek ogrzewano kaflowym piecem, więc Szelc stawał przy nim, ogrzewając plecy i popijając herbatę zrobioną przez uprzejme urzędniczki. Gawędził z nimi o tym i owym, a przy okazji zadawał pytania i kombinował, jak wydobyć potrzebne mu dane.

Zima 1968/69 była kapryśna. Padał śnieg, topniał, zamarzał i tak na zmianę. Pogoda ustabilizowała się tuż przed Bożym Narodzeniem i wtedy także udało się Szelcowi zebrać nazwiska i adresy ratowników z ostatniego sezonu. Pozwoliła mu na to, pod nieobecność chorych na grypę koleżanek, księgowa gromady, której powiedział, że będzie musiał latem w szczególny sposób przyjrzeć się tym chłopcom, bo były na nich skargi. Do tragicznych wydarzeń minionego lata nie wracał, a księgowa zdawała się już o nich nie pamiętać. Miał do sprawdzenia sześciu młodych mężczyzn i ich kierownika. Tylko jeden z nich mieszkał w Mielnie. Trzech, w tym kierownik, byli zameldowanych w Koszalinie, a trzech pozostali, to uczniowie Studium Nauczycielskiego w Słupsku. Prawdopodobnie koledzy dzielący wspólną pasję – pływanie. Postanowił zająć się sprawą po Nowym Roku.

Na święta zwykle wyjeżdżali do rodziców Haliny mieszkających w Sławnie. Czesław, o ile uzyskał zgodę przełożonych i zastępstwo, zjawiał się u nich dopiero w Wigilię i zostawał na pierwszy dzień świąt. Halina z dziewczynkami jechała do Sławna kilka dni przed Wigilią, żeby pomóc rodzicom w przygotowaniach i nacieszyć się razem z dziećmi świąteczną atmosferą – pieczeniem i malowaniem pierniczek, robieniem ozdób choinkowych, kupowaniem i ubieraniem choinki. W Sławnie Halina mogła też swobodnie chodzić do kościoła, co bardzo ją cieszyło.

Czesław natomiast nie lubił dni, które następowały po wyjeździe jego dziewczyn. Zostawał sam w opustoszałym i wyziębionym domu. Stawiał co prawda choinkę w dużym pokoju i stroił ją trochę już zużytymi łańcuchami, wyblakłymi bombkami i pożółkłymi gwiazdkami z papieru, które wyciągał z przyniesionego z piwnicy pudła, ale bez dzieci i żony czynności te nie sprawiały mu radości. Ubierał więc też małą choinkę na posterunku i tam spędzał większość czasu.

Ku swemu zaskoczeniu dwa dni przed wigilią komendant odebrał telefon od Michała Sikory. Michał miał służbę w pierwszy dzień świąt, ale 26-go grudnia miał wolne i chciał przyjechać do Mielna, aby zobaczyć się z Małgosią. Pytał, czy może też zobaczyć się z Szelcem. Umówili się na wieczór. Szelc spędził z rodziną wigilię i pierwszy dzień świąt, a w drugi

dzień świąt wyjechał. Wróciwszy ze Sławna, czekał na Michała z małą kolacją, bo dostał od teściów sporo świątecznych przysmaków. Żona i dzieci zostawały w Sławnie do Nowego Roku.

Wieczór drugiego dnia Świąt Bożego Narodzenia był piękny. Niebo nad głową ogromniało rozgwieżdżone milionem gwiazd, powietrze było rześkie i pachnące. Trzymał kilkustopniowy mróz i prószył śnieg. Michał zapukał do drzwi po siedemnastej. Do korytarza wpadło za nim świeże, zimne powietrze. Był dziarski, uśmiechnięty i w doskonałym humorze.

- Udała się randka? – retorycznie zapytał Szelc i zaraz pożałował, bo w jego głosie pobrzmiwała lekka zazdrość.

- Wesołych Świąt! – przywitał się gość, nie zważając na zadane pytanie.

Usiedli przy stole i komendant stwierdził z satysfakcją, że młody kolega musi być bardzo wygłodniały, bo patrzył łapczywie na zastawiony stół.

- Zajądaj – zachęcił i polał do kieliszków wódkę. – Nie byłeś w domu u rodziców?

- Nie byłem. Mam dwa dni wolne po Nowym Roku, to ich odwiedzę – odpowiedział Michał i dodał:

– U nas nawet na święta nie ma takich rarytasów.

- Teść poluje – wyjaśnił komendant. – Spróbuj pasztetu z zająca i kiełbasy z dzika. Teść jest mistrzem w ich przyrządzaniu. A tu masz gorący bigos. Moja Halinka ugotowała.

- Wszystko jest pyszne – odezwał się Sikora, skończywszy posiłek. Otarł usta wierzchem dłoni i wyprostował się na krześle.

- Chciałem pogadać o ratownikach – powiedział, patrząc na podnoszącego kieliszek wódki Szelca, który ruchem ręki zachęcał go do wypicia. – W wolnym czasie jeździłem do Koszalina na basen. Znam prawie cały skład pracujących tam ratowników. Nie mam jeszcze kompletu nazwisk, bo spisałem tylko te z rozpiski dyżurów, ale mogę każdego dokładnie opisać. A przy okazji nauczyłem się stylowo pływać. Opłaciło się – roześmiał się chłopak.

Wzniesli milczący toast, wypili i zapalili papierosy.

- Zrobię herbaty i pokroję ciasto – Szelc podniósł się od stołu. – Przyniosę kartkę z nazwiskami ratowników z Mielna. Porównamy z twoją - dodał.

Porównanie wypadło interesująco. W obu spisach powtarzały się dwa nazwiska - Michał Wilczyński i Artur Zarzycki. Obaj pracowali na koszalińskim basenie i obaj spędzali lato jako ratownicy w Mielnie. Jeśli więc rację miał Cichocki twierdząc, że Ewa Wypych poznała N na basenie w Koszalinie, warto było skupić się teraz przede wszystkim na rozpoznaniu i obserwacji tych dwóch mężczyzn.

- Mogę zająć się oboma – zaproponował Michał. – Zacznę do Wilczyńskiego. Jest młodszy. Lepiej się z nim dogadam i może czegoś się dowiem o tym drugim, bo przecież był jego kierownikiem w Mielnie i razem pracują w Koszalinie.

- Dobry pomysł – ucieszył się Czesław. – Ja miałbym spore trudności z poznaniem ich i z obserwacją. Muszę być na miejscu. Ale sprawdzę wszystkich pozostałych. Wykorzystam znajomości. Zostaw swoją listę.

Kazimierz Cichocki spędził święta samotnie. Nigdy niczego na święta nie przygotowywał, choć nieźle na co dzień radził sobie w kuchni. Na wigilijny wieczór kupił marynowane śledzie i kawałek wędzonego węgorka. Oplątka nie potrzebował, bo i tak nie miał się z kim nim podzielić. Do kolacji wypił sporo wódki, przespał się w fotelu, a gdy się ocknął, ochlapał się w łazience zimną wodą, ubrał i poszedł na pasterkę do kościoła przy Grójeckiej i Placu Narutowicza. Polubił ten ceglany przybytek wybudowany tuż przed 1939-tym rokiem w stylu neogotyckim, mocno zniszczony w czasie wojny i z trudem odbudowany. Ostatnie prace zakończono w roku 60-tym i wtedy dokonano jego ponownej konsekracji. Cichockiemu podobał się wystrój wnętrza, w którym dominowała marmurowa biel, kontrastująca z bogatą polichromią prezbiterium.

Szedł powoli ciemnymi ulicami, uważając na wyślizgany przez dzieci śnieg, który zamieniał się pod ich butami w długą ślizgawkę. W rozświetlonych oknach mieszkań pyszniły się wystrojone choinki. Noc była mroźna, więc nieliczni przechodnie, z podniesionymi futrzanymi kołnierzami ciepłych płaszców i naciągniętymi na uszy czapkami, szli szybko, ciągnąc za sobą rozespiane dzieci. Gdy dotarł do kościoła było dopiero kilkanaście minut po 23-trzeciej, więc mógł swobodnie wybrać miejsce w ławkach. Usiadł na końcu nawy głównej pod jedną z masywnych kolumn. Nie modlił się. Siedział bezmyślnie, patrzył na żłóbek w bocznej nawie, migające na choinkach światełka i przyglądał wchodzącym. Było wśród nich dużo młodych osób.

- Może to studenci z sąsiednich akademików – pomyślał. – Też nie mieli dokąd udać się na święta, jak ja.

Ale młodzież, w odróżnieniu od niego, była żwawa i wesoła. Przed głównym wejściem słychać było gwar rozmów i śmiech. Kościół zappełnił się wkrótce całkowicie, rozblęślo oświetlenie, zabrzmiały organy i rozległ się głośny śpiew na wejście kapłanów. „Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi” – zaśpiewał razem z wiernymi, zapominając o samotności.

Wymyślenie sposobu sprowokowania seryjnego mordercy nie było trudne. Po prostu należało podstawić mu odpowiednią osobę, młodą, ładną dziewczynę. Trudne było natomiast znalezienie odpowiedniej dziewczyny i, co gorsza, zdecydowanie się na to, aby narazić ją, za jej zgodą oczywiście, na niebezpieczeństwo. Najpierw przyszło mu do głowy, że trzeba jednak zrezygnować z prowokacji, a nieszczęściu starać się zapobiec, obserwując młodych ludzi - szczególnie ratowników i kręcących się koło nich dziewcząt – oraz pilnując nocą plaży. Musiał jednak porzucić ten zamysł jako nierealny. Obserwacja plaży i ratowników oraz pilnowanie młodych pięknych kobiet wymagałyby zaangażowania sił, którymi nie dysponowali i których nie mogliby uruchomić nawet wtedy, gdyby udało się przekonać do wznowienia sprawy prokuraturę i milicję. Nie można by też przeprowadzić tak dużej akcji dyskretnie, więc osobnik szybko by się zorientował i przyczaił.

- Ale przecież nie mogę przyczynić się świadomie do czyjejś śmierci – powtarzał, bijąc się z myślami. – Nie mogę namawiać jakiejś dziewczyny, aby podjęła się roli ofiary. Trudno, niech będzie, co ma być. Niech zginie następna osoba, ale nie przyłożę ręki do ewentualnej śmierci Bogu ducha winnej dziewczyny, która zgodzi się na uczestniczenie w prowokacji.

Wiedział jednocześnie, że brak działania i oczekiwanie na kolejną ofiarę będą dla niego nie do zniesienia. Będą także bardzo trudne dla Cześka obecnego w Mielnie przez całe lato oraz dla Michała, który mocno przeżył pierwsze trudne doświadczenia na służbie. Oni, będąc na pierwszej linii niewidzialnego frontu, nie wybaczą mu beczynności. Nie pogodzą się z tym, że można było uchronić przed śmiercią młode życie, a nic nie zostało uczynione.

- Muszę porzucić wszelkie rozterki. Moje sumienie i poczucie winy trzeba odłożyć na bok. Nie ja jestem ważny – postanowił po kilku dniach rozmyślań i rozpoczął poszukiwania.

Rozdział trzeci



1. Pierwsze przeszkody



Niespodziewane wiosenne zapalenie płuc mocno nadwyrężyło zdrowie Kazimierza Cichockiego a długa rehabilitacja opóźniła zaplanowany przyjazd do Mielna. Czuł się źle, więc nie miał powodów, aby dręczyły go wyrzuty sumienia z powodu przesunięcia akcji z

końca czerwca na początek lipca. Prześladowała go jednak myśl, że rozzuchwalony powodzeniem i bezkarnością mordercy, mając już dopracowany do perfekcji sposób działania, zacznie polowanie wcześniej niż w zeszłym roku. Wtedy prawdopodobnie dopiero debiutował, więc zanim wymyślił i doprecyzował swój plan, minęły pierwsze tygodnie lata. Urabiał podczas nich Ewę Wypych i rozkoszował obietnicą spełnienia swych chorych pragnień. Zjazd hipisów natomiast mógł stać się dla niego nieodpartą pokusą i nadarzającą się niespodziewanie okazją do wcześniejszej ich realizacji.

- Powodzenie rozzuchwała i nakręca przestępcę - napisał w liście do Czesława Szelca, w którym informował go, że przyjedzie dopiero w poniedziałek 7-go lipca. – Zrób, co tylko można, aby zapobiec nieszczęściu, nachodź stację ratowników, namów kogoś zaufanego na częste chodzenie plażą w nocy, obserwuj młodych mężczyzn odpowiadających charakterystyce i niech Michał stale patroluje pas nadmorski.

Wiedział, że Michał Sikora poprosił o oddelegowanie na czas letni do Mielna i uzyskał zgodę przełożonych, bo powołał się na względy prywatne, a przede wszystkim konieczność dodatkowego zarobku z powodu planowanego ślubu i wesela. Małgorzata Mróz nie zatrudniła się tego lata w kiosku ze słodyczami i napojami. Obiecała Michałowi pomoc. Zaplanowali, że będzie wchodziła możliwie często na strzeżoną plażę i obserwowała ludzi. Zdała bardzo dobrze maturę i rodzice byli zgodni co do tego, że należy jej się wypoczynek przed podjęciem stałej pracy i studiów zaocznych, więc z ich strony młodzi nie spodziewali się żadnych przeszkód. Mogli spotykać się poza służbą Michała, przechadzać się po Mielnie i po plaży. Cieszyli się na wspólnie spędzany czas już od kwietnia, kiedy zapadła decyzja o skierowaniu Michała do Mielna.

W nielicznych listach pisanych od stycznia do czerwca Cichocki, Szelt i Sikora wymieniali się nowymi informacjami. Niestety nie przyniosły one ostatecznego rozstrzygnięcia i postać mordercy nadal pozostawała w sferze niepewności, domysłów i przypuszczeń. Młody ratownik Marek Wilczyński pamiętał dobrze Joannę Woźniak. Nie dość, że zostawiła mu pod opieką swoje rzeczy i zaimponowała stylami pływania, to także umówiła się z nim, jak twierdził, na wieczór. Okazało się jednak, przy dokładniejszym przepytaniu, że jedynie dopuściła jego obecność na ognisku, lecz w ogóle się nim nie interesowała. Chłopak szybko zdał sobie sprawę z tego, że taka dziewczyna jak Joanna jest poza jego zasięgiem. Ciekawy hipisowskiego życia przysiadł się do barwnej grupy młodych ludzi, wkupił się przyniesioną

butelką wina i spędził z nimi wieczór i noc. Nie pamiętał imion otaczających go i wciąż zmieniających się osób. Bawił się bardzo dobrze, z wieloma osobami rozmawiał, ale żadna z krótkotrwałych znajomości nie zapadła mu w pamięć. Następnego dnia hipisi rozjechali się i wszelki z nimi kontakt został zerwany. Wilczyński, rozmawiając z Sikorą, wypowiadał się o hipisach z lekką pogardą. Hipiski podobały mu się bardzo, ale faceci, twierdził, wyglądali na cherlaków i dziwaków. O swoim starszym o kilka lat koledze Arturze Zarzyckim mówił natomiast z szacunkiem i podziwem.

- Artur jest mistrzem pływania i wyrocznią w technikach ratowniczych. Wszystkich kasuje – powiedział Michałowi w czasie jednej z wielu rozmów, które prowadzili na basenie. – Jest może trochę zbyt pewny siebie i wyniosły, ale ma powody. Wszyscy go słuchamy.

- Wilczyński nie zna bliżej Zarzyckiego i niewiele wie o jego prywatnym życiu. Myślę, że jest szczery. Musiałem sprawdzić Zarzyckiego, wykorzystując drogę służbową – pisał Michał Sikora w liście do Cichockiego. – Nie wzbudziło to podejrzeń moich przełożonych, bo powiedziałem, że przygotowuję się do podniesienia kwalifikacji i ćwiczę analizę akt archiwalnych. Zarzycki mieszka w Koszalinie z matką. Rocznik 1945-ty. Ma siostrę, która wyszła za mąż za marynarza i mieszka w Gdyni. Matka ma rentę zdrowotną. Choruje. Podobno psychicznie. Ojciec, Robert Zarzycki, prowadził w Koszalinie niezłe interesy, głównie w branży futrzarskiej, ale długo nie pożył. Popęłił samobójstwo, mając zaledwie trzydzieści osiem lat. Zostawił rodzinie sporo pieniędzy i ładny dom w Koszalinie. W 52-gim powiesił się na swojej fermie lisiej. Prowadził ją w Mielnie na nadjamneńskich łąkach. Artur dwa lata temu skończył Studium Nauczycielskie Wychowania Fizycznego w Gdańsku i zaczął się jako nauczyciel wychowania fizycznego w Zasadniczej Szkole Budowlanej. Dawny znajomy ojca załatwił mu lepszą pracę i od jesieni pracuje jako wuefista w nowo otwartej Wyższej Szkole Inżynierskiej w Koszalinie. Ma dobrą opinię. Pracowity, rzetelny, wymagający, spokojny i lubiany.

- Nie miał chłopak łatwego życia – pomyślał Cichocki po przeczytaniu listu. – Musiał szybko dorosnąć. Trudno się dziwić, że nie bawi go towarzystwo młodych ratowników.

Czesław Szelc wśród pozostałych pięciu ratowników pracujących latem w Mielnie też nie znalazł typu odpowiadającego charakterystyce sporządzonej w Kołobrzegu przez Cichockiego. Byli to chłopcy korzystający z przywilejów młodości - silni, zdrowi i weseli. Każdy z nich albo miał dziewczynę, albo zmieniał dziewczyny jak rękawiczki. Żaden nie wykazywał nawet przeciętnych zdolności psychologicznej manipulacji. Byli to po prostu

prości, żywiołowi chłopcy, których interesowała dobra zabawa, dziewczyny i sport. Prywatne śledztwo wróciło zatem do punktu wyjścia, a Roman Kitowski wydawał się najlepszym kandydatem na podejrzanego. Stało się więc jasne, że ostateczne rozwiązanie mogła przynieść jedynie prowokacja.

W połowie maja przysłała długo wyczekiwana wiadomość od Cichockiego. Pisał, że znalazł odpowiednią dziewczynę, która zgodziła się przyjechać do Mielna latem i zaryzykować. Aż trudno było uwierzyć w sukces długotrwałych starań Kazimierza i Szelc był bardzo ciekaw, jak udało mu się tego dokonać. Na zaspokojenie ciekawości musiał poczekać, bo autor listu nie zdradzał żadnych szczegółów. Przekaz był konkretny - Kazimierz i dziewczyna – osobno – przyjeżdżają do Mielna z początkiem szkolnych wakacji.

- Proszę o dwie rzeczy – pisał Cichocki. – Po pierwsze musisz znaleźć dla mnie i dla niej osobne, ale niedaleko od siebie położone, pokoje do wynajęcia u zaufanych ludzi. Takich, których dyskrecji można być pewnym. Trzeba będzie ich wtajemniczyć w elementy naszego śledztwa, oczywiście ogólnie, bez detali, i zapewnić, że za noclegi dostaną zapłatę. Powinni myśleć, że nasze działania są legalne, ale ściśle tajne. Nie trzeba tego mówić wprost. Wystarczy zasugerować. Byłoby dobrze, gdyby mieszkali blisko morza. W Mielnie nie powinno być z tym kłopotu. Druga sprawa jest trudniejsza, bo chodzi o zapewnienie bezpieczeństwa mojej, czy też dokładniej mówiąc, naszej dziewczynie. Po przyjeździe wszyscy spotkamy się i ją wam przedstawię. Znasz dobrze mieleńskie warunki, więc pomyśl, co i jak zrobić, aby jej nie narażać. Będzie trzeba pilnować, by była bezpieczna, ale trzeba tak zorganizować zabezpieczenie, żeby było niezauważalne. Spłoszenie przestępcy zniweczy wszystkie nasze wysiłki. Ja oczywiście ci pomogę, ale pierwsza propozycja musi wyjść od ciebie, ponieważ najlepiej znasz sezonowe realia Mielna.

- Łatwo powiedzieć – pomyślał komendant po zapoznaniu się z żądaniami Cichockiego. – W sezonie nie ma szans na to, abyśmy ja i Michał zajmowali się całodobową ochroną dziewczyny i to jeszcze tak, abyśmy nie byli zauważeni. Kazimierz także nie będzie za nią chodził dwadzieścia cztery godziny na dobę.

W pierwszej chwili zamierzał napisać do Kazimierza, że planowana akcja nie może się powieść – albo skończy się stratą czasu, albo nieszczęściem. Powstrzymał ten pierwszy impuls i wieczorami rozmyślał intensywnie.

- Coś ty taki zamyślony? – zapytała pewnego wieczoru Halina, gdy przez dłuższy czas leżał przy niej w łóżku milczący. – Masz jakiś kłopot? Mnie możesz powiedzieć.

- Tak – pomyślał.- Jej mogę wszystko powiedzieć.
- Myślę o tym – zaczął z wahaniem - jak upilnować pewną dziewczynę. Może jej grozić niespodziewany atak.
- A ona o tym wie? Czy wie, że jej coś grozi? To milicjantka? – Halina zadała tylko niezbędne pytania, bo wiedziała, że Czesiek nie może wtajemniczać jej w sprawy służbowe.
- Nie. Nie jest milicjantką. Ale wie. Trzeba mieć ją na oku przez całą dobę – wyjaśniał, skromnie dawkując informacje.
- Jak to? Także w nocy? - zdziwiła się żona.
- Przede wszystkim w nocy.
- A nie możecie jej dać jakiejś rozgarniętej niby przyjaciółki do towarzystwa. Najlepiej milicjantki. Dziewczyny rzadko chodzą same – wypowiedziała sennym głosem Halina, zasypiając uspokojona, że problem męża jest natury służbowej, a nie osobistej.

Czesław Szelc ucieszył się, że Halina nie powiązała problemu, który zajmował mu głowę z wydarzeniami w poprzednim letnim sezonie. Nie chciał jej denerwować, ani też stawiać w sytuacji, w której wiedziałaby o istniejącym zagrożeniu i nie mogłaby tej wiedzy wykorzystać. Sam dobrze wiedział, jak ciężko jest znać możliwy scenariusz nadchodzącej katastrofy i nie móc przed nią uchronić potencjalnych ofiar. Ale pomysł Haliny, żeby znaleźć drugą dziewczynę, która towarzyszyłaby tamtej i tym samym chroniła ją, był bardzo dobry. Jemu też coś takiego przyszło na chwilę do głowy, ale odrzucił tę wersję zabezpieczania prowokatorki, bo nie chciał mnożyć osób zamieszanych w prywatne śledztwo. Teraz uznał, że nie ma lepszego wyjścia, a najwłaściwszą osobą jest Małgorzata Mróz, która i tak po części wiedziała o sprawie.

- Może udałoby się zakwaterować warszawiankę u Mrozów – zastanawiał się. - Przyjaźń dwóch dziewczyn, przyjezdnej i miejscowej, nie budziłaby żadnych podejrzeń.

Następnego dnia przeszedł do działania i odwiedził Mrozów. Pani Mrozowa była bardzo zdziwiona niespodziewaną wizytą mieleńskiego milicjanta, ale Małgorzata, szczęśliwie obecna w domu, szybko rozładowała napięcie, witając się z nim jak z dobrym znajomym.

- Dzień dobry panie Szelc! – zawołała radośnie na jego widok.- Ma pan wiadomość od Michała? Proszę, proszę, niech pan siada.

- To zostawiam państwa samych – Mrozowa elegancko wycofała się z pokoju. – Przyniosę herbatę i ciasto.

Szelc rozejrzał się po niewielkim, ale bardzo jasnym i ładnie urządzonym pokoju – na środku dębowy stół z czterema wyplatany krzesłami, pod ścianą kredens, w oknach kwitnące czerwone pelargonie. Mrozównie nie musiał wiele tłumaczyć. Szybko zorientował się, że dziewczyna dużo już wie od Sikory. W pierwszej chwili zirytował się, nie akceptując nieprofesjonalnej niedyskrecji młodego kolegi, ale potem odetchnął z ulgą, bo rozmowa potoczyła się gładko i bez zbędnych wyjaśnień. Małgorzata ucieszyła się z propozycji, którą jej przedstawił. Kiedy do pokoju wróciła Mrozowa z herbatą i ciastem na tacy, dziewczyna zawołała:

- Mamo! Czy mogę zaprosić do nas na lato koleżankę Michała? Poznałam ją w Koszalinie. To bardzo miła dziewczyna. Mieszka w Warszawie. Bardzo się polubiłyśmy.

- O! – wyrwało się Mrozowej mocno zaskoczonej i niezbyt zadowolonej z konieczności podejmowania nagłej decyzji. – A gdzie będzie spała? Przecież my nie mamy miejsca .

- Będzie spała w moim pokoju – zdecydowała Małgorzata. – Nie sprawi żadnego kłopotu. To zaradna i samodzielna dziewczyna. Nie trzeba będzie jej gotować. Chyba, że mamie sprawi to przyjemność.

- Dobrze – zgodziła się pani Mróz. - Ale dziwię się, że nigdy dotąd o niej nie mówiłaś.

Po wizycie u Mrozów Szelc pomyślał o noclegu dla Cichockiego i do głowy przyszła mu rodzina Baczkowskich, bo akurat przechodził koło ich domu. Mieszkali blisko Mrozów. Marian Baczkowski pracował w Koszalinie i z pewnością musiał być człowiekiem dyskretnym, skoro pracował jako akcyznik. Marianna Baczkowska, jego żona, była sklepową w mieleńskiej cukierni i miała opinię kobiety mądrej, nie plotkującej i nie chodzącej po chałupkach. Baczkowscy mieli dwie dorastające córki. Pamiętał także, że Marian Baczkowski był świadkiem znalezienia pierwszej ofiary i bardzo się przejął tym tragicznym przypadkiem. Postanowił, że powie mu, iż szuka noclegu dla doświadczonego milicjanta, który w największej dyskrecji przybywa do Mielna, aby raz jeszcze dokładnie zbadać nieszczęśliwe wypadki i przede wszystkim zapobiec ich ewentualnej powtórce. Nie będzie to całkowicie fałszywa informacja. Cichocki jest przecież funkcjonariuszem, tyle że na emeryturze. Sama wizyta mieleńskiego komendanta powinna utwierdzić Baczkowskiego w przekonaniu, że

prowadzona letnia akcja jest zgodna z prawem. Chłop powinien rozumieć i pomóc milicji, choćby ze względu na swoje dziewczyny.

Z odwiedzeniem Baczkowskich w ich domu poczekał do najbliższej niedzieli. Nie wyhaczył Baczkowskiego z tłumu ludzi wracających z kościoła, kiedy ten, jak zawsze w niedzielę po mszy, przechodził obok budynku posterunku. Zbyt wiele osób stałoby się bowiem świadkami ich rozmowy. Wyszedł natomiast po kilku minutach z budynku i poszedł za Baczkowskimi, trzymając się oczywiście od nich w dużej odległości. Ludzie wracający z kościoła wchodzili w boczne od Chrobrego uliczki i znikali. Na wysokości domu Baczkowskich nie było już nikogo, więc skręcił w lewo w ulicę Pionierów i wszedł przez szeroko otwartą bramę na posesję, którą Baczkowscy dzielili z Gromadzką Radą Narodową. W niedzielę siedziba GRN opustoszała. Niestety nie udało mu się całkowicie dyskretne odwiedzenie gospodarzy, bo gdy tylko wszedł za bramę, zobaczył nadbiegające ku niemu dwa małe psy, kudłate i zajadle szczekające. Z domu wyskoczył Marian Baczkowski i przywołał psy do porządku:

- Pelka! Murka! Spokój! Do domu!

Psy niechętnie zawróciły, pozostawiając niespodziewanego przybysza w spokoju.

- Przepraszam – powiedział gospodarz. – Nie spodziewaliśmy się nikogo, więc pieski sobie swobodnie biegały.

- Nie boję się psów – odpowiedział. – Ale innych mogą nieźle nastraszyć. Są szczepione?

- Oczywiście panie Szelc. Mogę pokazać świadectwa – zapewnił zaniepokojony Baczkowski.

- Nie trzeba – uspokoił gospodarza. – Ja w innej sprawie. Takiej dyskretnej i prawie prywatnej.

- Proszę wejść. Może zje pan z nami śniadanie? Żona właśnie przygotowuje – zaproponował jeszcze bardziej zaniepokojony Baczkowski.

Baczkowski myślał gorączkowo, czego może chcieć od niego milicja w niedzielne przedpołudnie. Czyżby ktoś doniósł, że ma w domu nielegalny spirytus? Ale kto? Kto byłby taki złośliwy, żeby nagłaśniać powszechnie znany fakt, że gorzelani dzielą się z kontrolerami nadwyżkami produkcji. Taka robota! Najważniejsze to nie handlować, a tego nigdy nie robił.

- Nie. Dziękuję – odmówił Szelc. – Czy możemy porozmawiać na zewnątrz, żeby dzieci nie słyszały?

Niepokój Baczkowskiego wzniósł się na wyżyny wytrzymałości.

- To już nie dzieci, to panny – bąknął od rzeczy i wskazał milicjantowi miejsce na ławce stojącej pod rozłożystym młodym dębem w kształcie parasola.

- Panie Baczkowski – zaczął Szelc, zerkając na okno, w którym ukazała się zaniepokojona twarz Baczkowskiej. - Pan był świadkiem znalezienia dziewczyny, hipiski. Wie pan też, że w sierpniu utopiła się druga dziewczyna. Jesteśmy tym bardzo zaniepokojeni. Pan na pewno też boi się o swoje córki. Czy może pan nam pomóc?

- Ale jak? – zapytał gospodarz a z jego twarzy powoli znikało napięcie.

- W bardzo prosty sposób. Zależy nam – nadal używał enigmatycznej liczby mnogiej – żeby latem zamieszkał u was w domu pewien człowiek. Nic więcej. Przyjmiecie go na pokój jak zwykłego wczasowicza i tak go będziecie traktować. Oczywiście zapłaci. O nic więcej nie musicie się martwić.

- Ale do nas przyjeżdża zawsze na lato z Warszawy nasz dobry znajomy z wnuczką – zmartwił się Baczkowski. – Nie mogę mu w tym roku odmówić.

- Niech mu pan powie, że robicie niespodziewany remont, że macie poważną awarię. Zresztą sam pan coś wymyśli. Widzi pan, po rozmowie z panem, ja nie mogę już szukać innego kwaterunku. Sprawa wymaga nadzwyczajnej dyskrecji. Nie będę informował o niej następnych osób. Żonie i córkom niech pan powie, że w tym roku przyjeżdża znajomy tego waszego znajomego z Warszawy. A co do mojej dzisiejszej wizyty, to proszę im powiedzieć, że pytałem o jakiegoś pana współpracownika.

- Dobrze. Załatwione – zgodził się Baczkowski. - A teraz zapraszam do środka na śniadanie i kieliszek dobrej nalewki własnej roboty.

- Żona czeka – odmówił. – Dziękuję i do widzenia.

Był wreszcie gotowy, aby napisać do Cichockiego i podać mu najświeższe informacje.

- Tak jak chciałeś, znalazłem wam dwa miejsca u porządnym ludzi – napisał. - Swoją pomoc zaoferowała Małgorzata Mróz, która już o nas wszystko wie i z chęcią zaopiekuje się dziewczyną. W razie potrzeby można także liczyć na człowieka, u którego będziesz gościł. Będziesz mieszkał niedaleko Mrozów, u państwa Baczkowskich. O Baczkowskim już słyszałeś. Myślę, że można mu zaufać. Z resztą rodziny nie rozmawiaj o sprawie. Niestety na

Ciebie spadnie najwięcej zadań, bo ja i Michał musimy zajmować się Mielnem i okolicami. Oczywiście zawsze, w razie potrzeby, będziemy do Twojej dyspozycji.

Ogłoszone w liście, który wkrótce nadszedł z Warszawy nieoczekiwane opóźnienie przyjazdu Cichockiego i jego „przynęty” skomplikowało sytuację, w której znajdowali się mieleńscy milicjanci. Cichocki polecił im, aby do czasu jego przyjazdu skutecznie zapobiegali ewentualnej następnej śmierci. Nadzorowanie plaży w dzień i w nocy, przyglądanie się ratownikom oraz młodym kobietom, które przyjechały do Mielnia wymagało uruchomienia następnych posiłków. On, Michał i Małgorzata nie wystarczali. Można było więcej powiedzieć Marianowi Baczkowskiemu i poprosić go o wsparcie. Ale patrolowanie nocą Mielnia i plaży wymagało pomocy jeszcze kilku dodatkowych osób.

Błyskawicznie zbliżał się koniec czerwca, początek sezonu, a Szelc i Sikora nie wiedzieli, co robić. Najpierw z pomocą przyszła im paskudna pogoda. Od połowy czerwca padał deszcz i wiał zimny północny wiatr. Plaża była pusta, ludzi w Mielnie niewielu. Szelc na zmianę z Michałem odwiedzali częściej niż zwykle bazę ratowników na końcu ulicy Kościuszki. Zapoznali się także bliżej z paniami zatrudnionymi, a raczej mającymi być zatrudnionymi` od lipca, jako bileterki strzegące wejścia na płątną plażę oraz z ekipą sprzątającą. Było to niezwykle ciekawe i barwne towarzystwo, więc bliższa z nimi znajomość mogła przydać się w zbieraniu informacji, pod warunkiem oczywiście, że przełamię się niechęć do organów władzy, czemu właśnie miały służyć ich wizyty i niezobowiązujące rozmowy. Po dwudziestym czerwca zaświeciło słońce a powietrze, w Koszalinie już upalne, w Mielnie też stawało się coraz cieplejsze. Wytrwali plażowicze zaczęli usypywać grajdółki i rozkładać parawany, chroniąc się przed chłodnym wiatrem. Na maszcie przy bazie ratowników wisiała czarna flaga, zatem amatorzy morskich kąpiei instalowali się na plaży niestrzeżonej, trzymając się jednakże blisko na wszelki wypadek wejść z ulicy Kościuszki i 1-go Maja, na wysokości których stały wieże ratowników i skąd mogli widzieć ratownicze łodzie. Tylko śmiałkowie i samotnicy wybierali odległą „dziką” plażę pod Mielenkiem, albo tę prowadzącą w stronę Unieścia i kończącą się siatkowym ogrodzeniem na wysokości terenu wojskowego.

Z upływem dni sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Do przyjazdu Cichockiego zostały dwa tygodnie, a i potem, po przyjeździe jego i dziewczyny, rozkręcenie akcji będzie wymagało kilku dni, w czasie których trzeba będzie pełnić regularne dyżury na plaży. Szelc nie miał więc wyjścia. Postanowił wtajemniczyć w sprawę prywatnych poszukiwań seryjnego mordercy Mariana Baczkowskiego, Eugeniusza Mroza, ojca Małgorzaty oraz starszego z dwóch rybaków morskich, którzy znaleźli Ewę Wypych. Obawiał się oczywiście rozgłosu, ale

nie widział innego rozwiązania. Informując każdego z mężczyzn z osobna, poprosił ich o spotkanie późnym wieczorem, po zapadnięciu zmroku, w lesie przy pierwszym poniemieckim bunkrze. Dochodziła godzina dwudziesta pierwsza trzydziści, gdy przychodzili kolejno na umówione miejsce i patrzyli nieufnie na tych, którzy stawili się wcześniej, a których obecności nie spodziewali się. Szelc przyszedł przed czasem i każdego, kto się zjawiał natychmiast przedstawiał pozostałym. Tłumaczył, że pomoc, o którą ich prosi, wymaga współpracy, dyskrecji, wytrwałości i rzetelności w działaniach.

- Nasza akcja – powiedział, gdy stawili się wszyscy – ma charakter prewencyjny. Musimy zapobiec następemu nieszczęściu. Oczywiście mogę nie mieć racji i nic się nie stanie. Ale przecież nie będziemy ryzykować. Panowie, Małgosiu, proszę was o nadzorowanie plaży i morza przede wszystkim późnym wieczorem i w nocy. To trudne i męczące zadanie, więc trzeba w miarę waszych możliwości ustalić dyżury. Ja i posterunkowy będziemy także angażowali się w tę akcję, ale wiecie Państwo, że nasze obowiązki służbowe mocno nas czasowo ograniczają. Dziś posterunkowy Sikora pełni dyżur i nie ma go z nami. Ale on także należy do naszego małego zespołu. Zespół liczy zatem, licząc Michała Sikorę, sześć osób. Za kilkanaście dni przybędą jeszcze dwie osoby. Razem będzie nas ośmioro.

Eugeniusz Mróz wiedział już o zadaniu, jakiego podjęła się jego córka i domyślał się także, że przyjazd jej rzekomej nowej przyjaciółki ma coś wspólnego ze sprawą, o której teraz się właśnie dowiadywał podczas tajnego nocnego spotkania w mieleńskim nadmorskim lesie. Był człowiekiem spokojnym, małymównym i trochę lęklwym, ale przy komendancie i dwóch pozostałych mężczyznach nie chciał okazywać strachu i odmówić udziału w akcji. Podkreślił jedynie, że Małgorzata, jego zdaniem, zbyt mocno będzie obciążona, skoro jej zadanie ma polegać na samodzielnej obserwacji plaży w ciągu całego dnia. Marian Baczkowski poczuł się wywołany do tablicy jego wypowiedzią i zaproponował pomoc swoich córek, oczywiście dopiero po zakończeniu roku szkolnego.

- Powiem im tylko to, co niezbędne. Powiem, że mają obserwować młodych mężczyzn, dobrze pływające młode kobiety, nietypowe zachowania – oznajmił. – To są odważne i ciekawe życia dziewczyny. Potrafią milczeć. Mogą wymieniać się z Mrozówną.

Szelc najpierw nie chciał się zgodzić na współpracę córek Baczkowskiego, bo były nieletnie, ale potem zgodził się z tym, że Małgorzacie Mróz należy się pomoc, Córki Baczkowskiego i tak wysiadywały całe dni na plaży, więc nowe zadanie niewiele nowego wносиło do ich

obowiązków, a sama obserwacja ludzi na plaży nie mogła narazić ich na jakiekolwiek niebezpieczeństwo. Postanowiono, że relacje z tego, co zauważą będą składać ojcu.

- Zgoda. Proszę ich jednak dobrze pilnować – zabezpieczał się komendant. – Rzeczywiście Małgosia nie może tkwić przez dwa tygodnie na plaży i to w tym samym miejscu. Dostanie udaru.

- Panie – odezwał się małomówny jak dotąd rybak, Bolesław Józwiak. – A sprawdziliście tych dziwaków artystów, co to zjeżdżają się każdego roku nad Jamno do Osiek? Co oni tam wyprawiają! Panie! Słyszałem, że to świrusy. Rybacy z Jamna opowiadali, co oni wyprawiali dwa lata temu. Zjeżdżają się w sierpniu i wymyślają jakieś dziwactwa. Jakies przedstawienie wymyślili z gołymi dziewczynami, studentkami z obozu studenckiego w Łazach.

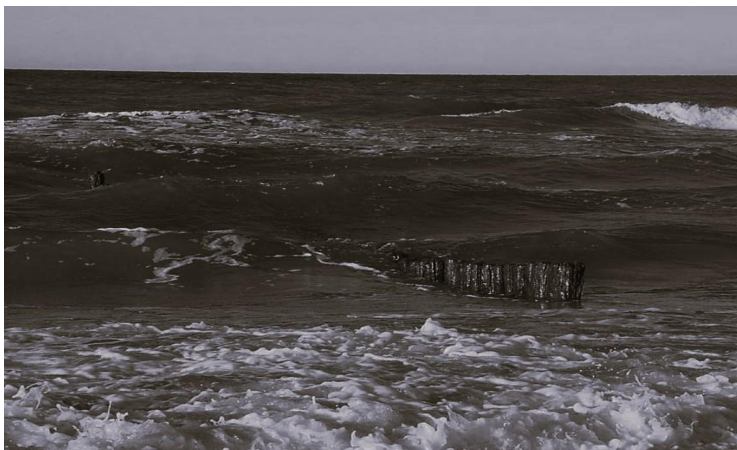
- Panie Józwiak – zaoponował Mróz, który interesował się sztuką współczesną i był częstym gościem w prowadzonym przez Leonarda Kabacińskiego Biurze Wystaw Artystycznych w Koszalinie. – To są artyści, którzy przyjeżdżają do Osiek na Międzynarodowe Spotkania Malarzy, Rzeźbiarzy i Architektów. Dyskutują o sztuce współczesnej, o nowych prądach artystycznych i tworzą. Dwa lata temu przyjechali artyści z Krakowa. Przyjechał nawet Tadeusz Kantor, który wymyślił i przedstawił czteroczęściowy happening. Prawdopodobnie do happeningu zaangażował studentki. Ludzie nie rozumieją sztuki współczesnej i opowiadają głupoty.

- Panie – bronił się rybak. - Ja tam na sztuce się nie znam, ale jak ktoś pokazuje ludziom gołe panienki, to dla mnie jest zboczek.

- Panowie – przerwał Szelc. - Każdego trzeba sprawdzić. Dobrze, że pan Józwiak zwrócił uwagę na artystów i studentów z obozu Zrzeszenia Studentów Polskich w Łazach. Zajmę się tym.

Rozstali się po dwudziestej trzeciej. Ustalili wieczorowo-nocne dyżury. Każdy z nich miał sam wymyślić sposób ich realizacji, a kontakty podejmować w razie potrzeby tylko z Szelcem.

2. Nieoczekiwane



Kazimierz Cichocki wsiadł rano 7-go lipca na stacji Warszawa Wschodnia do pociągu relacji Warszawa Wschodnia – Białogard przez Koszalin.

- Wszystko dostosowane do sowietów – pomyślał, zajmując miejsce w pierwszej klasie. – Pociąg kończy bieg w Białogardzie, bo musi obsługiwać stacjonujący tam rosyjski garnizon.

Tłok w pociągu był ogromny. Ludzie masowo wyruszali nad morze. Patrzył na biegających po peronie ojców rodzin, wpychających bagaże i małe dzieci przez okna pociągu oraz na młodzież, której dużo sprawniej szło wskakiwanie do wagonów i zajmowanie miejsc dla reszty towarzystwa, gdyż młodzi ludzie nie byli obciążeni walizami i maluchami przestraszonymi zamieszaniem i ścisaniem. Wypatrywał z niepokojem pojawienia się Alicji Zawady. Okna jego wagonu wychodziły na peron i były całkowicie opuszczone, więc miał ułatwione zadanie. Trzymał dla niej miejsce w swoim przedziale, bo prawdopodobieństwo, że ktoś z podróżnych rozpozna ich w Mielnie było znikome. Obawiał się, że dziewczyna rozmyśli się w ostatniej chwili, ale kilka minut przed odjazdem pociągu zobaczył jej twarz. Zaglądała przez okna do kolejnych przedziałów wagonów pierwszej klasy. Zamachał energicznie i po chwili, lekko zdyszana, siedziała naprzeciw niego.

- Dziękuję za zajęcie miejsca - powiedziała, gdy już umieścili wspólnymi siłami jej bagaż na półce. – Straszny tłok. Z trudnością przedostałam się przez korytarz. Ale gorąco!

- Nie ma za co – odpowiedział powściągliwie, bo umówili się wcześniej, że nie będą rozmawiali w czasie podróży, osobno pojedą z Koszalina do Mielna i spotkają się dopiero wieczorem w miejscu, na które zaprowadzi ją Małgorzata Mróz. – Dobrze, że pani zdążyła. Pociąg za minutę rusza.

Podczas dłuzącej się w nieskończoność podróży, w czasie której każde wyjście do niezbyt przyjemnie pachnącej toalety było nie lada wyczynem z powodu ludzi i bagaży zajmujących każdy wolny centymetr korytarza, spoglądał od czasu do czasu na Alicję i z coraz większym podziwem myślał o jej niebywalej odwadze.

Znalezienie odpowiedniej dziewczyny graniczyło z cudem. Zanim zaczął poszukiwania dobrze przemyślał taktykę. Nie mógł przecież, będąc anonimowym, zaczepiać zniecierpliwionych dziewcząt. Powinien najpierw wytypować odpowiednie osoby, zbliżyć się do nich za pośrednictwem ludzi, którym ufały, a następnie porozmawiać najwyżej z dwiema, a najlepiej tylko z jedną, dobrze wybraną. Zaczął od chodzenia na baseny, licząc na to, że spotka tam dobrze pływające blondynki, które później zidentyfikuje, poobserwuje i znajdzie do nich dojście. Częste odwiedzanie warszawskich krytych pływalni, po ponad miesiącu intensywnego moczenia się w wodzie, skończyło się zapaleniem płuc i kompletnym fiaskiem, jeśli idzie o wypatrzenie kandydatki.

- Przedsięwzięcie spaliło na panewce – pomyślał, gdy poczuł się na tyle dobrze, aby znów podjąć się poszukiwań – bo źle zacząłem. Trzeba zacząć od końca, czyli nie od szukania świetnie pływającej dziewczyny, ale od znalezienia grupy młodych ludzi, którzy trzymają się razem, mają wspólne zamiłowania i, co najważniejsze, mają ideały, w imię których chcą pomagać innym.

Podpowiedź, gdzie szukać takich młodych ludzi, przyszła w trakcie ogłoszeń parafialnych po niedzielnej mszy w kościele Zbawiciela, na którą Cichocki trafił z sentymentu do przedwojennych wspomnień. Kościół zbudowano na początku XX wieku, a niedługo potem stał się bardzo popularny ze względu na świetnego mówcę księdza Marcelego Nowakowskiego. Kazania księdza Nowakowskiego przyciągały tłumy i zaczęto wpuszczać na nie za biletami. Ksiądz zaangażował się także w politykę jako zwolennik Stronnictwa Narodowego i został posłem na sejm II RP. Po zamachu majowym stał się zagorzałym przeciwnikiem sanacji. Niestety został rozstrzelany w Palmirach na początku 40-tego roku, a po wojnie całkowicie zapomniany. Spotkała go podwójna śmierć, tak jak wielu innych zabitych w czasie wojny przez Niemców, a po wojnie po raz drugi przez komunistów, którzy odesłali zasłużonych dla przedwojennej Polski ludzi na śmietnik historii.

Ksiądz celebrujący mszę, w której uczestniczył zapraszał studentów na spotkania duszpasterstwa akademickiego „Sandał”. Wiedział, że zaproszenie skierowane jest do studentów Politechniki Warszawskiej, której dwa akademiki – DS. Mikrus i DS. Riviera –

znajdowały się na terenie parafii. Przed wojną także kościół Zbawiciela był dla żaków Politechniki kościołem akademickim. Jako starszy pan nie mógł oczywiście stawić się na najbliższe spotkanie młodych ludzi, więc, nie mając lepszego pomysłu, postanowił przyjrzeć się wchodzącej nań i wychodzącej zeń młodzieży. Szczęście dopisało mu już w czasie drugiej obserwacji. Zdawało mu się to nieprawdopodobne, ale rozpoznał koleżankę Joanny Woźniak, której twarz dobrze znał ze zdjęcia. Pamiętał, że nazywa się Jolanta Kmiecik. Zobaczył ją idącą z chłopakiem, prawdopodobnie studentem Politechniki. Zmierzali prosto do bocznego wejścia, które wiodło, jak już wiedział, do salki, w której odbywały się spotkania. Młodzi trzymali się za ręce i żywo o czymś dyskutowali.

- Ciekawe – pomyślał. – Czy to ten sam chłopak, z którym była na zlocie hipisów w Mielnie. Raczej nie wygląda na hipisa. Musiała zmienić otoczenie.

Wykombinował, że zbliży się do rozpoznanej, ale nieznannej mu dziewczyny po niedzielnej mszy akademickiej. Postanowił stanąć przy niej tak, aby mogła go zauważyć, a wychodząc z kościoła, trzymać się blisko, uśmiechnąć się i zapytać, czy nazywa się Jola Kmiecik. Nie zamierzał niczego udawać. Powie jej prawdę. Musiał zaryzykować, bo niewiele miał do stracenia.

Dziewczyna przyszła na mszę akademicką razem ze swoim przyjacielem. Wszedł za nimi do kościoła i stanął przy ławce, w której usiedli. Młodzi ludzie chętnie posunęli się, robiąc mu trochę miejsca. Podziękował i usiadł. Mszę odprawiał i kazanie głosił ksiądz Józef Rudzki, który, jak można było sądzić z dającej się zauważyć zażyłości między nim i uczestnikami mszy, był opiekunem młodzieży.

- Dobrze, że Kościół walczy o młodych ludzi – powiedział do siebie w duchu. – Trwa wojna światopoglądowa i moralna. Nie wiadomo, kto w niej zwycięży, ale nie można poddawać się bez walki.

Słuchał z lekkim zakłopotaniem grającego na mszy zespołu big-beatowego. Nie przepadał ani za big-beatem, ani za wszechobecnym rockiem. Jednak młodym ludziom taka muzyka wyraźnie sprawiała przyjemność. Kołysali się i śpiewali, poddając się rytmom, które zastępowały tradycyjnie podniosłe pieśni kościelne, wnosząc do liturgii drażniącą go nadmierną swobodę. Pocieszał się jednak tym, że nowa muzyka kościelna wnosi do liturgii nie tylko swobodę, ale także młodzieńczą radość i zaangażowanie. On wołał jednak muzykę organową i tradycyjny śpiew, nawet wtedy, gdy bardziej przypominał on zawodzenie niż śpiew chórów anielskich.

Rozmowa przy wyjściu z kościoła zaczęła się naturalnie. Dziewczyna zdziwiła się trochę, gdy okazało się, że zna jej nazwisko, ale nie spłoszyła się, a towarzyszący jej chłopak wyraźnie był zadowolony niespodziewaną znajomością Joli z szacownie wyglądającym starszym panem. Przystanęli na kościelnym placu. Dwójka młodych śpieszyła się na *agape*. Witali się co rusz serdecznie ze znajomymi i zapewniali, że za chwilę pojawią się w salce. Nie chcąc ich na długo zatrzymywać, bez niepotrzebnych wstępów krótko przedstawił swoje podejrzenia, co do śmierci Joanny Woźniak i zapytał, czy mogą mu pomóc w znalezieniu dziewczyny, która świetnie pływa, jest długowłosą blondynką i w zamian za długie darmowe wakacje nad morzem, miałyby odwagę pomóc w akcji zapobiegającej następnemu nieszczęściu.

- Pomyślimy – krótko odpowiedzieli młodzi ludzie, spoglądając na siebie. – Niech pan przyjdzie za tydzień.

- Niesamowite – rozmyślał Cichocki, jadąc do domu tramwajem. – O nic nie pytali ani mnie, ani siebie nawzajem. Wygląda na to, że wiedzą o sobie wszystko i nie mają wątpliwości, że należy pomóc w dojściu do prawdy o śmierci Joanny i w zapobieżeniu innej możliwej śmierci. Ciekawe, czy Jolanta Kmieciak sama się zgłosi, czy przekona jakąś swoją koleżankę.

Jolanta Kmieciak nie była w stanie podjąć się ryzyka, jakim było pojawienie się na plaży w Mielnie. Tragiczne wspomnienia minionego lata były zbyt świeże, aby mogła tam wrócić. Po powrocie z wakacji, jeszcze latem zeszłego roku, zerwała z hipisowskim środowiskiem. Zerwała także z ówczesnym chłopakiem, który, jak wkrótce zrozumiała, zachował się tchórzliwie, uciekając z Mielna zaraz po wypadku. Wstydziła się, że odurzona używkami, nie zaprotestowała i poddała się atmosferze wymuszonej beztroski i obojętności. Na szczęście nie zaszła w ciążę i przynajmniej w tej kwestii nie musiała podejmować dramatycznej decyzji. Kiedy uświadomiła sobie możliwe konsekwencje swego poprzedniego postępowania, przerażenie rodziców, którzy, nic wcześniej nie wiedząc, na milicji dowiedzieli się o życiu córki, kiedy zobaczyła na pogrzebie Joanny rozpacz jej rodziców i dziadków, postanowiła zamknąć się w domu do końca wakacji i przemyśleć swoje dotychczasowe postępowanie. Od października, jako jedna z niewielu dziewczyn, zaczęła studia na pierwszym roku budownictwa lądowego na Politechnice Warszawskiej. Poznała Matusza. Zakochali się w sobie. To on zaprowadził ją na spotkania duszpasterstwa akademickiego „Sandał” i pomógł

odzyskać psychiczną i duchową równowagę. Dołączyła do duszpasterstwa w momencie jego rozkwitu. W parafii Najświętszego Zbawiciela powstał właśnie prężny Ośrodek Duszpasterstwa Akademickiego odwiedzany przez świetnych kaznodziejów i uczonych. Słuchało się wykładów Mieczysława Gogacza, młodego ale przemądrego dominikanina Jacka Salija i niesamowitego profesora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego księdza Włodzimierza Sedlaka, który przedstawiał im, umysłom ścisłym, studentom politechniki, swe fascynujące badania i teorie z zakresu paleontologii i bioelektroniki. Otworzył się przed nią nowy, nieznany dotąd świat wiary, rozumu i nauki, w porównaniu z którym hipisowskie mętne niby filozofie oraz dogmatyczny marksizm serwowany na obowiązkowych zajęciach na uczelni, zbladły i zmarniały.

Kiedy starszy pan podszedł do niej i do Mateusza po mszy akademickiej i poprosił o pomoc, którą ona nie mogła mu służyć, od razu pomyślała, tak jak i Mateusz, o nowopoznanej koleżance ze studiów, Alicji Zawadzie. Alicja nie należała do duszpasterstwa, ale była dziewczyną odważną i obdarzoną olbrzymią fantazją. Wyglądem i charakterem w pełni odpowiadała wymaganiom. Wysoka, zgrabna, wysportowana blondynka. Lubiła przygody i ryzyko. Jeździła na nartach i świetnie pływała. Mówiła, że zamierza zapisać się do Akademickiego Związku Sportowego, by móc jeździć na sponsorowane przez uczelnię obozy sportowe, bo jej rodziców nie jest stać na dobry sportowy sprzęt. Pochodziła z Pułtusza, więc w Warszawie mieszkała w akademiku. Spotkali się z nią, porozmawiali i poprosili o całkowitą dyskrecję. Nie odpowiedziała oczywiście od razu. Poprosiła o dwa dni do namysłu i, ku jej radości, wyraziła zgodę. W niedzielę mogli więc poznać ją z panem, którego nazwiska nie zapamiętali, a być może nigdy nie usłyszeli.

Kazimierz Cichocki znał się na ludziach i od pierwszego spotkania poczuł do Alicji Zawady sympatię. Biła od niej swoista jasność właściwa osobom pięknym, odważnym i szczerym. Patrzył na przysypiającą w czasie męczącej podróży dziewczynę z coraz większą troską. Bił się z myślami. Z jednej strony narażał ją na śmiertelne zagrożenie, a z drugiej był przekonany, że Alicja jest jak najbardziej właściwą osobą do wykonania niebezpiecznego zadania i że z pewnością sobie poradzi.

- Dobrze ją przygotowałem – powtarzał w myślach, przypominając sobie ich spotkania. – Zapoznałem, możliwie delikatnie, z poprzednimi przypadkami, z ogólną sytuacją i charakterystyką mordercy. Ćwiczyliśmy także samoobronę. Nauczyłem ją kilku chwytów

obezwładniających. Zapewniłem także, że będzie zawsze przez kogoś pilnowana. Ustaliliśmy sposób jej działania, sposoby komunikowania się ze mną i z jej obserwatorem, a także gesty mające im sygnalizować potrzebę natychmiastowej pomocy. Nigdy nie okazała strachu, nie zawahała się. Przeciwnie, wciągnęła się w przygotowania i już w Warszawie stawiała się częścią czekającej na nas w Mielnie ekipy. Jeśli nam się uda, dostarczymy kryminalnym i prokuraturze niezbitych dowodów. Oby tylko szaleniec nie zaatakował innej dziewczyny, zanim zaczniemy działać.

Z wagonowego korytarza dobiegał głos Reginy Pisarek. „Nie warto było” śpiewała piosenkarka w włączonym na cały regulator radiu tranzystorowym. Pasażerom stłoczonym i owiewanym ciągiem powietrza z otwartych okien, chyba nie przeszkadzały znane z Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu melodie, które teraz konkurowały ze stukotem kół i pogwizdywaniem lokomotywy. Nikt nie protestował i nie żądał ściszenia radia. Skaldowie, Breakout, Czerwone Gitary i Alibabki prezentowali w radiu swoje najnowsze przeboje. Cichockiemu przyszedł jednak na myśl inny artysta, aktor Bogumił Kobiela, który miał niedawno wypadek samochodowy i w ciężkim stanie leżał w gdańskim szpitalu. Lubił jego oryginalną *vis comica* połączoną harmonijnie z *vis tragica*. Rzadki przypadek wśród aktorów.

Czesław Szelnicki nie powiadomił Cichockiego o zaangażowaniu do ich - przez długi czas trzypiętrowego, a potem czteropiętrowego - zespołu nowych członków, którzy uczestniczyli w patrolowaniu plaży. Opóźnienie przyjazdu starszego kolegi do Mielna wywołało dostatecznie dużo kłopotów, z którymi musiał się teraz uporać. Nie chciał otrzymać w odpowiedzi na list ewentualnych pouczeń i zastrzeżeń. Zrobił co mógł. Żaden z zaangażowanych do pomocy mężczyzn jeszcze nie podjął próby skontaktowania się z nim, co świadczyło o tym, że nie zauważyli oni na plaży niczego niepokojącego. Dziewczyny, Małgorzata Mróz oraz Irena i Wiola Baczkowskie, także milczały.

Pierwszy tydzień lipca był kapryśny. Dni słoneczne, ale wietrzne, przeplatały się z deszczowymi. Niezadowoleni z kapryśnej pogody wczasowicze snuli się po Mielnie w kaloszach, płaszczach przeciwdeszczowych i pod parasolami. Najgorzej mieli ci, którzy zakwaterowali się w licznych domkach kempingowych, którym niewiele brakowało do rozmiaru psiej budy, a mówiąc mniej złośliwie, do rozmiaru przedziału kolejowego typu kuszетка. Cztery osoby mogły w nich tylko leżeć na wąskich piętrowych łóżkach, więc przedłużająca się zła pogoda skłaniała dorosłych do upijania się, a dzieci do samowolki.

Kiedy rano wychodziło słońce mieszkańcy domków kampingowych zaraz po śniadaniu szli na plażę i łapali w płuca oddech morskich przestrzeni.

Członkowie ekipy zmontowanej przez Szelca byli zadowoleni z dynamicznych zmian pogody, bo mogli zmniejszyć ilość dyżurów. Deszczowe i zimne wieczory i noce zwalniały ich z patrolowania plaży. Zakładano, że nikt nie da się namówić na zimną nocną kąpiel we wzburzonym morzu i założenie, jak dotąd, potwierdzało się. Małgosia, Irena i Wiola mogły odpocząć od słońca. Wszystkie trzy były zapatrzone w młodych ratowników, a nie lubiły Romana Kitowskiego i szczególnie jego miały na oku. Zapisywały także wygląd i zachowanie młodych mężczyzn, których tożsamości nie mogły oczywiście znać. Za niektórymi z nich chodziły, aby popatrzeć i posłuchać jak podrywają ładne dziewczyny, sprawdzić, czy umawiają się z nimi i zachęcają do wspólnych kąpieli. Śledziły ich, aby dowiedzieć się dokąd udają się na nocleg. Oczywiście nie mogły ogarnąć całej plaży. Musiały działać intuicyjnie.

Nieoczekiwane przyszło w deszczową niedzielę 6-go lipca. Spacerująca z dwojgiem dziećmi po plaży rodzinka z Milanówka, wynajmująca prywatny pokój w Unieściu, zaalarmowała właścicieli domu, w którym zamieszkali, że po morzu, w dużej odległości od brzegu, dryfuje dmuchany ponton. Powiadomiono ratowników z Mielna. Ci przyплыли do Unieścia motorówką i potwierdzili zasadność zgłoszenia. W odległości około stu metrów od brzegu morskie fale miotają zielonym, niezbyt dużym pontonem. Wyglądał jak typowy produkt grudziądzkiego Stomilu. Kupowano takie większym pociechom, aby mogły bawić się w morskich wilków i często zdarzało się, że ten pływający obiekt porywały fale a morskie prądy znosiły daleko od lądu. Tym razem nikt nie zgłosił porwania przez morze pontonu, a tym bardziej pontonu z załogą, więc ratownicy nie byli zachwyceni perspektywą przyholowania do brzegu nieupilnowanego przez właściciela sprzętu. Zbyt wiele razy byli wzywani do łapania dmuchanych kółek, materacy i pontonów. Pomimo przybierającego na sile deszczu i niespokojnego morza nie mogli jednak poniechać sprawdzenia, czy na pontonie ktoś jest, czy nie. Nic na to nie wskazywało, bo nikt nie wzywał pomocy. Odziani w stroje zabezpieczające przed deszczem i wiatrem popłynęli w stronę pontonu. Podejście do niego nie było łatwe. Wiatr i wysoka fala zmieniała jego położenie. Ulewny deszcz zmniejszał widoczność. Po kilku nieudanych próbach udało się zahaczyć linę z obciążeniem o boczny sznur pontonu i przyciągnąć ponton bliżej motorówki.

- Ktoś tam jest! – krzyknął Michał Wilczyński do dwóch towarzyszących mu kolegów. Jeden z nich siedział przy sterze. Drugi pomagał mu podciągać ponton bliżej ich łodzi.

– Nie damy rady przesiąść się do pontonu, ani wciągnąć go do motorówki! Trzeba holować do brzegu! – krzyknął siedzący przy sterze Artur Zarzycki i zwiększył obroty silnika. Ruszyli w drogę powrotną, przeklinając na widok kilkunastu ciekawskich osób stojących w ulewnym deszczu na plaży.

- Włącz krótkofalówkę! – wrzasnął Artur do kolegi. – Wezwij pomoc! Zawiadom Szelca! Niech wezwie pogotowie i przywiezie Prusową, albo Prusa, kogo tam złapie! Będą szybciej niż karetka!

Przybicie do brzegu przy wysokiej fali zajęłoby im sporo czasu, gdyby nie pomoc kilku mężczyzn, którzy, rozebrawszy się do slipek, weszli do wody i wyciągnęli motorówkę na brzeg. Potem razem z ratownikami zajęli się wyciąganiem pontonu. Na widok młodej dziewczyny, która, ubrana jedynie w jednoczęściowy kostium kąpielowy, leżała nieruchomo w pontonie, po zebranych na plaży tłumku gapiów przeszedł głośny jęk. Matki szybko odwracały okryte pelerynami dzieci i, ciągnąc je za sobą, uciekały do najbliższego wyjścia z plaży. Reszta gapiów znieruchomiała. Trzej pomocni mężczyźni zachowali zimną krew. Pomogli wyjąć dziewczynę z pontonu i położyć na rozesłanym kocu. Okryto ją drugim kocem, a kierujący akcją ratownik zaczął reanimację.

- Ona nie żyje – powiedział cicho do kolegów.- Czekamy na lekarza i milicję.

- Trzeba ją ratować! - zawołał ktoś z głębi grupy gapiów, ale stojący bliżej pokręcili głowami. – Nic już jej nie pomoże.

- Ja ją chyba znam – odezwał się drżącym z zimna i emocji głosem jeden z pomagających ratownikom mężczyzn. – Jest podobna do kelnerki, która pracowała w zeszłym roku w domu wczasowym „Perła”, w którym mieszkaliśmy. – Miła i spokojna dziewczyna. Mówiła, że przyjechała do Mielna na sezon do pracy. Nie pamiętam skąd. Może żona będzie pamiętała. Rozmawiała z nią kilka razy podczas posiłków.

- Niech się pan ubierze i poczeka na przyjazd milicji – rozkazał najstarszy ratownik. – To ważna informacja. Potrzebna do zidentyfikowania ofiary. Z żoną porozmawiają funkcjonariusze. Nie trzeba jej teraz sprowadzać.

Komendant Szelc pojawił się pierwszy i kazał zgromadzonym na plaży gapiom natychmiast rozejść się. Potem przybył lekarz karetki pogotowia, bo mieleńska lekarka Jolanta Prus

wyjątkowo tego dnia nie przyjmowała pacjentów i pojechała do Koszalina. Lekarz stwierdził zgon. Następnie stawiał się milicjant z Komendy Powiatowej z Koszalina i razem z Szelcem przesłuchali świadków zdarzenia i zabezpieczyli ponton. Ustalenie danych dziewczyny nie było trudne. Żona pomocnego mężczyzny powiedziała, że dziewczyna ma na imię Stefa i przyjeżdża na sezon do Mielna z jakiejś wsi spod Połczyna Zdroju. Funkcjonariusze udali się najpierw do domu wczasowego „Perła”, w którym Stefania pracowała przed rokiem. Tam dowiedzieli się, że nazywa się Stefania Szczerbik i mieszka w Kołaczku, gdzie jej rodzice pracują jako robotnicy rolni w miejscowym pegeerze. Skierowano ich do ośrodka wypoczynkowego „Sawa” należącego do Zakładów Meblarskich w Trzciance. Tam bowiem miała poszukiwać zatrudnienia Stefa Szczerbik, gdy zbyt późno zgłosiła się do „Perły”.

Ośrodek „Sawa” położony był nad pograniczem Mielna i Unieścia nad jeziorem Jamno tuż obok budynku, w którym mieściła się jednostka Wojsk Ochrony Pogranicza. Na rozległej, ogrodzonej siatką łące postawiono wygodne domki kempingowe dla wczasowiczów i obsługi oraz budynek, w którym znajdowały się kuchnia, jadalnia, świetlica i sanitariaty. W głąb jeziora wchodził stosunkowo długi pomost, przy którym kołysały się kajaki i rowery wodne. Gdy milicjanci pokazali zdjęcie ofiary kierownicze ośrodka, ta wezwała do swojego biura, mieszczącego się w pierwszym domku przy bramie wejściowej, szefową kuchni, energiczną pękatą kobietę w białym czystym fartuchu i nieokreślonym wieku. Najpierw zapytano ją, czy zna taką a taką osobę, a ona potwierdziła.

- Pracuje u nas taka – powiedziała. – Ale wyleci szybciej niż przyszła, bo jak wczoraj wieczorem miała wolne, to zabradziażyła i dziś jeszcze nie pojawiła się w pracy.

- Pani wie, pani kierowniczo – zwróciła się do swojej szefowej – co te pannice ze wsi wyrabiają z żołnierzami. Gadają z nimi przez płot, flirtują, a bardziej napalone przeskakują do nich, żeby złapać na ciążę męża. Myślą, że Pana Boga chwyciły za nogi, jak się który zainteresuje. A oni wiadomo, prześpią się z taką, a jak są kłopoty, to do widzenia, ani myślą się żenić. Potem płacz i rozpacz, bo boją się wrócić z brzuchem do domu.

- A co pani może powiedzieć o Stefanii Szczerbik – przerwał wywody kucharki milicjant z Koszalina.

- Ja tam jej nie znam. Pierwszy raz u mnie pracuje i to od niedawna. Kelnerka z niej dobra. Złe od razu wyrzucam, bo u mnie nie ma fuszerki. Nasi wczasowicze muszą być zadowoleni – oznajmiła kobieta.

Zamilkła i spoważniała, gdy milicjant pokazał jej zdjęcie dziewczyny.

- O Boże! – wykrzyknęła. – To ona nie żyje! Co się stało?

Nie uzyskała odpowiedzi. Zamiast niej zapytano ją o osoby znające bliżej ofiarę.

– Może Ela powie wam więcej. Mieszkają w tym samym domku.

- Zawołać ją natychmiast – rozkazała kierowniczka ośrodka, osoba najwyraźniej władcza i nie znośząca sprzeciwu.

Elżbieta Dobrzycka, bo tak nazywała się współlokatorka Stefanii Szczerbik, niewiele powiedziała.

- Nie znam Stefy dobrze, ale to miła i spokojna dziewczyna. Bardzo skromna i bardzo pracowita.

- Czy spotykała się z kimś po pracy? Miała w Mielnie sympatię? - padały pytania.

- Ona krótko tu pracowała. Dopiero dwa wieczory miała wolne. Gdzieś wychodziła. Chyba na tańce, bo mówiła, że lubi tańczyć i nie przepuści żadnej okazji. Jest tu w pobliżu taki nocny lokal, ale trzeba płacić za wstęp, a ona jeszcze nie dostała wypłaty.

- A rozmawiała z żołnierzami z jednostki?

- Nie widziałam, a ona nie wspominała. Ale nie wyglądała na taką.

- Na jaką? – dopytał Szelc.

- No na puszczałską – odpowiedziała Elżbieta.

- W co była wczoraj ubrana? Miała na sobie jednoczęściowy kostium kąpielowy? – padły kolejne pytania.

- Czy coś jej się stało? - zaniepokoiła się koleżanka Stefanii. – Nie wiem, w co się ubrała. Chyba tak jak przedtem, w sukienkę w groszki. Kostium miała. Ale po co by go wkładała wieczorem?

Milicjanci zabezpieczyli rzeczy Stefanii, wśród których nie znaleźli ani sukienki w groszki, ani kostiumu kąpielowego i udali się do wskazanego przez współlokatorkę ofiary lokalu noszącego nazwę „Muszelka”.

- Marna konkurencja dla „Meduzy” – zauważył mieleński komendant, patrząc na odręcznie namalowany szyld i odrapane drzwi.

Drzwi były zamknięte, ale po kilku uderzeniach pojawił się w nich mocno zaspany i skacowany mężczyzna w średnim wieku. Na widok milicjantów zaczął porządkować ubranie i przygładzać zmierzwione włosy.

- Czy poznaje pan tę dziewczynę? – zadał mu szybkie pytanie koszaliński funkcjonariusz. - Czy widział ją pan w tym lokalu?

Szelc pokazał mężczyźnie zdjęcie z dowodu osobistego Stefanii, który znaleźli w jej walizce.

- Tak - odparł tamten natychmiast. – Była wczoraj. Tańczyła.

- Była sama, czy z kimś?

- Raczej sama. Nie wiem, czy kogoś w końcu poderwała. Mam dużo roboty.

- A kto może wiedzieć?

- Może bufetowa.

Weszli do środka i natychmiast uderzył w nich zapach nieświeżego, przetrawionego alkoholem i papierosowym dymem powietrza. Młoda i zgrabna kobieta za barem porządkowała naczynia.

- Dzidziu! – zawołał mężczyzna. – Panowie milicjanci mają do ciebie pytanko.

Pani Dzidzia też poznała Stefanię.

- Zapamiętałem ją, bo bardzo ładnie tańczyła. Zmieniała partnerów, ale zauważyłam, że nie pozwalała się obłapiać. Piła tylko oranżadę. Nie pasowała tutaj. Wyszła przed północą. Chyba sama.

Sekcja zwłok wykazała, że dziewczyna miała wodę w płucach, ale bezpośrednią przyczyną śmierci mogło być także wychłodzenie organizmu po spożyciu dużej ilości alkoholu. Po kilku dniach przypadkowy spacerowicz odnalazł na wydmach sukienkę w groszki. Nie zgłosił znaleziska milicji. Nie wiedział do kogo należała. Wkrótce sukienkę przysypał piach.

W poniedziałek wieczorem, po przyjeździe i zakwaterowaniu się u Baczkowskich, Kazimierz Cichocki spotkał się z nieoczekiwanie dla niego poszerzoną ekipą. Szelc poprosił,

aby jej członkowie stawili się w znanym sobie miejscu, czyli koło pierwszego bunkra, najlepiej osobno i w dziesięciominutowych odstępach. Sam ponownie przyszedł na miejsce zbiórki jako pierwszy. Cichocki razem z Baczkowskim stawili się dziesięć minut po nim i przez następne dziesięć minut komendant opowiadał Cichockiemu o nowych członkach zespołu i o wypadku, który zdarzył się dnia poprzedniego. Cichocki wiedział już o nim od Baczkowskiego. Obaj byli nim bardzo zaniepokojeni. Następny nadszedł Mróz, potem Józwiak, a jako ostatnie przyszły Małgorzata i Alicja. Panowie, rozprawiający półgłosem o znalezieniu dziewczyny w pontonie i dyskutujący o tym, czy mogło to być kolejne morderstwo, zamilkli na widok nadchodzących młodych kobiet. Z widocznym w oczach zmieszaniem patrzyli na Alicję.

- Jej nie powinno się narażać – myślał każdy z nich. – Będziemy winni jej śmierci.

Już teraz poczuwali się do winy, choć usprawiedliwiali się wzajemnie, że ostatni przypadek, o którym aż huczało w Mielnie i Unieściu, był inny niż te wcześniejsze, więc nie mógł być sprawką osobnika, na którego polowali. Dziewczyna, której ciało znaleziono na pływającym po morzu pontonie była, jak zauważył Szelc, przeciętnej urody, dość niska i krępa. Miała co prawda długie jasne włosy, ale daleko jej było do rasowej urody poprzednich ofiar, Joanny i Ewy. Pracowała jako sezonowa kelnerka w ośrodku wczasowym i można było mieć poważne wątpliwości, czy w ogóle potrafiła pływać. Znaleziono ją na pontonie, a nie w grajdółku. Różnic było zatem dużo, ale sumienia mężczyzn pilnujących plaży nie były spokojne, Wyrzucali sobie, że nie pilnowali plaży także w dni deszczowe. Cichocki im tego nie wypomniał, ale powiedział:

- Nie wiem, co wykaże oficjalne śledztwo, ale mam przeczucie, że pomimo wszystkich różnic zrobił to ten człowiek, o którego nam chodzi. Zmienił scenariusz swego kolejnego przedstawienia, bo bawi się z milicją w kotka i myszkę. Podał milicji nową zagadkę. Nowa dziewczyna być może zginęła trochę przypadkowo, jeśli mogę tak powiedzieć, poza ścisłym planem. Ale jestem pewien, że po tym niespodziewanym wysoku morderca wróci do swego poprzedniego planu. Alicjo – zwrócił się do towarzyszki podróży – możesz się wycofać. Nikt nie będzie ci miał tego za złe. Będziemy pilnować plaży dzień i noc w każdą pogodę. Może go nie złapiemy, ale przynajmniej uda nam się zapobiec kolejnej śmierci.

- Przynajmniej w tym roku i tylko przez jakiś czas – dodał w myśli.

Wszyscy obecni pomyśleli to samo. Wiedzieli, że jeśli Cichocki ma rację, to prewencyjne działania na długo nie wystarczą. Prędzej czy później psychopata zauważy ich wysiłki.

Będzie ostrożny, ale najpewniej podejmie z nimi grę. Co gorsza oni nie są w stanie czuwać przez długi czas. Będą musieli wrócić do normalnego życia. A zatem niechybnie zginie następna dziewczyna w nocy, której daty nikt nie przewidzi. Wśród zgromadzonych zapadła ciężka od złych myśli cisza. Alicja spuściła głowę. Po chwili podniosła ją i popatrzyła przeciągle po twarzach ludzi poznanych przed niespełną godziną.

- Zaczniemy realizować nasz plan zanim on zacznie realizować swój - powiedziała spokojnie.

- Przejdźmy do ustaleń. Pan Kazimierz dużo mnie nauczył. Teraz muszę zapamiętać wasze twarze, panowie. Będę się czuła pewniej, widząc was od czasu do czasu w pobliżu. Muszę wiedzieć, że nie spuszczacie mnie z oczu.

- Nigdy przenigdy - powiedział głuchym głosem Baczkowski. – Wziąłem urlop. Będę pani strzegł jak oka w głowie.

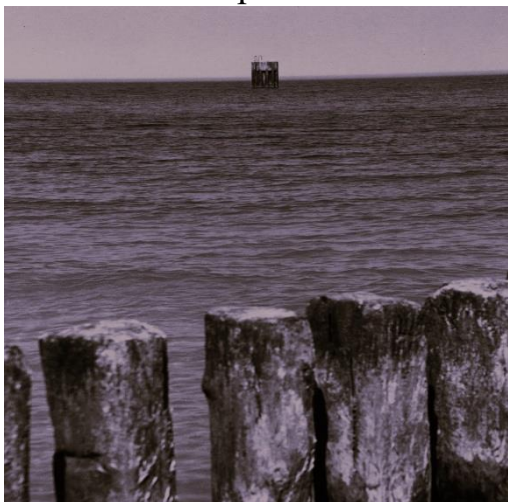
- Ja także – przyłączył się do głosu Baczkowskiego Mróz. – Będziemy się z panem Baczkowskim i z panem Józwiakiem wymieniać. – Będzie też miała pani przy sobie Małgosię.

Małgorzata ujęła dłoń Alicji i mocno ją uścisnęła.

- Panienko, niech się panienka nie boi – odezwał się Józwiak. – Damy radę draniowi. Wkrótce milicja też się nim zajmie. Zaczynamy. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

- Amen - odpowiedzieli pozostali.

3. Sezon w pełni



Mirosława i Władysław Bończa, którzy od wielu już lat trzymali kiosk Ruchu w centrum Mielna oraz jedyną w okolicy stację benzynową, nie przepadali za latem. Zarabiali wtedy co prawda bardzo dobrze – letnie dochody zabezpieczały im utrzymanie podczas pozostałych pór roku, kiedy klientami kiosku byli tylko stali mieszkańcy Mielna - ale latem kiosk musiał być otwarty od świtu do nocy. Wczesnym rankiem przywożono z Koszalina gazety, które należało szybko przeliczyć, rozłożyć do teczek dla stałych odbiorców i wreszcie wyłożyć w witrynie, podczas gdy przed kioskiem stała już gderająca kolejka niecierpliwych rannych ptaszków. Kiedy przywożono papierosy w wielkich pakach, kosmetyki – w tym poszukiwany przez wszystkich olejek do opalania Miraculum – mydła, kartki pocztowe, zabawki i setki innych drobnych rzeczy, wywieszali kartkę z napisem „Przepraszamy, Przyjęcie towaru” i zamykali okienko dla klientów. Czasu na rozpakowanie i ułożenie wszystkiego mieli niewiele, a zniecierpliwione miny ludzi ustawionych w długiej kolejce w nadziei, że uda im się kupić jakiś rzadki towar, potęgowały pośpiech i napięcie. Aby pomieścić różnorodne produkty, zamawiane w ilości dużo większej niż zimą, trzeba było zastawić każdy wolny centymetr niewielkiego wnętrza, w którym w upalne dni panował nieznośny upał, a zapach wydzielany przez wonne specyfiki odurzał jak narkotyk. Otwierali wtedy drzwi z tyłu kiosku, mając nadzieję, że nie wtargnie przez nie nachalny, podenerwowany lub pijany klient O problemie, jakim było w tym czasie zjedzenie posiłku, czy, za przeproszeniem, załatwianie potrzeb fizjologicznych, nie ma nawet co wspominać. Jakże inaczej wyglądała praca w kiosku poza sezonem! Czas płynął wolno. Znajomi klienci zatrzymywali się przy okienku na pogawędkę, a ci bardziej zaprzyjaźnieni wchodzili do ciepłego, ogrzewanego grzejnikiem elektrycznym wnętrza, aby wymienić najnowsze wieści.

Szczęśliwie małżeństwo Bończów było zgodne. Wspierali się wzajemnie, wymieniali dyżurami i dzielili obowiązkami. Ich jedyny syn Błażej, który był teraz w wieku szkolnym, też nie sprawiał kłopotów. Był dzieckiem zdolnym, samodzielny, pomocny, spokojny i bardzo bystry. Często, zamiast biegać z kolegami, przesiadywał z matką w kiosku i pomagał jej w rachunkach, bo matematyka była jego ulubionym przedmiotem.

Błażej lubił przyglądać się nieznany nowym klientom i wyobrazać sobie kim są, skąd przyjechali i po co. Typowi wczasowicze nie byli zbyt interesujący. Wymieniali się w rytmie kończących się i zaczynających turnusów, to samo kupowali i prawie tak samo wyglądali. Od czasu do czasu pojawiał się jednak ktoś wyjątkowy: niezwykła dziewczyna, tajemniczy starszy pan, intrygujący młody mężczyzna. Pojawianie się wyjątkowych postaci było szczególnie przyjemne poza sezonem, gdy czas i spokój pozwalały na rozwijanie wyobrażeń. Błażej pamiętał niedzielne jesienne popołudnie – był to ten dzień, w którym, jak się później okazało, utopiła się dobra znajoma rodziców, pani Bednarzowa – kiedy do okienka podszedł dziwnie ubrany mężczyzna. Nie miał ciepłej kurtki albo płaszcza, jakie noszono o tej porze roku, lecz ciemne, ściśle przylegające do ciała ubranie i nasuniętą na oczy, także ciemną i obcisłą, czapkę. Na dolną część twarzy nasunął wysoki golf, jakby chronił ją przed wiejącym tego dnia zimnym wiatrem. Błażej był w kiosku sam - mama wyszła na chwilę – i w pierwszej chwili trochę się przestraszył. Mężczyzna ciepłym miłym głosem poprosił o paczkę waty, co zdziwiło chłopca przyzwyczajonego, że watę kupują kobiety. Głos był kojący, więc uspokoił się, podał towar, sprawnie wydał tajemniczemu klientowi resztę i z zadowoleniem wysłuchał pochwały jego, że pomimo niewielu lat, tak dobrze sobie radzi. Kiedy mężczyzna odszedł, otworzył drzwi i patrzył jak ten lekkim krokiem oddala się ulicą Kościuszki w kierunku morza, a trzymana przez niego w ręku biała paczka waty kontrastuje z jego ciemnym strojem. Wyobrażał sobie potem, że był to marynarz pływający po morzach i oceanach, który nie boi się sztormów i niebezpiecznych przygód na obcych dzikich lądach, albo polski odpowiednik nieuchwytnego Zorro. Miał jednak kłopoty z tym, aby wymyślić po co dzielnemu marynarzowi lub nieustraszonemu mścicielowi może być potrzebna wata.

Teraz latem wymyślał sobie historyjki o pięknej dziewczynie, którą zobaczył na początku lipca, a której towarzyszyła córka Mrozów, Małgorzata. Dziewczyna kupiła w kiosku olejek do opalania i nowy numer rozchwytywanej przez dziewczyny „Filipinki”. Zachowanie jej było więc stereotypowe, ale coś uderzało w jej wyglądzie. Przyciągała wzrok przechodniów.

- Przyjechała z Paryża – wymyślił Błażej czytany i zaznajomiony z gazetowymi nowinkami, bo wszystkie gazety miał na wyciągnięcie ręki – i jest aktorką. Jeszcze w Polsce nieznana, ale

wkrótce wszyscy o niej usłyszą i będą kupowali lusterka z jej zdjęciem na odwrocie. Będzie bardziej znana niż Bardotka. Młody milicjant, który chodzi z Mrozówną zakocha się w niej nieszczęśliwie, zostawi Goškę i popędzi za nią do Francji. Wyrzucą go z milicji, a w Paryżu będzie żebrał w metrze.

Od przyjazdu do Mielna Kazimierza Cichockiego i Alicji Zawady minęło kilka dni. Pogoda nadal była kapryśna. W pochmurne dni Mielno kipiało od nadmiaru znudzonych ludzi. Nad jeziorem od rana do nocy hałasowało oblegane przez dzieci wesołe miasteczko, zmoknięci amatorzy smażonych ryb oblegali budę jedynej w Mielnie smaźalni, trudno było o bilet do kina, w sklepach stały kolejki a w położonej na wydmach nad parkiem z jeleniem kawiarni Międzynarodowej Książki i Prasy brakowało miejsc. Wszystko zmieniało się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdy wreszcie nastawał słoneczny dzień. Ulice, sklepy i kawiarnie pustoszały wczesnym przedpołudniem i dopiero wieczorem zapełniały się barwnym tłumem, w którym najbardziej podziwiano ciemnobrązową opaleniznę i z politowaniem patrzono na zaczerwienioną skórę nowoprzybyłych białasów.

Współpraca Cichockiego z Baczkowskim, Mrozem i Józwiakiem przebiegała zgodnie z planem. Wyposażeni w lornetki mężczyźni patrolowali wieczorami i w nocy plażę, dyżurując na zmianę w parach. Cichocki patrolował plażę z Baczkowskim, Mróz z Józwiakiem. Jeden z pary szedł od strony Mielenka, drugi od strony Unieściu. Starali się bardzo, aby nikt ich nie zauważył, więc poruszali się po cichu wydmami i kryli przed spóźnionymi spacerowiczami, towarzystwem pijącym alkohol na plaży przy świetle księżyca, amatorami nocnych kąpiei w strojach Adama i Ewy, niejednokrotnie także przed niecierpliwymi parami kochającymi się na pustej nocnej plaży. Ustalili, że mogą zdradzić się ze swoją obecnością tylko wtedy, gdyby powzięli wobec kogoś poważne podejrzenia.

W ciągu dnia jeden z nich zawsze strzegł Alicji. Na spotkaniu grupy postanowiono, że Małgorzata nie może jej stale towarzyszyć. Alicja musi czasami poruszać się sama, aby stwarzać okoliczności sprzyjające zawieraniu dyskretnych znajomości. Dziewczyna chodziła zatem na plażę niekiedy sama, a niekiedy z koleżanką i tak samo było ze spacerami, wizytami w lodziarni i w kawiarni. Robiła wszystko z wielką swobodą i bez oznak popłochu czy lęku. Z rzucającą się w oczy lubością korzystała z morskich kąpiei albo przy plaży strzeżonej, albo w oddaleniu od niej. Z wdziękiem popisывała się umiejętnością swobodnego i stylowego pływania. Po kąpiei przechadzała się brzegiem morza w mokrym stroju plażowym z

rozpuszczonymi długimi włosami, które suszyła na wietrze. Nie zwracała uwagi na przyglądających się jej młodych mężczyzn. Wiedziała od Cichockiego, że ma wyglądać na dziewczynę dość pewną siebie i jednocześnie trochę zbuntowaną, lekko zagubioną, zamyśloną i trochę samotną, czekającą na swój ideał, kogoś, kto ją będzie rozumiał.

- Świetna dziewczyna. Jakby stworzona do tej akcji – myślał Cichocki, obserwując ją na plaży. – Wszyscy moi panowie zakochają się w niej na zabój. Oczywiście platonicznie – śmiał się w duchu. Sam także był zauroczony jej urodą, odwagą i aktorskimi zdolnościami.

Małgorzata Mróz tęskniła za bliskością Michała. Widywała go tylko z daleka, ale nawet wówczas nie uśmiechali się do siebie. Jej bliska relacja z milicjantem musiała zostać pozornie zerwana, żeby sprawca nie kojarzył Michała Sikory z nią, a przez nią z Alicją.

Małgorzata i Alicja nie rozmawiały o akcji między sobą nawet w domu. Pani Mrozowa wiedziała co nieco o sprawie – jej przebywający na urlopie mąż rzadko był do jej dyspozycji i znikał nawet w nocy, więc musiał jej wytłumaczyć swe nietypowe zachowanie – ale jako osoba powściągliwa, dyskretna, a przede wszystkim lękliwa, wolała wiedzieć jak najmniej. Polubiła Alicję od kiedy tylko ta weszła do ich domu, bo bił od niej spokój i zdecydowanie. Podobnie jak od Małgosi, jej przybranej córki, którą przed laty pokochała od pierwszego spojrzenia. Małgosia była wtedy sześciolletnią dziewczynką i miała na imię Zofia. Jej matka zmarła na gruźlicę, a ona i Gienek, bezdietni, wzięli ją do siebie za namową znajomych - starszego małżeństwa mieszkającego w Koszalinie.

- Niepotrzebnie nalegałam - często myślała Jadwiga Mróz – na zamianę imion i zamiast nazywać ją Zosią, używałam jej drugiego imienia, Małgorzata. Ale tak bardzo chciałam ją mieć tylko dla siebie. Byłam zazdrosna o jej przeszłość. Myślałam, że pierwsze imię zawsze już będzie codziennym przywoływaniem pamięci jej prawdziwej matki, przywoływaniem, które ani jej, ani nam nie pozwoli żyć jak normalna rodzina.

Alicja nie sprawiała Mrozowej żadnych kłopotów. Upierała się nawet na początku pobytu, że będzie jadła posiłki poza domem. Na to jednak nie było zgody gospodarzy. Jadwiga Mróz lubiła gotować, a gotowała potrawy proste, ale zdrowe. Przygotowywała posiłki z dużej ilości świeżych warzyw. Drób, masło i jaja chętnie kupowała od gospodarzy z Mielenka. Zawsze z zadowoleniem patrzyła na apetyty jedzących i znikające z talerzy dania. Wymagała jedynie,

aby domownicy stawiali się punktualnie na obiad i, w miarę możliwości, na kolację. Wspólne zasiadanie do stołu uważała za jedną z podstaw, na której buduje się dobre rodzinne życie.

Mijał piąty dzień akcji i nic szczególnego się nie wydarzyło. Była sobota 12-ty lipca i ekipa spotkała się ponownie późnym wieczorem przy bunkrze, żeby podzielić się nowymi wiadomościami i obserwacjami. Małgosia i Alicja przyszły tym razem osobno, ponieważ miały polecenie, aby były szczególnie ostrożne. Jeśli ktoś niepożądany, a mówiąc wprost, morderca, już zainteresował się Alicją, to mógł ją śledzić. Zdemaskowanie przez niego grupy zniweczyłoby wszystkie dotychczasowe wysiłki. Ku radości Małgorzaty na spotkaniu stawili się tym razem Michał Sikora, a na posterunku milicji pozostał Czesław Szalc. Stęsknieni za sobą zakochani zobaczyli się po trzytygodniowej rozłące.

Michał przyniósł wiadomości o śledztwie prowadzonym w sprawie śmierci Stefanii Szczerbik. Kryminalni z Komendy Powiatowej przekazali już sprawę do Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego. Poszukiwano mężczyzny, który, jak zeznali świadkowie, przebywał w lokalu pod nazwą „Muszelka” tej samej nocy co ofiara i niedługo po jej wyjściu opuścił lokal. Nie widziano, aby z nią tańczył. Jego tożsamości nie ustalono, a rysopis nie wnosił wiele: wiek średni, włosy czarne lub ciemny blond, wzrost wysoki albo średni, oczy niewiadomego koloru, ciemne spodnie, jasna jednolita koszula, ciemne okulary zsunięte z oczu na głowę. Wcześniej go w lokalu nie widziano. Przepytano także personel ośrodka wypoczynkowego „Sawa” i sprawdzono alibi żołnierzy, którzy przebywali tego wieczoru na krótkiej przepustce. Trzej żołnierze twierdzili, że czas na przepustce spędzili razem, poznali w „Mewie” trzy panienki, stawiali im wódkę, wieczorem poszli z nowopoznanymi pannami nad morze, żeby trochę wytrzeźwieć i skorzystać z okazji do amorów, a następnie wrócili do Jednostki. Podali imiona panienek. Te zostały odszukane i osobno przesłuchane. Potwierdziły zeznania żołnierzy.

Zbadano oczywiście ponton, w którym pływało ciało. Jak większość używanych powszechnie pontonów został wyprodukowany w grudziądzkim „Stomilu”. Na dnie pontonu był piach z plaży oraz woda morska mocno rozcieńczona deszczówką. Wioseł nie znaleziono. Od spodu ponton miał ciemną smugę po zgęstniałej ropie, takiej samej, jakiej pozbywają się tankowce ze zbiorników. Tankowce spuszczać resztki starego ładunku do morza, a pływająca po powierzchni wody maź jest zagrożeniem dla wodnych ptaków, które oklejone mazią zdychają. Kilka niewielkich plam ropy odkryto także na kostiumie kąpielowym ofiary.

Przeszukano brzeg i wydmy. Na brzegu, trzysta metrów na wschód od miejsca, na wysokości którego pływał ponton, także udało się znaleźć rozmażaną na piasku plamę ropy. Prawdopodobnie więc z tego miejsca ponton wypłynął w morze. Zaginięcia pontonu nikt dotąd nie zgłosił. Na ciele dziewczyny nie było śladów przemocy. Nie została zgwałcona. Podtopiła się, była pijana, wychłodziła się i umarła. Butelki po alkoholu w pontonie nie było.

- Dziwne są te podobieństwa i różnice między poprzednimi przypadkami i tym ostatnim – powiedział Marian Baczkowski. – Co o tym sądzisz? – zwrócił się do Cichockiego, z którym byli już po kilku bruderschaftach, które wypili dla odprężenia spirytusem rozcieńczonym sokiem truskawkowym. – Zrobił to ten zboczek, którego szukamy?

- Jestem tego prawie pewny – odpowiedział Cichocki i zapytał Michała:

- Czy wiesz coś o tym, że dziewczyna dużo piła? No wiesz, tak w ogóle.

- Bufetowa z „Muszelki” powiedziała, że u niej Stefania nie kupowała wódki, wina ani piwa i nie pozwalała stawiać ich sobie facetom, którzy z nią tańczyli. Jej rodzice twierdzą, że w ogóle nie lubiła alkoholu, więc go nie piła. Znajome Stefanii z dawnej pracy też to potwierdzają.

- Zawsze jest ten pierwszy raz. Dla niej był to zarazem ostatni – wygłosił w filozoficznej zadumie Eugeniusz Mróz.

- Panie! – oburzył się Józwiak. - Jak mówią, że dziewczyna nie piła, to nie piła. Nie kombinuj pan. Ktoś ją podstępnie upił!

- Chyba niestety ma pan rację panie Józwiak – podsumował wątek Cichocki. – A teraz dziewczyny mają głos.

- Nic się ważnego nie wydarzyło – zaczęła swą relację Alicja. – Przecież nie chodzi nam o gówniarzy, którzy gwizdzą na mój widok i próbują swoich sił w końskich zalotach. Ignoruję ich, a oni zostawiają mnie w spokoju. Tylko niektórzy są wulgarni. Pewnie podpici. Zaczepiał mnie, pewnie panowie zauważyli, bo mam nadzieję, że mnie pilnujecie...

- Oczywiście! Cały czas! – zawołał Baczkowski. – Nie widzisz nas? – zapytał i zakłopotany dodał:

- Czy mogę ci mówić na „ty”? Jesteś taka młoda.

- Wszyscy mówcie mi po imieniu – oświadczyła ze śmiechem się Alicja.

- A więc – kontynuowała przerwana relację – zaczepiał mnie dwukrotnie, ale bardzo kulturalnie, pewien starszy pan. To znaczy nie stary – zreflektowała się, spoglądając na Mroza i Baczkowskiego – lecz mniej więcej w panów wieku. Był sam na plaży. Podeszedł do mnie, gdy stałam na brzegu. Rozmawialiśmy dłuższy czas i potem grzecznie zaproponował dalszą rozmowę przy kawie i lodach w kawiarni. W tej niedaleko plaży. Nie wiedziałam, czy mam się zgodzić, czy nie. Dyplomatycznie odpowiedziałam, że teraz nie mogę skorzystać z zaproszenia, ale może wybierzemy się do kawiarni przy najbliższej okazji i wtedy porozmawiamy. W sumie miły, grzeczny i inteligentny człowiek.

- Dobrze zrobiłaś. Znam tego lowelasa – zareagował Baczkowski. – Mieszka w Koszalinie. Opala się całe lato, łązi po plaży, pręży muskuły i wciąga brzuch. Myśli, że jest Adonisem. Lubi popisywać się przed ładnymi panienkami. Szkoda na niego naszego czasu.

- Nie byłbym taki pewny – przerwał mu Cichocki. – Trzeba go koniecznie sprawdzić. Jeśli znów cię zaczepi, umów się z nim. Zobaczymy, co ci dalej proponuje.

- Ee... tam - nie poddawał się Baczkowski. – Tani podrywacz. W Koszalinie ma żonę i dorastające dzieci. Widuję go czasem w Koszalinie poza sezonem.

- Marianie – zaproponował Mróz. – Pan Cichocki nami dowodzi, więc nie dyskutujmy.

- Panowie i panie, mówmy sobie wszyscy po imieniu – zaproponował Cichocki. – Będzie prościej. Mamy jeszcze jedną postać do omówienia, a mianowicie Kitowskiego. Obserwowałem go bardzo pieczołowicie przez trzy kolejne poranki i wieczory. Nie podoba mi się ten typ. Świetnie pływa. Oczywiście nie dlatego mi się nie podoba, że świetnie pływa. Nie podoba mi się dlatego, że nie respektuje ustalonych zasad. Wchodzi do morza na strzeżonej plaży niezależnie od pogody oraz stanu morza i wypływa daleko. Nic sobie nie robi z czarnej flagi i zaleceń ratowników. Ratownicy natomiast udają, że nie widzą, co typ robi. Facet myśli, że żadne reguły go nie obowiązują. Na brzegu zawsze czeka na niego jakaś zgrabna panienka z ręcznikiem. Nie zawsze ta sama, ale zawsze ładna i bardzo młoda. Będę go obserwował. Nie wiem, czy jest groźny. Alicjo – spojrzał z wahaniem na dziewczynę. – Czy możesz, że tak powiem, rzucić mu się w oczy?

- Postaram się, ale musisz mi go pokazać i zapoznać z jego rozkładem dnia.

- Oczywiście. Ale nie musisz tego robić – zaznaczył Kazimierz, choć wiedział, że nie jest szczery.

Trzej pozostali obecni mężczyźni pokręcili z dezaprobatą głowami i żeby zamaskować swoje obawy rozejrzeli się wokół siebie.

- A gdzie podział się Michał? – zapytał Józwiak. – Gdzie jest Małgosia?

- Bolek – zaoponowała reszta towarzystwa. – Zostaw młodych na chwilę w spokoju. Muszą porozmawiać.

Młodzi nadeszli niebawem. Podjęto ustalenia co do działań przez najbliższe dni i umówiono się na 17-go lipca na kolejne spotkanie.

- Oby nie było już potrzebne – skomentował termin Baczkowski. – Urlop mi się kończy, a muszę jeszcze zawieźć córki do mojej matki. Zawsze jedziemy do niej przed 26-tym lipca, żeby być u matki na Anny. Matka ma imieniny.

- Ładne imię Anna – rozczulił się Mróz. – Miałem kiedyś dziewczynę o tym imieniu.

- A panowie nikogo podejrzanego po nocach nie wypatrzyli? – zapytała wyraźnie rozkojarzona Małgosia, gdy po kolei zaczęli się rozchodzić.

- To, co my w nocy widzimy nie jest dla porządných dziewczyn – uśmiechnął się do niej ojciec. – Ale na razie wszystko w normie.

Następnego dnia, w niedzielę, tłumy opanowały Mielno. Z autobusów PKS od rana wysypywali się spragnieni słońca i wody koszalinianie. Na plaży blisko głównych wejść trudno było znaleźć miejsce, na którym zmieściłby się koc. Dzieci krzyczały i biegały, obsypując piaskiem opalające się naoliwione ciała, lodziarze jeden przez drugiego wykrzykiwali hasła, wychwalając swoje, a w tak naprawdę te same, lody, w powietrzu fruwały dmuchane kolorowe plażowe piłki, a gwar rozmów i nawoływań konkurował z ryczącymi na cały regulator tranzystorami. Jednym słowem było tak, jak być powinno na cieszącej się powodzeniem plaży i tylko wrażliwcy uciekali w bardziej odludne miejsca, z utęsknieniem czekając na zachód słońca, po którym plaża pustoszała. Tu i ówdzie pojawiali się wtedy umęczeni całodzienną pracą Mielnianie i sezonowi pracownicy - blade nieatrakcyjne osobniki, próbujące szumem fal ukoić nerwy zszarpane przez roszczeniowych i protekcjonalnych względem nich gości.

Alicja, pięknie już opalona, szła wolniutko brzegiem morza w stronę Unieścia, omijając zamki z piasku, opiekunów pilnujących kąpiących się dzieci i wpadające pod nogi gołe

berbecie. Nastawiła się na spotkanie pana Adonisa, jak nazywała od poprzedniego dnia dojrzałego mężczyznę z Koszalina, chcącego się z nią umówić na kawę. Nie zawiodła się.

- Pani Alicjo! – usłyszała, będąc na wysokości ulicy Pionierów. – Pani Alicjo! Dzień dobry! Dokąd pani wędruje? Mogę pani potowarzyszyć?

Mężczyzna, atrakcyjny jak na swój wiek, stał przed nią i uśmiechał się, błyskając z opalonej twarzy zdrowymi białymi zębami.

- Dzień dobry – odpowiedziała ciepło, a w jej głosie zabrzmiała zachęta do dalszej rozmowy.
– Idę bez celu.

- Jeśli nie ma pani wyznaczonego celu, musi się pani zgodzić na moje również bezcelowe towarzystwo – powiedział kokieteryjnie. – Przypomnę pani, jako że z pewnością otacza panią tak wielki tłum wielbicieli, że ich imion nie jest pani w stanie zapamiętać, że mam na imię Emil. Tuszę, że moje imię łaskawie pani zapamięta, jako że jest stosunkowo rzadkie.

- Z pewnością je zapamiętam. Tym bardziej, że jak pan widzi, nie ma koło mnie żadnego wielbiciela.

- Tak piękna dziewczyna nie może być ani chwili sama. Będę pani giermkim – szarmancko oświadczył pan Emil.

Szli jakiś czas w milczeniu, uśmiechając się grzecznie do siebie, nadal w kierunku Unieścia. Plażowiczów ubywało. Zbliżała się pora obiadów w ośrodkach wypoczynkowych i prywatnych stołówkach.

- Wiem, gdzie w Unieściu serwują dobrą świeżą rybę – powiedział pan Emil. – Proszę mi nie odmawiać. Zjemy po rybce, a potem zapraszam na kawę i lody do „Muszelki”.

Ten pan Emil – opowiadała Alicja Małgosi, kiedy leżały już w łózkach – to chyba taki nieerotyczny Don Juan. Wystarczy mu towarzystwo młodej kobiety. Wdzięczył się do mnie cały czas. Dużo o sobie opowiadał. Nie ukrywał, że ma żonę i dzieci. Postawił obiad, kawę i lody, ale nie dobierał się do mnie i niczego sprośnego nie proponował.

- Uważaj. Cicha woda brzegi rwie – oświadczyła Małgosia. – Umówił się z tobą?

- Nie. I właśnie to jest dziwne. Odniosłam wrażenie, że nie ma wobec mnie żadnych planów i liczy tylko na przypadkowe miłe spotkania.

- Zobaczmy, zobaczymy. Pilnuj się, bo jak się nie będziesz pilnowała sama, to nikt cię nie upilnuje – stwierdziła kwaśno bardziej doświadczona starsza koleżanka.

Po niedzieli słoneczna pogoda utrzymywała się nadal i w poniedziałek Alicja rozpoczęła polowanie na Romana Kitowskiego. Wczesnym rankiem usadowiła się na prawie pustej plaży na wysokości ulicy Kościuszki i, we wdzięcznej pozycji, owinięta kolorowym ręcznikiem z powodu porannego chłodu, czytała książkę. Od czasu do czasu podnosiła głowę i rozmarzonym wzrokiem patrzyła na morze. Plaża była jeszcze prawie pusta. Kitowski, zgodnie ze swym zwyczajem, przyszedł na plażę w towarzystwie ładnej i zgrabnej dziewczyny, brunetki. Dziewczątka patrzyło w niego jak w obraz i grzecznie stało na brzegu zachwycone pięknymi ruchami pływaka. Kiedy Kitowski wyszedł z wody i wycierał ciało ręcznikiem podanym usłudze przez swą młodą towarzyszkę, zerknął raz i drugi na Alicję. Trzeci raz popatrzył na nią przeciągle. Nie spuściła wzroku i leciutko się uśmiechnęła.

- Jest mój - pomyślała. – Ciekawe, jak rozegra sytuację.

Mężczyzna jednak ją zaskoczył. Przeszedł obok niej obojętnie, trzymając za rękę swoją brunetkę.

- Cholera – zakłęła w duchu. – Znów będę musiała wstawać skoro świt, bo przecież nie mogę pojawić się znów już dziś w czasie jego wieczornej kąpieli. Byłoby to zbyt podejrzane.

Pozostała na plaży i czekała na Małgorzatę, która miała jej towarzyszyć przez kilka przedpołudniowych godzin. Nagle poczuła zimną dłoń na swoim ramieniu. Odwróciła się gwałtownie nieźle przestraszona, choć przecież wiedziała, że któryś z jej aniołów stróżów czuwa nad nią w ukryciu.

- Pani także lubi poranki nad morzem? – ni to zapytał, ni stwierdził Roman Kitowski.

Stał za nią wyprostowany i patrzył na morze. Dłoń, którą przed chwilą dotknął jej nagiego ramienia, trzymał w kieszeni białych spodni. Umięśniony korpus odziany był teraz w miękki błękitny sweter, który maskował jego siłę. Gołe zadbane stopy pewnie tkwiły w grząskim piasku.

- Przestraszyłem cię – przeszedł na „ty” , nie pytając o jej zgodę i nawet na nią nie spoglądając.

Alicja nie mogła zaprzeczyć, że zrobił na niej wielkie wrażenie. Był dojrzały, pewny siebie, męski, ale jednocześnie młodzieńczy i, pomimo trochę niedbałego i bezpretensjonalnego stroju, bardzo elegancki. Poczuła, że otacza go niewidzialna chmura przyjemnego zapachu.

- Facet z peweksu – pomyślała.

- Trochę mnie przestraszyłeś – złapała jego konwencję. – Nie podchodzi się do samotnej kobiety z tyłu. A gdzie się podziała twoja koleżanka? – zapytała, dając jasno do zrozumienia, że dobrze pamięta panienkę, która towarzyszyła mu podczas kąpieli.

- Ja nie mam koleżanek – odpowiedział. – Odesłałem tę małą do domu.

- Szkoda – odparowała natychmiast Alicja. – Miałam wrażenie, że jest do ciebie bardzo przywiązana.

- Co ty możesz wiedzieć o przywiązaniu – powiedział cały czas patrząc na morze. – Umiesz pływać? – zapytał, nie odrywając wzroku od wody.

Alicja zmieniła niewygodną pozycję, do której zmuszało ją patrzenie na niego, stojącego za nią nieruchomo i zapatrzonego w morską dal. Wstała i spojrzała mu prosto w twarz. Manewr, który wykonała intuicyjnie, zadziałał na niego natychmiast. Patrzył teraz na nią. Z jego twarzy zniknęła obojętność, a w oczach zamiast abnegacji, którą wcześniej słyszać było nawet w jego głosie, zabłysła iskierka zaskoczenia i zaciekawienia.

- Umiem pływać – odrzekła spokojnym głosem. – Bardzo dobrze umiem pływać. A dlaczego pytasz? Jesteś ratownikiem kobiet?

Roześmiał się. Jego twarz wydała jej się sympatyczna.

- Nie. Nie jestem ratownikiem kobiet – odpowiedział wesoło. – Po prostu szukam kogoś, kto umie i lubi pływać.

- Przecież masz pod ręką panów z WOPR-u – roześmiała się także.

- Wolę pływać w towarzystwie pięknych i inteligentnych kobiet – czarował ją teraz głosem i wzrokiem.

- Chyba ci ich nie brakuje – próbowała podtrzymać rozmowę Alicja.

- Słuchaj – rzekł poważnie i ujął jej dłoń. – Po co te podchody. Podobasz mi się i ja się tobie podobam. Spotkajmy się tu wieczorem. Pływam zawsze o 20-tej. Jest wtedy prawie pusto, woda wspaniała, księżyc wschodzi. Spodoba ci się.

- Dobrze – odpowiedziała. – Przyjdę.

Randka Alicji z Kitowskim wywołała alarm w całym zespole. Mróz, który był świadkiem ich porannego spotkania na plaży, a potem w czasie obiadu dowiedział się o spotkaniu wieczornym, natychmiast powiadomił Cichockiego i Baczkowskiego. Baczkowski udał się na posterunek i poinformował Szelca. Szelc zarządził, że on, jako uzbrojony funkcjonariusz, przejmie obserwację. Cichocki, doświadczony policjant, miał mu towarzyszyć. Reszta miała wypełniać swoje zwykłe zadania. Panowie odsunięci od bezpośredniego uczestniczenia w akcji byli oburzeni. Cichocki jednak był nieprzejednany.

- Nie możemy stracić czujności – przekonywał. – Wszyscy będziemy pilnować Alicji i Kitowskiego, a w tym czasie może zginąć jakaś niewinna dziewczyna.

Emocje opadły dopiero następnego dnia. Wieczorem dnia poprzedniego Kitowski i Alicja pływali w morzu prawie całą godzinę. Alicja, zgodnie z zaleceniem swoich opiekunów, nie chciała zbyt oddalać się od brzegu, więc wykonywali rajdy wzdłuż brzegu, trzymając się miejsca, w którym jeszcze nie załamują się fale. Kitowski pływał świetnie. Zachowywał odpowiedni dystans od Alicji. Wynurzał się jedynie od czasu do czasu, aby sprawdzić, czy dziewczyna za nim nadąża. Wyszli na brzeg w doskonałych nastrojach i rozstali się. Umówili się na wspólną kąpiel dnia następnego.

- Szczwany lis – komentował zdarzenie rozzłoszczony Marian, gdy w nocy siedzieli z Kazimierzem przed domem pod dębem i popijali wysokoprocentowy specyfik przygotowany przez gospodarza. – Urabia ją sobie. Dam sobie głowę uciąć, że niedługo ją zaatakuje. Musimy jej wszyscy dobrze pilnować. Boże! Nie wybaczę sobie, jeśli coś się jej stanie.

- Mów ciszej! Musimy zachować zimną krew – miarkował go Cichocki. – Uwierz mi. Nie możemy poddać się emocjom. Kitowski ją urabia, ale może po to, by ją uwieść. Chce się z nią przespać i tyle.

- Kaziu! – zawołał szeptem wzburzony Baczkowski. – Widzę, że on jej się spodobał! Co będzie, jeśli nam się wymknie! Nie upilnujemy jej. Zakochane dziewczyny są ślepe i głuche. Pójdzie za nim jak w dym i zginie!

- Alicja jest młoda, ale w odróżnieniu od innych panienek myśli trzeźwo – oponował Cichocki. – Musimy jej zaufać. Dotychczas nigdy nas nie zawiodła.

- Zakochane dziewczyny są nieobliczalne – podsumował Marian. – Obyś miał rację. Idę spać. Dobranoc.

Cichowski został na zewnątrz. Patrzył w roziskrzone gwiazdami lipcowe niebo, jakiego nigdy nie można było zobaczyć w Warszawie. Wypity alkohol przyjemnie rozpływał się po jego ciele. Wokół panowała niczym niezmacona cisza, która sprawiała, że słyszało się miarowy szum fal uderzających o brzeg.

- Taka cudowna noc – pomyślał. – Takie cudowne lato. Skąd się bierze zło, które niszczy naturalną harmonię świata. Zwierzęta podobno zabijają z głodu lub ze strachu. A człowiek? Dlaczego zabija? Wojna zmienia wszystko. Ludzie zabijają się nawzajem. Jedni atakują, drudzy się bronią. Ale teraz? Zabijać dla zabijania? Czyżby rację miał Freud? Nie panujemy nad naszą seksualnością? Musimy zaspokoić popęd? Ale dlaczego większość z ludzi chce zaspokajać żądze z kimś, kogo kocha, a inni, na szczęście nieliczni, muszą zabić, muszą nienawidzić albo pogardzać obiektem swego pożądania? *Unde malum*? Odwieczne pytanie filozofów.

4. Nowe tropy



Dwie panie Marie, Maria Król i Maria Okrzewska, po niedzielnych niesporach 6-tego lipca, wyszły z kościoła, otworzyły parasole i spojrzały na siebie. Zrozumiały się bez słów i, ruszając od drzwi kościoła, poszły w lewo przez przykościelny cmentarz. Zatrzymały się przy lastrykowym pomniku, pod którym spoczywały trzy dziewczynki. Utopiły się pierwszego dnia szkolnych wakacji w czerwcu 1961-go roku, mając zaledwie 9, 10 i 11 lat. Kobiety pomodliły się nad grobem dzieci i znów spojrzały na siebie.

- Pani Mario – odezwała się Królowa. – Wie pani, o czym myślę. Kolejna dziewczyna utopiła się, albo została utopiona,. Mam na myśli tę dzisiejszą i te dwie z poprzedniego roku. Może to

nieszczęśliwe wypadki, a może nie. Nie wiadomo. Ale trzeba coś zrobić. Ostrzec ludzi. Milicja nic nie robi, żeby zapobiegać takim nieszczęściom.

- Pani Mario – odpowiedziała Okrzeska. – Ja także jestem bardzo zaniepokojona. Nie wiem jednak, co robić. Mogłybyśmy wymusić na księdzu Bielińskim, aby podczas ogłoszeń parafialnych w przyszłą niedzielę zalecił ludziom ostrożność, poprosił o zwracanie uwagi na podejrzanych typów, o nie kąpanie się wieczorami i w nocy i tak dalej, ale przecież takie ogłoszenie wywoła masę plotek i, co gorsza, panikę. I to na początku sezonu. A przecież nie wiemy, co się naprawdę dzieje i czy są powody do paniki.

- Ma pani rację. Ostrzeganie wiernych w ogłoszeniach parafialnych wywoła same kłopoty. Księdzem zainteresuje się milicja. Zarzucą mu, że sieje niepokój. Ale co robić? Mamy beczynn timer czekać, aż znów ktoś znajdzie martwą dziewczynę!?

Kobiety zasępiły się i opuściły głowy. Deszcz przestał padać. Wiatr uspokoił się. Pogoda na poniedziałek zapowiadała się dużo lepsza niż ta niedzielna.

- Szczęść Boże! – usłyszały za sobą głos księdza. – Ja też się za nie często modlę.

Ksiądz Bieliński, który właśnie wyszedł z zakrystii i zobaczył swe dobre parafianki, zbliżył się i stanął obok. Przeżegał się i po cichu odmówił krótką modlitwę za zmarłych. Gdy skończył, zwrócił się do kobiet:

- Czym się panie martwią? Widzę, że macie jakiś kłopot.

- Proszę księdza – Okrzeska odwróciła się do proboszcza z całą werwą, na jaką pozwalała jej dostojna tusza. – Myślimy, co można zrobić, aby zapobiec następnemu nieszczęściu. Dziś znów znaleziono utopioną młodą dziewczynę. Pływała na pontonie, czy czymś takim. Nie wygląda to na wypadek, niestety.

- Zapraszam na plebanie. Tam porozmawiamy. Ale ja też nie wiem, co można by zrobić. Milicja podejmie śledztwo....

Wolnym krokiem trzy przygnębione postacie poszły w stronę plebani. Za nimi, pogrążając się w myślenie, ruszył pan Zimny, który zdążył już zgasić świece, pogasić światła i zamknąć główne drzwi do kościoła oraz boczne, prowadzące do zakrystii. Usiedli wszyscy przy stole w jadalni. Dwie mieleńskie matrony rozejrzały się dyskretnie, choć dobrze znały pomieszczenie, i po raz kolejny pomyślały o widocznym w nim braku kobiecej ręki. Ponieważ jednak natychmiast przyszła im też do głowy młoda Chłopińska i związane z nią domysły, szybko

przeszły do rzeczy. Ksiądz i kościelny wiedzieli o nowym wypadku. Obaj, co było do przewidzenia, zgodnie odrzucili pomysł ostrzegania wiernych podczas ogłoszeń.

- Niech się ksiądz do tego nie miesza – ostrzegał Zimny. – Narobisz sobie kłopotów – przeszedł na „ty”, bo uświadomił sobie, że są w zaufanym gronie i może używać codziennej formy. - Jedyne co możemy zrobić, to porozmawiać z ludźmi z Mielna i Unieścia, ale tylko tymi rozumnymi i rozsądnymi, a nie z plotkarzami.

- Ale co mamy im mówić? – dopytywała Królowa. – Żeby uważali, nie kapali się...

- Nie! – przerwała Królowej Okrzeska. – Trzeba ich prosić o informowanie milicji, a dokładnie komendanta Szelca, o osobnikach włóczących się po nocy, o podejrzanych zachowaniach, o wszystkim, co wydaje im się dziwne.

- Nikt na to nie pójdzie – skwitował pomysł proboszcz. – Ludzie nie pójdą z donosami na milicję.

- I właśnie dlatego musimy im uświadomić, że nie chodzi o donosy, lecz o informacje. Wszyscy w Mielnie znają Szelca. To porządny człowiek. Powinni mu pomóc – oponowała Okrzeska.

- Jak Szelc nie ma przykazu z góry, to nic nie będzie z tymi informacjami robił – ksiądz był najwyraźniej bardzo sceptyczny co do samodzielności mieleńskiego milicjanta.

- No to trudno – podsumowała Królowa. – Ale my zrobimy to, co do nas należy. Pomysł nie jest doskonały, ale przynajmniej realny. Ja będę rozmawiała z ludźmi. Oczywiście dyskretnie i delikatnie. Jeśli pani Maria i pan Zimny zrobią to samo, to można liczyć, że wieść o potrzebie zgłaszania podejrzanych przypadków rozejdzie się szybko wśród przyzwoitych i dyskretnych mieszkańców, którzy nie będą rozsiewać plotek i wywoływać paniki, ale uświadomią innym, że sytuacja jest wyjątkowa, że wymaga mądrej mobilizacji i współpracy z milicją. Ty – zwróciła się do księdza – nie bierz w tym udziału.

- Ale, ale! – zawołał Zimny i spojrzał na proboszcza. – Niektórzy prędzej zdecydują się przyjść do księdza niż pójść na milicję. Musisz się zgodzić, żeby ciebie informowali, a ty przekażesz Szelcowi.

- Nie odpowiada mi to, ale dobrze – zgodził się niechętnie ksiądz Bieliński. – Zgadzam się dla dobrej sprawy.

Od niedzieli 13-tego lipca do środy 16-go lipca na posterunek milicji w Mielnie zgłosiło się pięć osób, a każda z nich twierdziła, że ma ważne informacje, które pomogą w ujęciu przestępcy atakującego młode kobiety i topiącego je w morzu. Komendant Czesław Szelc był zadziwiony niespotykaną dotąd chęcią pomagania milicji oraz zaniepokojony nagłym upowszechnieniem się wiadomości, że utonięcia można uznać za morderstwa. Nie miał pojęcia, od kogo wiadomość pochodzi i dlaczego wywołała poruszenie wśród mieszkańców. Czekał na sobotnie spotkanie ekipy, aby przepytać jej członków i wykryć sprawcę niedyskrecji, która mogła zniweczyć wszystkie plany. Jednocześnie jednak stwierdził, że trzy z pięciu doniesień mogą przysłużyć się sprawie. Dwa pozostałe uznał za próby zemstczenia się za doznane krzywdy.

Za nieświadomą próbę skierowania milicji na fałszywy trop Szelc uznał doniesienie matki jednej z byłych młodych członkiń zespołu artystycznego „Ławica”. Matka dziewczyny twierdziła, że sprawcą śmierci młodych kobiet jest z pewnością mężczyzna, także dawny członek zespołu „Ławica”, który uwiódł jej niepełnoletnią córkę i wpędził ją w ciążę.

Szelc dobrze znał założyciela i prowadzącego zespół „Ławica” Władysława Turowskiego - animatora kultury muzycznej, koszalińskiego kompozytora, założyciela i dyrektora Ogniska Muzycznego w Koszalinie. Mistrz Turowski i jego małżonka aktywizowali także życie artystyczne Mielna, a zespół „Ławica” był tego najlepszym przykładem. Do zespołu należeli młodzi ludzie z Mielna i Unieścia, w tym żołnierze stacjonujących w Unieściu jednostek. Wspomagani przez zawodowych muzyków przygotowywali muzyczne spektakle reżyserowane przez mistrza Turowskiego, a duża część wykonywanych utworów była oczywiście jego autorstwa. Spektakle wystawiano nie tylko na miejscu – w mieleńskim kinie „Fala” czy na scenach Koszalina - ale także podczas gościnnych występów w Polsce. I właśnie podczas jednego z wyjazdów doszło do uwiedzenia młodocianej dziewczyny. Zakończony ciążą niefortunny romans mieszkającego w Koszalinie młodego, ale pełnoletniego i żonatego mężczyzny z siedemnastoletnią Mielnianką uznano za niepokojący sygnał niewłaściwego nadzoru nad moralnością członków zespołu, a zła opinia odbiła się na ogólnej kondycji kulturalnego przedsięwzięcia, także finansowej. Władze Koszalina nie lubiły skandali. Lekkomysłny amator młodzieżowych dziewcząt, który, jak Szelc doskonale wiedział, nie odpowiadał rysopisowi ewentualnego sprawcy domniemanych utopień - był niski, szczupły i miał kruczoczarne włosy - poniósł jednak prawne i prywatne konsekwencje swego czynu i teraz płacił na dziecko alimenty. Nie widywano go już w Mielnie.

Drugie doniesienie odrzucone przez komendanta złożyła dobrze mu znana młoda kobieta z Unieścia. Twierdziła, że jej mąż, podoficer WOP, nie cierpi kobiet i może być sprawcą potwornych czynów. Szelc bardzo jej współczuł. Wiedział, że przed kilkoma laty zaaranżowano ślub mało urodziwej panny z zawodowym wojskowym, który chciał w ten sposób przykryć swoje homoseksualne skłonności nietolerowane w wojsku. Niestety małżonkowie żyli teraz w fikcyjnym związku – rozwód także nie był w wojsku mile widziany – a kobieta czuła się oszukana i głęboko nieszczęśliwa. Jej małżonek także jednak nie pasował do charakterystyki sprawcy, a przede wszystkim do sposobu jego działania, który wymagał częstej obecności na plaży, umiejętności uwodzenia młodych kobiet oraz czerpania szczególnej przyjemności z ich uśmiercania i prowadzenia swojej okrutnej gry.

Interesujące natomiast okazały się trzy pozostałe doniesienia.

We wórek 15-go lipca wieczorem zgłosił się na posterunek jeden z pracowników Zakładu Gospodarki Komunalnej. Michał Sikora, który sprawował dyżur, od razu rozpoznał w nim owego wesołego faceta od sprzątania plaży, którego nazwiska nie zapamiętał.

- Dobry wieczór panie władza! – zawołał na widok Michała lekko wstawiony mężczyzna ubrany w swój roboczy strój, czyli drelichowe spodnie i biały kiedyś podkoszulek. – Pamięta mnie władzuchna?

- Pamiętam, pamiętam – odpowiedział posterunkowy i wpuścił interesanta do wewnątrz.

– Kiedy pan trzeźwieje? – zapytał, gdy usiedli po przeciwnych stronach biurka.

- A po co? – odpowiedział tamten, roześmiał się z własnego dowcipu, ale zaraz spoważniał i zakomunikował. – Mam ważną wiadomość. Pani Okrzeska kazała mi do was przyjść, więc jestem. Ale niechętnie, bo ja z szanowną milicją się nie zadaję.

- A po to, że nietrzeźwych nie obsługujemy – zażartował Sikora i dopytał:

– Z czym pan przychodzi? Czy to jest oficjalne zawiadomienie?

- Nie znam się na zawiadomieniach. Zrobicie z tym, co chcecie. Ja tylko powiem, co wiem i znikam.

- Dobrze. Ale ja muszę zaprotokółować. Nazwisko i imię?

- Zenon Wróbel. Ale po co wam to? – zaniepokoił się wesołek.- Niech władza niczego nie zapisuje. Nie chcę mieć kłopotów.

Sikora odsunął papier i długopis.

- No to co pan wie? – zapytał.

- Pani Okrzewska to porządna kobita – zaczął Wróbel. – Każdego szanuje. Nie to co inni. Zapytała mnie, czy nie zauważyliśmy, to znaczy ja z kolegami, co to plażę sprzątamy, czegoś dziwnego, czy jakoś tak. Komuś innemu, a już na pewno nie milicji, bym nie powiedział, ale Okrzewskiej nie okłamię, bo ona zawsze pomaga, kiedy jestem w potrzebie. To znaczy, nie to, żeby mi na wódkę dawała, co to, to nie. Ale tak po ludzku doradzi, pogada, pocieszy, pośmiej się. No to jej powiedziałem o pontonie i o kąpiącej się parze. A ona, żebym koniecznie opowiedział to Szelcowi, to znaczy komendantowi. No to przyszedłem. Ale nie chcę kłopotów z milicją.

- Dobrze pan zrobił. Żadnych kłopotów nie będzie. Proszę mi wszystko opowiedzieć, a ja komendantowi przekażę.

- Daje władza słowo honoru?

- Tak.

Informacje od Wróbla były bardzo interesujące, a komendant, który znał tego stale podpitego delikwenta, uznał je za wiarygodne. Wróbel powiedział, że sprzątający plażę pracownicy gospodarki komunalnej, czyli on i jego trzech koledzy, muszą korzystać czasami ze sprzętu pływającego, aby wyląwiać śmieci unoszące się na wodzie. W pierwszym tygodniu lipca, dwa albo trzy dni przed znalezieniem dziewczyny w pontonie, podpłynęli dla zabawy do budowli wodnej wystającej z morza w odległości około 150-ciu metrów od brzegu na granicy Mielna i Unieścia. Kiedy opływali dokoła stalowy walec, zobaczyli, że ktoś przywiązał do pływającej za nim bojki gumowy ponton. Zdziwili się, bo wcześniej go tam nie widzieli, choć bojka była tam od pewnego czasu. Jeden z nich – Wróbel nie chciał powiedzieć który – oznajmił wtedy, że takim pontonem pływa czasami Marek Szubka, rybak z Unieścia, który w tajemnicy przed żoną, wozi nim dziewczyny, żeby im zaimponować i żeby były łatwiejsze. Dlatego bardzo się wszyscy czterej zdziwili, gdy na tym właśnie pontonie – sprawdzili bowiem, że ponton zza budowli zniknął – znaleziono dziewczynę. Znali Marka Szubkę i myśleli, że jest to niegroźny erotoman. Nie chcieli mu zaszkodzić, więc o pontonie nie donieśli śledczym z Koszalina. Chłop miałby od razu przechlapane, a oni widzieli jeszcze coś, co raczej zdejmowało z Szubki podejrzenie. W nocy z soboty na niedzielę, kiedy zginęła Stefania Szczerbik, siedzieli po robocie na plaży i pili wódkę. Pogoda była marna, ale mieli

na sobie sztormiaki. Wróbel pamiętał, że nieźle uśmieiali się wtedy z dwojga ludzi – kobiety i mężczyzny – którzy w tak marną pogodę kąpali się w morzu. Widzieli ich z daleka, a że dodatkowo kryli się przed wiatrem i byli wstawieni, więc nie mogliby ich rozpoznać. Ale przysięgali, że tym mężczyzną z pewnością nie był Szubka. Jego rozpoznaliby natychmiast po sylwetce i ruchach ciała.

- Szubka tak śmiesznie macha łapami – perorował Wróbel. – No i garbi się, bo jest wysoki jak tyczka i chudy jak szkielet. A ta zapobiegliwa panna musiała mieć pod sukienką kostium do pływania, bo widzieliśmy, że zdjęła sukienkę i była gotowa. Nie tam żeby ściągała halkę i biustonosz, na co czekaliśmy, żeby sobie popatrzeć.

Dwie następne ciekawe informacje przyniósł na posterunek ksiądz Bieliński. Pojawił się z nienacką w piątek rano 16-go lipca przed drzwiami posterunku, zadziwiając niezmiernie komendanta Szelca. Komendant bowiem nigdy by się nie spodziewał, że sąsiad z naprzeciwka kiedykolwiek złoży mu wizytę. Nie pokazał oczywiście po sobie zaskoczenia wywołanego wizytą, zaprosił gościa grzecznie do środka i posadził przy biurku na krześle dla interesantów. Sam usiadł na swoim miejscu i o nic nie zapytał.

- Mam dla pana dwie wiadomości – zaczął ksiądz. – Obie pochodzą od osób, których nazwisk nie podam, bo one sobie tego nie życzą. Ale zapewniam, że są to osoby poważne i godne zaufania. Przyszły do mnie, gdyż nie chcą kontaktów z milicją.

- Rozumiem. Ale czego lub kogo te wiadomości dotyczą? – zapytał zaniepokojony Szelc, zastanawiając się, coż takiego musiało się stać, że ksiądz zawitał na posterunku.

- Ludzie w Mielnie są zaniepokojeni – dalej prowadził swój wywód mieleński proboszcz – nieporadnością milicji. W niejasnych okolicznościach utonęła następna dziewczyna. Pierwsza w tym roku, ale może nie ostatnia. A wy – spojrzał wymownie na Szelca – niewiele zrobiliście, aby zapobiec kolejnemu nieszczęściu. A tymczasem społeczeństwo do mnie się zwraca, bo z wami nie chce współpracować.

- Proszę księdza! – przerwał kapłanowi Szelc, nie ukrywając zniecierpliwienia. - Odsuńmy na bok wszystkie pretensje! O co chodzi?

- Chodzi o to, że postanowiliśmy, ja i kilku parafian, pomóc milicji w sprawie utonięć. Oczywiście tylko w imię wyższego dobra, jakim jest bezpieczeństwo ludzi. Poprosiliśmy dyskretnie, aby każdy, kto widział coś niepokojącego, zgłosił się na milicję, albo, jeśli nie chce z wami mieć nic wspólnego, do mnie.

- A! – zawołał komendant. – Teraz rozumiem, skąd nagle tyle zgłoszeń. To robota księdza i pani Okrzewskiej!

- Nie wiem, czy Okrzewskiej czy nie Okrzewskiej, ale efekt jest taki, że zgłosiły się do mnie dwie parafianki. Jedna powiedziała, że jej córki widziały na początku września zeszłego roku dziwnie wyglądającą postać. Kapały się w morzu wczesnym wieczorem, a obok nich przepłynął pod wodą ktoś w ogromnych okularach do nurkowania z rurką i w płetwach. Jednym słowem widziały nurka. Płynął od strony Unieścia. Może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że nurek podpłynął do jednej z dziewczynek i wciągnął ją pod wodę. Szybko ją puścił, ale dziewczyna bardzo się wystraszyła. Zachłysnęła się wodą. Dziewczynki szybko wyszły z morza, biegiem ruszyły do domu i opowiedziały o wszystkim matce. Matka zaniepokoiła się i zakazała kąpieli, ale córkom powiedziała, że to z pewnością był głupi żart, bo niepotrzebnie gapiły się na nurka i mogły go zdenerwować. Potem o wydarzeniu zapomniała.

- Czy może ksiądz podać nazwisko tej parafianki? To bardzo ważne!

- Nie mogę i nie chcę – padła zdecydowana odpowiedź. – Szukajcie nurka. Nie musicie niepokoić porządných ludzi.

- A co powiedziała ta druga kobieta? – zmienił temat komendant.

- Druga parafianka prosiła, żeby was powiadomił o osobniku, którego widział jej syn dokładnie w dniu, w którym utopiła się Bednarzowa. Powinno was to zainteresować, bo chyba wy też nie macie stuprocentowej pewności, czy rzeczywiście Bednarzowa popełniła samobójstwo. Nawet ja nie robiłem w jej przypadku trudności z pochówkiem. Ale do rzeczy. Otóż syn drugiej parafianki widział w niedzielę 27-go października zeszłego roku, a wtedy właśnie zniknęła Bednarzowa, młodego mężczyznę ubranego w jakiś obcisły czarny strój. Kupił on w kiosku Ruchu paczkę waty i poszedł ulicą Kościuszki w kierunku morza. Chłopak patrzył za nim i twierdzi, że skądś zna ten chód, ale nie potrafił powiedzieć, kto to był.

- Osobę tę – wtrącił Szelc – widział, jak się domyślam, syn Bończów.

- Możliwe, ale ja tego nie potwierdzam – obruszył się ksiądz Bieliński. – Wolałbym, aby milicja zostawiła Bończów w spokoju.

- Dobrze. Ale muszę wiedzieć więcej – zażądał milicjant. – Jakiego ten mężczyzna był wzrostu, jakie miał włosy, jak był zbudowany?

- Chłopak twierdzi, że był wysoki i miał silną sportową sylwetkę. Włosów nie widział. Mężczyzna miał na głowie czapkę nasuniętą głęboko na oczy, a od dołu twarz zasłaniał mu golf.

- A więc ubrany był w golf, tak?

- Tak mówi chłopiec. Że człowiek ten był ubrany w ciemne obcisłe spodnie, ciemny wełniany golf, czarną czapkę bez daszka, taką wciągana, i czarne buty. Wyglądał tajemniczo i dlatego go zapamiętał. Ale to wszystko, co miałem do powiedzenia. Żegnam – zakończył nagle proboszcz, wstał i udał się do wyjścia.

Po przekroczeniu progu posterunku ksiądz Bieliński rozejrzał się bacznie, sprawdzając czy ulica jest pusta. Nie chciał, aby ktokolwiek wiedział, że kontaktował się z milicją.

Po wyjściu księdza Bielińskiego Szelc szybko zebrał myśli. Następnego dnia, czyli w czwartek, pięć dni po poprzedniej naradzie, ekipa Cichockiego miała umówione spotkanie. Komendant wiedział, że tym razem informacji do przekazania i przerobienia będzie więcej niż poprzednio. Akcja, którą podjęli musiała się wkrótce skończyć, i to niezależnie od jej wyniku. Przeciąganie jej na następny, trzeci już tydzień, przekraczało ich możliwości i musiało zostać przez kogoś zauważone.

Od Cichockiego i Baczkowskiego wiedział, że wysiłki Alicji skierowane są teraz na Kitowskiego, bo wcześniej podejrzewany o podrywanie panienek w niecnym celu pan Emil, okazał się miłym miłośnikiem towarzystwa młodych kobiet i wielkim gadułą, który lubił mieć przy sobie zasłuchaną pannę. Nie starał się nawiązywać bliższej znajomości z Alicją. Prawdopodobnie miał już inną faworytkę, której mógł opowiadać o sobie to, co zwykł mówić wszystkim innym dziewczynom. Zresztą z grona podejrzanych wykluczał go wiek. Trudno było uwierzyć, że rozkochał w sobie Ewę Wypych. Znajomość z Kitowskim była bardziej obiecująca i Szelc, który na co dzień trzymał rozsądny dystans od pozostałych członków ekipy, miał nadzieję, że w czwartek dowie się, na ile potwierdzają się podejrzenia w stosunku do osoby warszawiaka. Nowe informacje, uzyskane dzięki apelowi księdza i jego pomocników, dobrze pasowały do Kitowskiego. Ukrywanie pontonu – Szelc postanowił, że przed czwartkowym spotkaniem ostro przepyta Marka Szubkę, choć nie sądził, aby ten był sprawcą – letnie pobyty w Mielnie, podrywanie panienek, nocne kąpiele, nurkowanie, a nawet pojawienie się w Mielnie jesienią w czarnym stroju, wszystko to układało się w spójną całość. Wystarczyło teraz przyłapać go na próbie następnego ekscesu.

W czwartek wczesnym rankiem komendant zostawił Michała Sikorę na posterunku, a sam udał się służbowym motorem z przyczepą na przystań rybacką. Wiedział, że zastanie rybaków przy łodziach, przy sieciach, albo przy wędzeniu ryb. Nie pomylił się. Marek Szubka reperował sieci, siedząc obok drewnianego domku na sprzęt. Bezpośrednio w pobliżu nie było nikogo, więc Szelc postanowił wziąć go na spytki z zaskoczenia.

- Gdzie jest twój ponton? – zapytał, podchodząc cicho i stając za plecami Szubki.

Szubka odwrócił się gwałtownie. Zobaczył Szelca i drgnął, jakby zamierzał rzucić się do ucieczki. Zrezygnował z niej natychmiast, widząc, że nie ma szans.

- Panie komendancie – odezwał się cicho. – Możemy wejść do szopy? Nie chcę, żeby ktoś słyszał. Powiem panu wszystko, jak na spowiedzi.

Szopa była ciasna i zagracona rybackim sprzętem. Stanęli w jej najdalszym ciemnym kącie za rozwieszonymi sieciami. Szelc z trudem oddychał gorącym i przesiąkniętym odorem ryb gęstym powietrzem. Zdjął czapkę i otarł chustką spocone czoło.

- Gdzie jest twój ponton? – zapytał raz jeszcze, przybierając tym razem groźny ton. – Wiem, że masz ponton. Taki sam jak ten, na którym pływała utopiona dziewczyna. A ty bardzo lubisz dziewczyny, co?

- Ale ja im nic nie robię. Ja tylko mam duże potrzeby, więc jeśli są chętne, to się z nimi zabawiam. Ale nigdy im nic nie zrobiłem! – zduszonym głosem wykrzyczał Szubka. - Jak Boga kocham! Nie mam z tym nic wspólnego!

- A jednak masz coś wspólnego! – podniósł głos komendant. – Pytam po raz trzeci i ostatni. Gdzie jest ponton?

- Ktoś go zabrał – wykrztusił Szubka. – Trzymałem go tu w tej szopie. Jak miałem potrzebę, to go szybko nadmuchiwałem pompką do dmuchania materaców i sobie pływałem. Ale zniknął. Ktoś go ukradł.

- Kiedy? – rzucił krótkie pytanie Szelc.

- Dokładnie nie wiem, bo miałem dużo roboty i nie miałem czasu na panienki, ale na pewno nie było go już na początku lipca. Sprawdziłem zaraz po tym, jak znaleźli tę dziewczynę na pontonie i mojego pontonu nie było.

- A więc ponton, na którym znaleźli martwą kobietę należał do ciebie – wolno i akcentując każde słowo powiedział Szelc i, zmieniając ton, ostro zapytał:

- Dlaczego nie powiedziałeś o tym milicji?

- Zaraz by mnie zamknęli – wymamrotał rybak. – Przecież pan wie. Nikt by nie uwierzył, że tego nie zrobiłem. Dostałbym czapę. Ale teraz to i tak już po mnie. Panie komendancie. Proszę. Niech pan mi uwierzy. Ja tego nie zrobiłem. Pokarało mnie za te panienki – zaskowyczał mężczyzna.

5. Narada



Czwartkowe nocne spotkanie dostarczyło wszystkim członkom ekipy sporo materiału do przemyślenia. Aby spokojnie podumać, usiedli w ścisłym kole na małej polance przed drugim bunkrem, który tym razem, kierując się ostrożnością, wyznaczyli na miejsce zbiórki. Światło księżyca przeświecało przez gałęzie drzew a spoglądając w górę widzieli fragmenty rozgwieżdżonego nieba. Noc była ciepła, bezwietrzna. Pokryta zeszłorocznymi liśćmi i igliwem ziemia trzymała jeszcze w sobie słoneczne ciepło. Jedynie od strony morza ogarniały ich od czasu do czasu fale chłodniejszego rzeńskiego powietrza. Zapach ściółki mieszał się wtedy z trudnym do określenia zapachem morskiej wody i rozgrzanego piasku.

Tym razem na spotkanie stawili się obaj mieleńscy milicjanci. Liczyli na to, że ich chwilowa nieobecność na posterunku nie zostanie odkryta, a sprawa, w którą są pozasłużbowo uwikłani wymaga teraz szczególnego zaangażowania. Michał, stęskniony bliskości, przytulał mocno siedzącą obok niego Małgosię. Alicja odsunęła się trochę od

Małgosi i lekko odwróciła głowę, aby ich nie krępować odruchowymi spojrzeniami. Szele, siedzący z drugiej strony przy Sikorze, kręcił się niespokojnie, wyraźnie niezadowolony z gestów czułości zakochanej pary. Cichocki opierał się plecami o ścianę bunkra, mając po prawej stronie Baczkowskiego, a po lewej Mroza, który także rzucał niezadowolone spojrzenia na córkę i jej partnera. Józwiak przycupnął przy Baczkowskim na pniu ściętej sosny. Kolejno, zaczynając od Cichockiego, wymienili się informacjami i uwagami.

- Alicja za chwilę powie więcej o swoich kontaktach z Romanem Kitowskim – zaczął Cichocki. – Obaj z Marianem pilnujemy jej teraz bardzo uważnie, ale nie możemy się z tym zdradzić, więc musimy się trzymać w pewnej odległości. Na szczęście na razie nie zauważyliśmy, żeby wykazywał jakieś niebezpieczne zamiary. Przeciwnie, zachowuje się bardzo poprawnie. Nie jest natrętny. Nie namawia na nocne kąpiele. Alicja kąpała się z nim cztery razy w kolejne cztery wieczory, dostosowując się do jego zwyczajów. Ostatni raz dzisiaj.

- Tak – potwierdziła dziewczyna. – Kitowski bardzo dobrze pływa i lubi mieć towarzystwo, a dokładniej mówiąc, lubi towarzystwo ładnej panienki, która docenia jego umiejętności. Myślę, że jestem dla niego wymarzoną towarzyszką, bo nie dość, że go podziwiam, to także mogę z nim pływać na dłuższe dystanse. Tak jak powiedział pan Cichocki, zachowuje się bez zarzutu. Prawi mi oczywiście komplementy, ale bez żadnych podtekstów, no wiecie, takich seksualnych. Lubi rozmawiać, a ja staram się mu zaimponować swoją inteligencją, więc dużo żartujemy i śmiejemy się. Czasami bierze mnie za rękę, kiedy wychodzimy z morza. Robi to bardzo naturalnie. Raz wprost zaproponował mi wspólne śniadanie, co było oczywiście zaproszeniem do spędzenia z nim nocy, ale obróciłam to w żart. „Musisz sobie znaleźć inną dziewczynę do łóżka” powiedziałam. „Ja wolę z tobą pływać, przynajmniej na razie” dodałam śmiejąc się.

- Jak zareagował? – Baczkowski niecierpliwie rzucił pytanie.

- Roześmiał się i powiedział, że na moje „na razie” mam mało czasu, bo przecież prawdopodobnie niedługo wyjeżdżam. Potwierdziłam.

- Podałaś mu dokładną datę swojego wyjazdu? – dodał swoje pytanie Cichocki.

- Nie. Powiedziałam, że przyjechałam do koleżanki na około dwa tygodnie i niebawem wracam do domu.

- Czy rozmawia z tobą o swojej sytuacji rodzinnej? Czy wypytuje o twoje sprawy? Chce się z tobą zaprzyjaźnić, spotykać po lecie? Mówi wiersze? Pyta o twoje problemy w życiu? – kontynuował wywiad przedwojenny policjant.

- Nie. Rozmowy dotyczą raczej rzeczy obojętnych, a nie osobistych. Rozmawiamy o muzyce, sztuce, filmach, podróżach. Zna się na tym. Można powiedzieć, że jest światowcem i lubi się popisywać wiedzą. Muszę przyznać, że robi to z klasą i naprawdę dużo wie. Ale muszę wam powiedzieć coś jeszcze. Dziś rano opalałyśmy się z Małgosią na plaży strzeżonej na wysokości ulicy Kościuszki. Poszłam się wykąpać sama, bo Gosia nie chciała. Dopłynęłam do czerwonej bojki, przy której zwykle stoją ratownicy w łodzi i pilnują, żeby nikt za nią nie wypływał. Usłyszałam gwizdek, więc wynurzyłam się i rozejrzałam. Ratownik na łodzi był sam i to on na mnie zagwizdał. Dał mi znak ręką, że zaprasza na łódkę. Zawahałam się, ale pozwoliłam się wciągnąć na łódź i usiadłam na ławeczce. Ratownik siedział na środkowej przy wiosłach. „Dobrze pływasz” powiedział i ładnie się uśmiechnął. Potem nagle zapytał: „Po co zadajesz się z tym partyjniakiem z Warszawy? Nie wiesz, że to niezły podrywacz? Radzę uważać”. „Pływam z nim i tyle. Zresztą nie muszę się tobie tłumaczyć. A tak przy okazji zapytam, czy my jesteśmy po imieniu”. „Mam na imię Marek, a ty jesteś Alicja. Słyszałem, jak zwraca się do ciebie twoja koleżanka. Dawno się znacie z Małgorzatą Mróz?”. „Obserwujesz mnie?” odpowiedziałam pytaniem na pytanie. „Tylko na ciebie patrzę” rzekł i znów się uroczo uśmiechnął. Potem zapytał mnie skąd przyjechałam, na jak długo, co studiuję i gdzie. Odpowiadałam na jego pytania trochę wymijająco, ale zgodnie z ustaloną wcześniej z panem Cichockim legendą. Wreszcie powiosłował do brzegu i wysiadłam z łodzi. Zauważyliście, jak sędzę, że ten Marek ma wspaniałą sportową sylwetkę. Myślę, że podpada pod opis pani Bednarzowej, pod opis z pamiętnika Ewy Wypych oraz jej przyjaciółek.

- Tak – potwierdził Baczkowski. – Jest bardzo przystojny. Bardzo często widuje się go w towarzystwie ładnych dziewczyn. Najładniejsze dziewczyny kręcą się przy stanowiskach ratowników. Widziałem, jak siedziałaś w jego łodzi i jak z niej wysiadałaś. Później już z nim nie rozmawiałaś.

Alicja skinęła głową i powiedziała:

- Nie podszedł do mnie więcej, a ja nie chciałam się narzucać.

Komendant Szelc opowiedział zebranym o doniesieniach, które otrzymali, on i Michał, dzięki akcji księdza Bielińskiego i jego zaufanych parafian. Nowe informacje zrobiły duże wrażenie. Bolesław Jóźwiak potwierdził zaginięcie pontonu należącego do Marka Szubki.

- Znam dobrze tego seksualnego maniaka – powiedział. – Wszyscy poza jego żoną wiedzą, że szuka łatwych zdobyczy. Ale dobrzeście zrobili nie aresztując go. Dopóki nie znaleźli tej dziewczyny w pontonie, to on specjalnie nie ukrywał, że ktoś mu ponton podwędził. Kłął na czym świat stoi. Sam słyszałem. Gdyby on ją załatwił, to by raczej siedział cicho. Nikt by przecież w tej jego graciarni nie sprawdzał, czy ma ponton, czy nie. A on na głos wyzywał złodziei. Dlatego żaden z nas, rybaków, nic nie mówił milicji. Szkoda nam było chłopca. Dziwkarz, ale jednak swój.

- Dziwna ta kradzież pontonu – stwierdził Michał Sikora. – Ustaliliśmy poprzednio, jeszcze w Kołobrzegu, że jeśli mordercą byłby ratownik, to miałby własny, to znaczy służbowy, sprzęt, którym przewiózłby Joannę Woźniak, pierwszą ofiarę, z Unieścia pod Mielenko. Po co więc tym razem miałby kraść ponton. Kitowski też mi nie wygląda na takiego, co włamywałby się do drewnianej rybackiej chaty po dmuchany ponton i trzymałby go w ukryciu za budowlą hydrotechniczną. Warto przemyśleć od nowa całą sprawę. Mamy teraz dodatkowe dwie tajemnicze osoby. Złośliwego nurka, który rok temu, nie wiadomo dlaczego, zaczepił kąpiące się dziewczynki i tajemniczego osobnika ubranego na czarno, który mógł przyjechać jesienią do Mielnia, żeby utopić Bednarzową. Oczywiście tylko z jednego powodu. A mianowicie, żeby go nie rozpoznała w następnym sezonie, czyli teraz.

- Ukradł ponton, żeby zaskoczyć wszystkich, a przede wszystkim milicję, nową inscenizacją swego czynu. Ofiara także nie była typowa – rzekł Cichocki. – Nie wiem dlaczego nie mógłby zrobić tego Kitowski. Mógłby to także zrobić któryś z ratowników. Zostawienie ofiary w służbowej łodzi skierowałoby na ratowników uwagę śledczych i byłoby za proste. On najwyraźniej lubi wymyślać łamigłówki. Z Kitowskim jest jeden problem. Jeśli Bednarzowa zginęła, bo widziała mordercę, to on musiałby jakoś ją śledzić, żeby znaleźć okazję do zabójstwa. Musiałby zainstalować się jesienią w Mielnie. Obserwować ją. Ktoś by go zauważył, bo ludzie z Mielnia go znają. Szybko też można sprawdzić, czy opuszczał na dłużej Warszawę i to w tym właśnie czasie.

- Też tak myślę – poparł kolegę Szelc. – Albo Bednarzowa rzeczywiście popełniła samobójstwo, albo to nie Kitowski ją utopił. A musimy trzymać się założenia, że działa jedna osoba, czyli że morderca Joanny Woźniak, tajemniczy N z dzienniczka Ewy Wypych, czarno odziany typ, który przybył do Mielnia usunąć jedyne świadka, aby móc w nowym sezonie podjąć swój proceder oraz złodziej pontonu, no i jeszcze podejrzanie zachowujący się nurek, to ten sam człowiek. Pytanie brzmi: kto to jest?

- A co wiemy o ratowniku Marku? – zapytał Mróz, przerywając przeciągające się milczenie.
– Ostrzegał Alicję przed Kitowskim i zadawał jej mnóstwo pytań.

- Sprawdzalem go – oświadczył Michał Sikora. – Nic na niego nie mam. Młody zwykły chłopak z Koszalina z bardzo skromnej rodziny. Ma rodzeństwo, siostrę i dwóch braci. Skończył technikum budowlane i poszedł do pracy. Pracuje w składzie budowlanym. Dorabia jako ratownik na pływalni miejskiej w Koszalinie. Do Mielnia pierwszy raz przyjechał rok temu. W tym roku także wziął dłuższy urlop – chyba bezpłatny – i zatrudnił się jako ratownik na mieleńskiej plaży.

- A więc pojawił się w Mielnie rok temu i właśnie wtedy wszystko się zaczęło – skomentował Mróz. – Tak mu zależy na byciu w Mielnie, że bierze w pracy bezpłatny urlop.

- Nie jestem pewny czy wziął bezpłatny urlop – sprostował Sikora. – Ale rzeczywiście coś jest na rzeczy. Może trzeba raz jeszcze przyjrzeć się bliżej jemu i temu drugiemu ratownikowi z Koszalina, który jest kierownikiem. Pracuje na WSI w Koszalinie i też dorabia na pływalni w Koszalinie. Ma dobrą opinię. Nie jest nazbyt towarzyski, ale nikt o nim nie powiedział złego słowa. Może dlatego jest samotnikiem, że miał ciężkie dzieciństwo. Jego ojciec popełnił samobójstwo. Zarzycki miał wtedy jakieś siedem lat. Może wy znajdziecie starego Zarzyckiego? – Michał spojrzał na Mroza, Baczkowskiego i Józwiaka. – Podobno miał w Mielnie fermę lisów czy norek.

Mróz pokręcił przecząco głową, ale znać było po nim, że się zawahał. Spojrzał przy tym uważnie na Małgorzatę, jakby chciał dostrzec jej reakcję. Baczkowski także zaprzeczył, bo osiadł w Mielnie dopiero przed dziesięcioma laty. Jedynie Józwiak powiedział:

- Coś pamiętam. Była w Mielnie na łakach ferma lisów. Prowadził ją taki obrotny cwany gość z Koszalina. Mówiło się o nim, że zna wszystkich ważniaków i robi z nimi interesy, że przesiaduje u Czarnej Janki. Czarna Janka prowadziła wykwintny, jak na tamte czasy, burdel – wyjaśnił.

- I co? Taki cwany i całkiem jeszcze młody gość popełnił samobójstwo? – zdziwił się Baczkowski.

- Tak. Powiesił się właśnie na tej swojej fermie. Ale sprawa szybko ucichła – rzekł Józwiak.

- I to był właśnie ojciec Artura Zarzyckiego? Jesteście pewni? – zaniepokoiła się Małgorzata.

- Pewności nie mam, ale to bardzo prawdopodobne – zwrócił się do niej natychmiast Michał.

- Trzeba Wilczyńskiego jeszcze raz prześwietlić – zdecydował Cichocki. – Jutro wcześniej rano pojadę do Koszalina. Najpierw sprawdzę swoimi kanałami w Warszawie, czy Kitowski brał wolne, lub miał delegację w czasie, kiedy zginęła Bednarzowa. Sprawdzę papiery Wilczyńskiego, pogrzebię w milicyjnych archiwach, przejrzę stare gazety i wydobędę też akta Artura Zarzyckiego. Wrócę późnym wieczorem. Czy możesz pomóc Marianowi pilnować Alicji? – zapytał Szelca.

- Michał się tym zajmie – zarządził komendant.

- Dobrze. A więc Gienio i Bolek patrolują nocą plażę, Marian z Michałem pilnują Alicji. Małgosia ich wspiera, a Czesio ma służbę. Alicja, jak zawsze, ma najtrudniejsze zadanie, choć nie wygląda na niezadowoloną – zażartował przedwojenny policjant. – Otaczają ją sami przystojniacy. Alicjo – poprosił - zwróć jutro większą uwagę na Marka Wilczyńskiego. Powiedz mu, jeśli nadarzy się okazja, że wkrótce wyjeżdżasz. Na przykład, że wracasz do domu na 22-go lipca, bo twoi rodzice zawsze uroczyste obchodzą najważniejsze święto państwowe, czyli kolejne rocznice ogłoszenia manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego.

- Tego nie powiem – zaprotestowała dziewczyna. – Wyjdę na idiotkę.

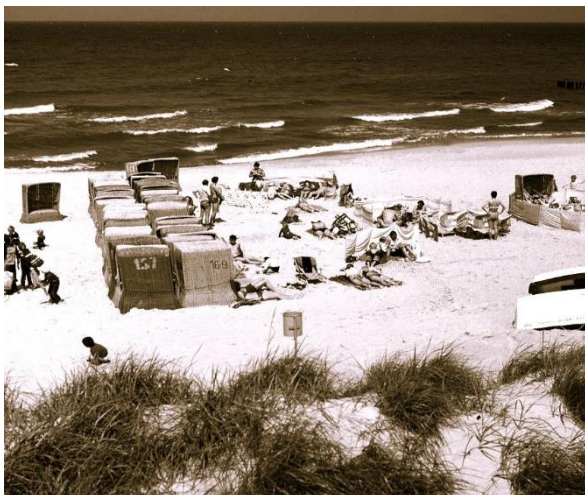
- Słuchaj – perswadował Cichocki. – Co ci zależy? Przecież ty masz go tylko sprowokować. A jeśli to on, to powinna go taka informacja rozwścieczyć, bo zeszłoroczne, i zdaje się typowe jego ofiary, były córkami partyjniaków. Jeśli to nie on, to wyjedziesz i zapomnisz o kompromitacji.

- Czy to nie przesada? – Baczkowski zwątpił w celowość uwypuklania sprawy partyjniactwa fikcyjnych rodziców Alicji. – Przecież wszyscy wiedzą, że Manifest i Komitet wymyślił Stalin. PKWN powstał w Moskwie i Manifest PKWN po podpisaniu przez Stalina też najpierw w Moskwie został ogłoszony.

- To nie ma nic do rzeczy – zaproponował dawny policjant. – Dla partyjniaków święto PKWN było, jest i będzie bardzo ważne. Alicja może się poskarżyć na rodziców, że karzą jej brać udział w uroczystościach, że ją zmuszają i tym podobne. To powinno także na niego podziałać.

Zadania zostały podzielone, godzina stawiała się późna, więc kolejno wstawali z ziemi, otrzepywali ubrania i rozchodzili się, lekko drżąc od nocnego chłodu.

6. N



Od dziesięciu dni obserwował zgrabną ładną blondynkę, która defilowała brzegiem morza, popisywała się pływackimi stylami i opalała z Małgością Mróz.

- Skąd nagle Mrozówna wytrzasnęła taką piękną i beczelnie pewną swą urody koleżaneczkę? – zastanawiał się.

Małgorzata Mróz, którą w tym sezonie często widywał na plaży, była skromną i spokojną dziewczyną, a przynajmniej nie taką, które go podniecały i wkurzały najbardziej. Nie paradowała po plaży, przyciągając wzrok wszystkich facetów, aby wzbudzić w nich pożądanie. Nie rzucała się do wody, wyprężając zgrabne ciało. Wiedział, że latem, jak każda porządna dziewczyna w Mielnie, pracuje, aby pomóc rodzicom. Nie była taka, jak te pewne siebie szczupłe i ładne blondynki z długimi włosami, które prawie nagie, sprawnymi ruchami dobrych pływaczek, prowokacyjnie wyginały ciała w wodzie. Podziwiał je wtedy i jednocześnie ich nienawidził, bo stawał się zależny od ich widoku, od patrzenia na ich bezwstydną, wyzwoloną z wszelkich ograniczeń i nieposkromioną ciała. Ciała te wzywały go, aby je uspokoić, aby stały się powolnym mu pięknym obiektem, aby utraciły swą wyzywającą niepokohamowaną seksualność. Umiał tego dokonać. Przeżywał wtedy najwspanialsze chwile wielkiego uniesienia i bezgranicznego zaspokojenia. Nie mógł sobie ich odmówić. Korzystał on i korzystały dziewczyny. Stawały się spokojne, aseksualne i piękne jak posągi.

Był z natury skończonym estetą. Obiekt jego zainteresowania musiał spełniać ściśle określone warunki. Nie zwracał uwagi na to, co przeciętne, lecz tylko na to, co wyjątkowe. Taki był od kiedy pamiętał. Pierwsza dziewczyna - a był wtedy bardzo młody – która zakochała się w nim bez pamięci, była właśnie taka, wyjątkowa. Wszyscy się za nią oglądali, gdy szła ulicą. A jemu poddała się bez oporu. Najpierw jednak zachwyciła go uległością, a

potem zaczęła sprawiać kłopoty. Utopił ją, gdy latem byli razem na obozie młodzieżowym w Łazach. Miał do tego prawo. To on nauczył ją pływać, a ona okazała się niewdzięczna. Miała do niego pretensje i zaczęła domagać się większej niezależności. Musiał więc ją ukarać. Nie spodziewał się, że przeżyje wtedy coś aż tak wyjątkowego.

Poszli na plażę nocą, gdy cały obóz zasnął. Rozebrali się i wypłynęli daleko w morze. Tam zbliżył się do niej i przytrzymał jej głowę pod wodą. Na początku w ogóle się nie broniła. Sądziła chyba, że to żart, bo czasami rywalizowali ze sobą, kto dłużej wytrzyma pod wodą na jednym oddechu. Pozwolił jej wypłynąć na chwilę i zaczerpnąć powietrza, a on w tym czasie zanurkował i chwycił ją od dołu. Ich ciała splotły się jakby w miłosnym uścisku, a on, gdy słabła i cichła, przeżył wielką rozkosz i ukojenie. Była taka piękna. Pływał wokół jej wiotkiego ciała i podziwiał jego niewiarygodny spokój. Długie włosy okalały jej cudowną twarz, której nie zniekształcały żadne grymasy. Mógłby pozostać z nią w wodzie na wieki. Musiał jednak działać. Przyholował ciało do brzegu i zaczął reanimację. Potem pobiegł do obozu i wezwał pomoc. Nie umiał jeszcze wtedy wykorzystać całego estetycznego potencjału zdarzenia. Wszyscy się zbiegli. Zrobiło się niesamowite zamieszanie. Następnego dnia przyjechali rodzice dziewczyny i mieli do niego pretensje. Znienawidził także ich, butnych, ustawionych partyjnych działaczy, którzy byliby go najchętniej wsadzili do więzienia.

Teraz działał z rozmysłem i bawił się ślepotą oraz bezradnością milicji. Nowy sezon zaczął od żartu. Nie planował go, a tylko wykorzystał nadarżającą się okazję. Zazwyczaj unikał barów i restauracji, ale tego wieczora wyszedł na spacer w kierunku Unieścia i przyszła mu ochota na kieliszek wódki. Zrobiło się późno, a noc była, jak na początek lipca zimna, wietrzna i deszczowa. Wstąpił więc na jednego do baru „Muszelka”. Nie zamierzał tam długo siedzieć, bo była to zadymiona i śmierdząca ludzkimi wydzielinami speluna. Zauważył dziewczynę przeciętnej i raczej wiejskiej urody, która jednak bardzo ładnie tańczyła. Wyszedł za nią, gdy nagle opuściła bar, dogonił ją i zagadnął.

- Ładnie pani tańczy – powiedział. – Nie chce pani zostać dłużej?

- Muszę jutro rano wstać – odpowiedziała trochę onieśmielona. – Pracuję tu niedaleko w „Sawie”.

Nie miał pojęcia, co o jest „Sawa” i gdzie jest, ale nic go to przecież nie obchodziło, więc nie dopytywał, lecz od razu zaproponował:

- A może da się pani namówić na krótki spacer nad morze. Będzie pani lepiej spała i przewietrzy płuca po tym zadymionym wnętrzu.

Wiedział, że się zgodzi. Patrzyła na niego z zachwytem. Prawdopodobnie nigdy wcześniej nie zainteresował się nią tak przystojny i dobrze wychowany mężczyzna. Z politowaniem patrzył na jej sukienkę w grochy i podniszczone buty. Poprosił, żeby zaczekała. Wrócił do „Muszelki” i kupił butelkę wódki.

- Na rozgrzewkę – powiedział.

- Ja nie piję wódki - zaproponowała, ale nie miał zamiaru się tym przejmować,

Jakże był mile zaskoczony, gdy pomimo zimna zgodziła się na wspólną kąpiel. Zdjęła sukienkę, a pod nią miała jednoczęściowy strój kąpielowy.

- Dobrze, że włożyłam kostium pod sukienkę – powiedziała, chichocząc denerwująco. – A włożyłam go, żeby mi było cieplej. Nie wzięłam z domu płaszcza.

Roześmiał się także, choć nie było mu do śmiechu. Otworzył butelkę, udał, że pociąga z niej spory łyk i podał dziewczynie. Nie protestowała. Napiła się ostrożnie i oddała. Znów zamarkował picie i podał jej. Ośmieliła się i znów łyknęła. Butelka przechodziła od niej do niego i od niego do niej, a dziewczyna była coraz bardziej rozmowna i rozweselona. Wskoczyli ze śmiechem do wody. Pływała nieźle krytą żabką. Popłynęli w stronę budowli hydrotechnicznej i tam zobaczył ponton przywiązany do bojki. Wtedy właśnie pomyślał, że może jeszcze sprytniej zakpić sobie z milicji i umieścić tę niewydarzoną dziewczynę na pływającym pontonie. Przyjemność z jej utopienia miał niewielką. Potem podholował ciało do brzegu, wrócił po ponton, ułożył w nim ciało, polał resztką wódki, zepchnął na wodę i odholował ponton na morze.

- Ciekawe, dokąd zniosą go prądy – pomyślał, wychodząc na brzeg. Ubrał się, sukienkę i buty dziewczyny porzucił na wydmach i przysypał trochę piaskiem.

- Nawet jej nie uczesałem – wyrzucał sam sobie, bo lubił wykończoną robotę. Usprawiedliwiał się jednak tym, że nie miałby żadnej przyjemności z dodatkowego kontaktu z tak przeciętnym ciałem. Nie tak, jak w przypadku hipiski, czy młodziutkiej i romantycznej Ewy. Były prawdziwymi dziełami sztuki. Oczywiście dopiero wtedy, gdy się nimi zajął.

Długi i dobrze wyreżyserowany spektakl z Ewą był największym dotychczasowym jego dziełem. Ale to Joanna sprawiła, że zrealizował swe pragnienie perfekcyjnego końca

działa. Kiedy zobaczył ją idącą brzegiem, a potem pływającą z gracją i swobodą, wiedział, że musi ją mieć. Poszedł za nią późnym wieczorem, a właściwie już nocą, gdy ruszyła od ogniska na samotny spacer. Musiała czuć jego spojrzenie na swoich plecach, bo często odwracała się i spoglądała na niego zachęcająco. Ale zbliżył do niej dopiero na rybackiej przystani. Stanęli przy jednej z łodzi, rozmawiali, potem weszli do łodzi i całowali się, kryjąc się w niej z cichym śmiechem przed kilkoma przechodzącymi obok osobami. Potem zgodnie postanowili, że popływają. Ubrania zostawili w łodzi. Zabrał je stamtąd, jak już było po wszystkim. Jej rzeczy wyrzucił następnego dnia w lesie. Płynęła za nim, a on kierował się coraz dalej, w stronę Mielenka. Nie była tym zmartwiona. Podążała za nim bez sprzeciwu. Od czasu do czasu odwracali się na plecy i odpoczywali, patrząc w rozgwieżdżone niebo. Jej włosy wymknęły się spod krępującej je gumki i rozpląwały wokół głowy. Walka była krótka i bardzo pobudzająca. Potem zostawił ją na brzegu, a sam usypał piękny wał z piasku. Przeniósł ją na rękach, ostrożnie ułożył ciało we wdzięcznej pozycji, uczesał palcami długie włosy i rozłożył je symetrycznie po obu stronach głowy. Wyglądała ślicznie. Wygrał jeszcze wiązką gałęzi piasek wokół, tak jak jego matka grabiała zawsze ziemię przy rodzinnych grobach. Stojąc już w wodzie, patrzył na piękno stworzonego przez siebie obrazu. Gwiazdzista noc, cicha plaża, delikatny, uspokajający szum morza i samotna postać pięknej dziewczyny w zimnym świetle księżyca. Wiedział, że musi powtórzyć scenerię, o ile spotka dziewczynę wartą zachodu. Niestety, nikt godny uwagi szybko się tamtego lata nie pojawiał.

Ewę zostawiał sobie na koniec lata, bo chciał jak najdłużej rozkoszować się jej zachwytem i uległością. Lepił jak glinę tę odważną i poważną, pomimo młodego wieku, panienkę. Zakochał się w nim tak mocno, jak ta pierwsza. Była śliczna i świeża. Bawiło go wymyślanie historyjek o ich wspólnym życiu i przekonywanie jej, jak bardzo musi uważać, aby nie zdradzić nikomu ich znajomości. O tym, że prowadziła pamiętnik czy dzienniczek, w którym rozwodziła się nad ich znajomością, dowiedział się z gazet i wpadł we wściekłość, że mu o tym sama nie powiedziała. Sądził bowiem, że od kiedy się bliżej poznali ma nad nią całkowitą kontrolę. Miała szczęście, że nie wiedział o tych zapiskach w ostatnim dniu jej życia. Był pewien, że nie potraktowałby jej ciała z takim pietyzmem. Nie położyłby jej malowniczo pomiędzy dwiema łodziami, nie upozował i nie uczesał. Musiałby ją ukarać.

Myśl o tym, że nie będzie mógł swobodnie działać w następnym letnim sezonie doprowadzała go do szaleństwa. Dlatego z niechęcią, ale z konieczności, usunął Bednarzową. Całe Mielno wiedziało, że widziała Ewę idącą z młodym przystojnym mężczyzną do Unieścia. Na szczęście nie rozpoznała go. Był ostrożny i bardziej inteligentny od innych.

Potrafił też trochę zmienić swój wygląd, kiedy wiedział, że wychodząc z Ewą, może spotkać kogoś, kto go zna. Ale nie chciał kusić losu. Bednarzowa była plotkarką i wścibską babą. Mogła nagle doznać olśnienia na jego widok.

Zmarnował na tę babę całą niedzielę. Na szczęście tylko jedną. Ale i tak tracił już cierpliwość, gdy nazbyt długo musiał czekać pod jej domem. Nie wiedział, czy wyjdzie, a jeśli wyjdzie, czy będzie sama i czy uda się w jakieś dogodne dla niego miejsce. Namawianie starej baby na wspólny spacer nad morze nie wchodziło w grę. Musiał więc ją zaskoczyć. Przechodząc obok kiosku Ruchu kupił paczkę waty. Była mu potrzebna, nasączona eterem, do zatkania jej ust i nosa. Wreszcie doczekał się. Bednarzowa wyszła i jakby czytając w jego myślach, ruszyła prosto nad morze. Wiał zimny wiatr i zaniepokoił się, że zrezygnuje ze spaceru, ale ona weszła na plażę, przebrnęła przez piach nad brzeg morza i poszła brzegiem w stronę Unieścia. Przystawała od czasu do czasu, rozgarniała wodorosty i szukała bursztynów. Zaskoczył ją, kiedy pochyliła się nisko nad jakimś znaleziskiem. Nie zdążyła nawet jęknąć. Trudności zaczęły się później. Zaciągnął śpiące babsko na wydmy, wydmami przewlókł jak najdalej od głównych wejść na plażę, a kiedy zupełnie się ściemniło, wrócił z nią na brzeg morza, rozebrał się i wypłynął. Porzucił ją kilkadziesiąt metrów od brzegu. Chyba ocuciła ją zimna woda, bo zaczęła się miotać, ale nasiąknięte wodą ubranie krępowało ruchy, a oszołomienie nie pozwalało na zorientowanie się w sytuacji. Nie sprawiła mu już więcej kłopotów. Stał przez chwilę na brzegu i patrzył na unoszący się na wodzie nieruchomy tłumok. Z przyjemnością włożył ciepłe wełniane ubranie, czapkę i wygodne sportowe buty.

Koleżanka Mrozówny stawiała się coraz bardziej irytująca. Widział, jak spaceruje ze starym błaznem z Koszalina, a od trzech dni codziennie wieczorem pływa z Kitowskim. Ten warszawski elegant zaliczał różne głupiutkie panienki, ale nie wchodził mu do tej pory w drogę. Teraz wyrywał mu najlepszą zwierzynę. Na to nie mógł pozwolić. I tak czekał już zbyt długo i zaczął obawiać się, że dziewczyna wkrótce opuści Mielno. Przez pierwszy tydzień nie zbliżał się do niej ze względu na Małgoškę, która rok wcześniej poznała młodego milicjanta, a i zimą, jak się dowiedział przypadkowo od kolegi, nadal się z nim spotykała. Milicjant miał na imię Michał i ponownie pojawił się tego lata w Mielnie, ale teraz nie widywał ich razem. Za to Mrozówna wylegiwała się z swą piękną koleżanką na plaży i prawie wszędzie jej towarzyszyła. Był czujny. Obserwował je i obserwował młodego milicjanta. Sprawdzał, czy jest bezpieczny. Czy może przystąpić do dzieła bez obawy, że ktoś niepożądany wszystko mu zepsuje. Dowiedział się, że dziewczyna pozostanie w Mielnie jeszcze przez tydzień. Gdy tylko zdołał się uspokoić co do swego bezpieczeństwa i zaczął obmyślać plan działania,

pojawił się Kitowski. Tego było za wiele. Był zmuszony najpierw usunąć przeszkodę, czyli unieszkodliwić partyjnego bonzę, a dopiero potem zająć się dziewczyną. Czasu było mało, a pośpiechu bardzo nie lubił. Pośpiech odbierał dużą część przyjemności z realizowania dobrze przemyślanego planu.

7. Przesilenie



W piątkowe przedpołudnie Alicja siedziała na kocu na zatłoczonej strzeżonej plaży na wysokości ulicy Kościuszki. Ulokowała się jak najbliżej brzegu, sądząc, że w ten sposób łatwiej nawiąże kontakt z Markiem Wilczyńskim, gdy ten będzie miał swój dyżur na wodzie. Czytała książkę wypożyczoną w mieleńskiej bibliotece. Poszła do biblioteki kilka dni temu późnym popołudniem – tylko wtedy ją otwierano – razem z Małgosią, która korzystała ze zgromadzonego w bibliotece księgozbioru od wielu już lat. Biblioteka mieściła się w długim szarym pawilonie zbudowanym z płyt wiórowych. Pawilon stał przy ulicy Pionierów na posesji należącej do Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej. Prowadziło ją bardzo ekscentryczne – jak mówiła Małgosia – starsze małżeństwo Tobiaszów, mieszkające przed wojną w Warszawie. Istotnie, kiedy weszły do bardzo praktycznie urządzonego wnętrza – do wypożyczalni wchodziło się przez dużą salę czytelną – przywitała ich wylewnie pani Tobiaszowa, która przepytła Małgosię z wypożyczonej wcześniej lektury, potem pokazała wszystkie nabyte nowości wydawnicze, a następnie poleciła odpowiednią lekturę. Zanim wyszły dowiedziały się jeszcze o życiu w przedwojennej Warszawie, o zasadach dobrego wychowania, które poszły w zapomnienie i o właściwym dla każdego miejsca sposobie ubierania się.

- Nie ma to jak stara dobra szkoła – podsumowała po wyjściu z pawilonu pouczenia bibliotekarki Alicja. – Lubię ludzi starej daty. Twoja mama do nich należy.

Pani Tobiaszowa poleciła im nową książkę Marka Nowakowskiego zatytułowaną „Gonitwa” i właśnie tę książkę czytała Alicja, siedząc samotnie na kocu i czekając na rozwój wydarzeń.

- *Nomen omen* - pomyślała otwierając książkę. – czytam Marka i czekam na Marka.

Trudno było jej się skupić na czytanych zdaniach i z trudem rozumiała ich sens. Dyskretnie zerknęła co jakiś czas na stanowisko ratowników. Wilczyński siedział na wieżycze i nie patrzył w jej stronę. Dopiero po godzinie zszedł ze stanowiska i ruszył do brzegu. Zatrzymał się na chwilę przy jej kocu, żeby się przywitać, powiedział banalne zdanie o pogodzie i wszedł do łodzi, zmieniając starszego kolegę. Alicja wiedziała, że tym kolegą jest Artur Zarzycki, więc kiedy przechodził obok niej podniosła znad książki głowę i uśmiechnęła się szeroko. Odwzajemnił uśmiech, ale nie zatrzymał się.

- Cholera jasna – zaklęła w duchu dziewczyna. – Mam już dość zaczepiania młodych bufonów. Niechże już któryś z nich coś zrobi. Wolę ryzyko od głupich gadek i uśmiechów. Chciałabym poopalać się spokojnie, popływać swobodnie, poczytać z uwagą. Chciałabym po prostu cieszyć się beztrudnie latem, plażą, wodą, piękną pogodą i nie myśleć o tym, kto mnie zaatakuję, albo o tym, czy dobrze mnie pilnują. Niedługo wrócę do Pułtusa i zaczną się obowiązki. W domu jest bardzo dobrze, ale muszę pomóc mamie na działce i przy przetworach na zimę.

Odłożyła książkę i spojrzała na morze. W łodzi Marka Wilczyńskiego siedziała ładnie opalona panienka i głośno się śmiała. Wcześniejszy pomysł, aby podpłynąć, zaczepić go i porozmawiać, musiała więc teraz porzucić. Wstała, zebrała swoje rzeczy i przeniosła się bliżej wieżyczki, na której dyżur pełnił Zarzycki. Położyła się na brzuchu i patrzyła w jego stronę. Nie reagował. Zrezygnowana, wróciła do czytania.

- Może wieczorem wreszcie coś się wydarzy – mruknęła pod nosem zniecierpliwiona, myśląc o kolejnym spotkaniu z Kitowskim.

Marian Baczkowski stał cierpliwie na brzegu morza i przyglądał się kąpiącym. Spalone słońcem plecy okrył koszulą. Zauważył, że Alicja jest dziś podminowana i z trudem wykonuje powierzone jej zadanie. Nie mógł jej pomóc, choć bardzo chciał. Odwracał się co jakiś czas w stronę plażowiczów i patrzył, jak niecierpliwie przewraca kartki czytanej książki, zmienia miejsce i przygląda się ratownikom wzrokiem wyzywającym i niechętnym zarazem.

- I tak długo wytrzymała – pomyślał. – Czas kończyć akcję. To nieludzkie wykorzystywać ją w taki sposób.

Pomyślał o swoich córkach, które kąpały się teraz w morzu, przeskakując fale.

- Muszę je stąd wywieźć do mojej matki. Jeśli nie złapiemy drania, a szanse są niewielkie, nie będę mógł spokojnie wrócić do pracy.

Popatrzył na śmiejącą się w łodzi ratowników dziewczynę i przeszedł go dreszcz, bo wyobraził ją sobie leżącą na pustej nocnej plaży w pracowicie usypanym grajdole tak, jak leżała hipiska. Odpędził od siebie straszny obraz i spojrzał na taras nad plażą. Stał na nim Michał. Przy jego nodze warował Wilk. Człowiek i pies patrzyli w tę samą stronę - na morze. Michał w milicyjnym mundurze, pies w kagańcu i na smyczy. Słońce paliło niemiłosiernie, bo właśnie minęło południe.

- Szkoda chłopaka – znów przyszła mu do głowy niewesoła myśl. – Zamiast leżeć na plaży z Małgosią, całować się, żartować i śmiać, piecze się żywcem w słońcu. A lato takie krótkie. Zbliża się sierpień. Noce będą coraz chłodniejsze i niebawem nadejdzie jesień.

Dopadła go melancholia i poczuł, że musi wypić choć trochę alkoholu, aby wrócić do formy. Michał zniknął z pola widzenia. Prawdopodobnie zmienił punkt obserwacji, więc Alicja była bezpieczna. Wywołał córki z wody, kazał im leżeć na kocu do jego powrotu i poszedł napić się piwa w najbliższym barze.

Michał Sikora zaprzyjaźnił się wreszcie z Wilkiem. Pies polubił go i słuchał go tak samo, jak Czesława. Zabierał więc go ze sobą na dzienne i nocne patrole. Piątek 18-tego lipca był gorący, a Michał tego właśnie dnia przejął obowiązki Kazimierza, który przebywał w Koszalinie, i pomagał Marianowi pilnować Alicji. Stał na tarasie przy Kościuszki i patrzył na opalających się ludzi. Alicja leżała na kocu niedaleko wieży ratowników i czytała książkę. Marian stał po kolana w wodzie i rozglądał się. Michałowi żal było Wilka. Pies źle znosił upał. Ciężko dyszał i coraz częściej kładł się na ziemi. Musiał zdobyć dla niego i dla siebie trochę wody i ulokować się w cieniu. Najbliżej mieli do bazy ratowników. Siedział w niej, popijając piwo z butelki, Zenon Wróbel i rozmawiał z ożywieniem z jedną z bileterek.

- A pan znowu na dyżurze – skomentował jego obecność milicjant. – Zawsze pan tu wysiaduje?

Mężczyzna zamilkł, naburmuszył się i odwrócił w stronę okna. Kobieta pośpiesznie opuściła bazę.

- Niech się pan nie obraża – starał się go udobruchać Sikora. – Przecież to nie moja sprawa, gdzie pan przebywa w czasie pracy. Czy da mi pan trochę wody? I dla psa także.

Wróbel wstał i bez słowa podał milicjantowi kubek z wodą. Wziął ze stołu brudny talerz, opłukał i podał na nim wodę Wilkowi. Pies i milicjant pili łączywie.

- Z nas to dwa ładne ptaszki – zażartował Michał, odstawiając kubek. – Pan nazywa się Wróbel, a ja Sikora.

Wróbel roześmiał się i trochę rozchmurzył.

- O czym rozmawialiście z bileterką – zapytał milicjant, chcąc wykorzystać nadarzającą się okazję do pociągnięcia Wróbla za język.

- A tam – odpowiedział mężczyzna. – O niczym ważnym. Narzekała na kierownika ratowników, że gburowaty, nie mówi „dzień dobry” i patrzy na bileterki z góry. Nie lubią go. Jest trochę nadęty, ale dobry z niego ratownik i pilnuje, żeby jego koleżkowie się za bardzo nie rozpuścili. Wie władza, że na ratowników lecą wszystkie dziewczyny. Tylko wybierać i przebierać. Musi ich krótko trzymać, bo poszliby każdej nocy w tango, a w dzień kimali.

- A pana jak traktuje? – dopytywał.

- Ja tam się od niego trzymam z daleka, więc nic mu do mnie.

- A lubi nurkować? No wie pan, tak ze sprzętem. W masce i w płetwach.

- No ma jakiś sprzęt do nurkowania. O tu leży, w magazynku – Wróbel pokazał na wewnętrzne drzwi. – Ale ja nie widziałem, żeby go używał. A dlaczego władza pyta? Myślicie, że to on topi te młode babki?

- Nie wasza sprawa Wróbel – ostro uciął rozmowę. – Nikomu nie mówcie, o co pytałem – dodał łagodniej.

- Będę milczał jak grób – obiecał mężczyzna i wytrzeszczył oczy ze zdumienia, bo do pomieszczenia wszedł kierownik Zarzycki.

- O wilku mowa - wyrwało się Wróblowi.

- O! – zdziwił się ratownik. – O mnie rozmawialiście! A można wiedzieć dlaczego?

- Pan władza pytał, czy któryś z ratowników nie narozrabiał dziś w nocy w „Mewie”. Szuka gagatka, który upił się i zrobił tam małą demolkę, ale ja powiedziałem, że pan nie pozwala swoim chłopakom łązić po nocach i upijać się. Za takie numery mogą wylecieć z pracy – przytomnie odpowiedział Zenon Wróbel.

- Chyba uwierzył – przekonywał sam siebie Sikora, opuszczając bazę po zadaniu Zarzyckiemu, dla niepoznaki, pytania o alibi jego podwładnych na minioną noc.

Poszli z Wilkiem w stronę ulicy 1-go Maja i obserwowali plażę z jedyne go zacienionego miejsca. Zbliżała się pora obiadowa. Plażowicze zbierali swoje rzeczy. Do Alicji dołączyła Małgosia. Michał wiedział, że za kilka minut dziewczyny udadzą się do domu Mrozów. Mógł opuścić punkt obserwacyjny aż do wieczora. Wieczorem Alicja miała spotkać się z Kitowskim.

Eugeniusz Mróz nie mógł znaleźć sobie miejsca od czwartkowego spotkania. Obsesyjnie myślał o opowieści, którą usłyszał od państwa Kozińskich, opiekujących się kiedyś Małgosią, a właściwie Zofią Małgorzatą.

Mrozowie poznali Kozińskich w 1951-szym roku przez swoich przyjaciół z Koszalina, którzy, tak jak Kozińscy, byli przesiedleńcami z dawnych polskich kresów i sybirakami. Zaprzyjaźniona z Mrozami rodzina kupowała od Kozińskich masło, twaróg, jaja i drób. Polecili Kozińskim Mrozów. Kozińscy prowadzili niewielkie gospodarstwo przy ulicy Młyńskiej w Koszalinie, ale nie sprzedawali nabiału i drobiu na zielonym rynku. Aby coś od nich kupić, trzeba było odwiedzić ich w domu, wypić z nimi herbatę, porozmawiać, po prostu zaprzyjaźnić się. I tak pewnego dnia, latem 1953-go roku, Mrozowie dowiedzieli się, że zmarła na gruźlicę Waleria Sawko, matka Zosi, sześciolatniej dziewczynki, którą widywali często u gospodarzy. Kozińscy nie chcieli, żeby Zosia trafiła do domu dziecka. Byli bardzo przywiązani do niej i do jej matki. Sami, ze względu na wiek, słabe zdrowie i ciężkie przejścia, nie mogli się na stałe zająć dzieckiem. Wiedząc, że Mrozowie - młode jeszcze i zgodne małżeństwo - nie mają własnych dzieci, zapytali, czy nie wzięliby dziewczynki do siebie. Opowiedzieli o niełatwym życiu Walerii Sawko i jej córeczki. Jadwiga i Eugeniusz bardzo przejęli się usłyszaną historią i nie zastanawiali zbyt długo. Podali się za daleką rodzinę Zosi i bez problemu przyznano im dziecko. Nikt w tamtych, naznaczonych jeszcze powojennym zamieszaniami czasami nie wymagał papierów, zaświadczeń i dokumentów. Wystarczyli świadkowie, a o tych nie było trudno.

Jeszcze przed 56-tym rokiem Kozińscy musieli zlikwidować gospodarstwo w Koszalinie. Przenieśli się pod miasto, do Skwierzynki. Mrozowie z Małgosią – po adopcji wołali dziewczynkę jej drugim imieniem – odwiedzali ich od czasu do czasu. Dopiero 1957-mym Kozińscy zdecydowali się opowiedzieć im więcej o matce dziecka i jej historii. Dotychczas Mrozowie wiedzieli, że Zosia-Małgosia jest sierotą. Nie ma żadnej rodziny. Ojca nigdy nie poznała, a młoda matka przegrała walkę z gruźlicą. W 57-mym poznali zatrważające szczegóły, o których od razu starali się zapomnieć i o których nigdy nie rozmawiali. Nie wiedzieli, co z tamtych czasów zapamiętała Małgosia, ale mieli nadzieję, że matka oszczędziła jej bolesnych przeżyć i opowieści, a dziecięca pamięć zatarła wszelkie nieprzyjemne wspomnienia.

- Jeśli dowiem się dziś od Kazimierza Cichockiego, że Artur Zarzycki rzeczywiście jest synem Roberta Zarzyckiego – myślał w popłochu Eugeniusz Mróz – nie uda nam się dłużej ukrywać przed Małgosią tego, co stało się z jej ojcem. Jak ona to przyjmie? Nigdy go nie poznała, bo zaginął przed jej urodzeniem. W czwartek siedzieliśmy przy bunkrze, w którym on umarł. Miał wtedy mniej lat niż dziś ma ona.

Na wspomnienie faktu, że Małgorzata, szczęśliwa i radosna, siedziała wczoraj w nocy ze swym ukochanym przy bunkrze, w którym kiedyś umarł jej ojciec, po ciele Eugeniusza Mroza przeszedł dreszcz a obsesyjna myśl, która prześladowała go od poprzedniej nocy wróciła z całą siłą. Mróz bowiem nigdy nie zapomniał nazwiska człowieka, który stał się oprawcą Mariana – tak miał na imię ojciec Gosi. Jego oprawca natomiast nazywał się Robert Zarzycki i był to ten Robert Zarzycki, który popełnił samobójstwo na własnej fermie lisów. Byłoby czymś niewiarygodnym i trudnym do pojęcia, gdyby okazało się, że jego rodzony syn, Artur Zarzycki, pojawił się w Mielnie po latach i dopuszcza się czynów gorszych niż jego ojciec.

Jadwiga Mróz zauważyła niepokój męża i usilnie dopytywała o przyczynę. Eugeniusz nie chciał obciążać żony niesprawdzonymi, ale mocno niepokojącymi domysłami, a ponieważ nie umiał kłamać, zaraz po obiedzie wyszedł z domu, zapowiadając, że nie przyjdzie na kolację. Postanowił przechadzać się po plaży. Mógł wypełniać w ten sposób swoje zadanie, a jednocześnie uspokoić i uporządkować myśli. Szedł betonową opaską, chroniącą na pewnej długości wydmy przed sztormami, w stronę Unieścia. Pomyślał bowiem, że zamiast krążyć bez celu, może porozmawiać z Bolkiem Jóźwiakiem, jedyną osobą, z którą w tej chwili mógł być szczery.

Z wysokości betonowej opaski można było z góry patrzeć na opalających się pod nią ludzi. Na wysokości ulicy Pionierów natknął się na córki Mariana Baczkowskiego. Siedziały pod opaską na kraciastym kocu razem z dwoma niedużymi kundelkami.

- Jesteście same? – zapytał.

Podniosły się szybko, spojrzały w górę, sprawdzając, kto zadał pytanie, a psy zaczęły jazgotliwie czekać.

- Dzień dobry – powiedziały razem, rozpoznając sąsiada. – Mama jest w pracy, a tata śpi.

- Uważajcie na siebie. Nie wchodźcie do wody – ostrzegł dziewczynki.

Skinęły grzecznie głowami, ale znać było, że niezbyt wzięły sobie do serca ostrzeżenie.

- To wy widziałyście w zeszłym roku nurka? – zadał pytanie, które dopiero teraz przyszło mu do głowy.

Spojrzały po sobie i znów skinęły głowami.

- Wiecie, kto to mógł być?

Jak na komendę wzruszyły ramionami i znów spojrzały na siebie. Starsza zaczerwieniła się pod mocną opalenizną, ale nie odezwała się. Stały ze spuszczonym wzrokiem i głaszały trzymane na rękach pieski.

- To ciebie wciągnął pod wodę? – Mróz przysiadł na betonie i zadał pytanie ściszone głosem.

Starsza z dziewczynek skinęła głową.

- Myślisz, że mógł to być jeden z mieleńskich ratowników?

- Mógł być – odezwała się niechętnie. – Widziałyśmy kilka razy, jak ratownicy nurkują z butlą, ale my nie wiemy, który mnie podtopił. Chyba tak głupio zażartował.

- Na pewno tylko żartował – potwierdził Mróz, myśląc coś zupełnie innego. - Jesteście bardzo dzielne – pochwalił dziewczynki. – Uważajcie na siebie.

Józwiak naprawiał sieci, siedząc w cieniu szopy. Podali sobie ręce i przez dłuższy czas milczeli.

- Coś ci powiem – odezwał się wreszcie rybak, porzucając sieci i zapalając papierosa. – Ten ponton to wzięli Szubce koledzy. Chcieli mu zrobić kawał. Schowali nadmuchany ponton za wieżą w morzu i czekali co będzie. Ale zaraz potem stało się to, co się stało. Dlatego nic nie powiedzieliśmy milicji. Nie chcieliśmy go zrobić w morderstwo.

- Rozumiem – zadumał się Mróz. – A więc sprawca nie włamał się do szopy. Odczepił po prostu nadmuchany ponton od bojki. Być może w ogóle nie planował wcześniej tego wszystkiego.

- Mogło tak być – potwierdził Bolek. – A co ty taki nieswój? – zapytał, patrząc uważnie na Mroza.

- A nic. Może zmęczony jestem. Za długo to wszystko trwa. Trzeba kończyć.

- Ano trzeba – zgodził się rybak, odrzucił wypalonego papierosa i wrócił do naprawiania sieci.

- Też coś ci powiem. Wszyscy wiedzą, że adoptowaliśmy Małgosię – zaczął ostrożnie Eugeniusz i przerwał, widząc zdziwiony wzrok kolegi. – Dziwisz się, dlaczego to mówię i co to ma do rzeczy. Ale ma, bo ja zaczynam myśleć, że to Zarzycki, kierownik ratowników, jest mordercą. A wiem też, że jego ojciec miał coś na sumieniu. Zabił ojca Małgosi.

- Co ty gadasz?! – wykrzyknął Józwiak, rzucił sieci i zaciągnął Mroza do szopy. – Czy chodzi ci o tego od lisów, co to powiesił się na fermie? Przecież nie wiadomo, czy to ojciec tego ratownika! Chłopie, kiedy to było!

- Poczekajmy na Kazimierza. Jeszcze dziś chcę z nim porozmawiać. Może zdobył jakieś informacje o Zarzyckich. Nie wiem, o której wróci z Koszalina. Czy możesz dziś sam zacząć patrolowanie plaży? Dołączę do ciebie, jak tylko pogadam z Kazikiem. Poczekam na niego na przystanku w centrum Mielna. Nie chcę wracać do domu. Boję się, że wygadam wszystko żonie, a ona jest zbyt wrażliwa na takie rewelacje.

Kazimierz Cichocki wrócił z Koszalina wcześniej niż zakładał. Wysiadł z pekaesu przy mieleńskim dworcu kolejowym i udał się ulicą Kościelną prosto na posterunek milicji. Musiał porozmawiać z Szelcem. Nie obchodziło go już to, że ktoś go może zauważyć. Wiedział, że ich akcja dobiega końca, choć trudno było przewidzieć, jaki ten koniec będzie. Informacje, które zdobył przeglądając akta i wertując numery „Dziennika Bałtyckiego” z początku lat

pięćdziesiątych potwierdziły jego niejasne dotąd przeczucia. Sprawcą wyrafinowanych zbrodni musiał być jeden z dwóch mężczyzn obecnych teraz w Mielnie.

Komendant siedział przy biurku i nadganiał papierkową robotę.

- Ty tutaj? – zdziwił się Czesław. – Coś się stało?

- Jeszcze nic, ale może się stać i to niedługo. Może nawet tej nocy – odpowiedział Cichocki. – Dlatego do ciebie przychodzę. Musimy zmobilizować się wszyscy na najbliższe noce. Jeśli coś ma się wydarzyć, wydarzy się niebawem. Sprawca domyśla się przecież, że Alicja musi wkrótce opuścić Mielno. Ona najbardziej będzie nam teraz potrzebna i musimy wymyślić precyzyjny plan, jak ją ochronić. Dotąd przyglądaliśmy się tylko. Teraz trzeba będzie działać, zdecydowanie i planowo. Każdy błąd może kosztować ją życie. Boję się o nią. Zaczynam żałować, że ją w to wciągnąłem. Ale teraz już nie ma odwrotu. Musimy zminimalizować ryzyko. Jeszcze w Warszawie uczyłem ją, co robić w razie ataku w wodzie. Trenowała oddychanie i nurkowanie. Oby umiała wykorzystać swoje umiejętności w chwili rzeczywistego zagrożenia. Mamy niewiele czasu na opracowanie precyzyjnego planu i powiadomienia wszystkich.

- Jeśli powiesz mi dokładniej o co chodzi, zaczniemy myśleć. Na razie mówisz zagadkami – Szele krótko podsumował nieprecyzyjne wywody Cichockiego.

Kiedy wysłuchał wyjaśnień starszego kolegi, stał się tak samo niespokojny jak on.

- Przydałaby się nam profesjonalna pomoc, ale o powiadomieniu powiatowych nie ma mowy – stwierdził. – Odmówiliby. Nie mamy twardych dowodów. Wiesz dobrze, że byłby to też koniec mojej pracy w milicji i to niezależnie od efektu całej akcji. Już teraz nie mam co liczyć na awans.

- Może i lepiej – mruknął Kazimierz.

- Co lepiej? – zdenerwował się Czesław. – Lepiej, że nie możemy prosić powiatowych o wsparcie, lepiej żebyśmy stracił robotę, czy lepiej, że nie awansuję?

- Mniejsza z tym – wykręcił się od odpowiedzi Cichocki. – Skupmy się na sprawie. Co robimy? Jest już późno. Mamy mało czasu. Za trzy godziny Alicja spotka się z Kitowskim.

8. Obława



Alicja w trudem zmusiła się do pójścia na spotkanie z Kitowskim. Wyszła z domu Mrozów sama. Rozejrzała się i nie dostrzegła żadnego ze swych opiekunów.

- Ależ się podszkolili! – pomyślała. - Kryją się jak zawodowi szpiedzy.

Z ulicy Sosnowej skręciła w ulicę Pionierów, żeby dojść nią do plaży. Wspięła się na piaszczyste wzniesienie, którym kończyła się ulica i zaczynało plażowe wejście. Stała na nim przez chwilę i z zazdrością patrzyła na przechadzające się brzegiem morza objęte pary, na siedzących na kocach rodziców z dziećmi i na starszych ludzi, którzy pojawiali się na plaży wieczorem, aby nie narażać się na upał. Zbliżała się dziewiąta wieczór i wszyscy obecni na plaży podziwiali zachód słońca. Znowu spojrzała za siebie i znowu nikogo nie zobaczyła.

- Zaraz zacznie się ściemniać – myślała, zbiegając z wydmy. – Kitowski od razu pozna, że nie mam dobrego nastroju. Nie wiem, czy uda mi się dziś wyglądać na radosną panienkę i prowadzić z nim błyskotliwy dialog.

Wolnym krokiem szła w stronę strzeżonej plaży, gdzie za kilkanaście minut miała spotkać się z Romanem. Plaża powoli pustoszała. Morze szumiało jednostajnie, mewy w górze powrzaskiwały przenikliwie, woda wydawała się cieplejsza niż w dzień. Kolory na niebie i na wodzie zmieniały się stopniowo – od świetlistości złotego przez cudowny pomarańczowy po szybko blednący róż.

- Cudownie i romantycznie – gorzko stwierdziła w duchu dziewczyna. – Świat byłby taki piękny bez złych ludzi.

Wiatr wiał z północy. Fale unosiły się coraz wyżej i z energią rozbijały się o brzeg. W powietrzu wyczuwało się nadciągający z północy chłód. W oddali widziała mężczyznę, który centymetr po centymetrze przeszukiwał piach, trzymając w rękach urządzenie do wykrywania metalu.

- Ciekawe co znajdują ci poszukiwacze skarbów? – zastanawiała się. – Monety, zegarki, biżuterię?

Kiedy doszła na umówione miejsce, z nieba i z wody zniknęły ciepłe kolory zachodu słońca i zaczęło się ściemniać. Na horyzoncie pojawiła się czarna chmura, która powoli zżerała jasne niebo. Wiatr ucichł. Kitowskiego jeszcze nie było. Nie rozglądała się i nie wyszukiwała wzrokiem śladów obecności swoich aniołów stróżów. Musiała i chciała wierzyć, że są na swoich pozycjach. Położyła ręcznik na piasku, usiadła i patrzyła w przestrzeń zamkniętą mrocznym horyzontem. Czuła niepokój, a panująca wokół cisza przywodziła na myśl ciszę przed burzą.

Nieobecność jej towarzysza przedłużała się. Zazwyczaj był bardzo punktualny.

- Może nie przyjdzie – pomyślała i poczuła ulgę, która szybko minęła, bo Alicja zdała sobie sprawę, że jutro wszystko zacznie się od nowa.

Spojrzała za siebie. Roman Kitowski nie nadchodził. Niepokoiła się coraz bardziej i aby odpędzić złe myśli wstała, odwróciła się i metr po metrze penetrowała wzrokiem wydmy, promenadę i okolice wejścia na plażę. Potrzebowała znaku, że tam są, że nie jest sama. Usłyszała krótkie szczeknięcie.

- Wilk – pomyślała z ulgą. – Widzą mnie. Wszystko będzie dobrze.

Znów usiadła na ręczniku i zastanawiała się, co powinna zrobić. Wrócić do domu, czy czekać. Ciemna chmura ogarnęła większość nieba nad wodą, a w oddali błysnęło. Zadrżała z zimna i ze strachu. Tak, bała się. Opanowała się szybko i zaczęła przypominać sobie wszystkie zasady postępowania, które omówili na dzisiejszym nadzwyczajnym spotkaniu w domu Baczkowskich. Uspokoiła się trochę, odetchnęła głęboko i spojrzała w prawo. Szedł brzegiem morza w jej stronę.

- Serwus – powiedział. - Nad czym tak rozmyślasz? – zapytał.

- Nie rozmyślam. Czekam na znajomego – odpowiedziała trochę drżącym głosem. – Pływamy wieczorami.

- Czekasz na Romana Kitowskiego? – ni to zapytał, ni stwierdził. – Przykro mi to mówić, ale widziałem go niedawno z jakąś ładną młodą panienką. Nie wiedziałeś, że to podrywacz?

- Nie interesuje mnie to. Dobrze pływa. Szkoda tylko, że mnie nie uprzedził. Wykąpię się sama.

- Mogę ci towarzyszyć. Popatrz na niebo. Zaraz będzie burza. Kąpałaś się w czasie burzy? – uśmiechnął się do niej szeroko i szczerze. – Warto spróbować. Jest naprawdę świetnie. Woda robi się ciepła. Ulewa w niczym nie przeszkadza, a widoki cudowne.

- No nie wiem – zawahała się Alicja. – Trochę się boję.

- Nie ma czego – powiedział, usiadł obok niej i zapatrzył się w dal. – Ale jak chcesz. Ja się wykąpię. Lubię burzę – dodał i znów się szeroko uśmiechnął.

Popatrzyła na niego z ukosa i przyszło jej na myśl, że nie wygląda niebezpiecznie, że jest miły i ma ładny uśmiech. Poruszył się i poczuła, że czymś ją okrywa.

- O – zdziwiła się, czując na gołej skórze miękki dotyk wełny. – Miły gest.

- Trochę drżysz – zauważył i popatrzył jej teraz głęboko w oczy. – Musisz się rozgrzać przed wejściem do wody. Pobiegniemy?

Podniósł się i zapraszającym gestem wyciągnął do niej rękę. Chwyciła ją i wstała. Dłoń była przyjemnie ciepła, uchwyt zdecydowany. Trzymał jej dłoń w swojej i ogrzewał.

- Biegnij w ubraniu i w moim swetrze – powiedział. - Zrzucisz, kiedy się trochę rozgrzejesz. Pozbieramy w drodze powrotnej.

Rozebrał się i poukładał swoje ubrania na ręczniku Alicji. Ruszył pierwszy powolnym truchtem, wymachując ramionami. Po chwili odwrócił się, biegł tyłem i zawołał:

- Rób to co ja. Szybciej się rozgrzejesz. Ciuchy zabierzemy po kąpieli.

- Przecież będzie burza. Wszystko zmoknie! – krzyknęła.

- Nie szkodzi! Będzie przyjemnie. Pójdziemy się później rozgrzać w bazie! - odkrzyknął i ruszył przed siebie.

Biegli w kierunku Mielenka.

- Tam znaleźli tę pierwszą dziewczynę – przyszło Alicji do głowy. – A drugą i trzecią w Unieściu. Co za różnica? – przekonywała samą siebie.

Na horyzoncie niebo rozbłysło, a po chwili rozległ się daleki stłumiony pomruk.

Kazimierz Cichocki żałował, że nie zażył przed akcją kropli nasercowych. Serce waliło mu mocno, a jego uderzenia dudniły mu w głowie. Plan, który wymyślili z Czesiem i omówili z resztą ekipy, uwzględniał różne warianty rozwoju wydarzeń, ale przecież nie wszystko można było przewidzieć. Najbardziej obawiał się popełnienia błędu przez swoich nieprofesjonalnych i niedoświadczonych pomocników. Każdy błąd bowiem mógł się zakończyć nieszczęściem. Teraz jednak było za późno na rozmyślanie i udoskonalanie działań. Każdy z nich miał do wykonania dokładnie omówione zadania i powinien wiedzieć, co robić w określonej sytuacji.

Stał na promenadzie skryty za drzewem. Widział, jak Zarzycki wychodzi z bazy i schodzi po schodach na ulice Kościuszki. Ruszyła za nim, w bezpiecznej odległości, ciemna skulona postać.

- Mróz, pilnuje go tak, jak trzeba – pomyślał z ulgą.

Roman Kitowski nie nadchodził, choć Alicja czekała już na niego dość długo, siedząc na piachu nad brzegiem morza. Zauważył, że dziewczyna denerwuje się. W pewnym momencie wstała i patrzyła w ich stronę, jakby czekała na jakiś sygnał. Zaszczekał Wilk i z wdzięcznością pomyślał, że Czesiek Szelc zrozumiał, w czym rzecz. Czesław stał z psem na tarasie po drugiej stronie ulicy Kościuszki.

- Też się o nią boi – pomyślał. – Wszyscy się o nią boimy. Ale ma niezłą ochronę – pocieszał się.

Z niepokojem patrzył na ciemniejące niebo. Gęstniejące w oddali ciemne chmury zapowiadały burzę. Od strony Unieścia zbliżał się do Alicji wysoki mężczyzna. Rozpoznał go dopiero wtedy, gdy ten był już blisko siedzącej na brzegu morza dziewczyny.

- A, jesteś ptaszku – wyszeptał, choć nie miał pewności, czy mężczyzna zaczepi Alicję.

Zdawał sobie sprawę z tego, że wszyscy członkowie ekipy, którzy zajmowali wyznaczone im miejsca, także zamarli teraz w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń.

- Pewnie są teraz w pełnej gotowości – uspokajał sam siebie.

Z obawą, ale też z ulgą, że wreszcie stanie się to, na co długo czekali, patrzył, jak tamten rozmawia z Alicją, siada obok niej, okrywa swetrem, a potem wstaje, podaje jej rękę, mówi coś, rozbiera się i zaczyna biec w stronę Mielenka. Alicja, w ubraniu, ruszyła za nim.

- Dzielna jesteś dziewczyno. Nie bój się – przemawiał do niej w duchu. – Zaraz wszystko się skończy. Pamiętaj, czego cię nauczyłem.

Kiedy biegnąca para oddaliła się, na plaży pojawiły się dwie sylwetki ubrane w ciemne stroje i podążyły za młodymi, trzymając się w bezpiecznej odległości. Sylwetki przycupnęły, gdy biegnący mężczyzna odwrócił się i wołał coś do podążającej za nim dziewczyny. On nadal stał nieruchomo i przez lornetkę obserwował morze.

- Dobrze – mruknął do siebie, gdy na morzu pojawiła się łódź. Dwaj wiosłarze prowadzili ją wydłuż brzegu, sprawnie radząc sobie z bocznymi falami. Nieoświetloną łódź z trudnością można było dostrzec, a szum morza skutecznie zagłuszał odgłosy wiosł.

- Ruszamy – mruknął sam do siebie i spojrzał w lewo, wypatrując Czesława Szelca. Tak jak się spodziewał, postać kolegi zamajaczyła w mroku, a oczy Wilka na sekundę zaświeciły w ciemności, gdy pies odwrócił głowę i spojrzał w jego kierunku. Po chwili wszyscy trzej, on, Czesiek i Wilk, spotkali się pod wydmami i bez słowa, cały czas trzymając się wydm, poszli wzdłuż plaży. Kilka metrów przed nimi, nad samym brzegiem, w tę samą stronę podążali Baczkowski i Mróz. Józwiak z Michałem siedzieli przy wiosłach w motorowej łodzi, płynącej cicho, na wiosłach, równolegle do brzegu.

Plan generalnie przewidywał dwa scenariusze - poza tym oczywiście, że nie niebezpiecznego się nie wydarzy. Oba dotyczyły kierunku ucieczki sprawcy. Jeśliby uciekał w morze, ścigać go miała motorówka, jeśli do nadmorskiego lasu, czekać tam mieli na niego Cichocki, Szelc i Wilk, przed którym nie mógłby się nigdzie ukryć. Stałym, najsłabszym i jednocześnie niezbędnym punktem planu była Alicja, a właściwie atak na nią. Bez ataku obława nie mogła się udać, ale atak niósł w sobie ogromne ryzyko, że Baczkowski i Mróz, których zadaniem było bezpośrednie zabezpieczanie dziewczyny, nie zdążą z pomocą.

Alicja pamiętała o pouczeniach Cichockiego. Po pierwsze nie powinna dać wyprowadzić się zbyt daleko od Mielna, bo im dłuższa będzie trasa, którą pokona z podejrzanym, tym bardziej prawdopodobne stanie się odkrycie przez niego obecności chroniących ją towarzyszy. Po drugie, pływając, nie może oddalić się zbyt od brzegu, aby nie zwiększać odległości, którą będą musieli pokonać koledzy, gdy zostanie napadnięta. Po trzecie, ma zawsze trzymać się z tyłu kompana, z którym będzie płynąć i zanurkować natychmiast, gdy ten zmieni kierunek i zacznie się do niej zbliżać.

- Pamiętaj – powtarzał przed akcją wielokrotnie Kazimierz. – Nie możesz dać się zaskoczyć. Jeśli zachłystniesz się wodą, możesz zginąć. Jeśli podpłynie do ciebie, weź oddech i zanurkuj

tak, jak ćwiczyłaś. Pod wodą popłynij bliżej brzegu. Wynurz się i czekaj, co on zrobi. Powinien myśleć, że się z nim bawisz. Jeżeli popłynie za tobą, a ty nie będziesz miała pod nogami gruntu, znów zanurkuj. Zatrzymaj się dopiero wtedy, gdy złapiesz grunt. Wtedy stań i przygotuj się na atak. Oddychaj spokojnie. Nie bój się. Marian i Gienek już będą w pobliżu maksymalnie skryci nad wodą. Będzie ciemno. Nie powinien ich zauważyć. Wiedzą, jak się maskować. Kiedy złapie cię, wciągnie pod wodę i przytrzyma, nie szarp się. Pomyśl, że nurkujesz. Robiłaś to wiele razy. Chłopcy zareagują natychmiast i z zaskoczenia. Ich zadaniem jest ratowanie ciebie. On prawdopodobnie zacznie uciekać, ale ciebie to nie obchodzi. Pogonią zajmie się reszta ekipy.

Alicja stanęła. Był to jeden z sygnałów ostrzegawczych. Członkowie obławy przyczaili się, wiedząc, że biegnący przed nią mężczyzna wkrótce zawróci, więc znajdują się w zasięgu jego wzroku. Istotnie, towarzysz Alicji zatrzymał się i truchtem podbiegł do dziewczyny.

- Nie mam takiej kondycji jak ty – powiedziała Alicja lekko dysząc. – Zaczyna padać. Burza się niedługo rozpęta. Wykapmy się.

- Dobrze. Ale najpierw trochę odpocznij.

Zaczęła bardzo powoli zdejmować ubranie. Sweter, którym nakrył ją towarzysz, zrzuciła już kilka minut temu. Niebo raz po raz rozjaśniały błyskawice a grzmoty dudniąc, przetaczały się po ciemnym niebie, które zlewało się teraz z czernią morza. Silny podmuch wiatru porwał leżące na piasku ubrania i poniosł w stronę wydm. Chciała za nimi pobiec, ale zatrzymał ją deszcz, który szybko przeszedł w ulewę.

- Wchodzę do wody – krzyknęła. – Ubrania znajdę później.

Rzuciła się na główkę, zanurkowała, wynurzyła i patrzyła jak on wchodzi do morza. Szedł powoli, opłukiwał ciało wodą i rozglądał się po niebie.

- Cudownie! – wrzasnął, przekrzykując szum fal i wiatru. – Bajkowa sceneria!

Było cudownie, tak jak mówił, ale ona skupiona była całkowicie na jego ruchach. Czekala, aż się zanurzy i popłynie. Kiedy to zrobił, popłynęła za nim. Płynął w głąb morza spokojnymi miarowymi ruchami. Najpierw kraulem, a potem żabką. Oddalił się od niej znacznie. Zauważył to i położył na wodzie na plecach. Czekał. Musiała do niego podpłynąć, choć oceniła, że odległość od brzegu jest niebezpiecznie duża.

- Płynmy wzdłuż brzegu – krzyknęła, gdy położyła się na plecach obok niego.

Odwrócił się, zanurkował i poczuła, że łapie ją za nogi i ciągnie w dół. Zdążyła złapać głęboki oddech zanim zniknęła pod wodą. Oczy miała otwarte i widziała w wodzie kontury jego ciała. Wyszarpała nogę z jego ręki i po chwili oboje wyskoczyli głowami nad powierzchnię wody. Nie patrzyła, gdzie jest napastnik. Szybko nabrała w płuca porcję powietrza i znów zanurkowała. Straciła orientację. Nie wiedziała, gdzie jest brzeg. Płynęła pod wodą tak długo, jak długo wytrzymywały płuca i znów wynurzyła się tylko na krótką chwilę, nie rozglądając się, nie szukając go wzrokiem. Z trudnością panowała nad sobą. Nie mogła teraz wpaść w panikę. Znów płynęła pod wodą, nie wiedząc, czy płynie w stronę brzegu, czy w morską nieskończoność. Wynurzając głowę kolejny raz, ucieszyła się, że rozpętała się burza, że fale są na tyle wysokie, że go nie widzi, a więc także i on nie mógł jej wypatrzyć. Traciła siły. Przy kolejnym wynurzeniu usłyszała ryk motoru. Słup światła penetrował powierzchnię wody. Zaryzykowała i trzymając głowę możliwie wysoko nad wodą, próbowała krzyknąć. Głos nie wydobył się z jej krtani. Oślepiło ją ostre światło.

- Boże – pomyślała. – Jestem uratowana.

Alicja nie pamiętała wiele z tego, co zdarzyło się potem. Michał i Józwiak wciągnęli ją na łódź i popłynęli do brzegu. Tam przejął ją Cichocki. Próbował ją okryć, ale nie mógł znaleźć kawałka suchej odzieży. Deszcz wciąż padał. Dziewczyna kaszlała, dławiła się i ciężko oddychała. Szelc, trzymając psa na smyczy, patrzył na nich bezradnie. Baczkowski i Mróz, ociekający wodą, wychodzili z morza.

- Motor jest tam, gdzie miał być?! - wrzasnął Cichocki. – Zawiozę ją do Ośrodka Zdrowia. Ty spuść Wilka ze smyczy i pilnujcie brzegu. Może wkrótce wyjdzie z wody.

Cichocki poniosł dziewczynę na rękach do dzikiego wyjścia z plaży. Płuca mu pękały z wysiłku, a serce dudniło w piersi jak oszalałe. Nieopodał wyjścia, w umówionym miejscu na leśnej drodze, Czesław zaparkował swój służbowy pojazd. Otwór przyczepy, przewidując deszcz, zasłonił skórzaną klapą, więc do środka nie nalało się dużo wody. Zdjął z siebie ubranie, wymościł przyczepę i umieścił w niej Alicję. Został w slipach i w butach. Kopnął kilka razy pedał motoru, klnąc za każdy razem, gdy ten nie odpalił. Wreszcie udało się. Ruszył przez las, wyjechał na ulicę Kościelną, skręcił w lewo w Lechitów i pognął dalej ulicą Chrobrego.

Wszystkie okna w budynku Ośrodka Zdrowia były ciemne a brama wjazdowa zamknięta na kłódkę. Pomógł Alicji wyjść z przyczepy i, nie zważając na jej zapewnienia, że już jest jej lepiej i nie trzeba robić zamieszania, wciągnął ją przez furtkę na posesję i załomotał do drzwi wejściowych. Na pierwszym piętrze zapaliło się światło i męski gruby głos zapytał:

- Co się stało?

- Proszę otworzyć – zawołał, kierując głos w górę. - Dziewczyna pilnie potrzebuje pomocy.

Usłyszał szybkie kroki osób schodzących po schodach. Drzwi otworzyły się na oścież. Weszli do środka. Zobaczyli doktora Prusa i jego żonę w szlafrokach. Lekarze ze zdumieniem w oczach patrzyli na starszego pana w slipach i butach, który podtrzymywał panienkę odzianą jedynie w strój kąpielowy.

- Proszę o nic nie pytać – powiedział ostro, wiedząc ich zdziwienie i lekki niesmak. - Jestem tu z polecenia komendanta Szelca. Ta dziewczyna podtopiła się i jest zziębnięta. Proszę się nią zająć. Ty nic nie mów – zwrócił się do Alicji. – Ja jutro państwu wszystko wyjaśnię.

Zostawił dziewczynę pod opieką mocno zaskoczonych lekarzy, wskoczył na motor i popędził z powrotem. Trząśł się z zimna i zdenerwowania. Starał się o niczym innym nie myśleć, tylko o tym, jak dorwać drania. Z dwóch wytypowanych dziś przez niego ludzi - a wytypował Romana Kitowskiego i Artura Zarzyckiego - tym najstraszniejszym draniem i seryjnym mordercą okazał się Artur Zarzycki.

Kiedy wbiegł na plażę, pozostali członkowie ekipy stali skupieni wokół łodzi, którą wyciągnięto na brzeg.

- Macie go?! – wykrzyczał z daleka pytanie.

Zbliżył się do łodzi i patrząc na zmęczonych i posmutniałych kolegów domyślił się, że nie udało im się dopaść mordercy.

- Nie złapaliśmy go – odezwał się Czesław. – Chyba nie wyszedł na brzeg, bo Wilk z pewnością by go wyczuł. Ganialiśmy w tę i z powrotem. Ani śladu.

- My pływalismy w kółko motorówką i oświetlaliśmy wodę – dodał Michał. – Nie znaleźliśmy go. Albo utonął, albo uciekł.

- Wiecie, że to był Artur Zarzycki? – zapytał i spojrzał po twarzach kolegów.

Pokiwali głowami.

- Nie wyszedł na brzeg! – upierał się Czesiek. – Chyba że popłynął dużo dalej niż przewidzieliśmy. Ale nawet jakby mu się udał taki wyczyn, jest skończony. Jutro złożę raport. Będziecie świadkami. Alicja oczywiście też. Wytropią go. Nigdzie się nie schowa. Wracamy na posterunek. Rozgrzejemy się i ustalimy, co zeznawać.

- Do Bornholmu wpław nie dopłynie sk...wysyn – podsumował Marian Baczkowski. – Podrzucić mnie do domu – poprosił Szelca. - Zabiorę coś na rozgrzewkę, bo dostaniemy zapalenia płuc.

Epilog

Mieleński komendant Czesław Szelc długo jeszcze wspominał minione lato. Po lipcowych niepokojach przyszedł spokojny i pogodny sierpień, a we wrześniu Mielno jak zwykle opustoszało. O sprawie Artura Zarzyckiego wiedziała tylko garstka osób. Wywoływanie sensacji nikomu nie było potrzebne. Komendant Komendy Powiatowej Milicji w Koszalinie zakazał wszystkim zamieszanym w sprawę wszelkich kontaktów z prasą. Jak zawsze w takich przypadkach, po Koszalinie, Mielnie, Unieściu i okolicy krążyły niesprawdzone i na ogół całkowicie fałszywe plotki. .

- Tak jest lepiej – myślał Szelc. – Drań zginął. Nie ma po nim śladu. Po co robić szum wokół sprawy, która należy już do przeszłości.

Następnego dnia po obławie, w sobotę 19-tego lipca, zawiózł do Koszalina raport. Napisali go wszyscy razem i to po wypiciu sporej ilości mocnego alkoholu dostarczonego przez Mariana. Większą część nocy, która pozostała im po akcji, spędzili na mieleńskim posterunku. Pili, rozmawiali, a potem razem sporządzili raport i śmiali się przy tym jak szaleni. Śmiechem musieli odreagować przeżyte przez tyle ostatnich dni złe emocje. Kiedy rano, po krótkiej drzemce, obudził się – ekipy już oczywiście od kilku godzin nie było – i przeczytał raport, ze zdziwieniem stwierdził, że jest bardzo dobry i może przekazać go przełożonym w Koszalinie. Odetchnął z ulgą, bo pisanie raportu od nowa, w stanie totalnego zmęczenia i z męczącym go bólem głowy, przedstawiało się jako koszmar.

Złożył raport na ręce podporucznika Jana Madejskiego i z przyjemnością patrzył, jak twarz śledczego zmienia się, gdy czyta kolejne linijki. Kiedy Madejski skończył czytać, długo milczał, spoglądał na niego i kręcił głową z niedowierzaniem.

- Co wy mi tu piszecie – powiedział śledczy Madejski po kilku minutach, w czasie których ponownie przeglądał trzymane w ręku kartki. – Gdzie jest ta nowa ofiara? Skąd wiecie, że facet się utopił?

- Alicja Zawada stawia się jutro i będzie zeznawać – zakomunikował. – Dziś jest jeszcze za słaba. Zeznawać też będzie rybak z Unieścia, Bolesław Józwiak. To on przypadkowo uratował dziewczynę. Wracał ze stawiania sieci i natknął się na mrozącą krew w żyłach, jak opowiadał, scenę. Jakiś facet usiłował utopić kobietę. Dokładnie zapisałem złożone przez niego zeznania w raporcie. Twierdził, że nie rzucił się w pogoń za sprawcą, bo najpierw musiał zająć się kobietą. Wciągnął ją na łódź, reanimował, a potem przytasczył na własnych plecach przez las na posterunek. Poszkodowana kobieta okazała się młodą dziewczyną. Była w marnym stanie, całkowicie zszokowana i do tego podduszona. Zawiozłem ją motorem do Ośrodka Zdrowia, żeby pomogła jej nasza lekarka. Rybak, to znaczy ten Józwiak, z posterunkowym Michałem Sikorą poszli na plażę i szukali drania. Zostawiłem dziewczynę w Ośrodku i dołączyłem do nich z psem. Szukaliśmy do białego rana. Niestety, znaleźliśmy tylko jego ubranie. Zabezpieczyłem je i rano okazałem ratownikom. Rozpoznali ubranie Artura Zarzyckiego, ich kierownika. Któryś z nich widział, jak Zarzycki wyszedł z bazy wieczorem. Rano go w bazie nadal nie było. Wiedziałbym, gdyby wrócił, bo Michał, to znaczy posterunkowy Sikora, o wszystkim ma rozkaz informować.

- Ale dlaczego nie wezwaliście w nocy na pomoc nas! – wrzasnął Majewski.

- Obywatelu podporuczniku – Szelc wyprężył się służbiście i wygłosił wcześniej wymyślane wytłumaczenie. – Ratowaliśmy topielicę, szukaliśmy sprawcy, musieliśmy podjąć natychmiastowe działania. Nie było czasu na myślenie.

Zeznania złożone przez Alicję Zawadę, Józwiaka, Szelca i Sikorę zadowolili prokuratora Zdzisława Kujawę. Zeznania obciążające Zarzyckiego złożył także Roman Kitowski, gdy tylko przyszedł do siebie. Znalezione go sobotę rano 19-tego lipca w piwnicy budynku, w którym pracował, czyli w budynku Domu Wczasowego KW PZPR. Miał ciężki uraz głowy. Był nieprzytomny. Koszalińskim lekarzom udało się go uratować. Kiedy mógł już zeznawać,

przesłuchano go. Twierdził, że ostatnią osobą, którą widział w piątek przed wieczorem był kierownik ratowników Artur Zarzycki. Odwiedził Kitowskiego w miejscu pracy i namówił, żeby zszedł z nim do piwnicy, gdzie miał zostawić zdobyty z trudem zagraniczny sprzęt do nurkowania. Kitowski zamierzał zostać nurkiem głębinowym i był bardzo zainteresowany kupnem dobrego sprzętu. Ufał Zarzyckiemu. Znali się od dawna. Zarzycki znał się też na nurkowaniu. Kiedy pochylał się nad rzuconym na podłogę sprzętem, otrzymał cios w głowę i stracił przytomność. Ocknął się w szpitalu, po kilku dniach. Był pewny, że uderzył go Zarzycki.

- Uderzył pana kilkakrotnie – poinformował go przesłuchujący go milicjant. – Cud, że pan żyje. Chyba ma pan twardą głowę. Przyjedzie do pana prokurator – zakończył gadkę milicjant i wyszedł.

Żona Romana Kitowskiego przyjechała z Warszawy natychmiast po wypadku. Bywała w szpitalu codziennie i opłacała pielęgniarki, żeby się nim dobrze zajmowały. Kiedy stan rannego pozwalał na transport, zabrała go do Warszawy.

Przeszukano dom Zarzyckich. Nie znaleziono śladów potwierdzających jego morderczą pasję. Poza jednym zdjęciem, na którym, jak powiedziała matka Zarzyckiego - osoba zniszczona fizycznie i nie zrównoważona psychicznie - była trumna z ciałem pierwszej miłości Artura. Dziewczyna zginęła tragicznie, powiedziała Zarzycka. Utopiła się w morzu w Łazach, gdzie razem z jej synem przebywała na obozie młodzieżowym.

W milicyjnym archiwum odnaleziono dokumenty ze śledztwa prowadzonego w kierunku wyjaśnienia owego śmiertelnego wypadku w Łazach, który wydarzył się przed laty. Okazało się, że młody Artur Zarzycki był głównym świadkiem zdarzenia, które uznano za nieszczęśliwy wypadek, dając wiarę zrozpaczonemu świadkowi nieszczęścia, który, jak twierdzili pozostali uczestnicy obozu, był w ofierze bardzo zakochany i próbował ją ratować.

Zdjęcia Zarzyckiego, zabezpieczone w czasie przeszukania, pokazano koleżankom Ewy Wypych. Znały go oczywiście, bo widziały go wielokrotnie jako dyżurującego ratownika, kiedy opalały się na plaży w Mielnie. Przypomniały sobie, że poprzedniego lata Ewa, zamyślona i trochę nieobecna, często patrzyła w stronę wieżyczki ratowników, albo stała na brzegu i gapiła się na ich łódź. Dopiero teraz połączyły jej dziwne zapatrzenie z osobą Zarzyckiego. Nie wykluczały także, że to on był tym mężczyzną, którego pewnej nocy zobaczyły z Ewą w parku.

Ratownicy pracujący latem w Mielnie najpierw z niedowierzaniem przyjmowali wieść o podwójnym życiu ich kierownika i kolegi, a potem zaczęli sobie przypominać różne nietypowe sytuacje. Marek Wilczyński przypomniał sobie nagle, że Zarzycki kręcił się nieopodal ogniska hipisów, a potem nagle zniknął mu z oczu i więcej się już nie pojawił. Twierdził, że zniknięcie Zarzyckiego zbiegło się w czasie z odejściem od ogniska Joanny Woźniak, którą uważnie obserwował. Pamiętał także, że latem zeszłego roku Artur zniknął czasami na kilka godzin i nikt nie wiedział, gdzie przebywa. Może spotykał się wtedy z Ewą Wypych?

- Nie do wiary – zastanawiał się w głośno w obecności prokuratora. – Był takim dobrym ratownikiem. Żeby pan wiedział, z jakim poświęceniem ratował tonących, jak wytrwale i z jakim zaangażowaniem pracował przy holowaniu podczas bardzo złej pogody pontonu, na którym, jak się potem okazało, leżała martwa już kobieta. Zawsze starałem się go naśladować w pracy. Był perfekcyjny.

Wszystko wskazywało na to, że Artur Zarzycki, który zniknął po pamiętnej nocy, podczas której ogłuszył Romana Kitowskiego i próbował utopić Alicję Zawadę, był także sprawcą dziwacznie wyreżyserowanych utonień dwóch panien – Joanny Woźniak i Ewy Wypych. Za prawdopodobne, choć trudne do uzasadnienia, uznano także to, że przyczynił się do śmierci Stefanii Szczerbik. Śmierć Leokadii Bednarz nie została wciągnięta do procedury śledczej, ponieważ nie sposób było wykazać, że przyczynił się do niej ktokolwiek. Spostrzeżenia nieletniego chłopca, nie mogły być brane pod uwagę.

Powodów, dla których sprawca dopuścił się tak strasznych czynów, można było się tylko domyślać. Nikt go już więcej nie widział. Próbowano go oczywiście odszukać. Rozesłano po Polsce zdjęcia twarzy Zarzyckiego i opis jego wyglądu.

Czesław Szelc pożegnał Kazimierza Cichockiego i Alicję Zawadę 22-go lipca na peronie dworca PKP w Koszalinie. Z żalem patrzył na dziewczynę, która posmutniała, przygasła i nie była już tą samą energiczną panną, którą pierwszy raz zobaczył 7-go lipca przy leśnym bunkrze.

- Minie trochę czasu, nim dojdzie do siebie – myślał i poklepywał ją po ramieniu.

- Kaziu się tobą zajmie – zapewniał, spoglądając wymownie na Cichockiego.

- Oczywiście – potwierdził Kazimierz. – Alicja wie, że nie może w takim stanie wracać do domu. Rodzice będą się zamartwiać. Zadzwoń do nich z Warszawy i przekonaj, że dostała z uczelni wyjazd w góry. Takie małe kłamstewko, ale niezbędne. Załatwiłem jej pobyt w sanatorium w Zakopanym. Ja też tam będę. Przysięgam, że nie będę się narzucał. Będziesz robiła, co będziesz chciała – zapewniał dziewczynę.

Chciał wywołać choćby nikły uśmiech na jej twarzy i udało mu się.

Alicja uśmiechnęła się i przez chwilę wyglądała jak dawniej. Potem znów patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem.

- W Warszawie musisz z nią koniecznie pójść do lekarza, do psychologa, albo psychiatry – wyszeptał Cichockiemu do ucha Szelc. – Macie tam chyba dobrych specjalistów.

Kazimierz skinął głową. Pożegnali się serdecznie i wzajemnie zapewnili, że koniecznie muszą się znów spotkać. Oczywiście w przyjemniejszych okolicznościach. Żadne z nich nie wierzyło jednak w te zapewnienia. O tym, co ich połączyło, chcieli jak najszybciej zapomnieć.

Czesław Szelc wrócił do Mielna. Obowiązki czekały, a lato jeszcze się nie skończyło.

Michał Sikora z radością powrócił do regularnych spotkań z Małgosią. Był jej teraz bardzo potrzebny. Eugeniusz Mróz przekonał żonę, że powinni opowiedzieć Gosi o jej przeszłości i o losach jej ojca, a więc i o tym, że prawdopodobnie porwał go i zagłodził na śmierć ojciec Artura Zarzyckiego, Robert Zarzycki. Podobno miał on na sumieniu także inne ofiary. Matka Zosi/Małgosi, Waleria oraz kilkoro jej przyjaciół, których poznali Kozińscy, a o których Małgosia także miała mgliste wspomnienia, poszukiwali dwóch zaginionych w Mielnie młodych mężczyzn i jednego z nich udało im się uratować. Waleria umarła, kontakt z przyjaciółmi urwał się. Kozińscy także już nie żyli. Pozostały tylko szczątkowe informacje, poszarpane wspomnienia i domysły.

Małgosia mocno przeżyła przekazane jej przez rodziców informacje. Przez kilka dni nie wychodziła z domu i z nikim nie chciała rozmawiać. Znała Artura Zarzyckiego i przez myśl jej nigdy nie przeszło, że pod miłą i pogodną powierzchownością bije serce okrutnej bestii. Podziwiała Alicję za jej niesłychaną odwagę i wyrzucała sobie, że wcześniej jej odwagi i poświęcenia nie doceniała. Okazała się mniej dojrzała od Alicji, która zaryzykowała własnym życiem i naprawdę o mały włos nie zginęła. Najtrudniejszy jednak okazał się powrót do

przeszłości. W jej głowie pojawiały się jakieś mgliste obrazy. Przywoływała je i próbowała skleić w całość. O ojcu, którego nigdy nie poznała, starała się w ogóle nie myśleć, bo świadomość, że umarł w mękach i że zamęczył go ojciec Artura Zarzyckiego, wywoływała w niej stan trudnej do zniesienia paniki. Otaczający ją świat jawił się jako wypełniony groźnymi szaleńcami. Obawiała się, że już nigdy nikomu nie zaufa.

Po pewnym czasie trochę ochłonęła i zapragnęła odnaleźć i odwiedzić grób swojej prawdziwej matki. Nie pojmowała, jak mogła dotąd tego nie uczynić. Chciała pojechać na koszaliński cmentarz jedynie w towarzystwie Michała. Jego obecność sprawiała, że czuła się spokojniejsza. Rodzice za dużo mówili. Uspokajali ją, zamartwiali się i niepotrzebnie tłumaczyli. Nie miała do nich pretensji. Od zawsze kochali ją i traktowali jak rodzone dziecko.

Mrozowie nie powiedzieli swej przybranej córce, że jej ojciec umarł w mieleńskim bunkrze. Obawiali się, że ta wiedza sprawi, że Małgosia nie zechce dłużej mieszkać w Mielnie. A oni kochali swój wypielęgnowany dom w sosnowym lesie, szum morza, spacer po plaży, zimową ciszę i wakacyjny zgiełk. Zdawali sobie sprawę z tego, że Małgorzata wkrótce i tak ich opuści. Michał planował pozostać w milicji jeszcze tylko przez rok. Dał sobie rok na przygotowanie się do egzaminów. Zamierzał zdawać na studia prawnicze w Warszawie. Kazimierz Cichocki obiecał, że mu we wszystkim pomoże, bo przecież to on właśnie namówił Michała na wyrwanie się z milicji. Powiedział, że załatwi Michałowi zameldowanie w Warszawie i przyjmie do swojego mieszkania. Mrozowie wiedzieli, że mówi poważnie. Znali także Michała i byli pewni, że zrealizuje swój plan.

- Małgosia pojedzie za nim – stwierdziła pewnego dnia Jadwiga Mróz, gdy córki nie było w domu. - Trzeba zacząć myśleć o ślubie i o weselu. Ksiądz Bieliński nie będzie zachwycony, że jego młoda parafianka wychodzi za milicjanta. Poproszę panią Okrzewską, żeby mu wyjaśniła złożoność sytuacji. Nie zniosę, jeśli ksiądz powie Małgosi coś przykrego.

- Chyba nie znasz księdza Bielińskiego – zarzucił żonie Mróz. – Przecież będzie zachwycony, że daje ślub kościelny milicjantowi. Byłoby jeszcze zabawniej, gdyby Michał poprosił komendanta Szelca na świadka.

- Zaprosimy go na wesele. To wystarczy – zaoponowała. – A wesele zrobimy w hotelu „Jałta w Koszalinie – dodała.”

- No to się szarpniemy – skomentował. – Trudno. Raz się wydaje jedyną córkę za mąż. Ale przypominam ci, że nikt się jeszcze jej nie oświadczył.